

Potrafi zabić gołymi rękami... bohaterka DROGA 66, Brigid Quinn,
była agentka specjalna FBI. Odeszła ze służby, żeby uciec od zła.
Ale zło wkracza do jej prywatnego świata i zbiera ofiary.
Ostatnią ma być ona sama...

BECKY MASTERMAN I TYLKO CIEMNOŚĆ




AMBER

E-book jest zabezpieczony znakiem wodnym

**BECKY
MASTERMAN**

**I TYLKO
CIEMNOŚĆ**

Przekład
**MAŁGORZATA STEFANIUK
STANISŁAW REK**



Redaktor serii
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna
Anna Tuchowska

Korekta
Jolanta Kucharska
Magdalena Stachowicz

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Jeffrey Rasmussen/Shutterstock

Tytuł oryginału
Fear the Darkness

Copyright © 2015 by Becky Masterman.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5443-2

Warszawa 2015. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA
juras@evbox.pl

*Dla Rebeki i Jeremego,
Aleksa i Sydney,
którzy mnie podtrzymują w mojej pasji
i nie pozwalają zapomnieć, co jest naprawdę ważne.*

Prolog

Tak jest niemal zupełnie ciemno, ale to mój najmniejszy problem. Zanim wsiadłam, zdążyłam zajrzeć do środka. Znałam to klaustrofobiczne wnętrze, w którym nie mogłabym się poruszyć, nawet gdybym nie była postrzelona w nogę. Było puste, nie licząc standardowych narzędzi schowanych pod wykładziną. Carlo to czyścioszek, lubi mieć wszędzie porządek. Wciąż jestem na tyle przytomna, że myślę o narzędziach, ale trudno mi się na nich skupić w jakikolwiek użyteczny sposób. Wykorzystaj wszystko, co masz pod ręką, radził mi kiedyś Black Ops Baxter. Przez głowę przelatują mi obrazy, jednak stać mnie najwyżej na to, by je nazywać w myślach: lewarek, kleszcze, klucz nasadowy, ta elastyczna linka, chyba do holowania. Śruby.

Przez niewielką szparę między siedzeniami wlatuje trochę powietrza, nie uduszę się.

Nie, moją najpilniejszą potrzebą jest woda. Powinnam się czegoś napić, żeby obniżyć temperaturę ciała, spowolnić oddech, zatrzymać to ostrzegawcze słabe walenie w piersi, które mówi mi, że serce zaraz wysiadzie na dobre. Jeśli tu umrę, prawdopodobnie moje zwłoki zostaną później gdzieś porzucone. Widzę to w wyobraźni – kojoty obgryzają trupa, zaczy nając od rany; to, co zostaje, wysycha w pustynnym słońcu. Nie myśl o tym.

W raporcie z autopsji w rubryce „rodzaj śmierci” George napisze: „wypadek”.

„Przyczyna zgonu: hipertermia. Ofiara doznała stanu podwyższonej temperatury ciała wywołanej zaburzeniem termoregulacji, do którego dochodzi w sytuacji, gdy organizm wytwarza lub absorbuje więcej ciepła, niż jest w stanie odprowadzić. Takie ekstremalne podwyższenie ciepłoty ciała jest groźne i wymaga natychmiastowej interwencji medycznej, inaczej może dojść do uszkodzeń mózgu lub śmierci”.

Sromota. Sromota. Powiedzkonko Carla, którego chyba nikt inny nie używa. Nie do końca wiem, co znaczy, ale do tej sytuacji chyba pasuje. Sromotna śmierć, może i tak, ale na pewno nie dopuszczę, żeby uszła na sucho. Żeby ją uznano za wypadek. Mogę przy najmniej pozostawić ślady świadczące o tym, że to było morderstwo.

Leżę na lewym boku, nogę w miejscu, gdzie zadrasnęła mnie kula, mam obwiązaną rękawami koszuli. Już wiem, czemu zadbano o powstrzymanie krwawienia. Żeby nie zostały żadne ślady. To znaczy, że moja krew jest jedynym dowodem popełnienia zbrodni.

Choć jestem ospała jak wyziebiony wąż, sięgam w dół i tak długo gmeram przy węźle, aż udaje mi się go rozwiązać. Obmacuję ranę. Wraz z upływem czasu, pod wpływem gorąca i dlatego, że prawie się nie ruszam, krew ładnie zakrzepła, jakby ktoś wolno opiekał mnie w piecu. Koszuli można się pozbyć; bez sensu marnować na nią krew, wyciągam ją więc spod nogi. Mocno zaciskam zęby, żeby nie krzyknąć lub nie przygryźć sobie języka, i wbijam palce w ranę na zewnętrznej stronie uda, tam gdzie kula rozerwała ciało. Nie aż do tętnicy, nie narobiła

prawdziwego bałaganu (przez głowę przelatuje mi obraz innych zwłok; było ich tak wiele), ale dość głęboko, żeby jeśli trochę w niej podlubię... Jęczę przez zaciśnięte zęby, na szczęście niezbyt głośno. O rany, ale boli. Ale przynajmniej dzięki bólowi nie mdleję od upału.

Czuję lepkość na palcach. Mam nadzieję, że krew spływa na wykładzinę, ale nawet wykładzinę można wymienić czy wyprać. Oczywiście, krew można wykryć lampami kryminalistycznymi, ale kto wpadnie na taki pomysł? Nie, muszę zostawić ślady w takim miejscu, które przebadają tylko ktoś, kto będzie szukał dowodów, a potem pokaże je policji.

Podnoszę rękę i rozsmaruję krew na spodzie pokrowy bagażnika nad moją głową z nadzieją, że nie pomazałam sobie twarzy. Jeszcze raz sięgam do rany, znowu wbijam w nią palce i rozsmarowuję więcej krwi na rozgrzanym metalu.

Czepiając się resztek przytomności, sięgam po koszulę. Wycieram w nią palce, przesuwam biodra, żeby wsunąć koszulę pod nogę, i z pewną trudnością, bo prawa ręka, na której leżę, zdrętwiała, z powrotem obwiązuję udo rękawami.

Wkładam palce do ust i próbuję zlizać krew, ale język mam tak wyschnięty i spuchnięty, że nie daję rady. Nie wiem, czy pod paznokciami nie zostały mi resztki krwi i naskórka. Dowody zbrodni. Może nie zostaną zauważone. Nawet w moim stanie widzę ironię w tym, że myślę o sobie jak o dowodzie, tak jak przez lata myślałam o wielu innych zwłokach.

Pamiętajcie jednak, że wszystko, co robię, przyda się na wypadek mojej śmierci. Śmierci Brigid Quinn.

1

Kiedy się dowiedziałam o mojej szwagierce, wracałam ze schroniska dla kobiet – ofiar przemocy, położonego za miasteczkiem Marana, pół godziny jazdy od miejsca, gdzie mieszkam, na północy Tucson w Arizonie. Schronisko nazywało się Pustynne Gołębnice albo jakoś tak, równie kretyńsko. Gdy nie prowadziłam żadnego śledztwa, jako wolontariuszka uczyłam kobiety z tego schroniska, że właśnie nie muszą być gołębicami.

Tamtego dnia na zajęciach było ich cztery, jedna miała siniaki, wciąż fioletowe, na obręczach przechodzące w zieleń. Na twarzach wszystkich widniał ten charakterystyczny wyraz ofiary. Dlatego, i dlatego że był to dopiero początek kursu, te kobiety były dla mnie nierozróżnialne, nie umiałam zapamiętać ich imion. Może niedługo się to zmieni. W rogu stał mężczyzna: po dwudziestce, szczupły. Przyglądał się nam. Nigdy wcześniej go nie widziałam, ale domyśliłam się, że jest z ochrony.

Weszłam na gumową matę leżącą na środku małej sali, w której znajdowały się manualna bieżnia, orbitrek i ciężarki; wszystko wyglądało, jakby pochodziło z darów. Na początek kazałam się dziewczynom trochę porzucić, zrobiłam im krótką rozgrzewkę cardio, głównie po to, żeby się zaznajomiły z własnymi ciałami. Potem przeszłyśmy do podstawowych technik obronnych.

Siwy kucyk związałam gumką i przywołałam na twarz mój najbardziej matczyzny uśmiech.

– Czy któraś zgłosi się na ochotnika?

Uciekły ode mnie wzrokiem. Odnosiłam wrażenie, że ich oczy bardzo często wykonywały ten unik

Powiedziałam:

– Patrzcie na mnie. Patrzcie. Czy wyglądam, jak ktoś, kto mógłby zrobić wam krzywdę?

Najmłodsza, wyższa ode mnie, ale o masie mięśniowej kanarka, weszła na matę.

– Jak się nazywasz, słonko? – spytałam.

– Anna. – Brzmiało to jak przeprosiny.

– Anno, rusz w moją stronę tak jakbyś chciała mnie zaatakować. Jesteś w stanie to zrobić w lekko zwolnionym tempie? Tak dobrze, właśnie tak. W porządku, możesz się śmiać, jeśli chcesz. Ja też się będę poruszała wolno, a kiedy raz zrobimy to w ten sposób, pokażę wam, jak to wygląda w realnym życiu. Widzicie, jak Anna się do mnie zbliża? Prawą rękę ma wychyloną do tyłu, jakby zamierzała mi porządnie przyłożyć. Tak jest dobrze, ale nawet gdyby jej ręka nagle wystrzeliła do przodu, nawet gdyby próbowała zadać mi cios w podbródek, nawet gdyby trzymała nóż, to i tak nie miałyby to znaczenia. Bo Anna jest skupiona na sobie i nie zdaje sobie sprawy, że nie zamierzam stać bezczynnie i że nie przyjmę jej ciosu. Widzicie, ja się nie cofam, tylko się do niej zbliżam... zmniejszam obszar ataku, trzymam głowę nisko, kulę ramiona i... to może cię

trochę przstraszyć, ale obiecuję, że nic ci nie zrobię, Anno... chwycę cię w pasie i przerzucę przez biodro. Kobiece biodra to nasza broń, mamy w nich i w naszych udach więcej siły od każdego mężczyzny, nawet dużego. Widzicie, wykorzystałam impet Anny przeciwko niej samej.

Trochę mi było trudno poruszać się w zwolnionym tempie i jednocześnie mówić, zatrzymałam się więc na chwilę, żeby szybko wziąć głęboki oddech.

– Teraz Anna, zanim się zorientowała, już jest na ziemi. Możecie sobie wyobrazić, jakby to wyglądało, gdybyśmy to zrobili w normalnym tempie. Nie, nie zamierzam upuścić cię głową na podłogę. Widzicie, jeśli wystawię nogę w ten sposób, Anna osunie się na ramię, a ja równocześnie wyciągnę spod niej nogę. Może to wyglądać, jakbym chciała zapobiec, żeby się zraniła, i rzeczywiście dzięki temu nie uderzy mocno w podłogę, ale przede wszystkim robię to po to, żeby sama mogła się osunąć na ziemię i zarzucić na Annę drugą nogę w uchwycie duszącym. Widzicie, jak moje ciało jest ustawione prostopadle do jej ciała? Wasz przeciwnik, kiedy go trzymacie w takim uchwycie, nie może się poruszyć. Możecie wtedy poderwać się i uciec, bo przeciwnik wciąż jeszcze się zastanawia, jakim cudem wyładował na ziemi, albo przyduszać go, aż zemdleje. Nie grozi to trwałymi uszkodzeniami. Polecam tę drugą opcję, po prostu po to, żeby dać mu znać, że nie będziecie się z nim patyczkować. Dziękuję, Anno. Widzicie, żeby wykonać taki chwyt, nie trzeba być dużym, a zwłaszcza nie trzeba być mężczyzną.

Kiedy Anna się podniosła, mimowolnie uśmiechnięta, dziewczyna z najświeższymi siniakami zapytała:

– Jeśli tak zrobię mężowi, co twoim zdaniem stanie się potem? Co on zrobi?

Wszystkie były zaciekawione odpowiedzią. Mogłabym ją osłodzić, powiedzieć, że mężulkiwie od tej pory będą je szanowali, przynosili kwiaty, nawet nie na przeprosiny za pobicie, i że odtąd już będą żyli razem długo i szczęśliwie. Ale filmy wystarczająco nakarmiły je kłamstwami na temat miłości; pora zapoznać je ze statystykami.

Im ostrzejsze słowa, tym łagodniejszy ton.

– Kochanie, na pewno ci nie podziękuje.

– On mnie zabije – rzuciła kursantka.

Zignorowałam, że powiedziała to z lekkim podnieceniem, czymś zbliżonym do uniesienia, jakby mówiła: „będzie mnie kochał”.

– I to właśnie jest zaskakujące w wypadku damskich bokserów. Można by sądzić, że się na was znowu rzucą, ale oni tego nie robią. Dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto taki ktoś po prostu odchodzi. Zostawi cię i odejdzie do innej. Będzie szukał kogoś, kogo może kontrolować, kogoś, kogo może tłuc, nie obawiając się rewanzu.

Dziewczyna na skrzyżowała ręce przed sobą. Nie spodobała jej się odpowiedź. Woląла kłamstwo i kóregoś dnia padnie jego ofiarą. Widziałam, że jest już stracona, a może nawet martwa. Natychmiast zrobiło mi się żal ich wszystkich, ale potem się odwróciłam, bo nie da się każdego uratować. Czasami trzeba być okrutnym, żeby zachować siły na kolejną bitwę.

Spojrzałam na faceta w rogu, o dobrą głowę wyższego ode mnie, o oczach, które nic nie mówiły. Stał zgarbiony, udawał niedołęęę, ale zdradzały go rozpychające rękawy podkoszulka napięte muskuły. Puste spojrzenie kazało mi podejrzewać, że swoją muskulaturę zdobył nie na siłowni.

– Irak czy Afganistan? – spytałam.

Kiwnął głową.

– Afganistan.

– Jak masz na imię?

– Dennis. – Nawet mimo różnicy wieku dwóch pokoleń, w jego oczach pojawił się błysk ostrzegający, że lepiej, żeby nie dopowiedziała: „Rozrabiaka”.

– Pokażemy im, jak to się robi naprawdę?

Wszedł na matę.

– Zaczynaj.

Ruszył na mnie z pięściami w górze. Nic wielkiego, posłałam go na ziemię, tak jak to zrobiłam z Anną, tylko wykonując szybsze ruchy. Kobiety nagrodziły mnie okłaskami. Pokaz zaczął im się podobać. Ale kiedy pomagałam Dennisowi się podnieść, wojak chwycił mnie za nadgarstek i rzucił na ścianę nad bieżnią. Byłam nieprzygotowana, trochę mnie pogruchołało. Osunęłam się po bieżni na podłogę. Kobiety sapnęły, ale bez szczególnego przejęcia, i niczego nie zrobiły. W końcu już to wcześniej widziały.

Otrząsnęłam się i wstałam, tym razem przyszykowana na atak Dennis znowu rzucił się na mnie z pięściami. To pewnie powalenie na matę i fakt, że zacisnęłam mu nogi na gardle, obudziły w nim reakcję „zabij albo daj się zabić”. Widziałam, że cofnął się w czasie, do jakiejś wioski w Afganistanie, gdzie widział i robił rzeczy, z którymi nie mógł żyć, i moje ciche wołanie: „Dennis. Dennis”, zupełnie do niego nie docierało.

Nie chciałam go ośmieszyć na oczach tych kobiet, ale gość mógł mi zrobić poważną krzywdę. Wymierzyłam dwa ciosy w szczękę, nie żeby go trafić, tylko po to, by podniósł pięści, żeby się zasłonić. Wtedy mogłabym wycelować we wrażliwsze miejsce. Nie dał się zwieść. Zamiast zasłonić twarz, zamachnął się i posłał mi prawy sierpowy.

Prawie posłał. Uchyliłam się przed ciosem i szybko walnęłam go w brzuch, tam gdzie jest wątroba. Zemdlny, osunął się na podłogę.

Kobiety najpierw patrzyły na to ze zdumieniem, potem były zaskakująco uradowane widokiem powalonego wielkiego faceta. Zanotowałam sobie w pamięci, żeby następnym razem nie wykorzystać do pokazów weteranów.

Zapewniłam kursantki, że Dennisowi nic nie będzie i że po prostu daliśmy pokaz bardziej zaawansowanych technik walki. Dennisa ocuciłam, gdy kobiety opuściły salę. Krótko sobie wszystko wyjaśniliśmy, chyba dopiero teraz po raz pierwszy widząc się naprawdę. Powiedziałam, że przydałby mi się sparringpartner do ćwiczeń, bo trochę zardzewiałam. Dennis miał wątpliwości, ale się zgodził.

Wychodząc, gdy nikt nie patrzył, rozciągnęłam sobie mięśnie szyi i rozmasowałam ramię, w miejscu gdzie walnęłam nim o ścianę, ale tak w ogóle czułam się dobrze... do diabła, czułam się wspaniale! I czułam ulgę, że wciąż jestem w formie po tych wszystkich latach pracy tajniaka dla Biura, po której nastąpił okres pracy za biurkiem, a potem, gdy osiągnęłam szacowny wiek pięćdziesięciu sześciu lat, wzięłam mój pierwszy ślub z byłym katolickim księdzem, który został profesorem filozofii. Życie z Carlem DiForenza było tak spokojne, jak tego pragnęłam, jednak ostatnie wydarzenie pokazało, że człowiek nigdy nie wie, kiedy będzie potrzebował dobrej kondycji, żeby się obronić. Musiałam zadbać o zachowanie formy i jeśli udałoby mi się połączyć trenowanie sztuk walki i pomoc Dennisowi w pokonywaniu zespołu stresu pourazowego, byłoby podwójnie fajnie.

Aby się nagrodzić za w miarę dobrze wykonaną robotę i za to, że nikomu nie stała się krzywda, zatrzymałam się na Thornydale na kawę sprzedawaną w sklepiku w przyczepie kempingowej, potem pojechałam na północ w stronę Tangerine i skręciłam na wschód, żeby wrócić przez dolinę, na prostą szosę z miękkimi wzniesieniami i zagłębieniami, jak w kolejce górskiej dla dzieci. Kiedy się pierwszy raz przyjeżdża do tej części Arizony, człowiek myśli: o Boże, jak tu ponuro i szaro. Ale to błędne wrażenie. W późne wiosenne popołudnie różana poświata rzucona przez zachodzące słońce na widoczne w oddali zbocza gór Catalina przypomniała mi powiedzonko mojej przyjaciółki Mallory: „Kiedy góry zabarwiają się na różowo, pora się czegoś napić”.

Po przepychankach z Dennisem miałam ogromną ochotę na kieliszek czerwonego wina i gorącą kąpiel, w której mogłabym porządnie wymoczyć swój zmęczony stary tyłek. Strasznie wkurzają mnie ludzie, gadający przez komórki, aby zabić nudę podczas prowadzenia, ale przyznaję, że gdy popijałam kawę, trzymając przy tym kierownicę między kolanami, zadzwoniłam do Carla, żeby go zawiadomić, że będę w domu za dwadzieścia minut.

Właśnie otrzymałam wiadomość, że zmarła moja szwagierka, Marylin Quinn.

Serce opadło mi w dół, zupełnie jak samolot, który uderzył w kieszeń powietrzną.

W takim momencie w filmach pilot ogłasza przez głośnik, że będą miały miejsce lekkie turbulencje i że wszyscy powinni pozostać w pasach, ale nie ma się czym martwić. Jakiś mądrała w rządzie za tobą rzuca żart o Bette Davis.

Potem samolot eksploduje, kula ognia wysysa powietrze z płuc pasażerów, zanim się zorientują, co w nich uderzyło. Wszyscy giną.

Zmierzałam właśnie w kierunku czegoś takiego. Czasu zdrady, wyniszczającej choroby, czasu zapoznania się z prawdziwą naturą zła. Bo nadeszła pora wypełnienia obietnicy, jaką złożyłam Marylin.

Ciesz się swoją kawką, mała.

Trudno rozpoznać diabła, gdy trzyma ci dłoń na ramieniu.

To dlatego, że psychopata, zanim jego nazwisko trafi na nagłówki gazet, jest jak inni zwyczajni ludzie. Zanim zacznie strzelać w kościoły, torturować lub zabijać w bardziej dyskretny sposób. Psychopaci, tak jak inni, mają swoje preferencje. Wolą kawę ze Starbucks niż z Dunkin Donuts, drelich niż len, Dickensa niż... cóż, wiecie, o co mi chodzi. Jeśli udaje im się kontrolować bardziej destrukcyjne zapędy, często zostają chirurgami, którzy trzymając skalpel nad otwartym sercem, czują mrowienie przyjemności, albo maklerami inwestycyjnym, drżącymi na myśl o manipulacjach dokonywanych na oszczędnościach życia inwestorów, lub nawet księżmi, uśmiechającymi się w sekrecie, gdy wysłuchują spowiedzi o małżeńskiej zdradzie. Przeważnie te kreatury żyją normalnie i tylko najbliżsi podejrzewają, że psychopata nie żywi żadnych uczuć do nikogo oprócz siebie i że wszystko, co robi, jest nakierowane na jego własny zysk.

Przyznaję, że to krępujące, nie rozpoznać diabła, ale potrafię to zrozumieć, bo sama byłem w takiej sytuacji. Częściowo jest tak dlatego, że tylko nieliczni są całkowicie źli. W swoim czasie żyłam między zabójcami, którzy uwielbiali występy baletowe ich córek, między handlarzami ludźmi, którzy gaworzyli dziecięcymi głosikami z ukochanymi papużkami. Gość kupujący przysmaki dla ptaków w sklepie zoologicznym uśmiecha się do ciebie wstydliwie, jakby jego jedynym występkiem było to, że dał się przylapać na miłości do papużki; trzeba się naprawdę wyteńczyć, żeby go sobie wyobrazić, jak sprzedaje kobiety z Gwatemali kasynom w Las Vegas. Nawet najgorsi z nas miewają odruchy empatii. Może nawet sam diabeł potrafi się rozczulić na widok słodkiego maltańczyka.

Podobnie nie spodziewamy się natknąć na diabła na kweście charytatywnej lub w salonie przyjaciela, czy w gabinecie lekarza. Zwłaszcza zaś nie w kościele, a już na pewno nie w osobie kogoś na odpowiedzialnej pozycji, zwyczajowo obdarzanej społecznym zaufaniem. A tym bardziej nie w sobie.

Kiedy moi koledzy po fachu mówią o jednym procencie, nie mają na myśli obrzydliwie bogatych. Mówią o złu dobrze kamuflowanym. To dlatego tak trudno je zauważyć. W moim wypadku, gdy pracowałam, dodawało to tylko całej zabawie smaczku. To znaczy, kiedy udawało mi się nie pamiętać, że w grę wchodzi życie niewinnych ludzi.

Nie zawsze myślałam w ten sposób. Życie wyglądało prościej, gdy najważniejszą sprawą było unikanie zdemaskowania, tortur, żeby nie zabić albo nie dać się zabić. Ale może małżeństwo w filozofem zmusiło mnie do większej niż przedtem refleksji nad kilkoma sprawami. To oraz przejście na emeryturę, przez co zaczęłam mieć czas na wpatrywanie się w gwiazdy.

Przeglądanie się nocnemu niebu prowokuje człowieka do przemyśleń o śmierci, o tym, czy

faktycznie istnieje jakieś miejsce, do którego odchodzimy. Śmierć kogoś innego zmusza do myślenia o tych momentach, kiedy samemu mogło się zginąć. Marylin zmarła na stwardnienie rozsiane w wieku lat pięćdziesięciu jeden. Mieszkała na Florydzie z moim młodszym bratem, lat pięćdziesiąt dwa, ich córką, siedemnastolatką, i z moimi rodzicami.

Na pogrzeb chciałam pojechać sama, żeby nie narażać Carla na spotkanie z moimi bliskimi, ale się uparł. Byliśmy małżeństwem od dwóch lat. „Najwyższy czas, żeby ich poznać”, oznajmił tym swoim nieco szorstkim tonem, z którego, im bardziej się poznawaliśmy, korzystał z coraz większą swobodą.

Dla Marylin zrobiłabym wszystko, bo ją kochałam. Chociaż wiedziała, że jesteśmy strasznie pokręceni, że wszyscy poza mamą pracujemy w takim czy innym wydziale ścigania, poprzez małżeństwo dołączyła do naszej policyjnej rodziny i pokazała mi, jak dobrze tak naprawdę możemy być: że ludzie mogą traktować się ciepło, zamiast być jak kruche szkło, które pęka, gdy się tylko do niego zbliży. Ale nie mieliśmy okazji długo cieszyć się jej naukami. W cztery lata po wyjściu za mojego brata, Todda, zdiagnozowano u niej stwardnienie rozsiane. Mimo to do końca kochała życie, a nawet zdecydowała się na dziecko, choć lekarze ostrzegali, że poród może pogorszyć jej stan. I tak się stało. Po urodzeniu Gemmy-Kate czuła się coraz gorzej, z czasem poruszała się już tylko na wózku inwalidzkim, a jeszcze później, przez siedemnaście lat aż do śmierci, była unieruchomiona w łóżku.

Obietnica, którą złożyłam, dotyczyła tego dziecka. Marylin zadzwoniła do mnie na początku roku i spytała, czy Gemma-Kate mogłaby pomieszkać z Carlem i ze mną przez kilka miesięcy, w razie gdyby jej coś się stało. Chodziło o to, żeby Gemma-Kate nabyła praw do stanowego stypendium na Uniwersytecie Arizona.

– A tak w ogóle, co u niej? – spytałam, nie wspominając słowem o tym, co o Gemmie-Kate opowiadała mi matka. Nie było to nic poważnego: drobne kradzieże w sklepach, randki na plaży, gdy miała czternaście lat.

– Wszystko dobrze. Te wcześniejsze wybryki to zwykły młodzieńczy bunt – wyjaśniła Marylin, doskonale wiedząc, że w rodzinach zawsze się plotkuje.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie mam doświadczenia z dziećmi.

– Przekonasz się, że jest całkiem dojrzała. Polubisz ją.

Zgodziłam się. No i nie minęły trzy miesiące i Marylin odeszła. Teraz musiałam się wywiązać z obietnicy.

Todd nie płakał na pogrzebie, za to bardzo się pocił, jakby łyż, którym nie dawał zwykłego ujścia, musiały się wy dostać na zewnątrz w jakiś inny sposób. Przez całą ceremonię przy krótkim rękawami marynarki ocierał policzek przeciwny do ramienia, które podnosił. Mógł to być skutek wilgotnego powietrza Florydy w połączeniu z jego nadwagą. Todd powtarzał, że musi zrzucić z siedem kilogramów, choć w rzeczywistości powinien zrzucić czternaście. I powinien przestać pić. I palić.

Na pogrzebie było tłoczno, przybyli głównie członkowie rodziny Marylin oraz spora grupa funkcjonariuszy z wydziału policji w Fort Lauderdale, gdzie Todd pracował jako oficer śledczy. Widać było, że chłopaki czują się nieswojo, nie tyle w obliczu śmierci, co z tej przyczyny, że musieli włożyć garnitury. Mieli tak zaciśnięte szczęki, że gdyby ktoś ich wystraszył, na pewno

skończyłoby się pokruszeniem kilku zębów.

Todd wciąż wycierał kark z potu, kiedy po pogrzebie usiedliśmy w salonie, który Marylin urządziła przed trzy dziesiątą laty i gdzie przez cały czas pojawiały się nowe obrazy i bibeloty, choć starych nie usuwano.

W powietrzu unosiła się woń stygnącej lasagnii i siekanej wątróbki drobiowej. Rodzina Marylin już uciekla, pozostawiając mnie i Carla uwięzionych z resztą Quinnów. Ja z mężem mieliśmy nocować u Todda. Zaczęliśmy od mocnych drinków z lodem, bo tak było najłatwiej. Dzięki ich stymulującemu działaniu, jak na porządną irlandzką stypę przyszło, opowiedzieliśmy kilka śmiesznych anegdot o Marylin. Jednak gdy alkohol przestał działać, wesoły nastrój zaczął ustępować miejsca smutkowi.

Nie byliśmy zymi ludźmi, przynajmniej wtedy tak myślałam. Może chodziło o to, że wszyscy pracowaliśmy w organach ścigania; byliśmy trochę jak puste szklanki z popękaniem tak delikatnymi, że prawie niewidocznymi. A w tym momencie na dodatek byliśmy trochę zbyt blisko jedno drugiego. Wszystko się mogło wydarzyć, jednak ze względu na Marylin, jeśli nie na nas samych, tylko tego jednego dnia wszyscy staraliśmy się zachowywać bardzo przyzwoicie i nie dogryzać sobie.

– Przyszło nawet sporo ludzi – powiedziała, sądząc, że właśnie coś takiego chciałoby się w takich okolicznościach usłyszeć. Żałowałam, że nie istnieją przygotowane na taką sytuację listy dialogowe, żeby m nie musiała wymyślać kolejnych tematów. Mężczyźni w mojej rodzinie nigdy nie garnęli się do rozmów, które nie były prowadzone podniesionymi głosami. Wyobraźcie sobie kogoś wyszczekującego pożegnanie na dobranoc, a będziecie mieli właściwy ogład.

– Dopisali tylko kumple z policji – zauważył Todd, siląc się na spokojny ton, choć koniec zdania wyszedł mu ociupinę za ostro. – Znajomych Marylin było niewielu. Ludzie przestają odwiedzać kogoś, kto długo choruje. – Todd nie dostrzegł tych, którzy przyszli, tylko tych, których nie było. Zawsze miał zwyczaj zauważać negatywy tam, gdzie ktoś inny widziałby okazję do zadowolenia.

Chciałam już uczynnie wytknąć mu tę ułomność, ale zamiast tego udało mi się zapytać:

– Ariel wie? – Ariel to siostra, z którą się przyjaźniłam, zanim nie wybrała kariery w CIA. Wtedy w pewnym sensie straciłyśmy kontakt. Obecnie nie potrafiłabym nawet powiedzieć, jak wygląda, nie wspominając już, gdzie może przebywać.

– Zostawiłem jej wiadomość na automatycznej sekretarce – wyjaśnił Todd. – Ale może nie ma jej w kraju. – Gwałtownie zgasił papierosa w popielniczce na stoliku koło fotela, rozsypując dookoła popiół.

Nikt nie odpowiedział. Niektórzy z nas pobrzękiwali roztopiającym się lodem w szklanceczkach; sączyliśmy alkohol, żeby wypełnić czymś ciszę. Szukając czegoś w myślach, przekręciłam głowę w prawo i mój wzrok padł na książki na półce pod stolikiem. Zawsze oglądałam książki u ludzi. Mogą nam one powiedzieć o wiele więcej, niż ich właściciele byliby skłonni wyjawić. Ale te stojące na półce: stary mszał św. Jakuba, dwie książki kucharskie i poradnik zatytułowany *Jak wychować zdrowe emocjonalnie dziecko, gdy rodzic jest chory*, nie powiedziały mi niczego, czego bym już nie wiedziała.

Podźwignęłam się z fotela tak niskiego, że siadając, traciło się równowagę i leciało w dół, a chcąc wstać, musiało się podeprzeć rękami. Za zapachem wątróbki drobiowej i lasagnii wymaszerowałam do jadalni. Stół w stylu czasów pionierskich był zastawiony pojemnikami z przekąskami przyniesionymi przez żony policjantów. Rozsmarowałam kulkę wysychającego sera

z orzechową powłoką na małym kawałku pumpernika i zjadłam. Każdy z nas ma własny sposób oplakiwania zmarłych.

Gemma-Kate popijała tonik, w którym mogła, choć nie musiała, być wódka. Nie zauważyłam, żeby ją sobie nalewała, poza tym nie wyglądała na podchmieloną. Dołączyła do mnie przy stole w jadalni i zaczęła gmerać w pokrojonych na plastry wędlinach. Rozwinęła krążek pieczonej wołowiny, położyła na nim plasterek żółtego sera, na środek dorzuciła trzy zielone oliwki i wszystko z powrotem zawinęła. Metodycznie. Ale nie zjadła przygotowanej przekąski. Zamiast tego zaczęła skubać sałatę ułożoną dla dekoracji na półmisku. Z precyzją anestezjologa znowu upiłam lyk drinka, tylko tyle, by utrzymać cierpienie na odległość, nie pogrążając się zarazem w alkoholowym przygnębieniu.

– Sami starsi ludzie – rzuciłam do Gemmy-Kate, przyglądając się, jak powoli przeżuwa przekąskę, którą dla siebie skonstruowała. – A twoi przyjaciele nie przyszli, Gemmo-Kate?

Mój ojciec, Fergus, usłyszał mnie przez długość pokoju. Ma niezły słuch, jak na takiego starca; może w wyniku wieloletniej pracy jako dzielnicowy – zawsze musiał być czujny, uważać, czy ktoś się za nim nie czai.

– Nie jesteśmy z tych, co mają przyjaciół, prawda, Cupkate? – Nie chciał krytykować rodziny w całości ani samej Gemmy-Kate. Mówił takim tonem, jakby był z tego dumny, stary łajdak. Ale ojciec faktycznie z nikim się nie przyjaźnił. Był jednym z tych, których głównym tematem rozmów są opowieści, jak komuś nawtykali. Jako dzieci braliśmy go na serio i kiedy narozrabialiśmy, baliśmy się jego gniewu. Patrząc na niego teraz, przygarbionego, marszczącego brwi, zastanawiałam się, czy kiedykolwiek bał się go kłokolwiek poza mną. Obecnie budził we mnie tyle samo strachu, co Baba-Jaga z kreskówek. Ale dla świętego spokoju udawałam, że nadal ma nade mną władzę.

Gemma-Kate zignorowała go. Odgry zła kęs rulonika i przelknęła.

– Wyobrażałam sobie, że jesteś wyższa – powiedziała do mnie.

– Bo byłam – odparłam. Ponieważ wydawało się, że nie złapała żartu, dodałam: – Poza tym, kiedy cię ostatnio widziałam, byłaś mniejsza. – Ja też zmierzyłam ją wzrokiem, myśląc, że przezwisko „Cupkate”^[1] jest jak najbardziej trafne. Była drobna, jak wszyscy Quinnowie.

Gemma-Kate dokończyła przekąskę z plastra wołowiny z oliwkami i wytarła palce w czarną papierową serwetkę leżącą na stercie innych. Sięgnęłam po następną kromkę pumpernika; tym razem posmarowałam ją czymś, co mama nazwałaby wątrobianym bigosem, po czym skierowała uwagę na salon. Nie sądziłam, że Todd jest zdenerwowany, ale takie sprawiał wrażenie, gdy poczę się, zaczął opowiadać o ostatnich dniach żony.

– Marylin się na koniec pogorszyło. Przed jakimś rokiem lub coś koło tego, prawda, mam o?

– Gemma-Kate świetnie się nią opiekowała – odparła matka. – Jest dobrą pielęgniarką, zwłaszcza dla obłożnie chorych. Marylin nie miała ani jednej odleżyny.

Todd pokiwał głową.

– Kiedy wracałem z pracy, GK siedziała z Marylin i czytała jej. Ale jej stan coraz szybciej się pogarszał i zaczęliśmy myśleć o hospicjum.

Gdy Todd mówił, Gemma-Kate wpatrywała się ponad naszymi głowami w żaluzjowe okna salonu, jakby po drugiej stronie szyb widziała coś, czego nikt z nas nie mógł zobaczyć. Nie miałam co do tego pewności, ale wyglądało, jakby już tyle razy słyszała opowieść o

dramatycznym zejściu matki, że przestała ona na niej robić jakiegokolwiek wrażenie. Pomyślałam, że się kontroluje.

– A potem umarła – kończył Todd. – Tak długo chorowała... latami, a potem w ostatnich dniach tak szybko się zawięła. – Głośno przełknął ślinę.

Zapadła nagle cisza. Żeby wypełnić próżnię, Carlo wypalił pobożny frazes:

– To tragiczne dla tych, którzy muszą żyć dalej, ale umierający w procesie odchodzenia z tego świata dotykają prawdziwej tajemnicy. Zaczynają rozumieć śmierć. My zaś z naszej strony musimy pozwolić im odejść.

Gemma-Kate powróciła spojrzeniem do pokoju i popatrzyła na Carla.

– Ciocia Brigid mówiła, że byłeś katolickim księdzem.

– To prawda – przyznał. – Albo przy najmniej po części. Posługę kapłańską porzuciłem prawie trzydzieści lat temu. Niemniej, technicznie rzecz biorąc, ktoś raz wyświęcony na księdza pozostaje nim do końca życia.

– Ale ożenić się możesz?

– Właściwie nie.

– Przecież się ożeniłeś.

– Tak, ożeniłem.

Todd mógł się obawiać, że Gemma-Kate zapyta następnie, czy to znaczy, że Carlo i ja żyjemy w grzechu. Pewnie sam tak uważał. Bóg jeden wie, co by pomyślał, gdyby wiedział, że mamy tylko ślub cywilny. Spocony bardziej niż przed minutą, zagłuszył słowa Gemmy-Kate własną wypowiedzią, przeskakując do tematu, który wyraźnie nie dawał mu spokoju:

– Gemma-Kate nie chciała zostawiać matki, dopóki chorowała. Ale Marylin miała nadzieję, że Gemma-Kate będzie mogła u was pomieszkać kilka miesięcy, zanim rozpocznie studia na Uniwersytecie Arizońskim na biochemii.

Przyznam się, że nie byłam tym zachwycona. Jako najstarsze dziecko, dorastające w alkoholowej policyjnej rodzinie, po latach pracy w FBI jako tajna agentka, nadal byłam skłonna oddać życie za dzieci, ale już dawno temu przekonałam się, że niewiele mnie z nimi łączyło, zwłaszcza że sama nigdy dzieckiem nie byłam. Poza tym wreszcie zaczynałam się cieszyć światem, któremu do tej pory służyłam i którego strzegłam. Po krótkim okresie przystosowawczym w końcu zaczęło mi się układać w małżeństwie i bałam się wszystkiego, co mogłoby zakłócić ten stan równowagi. Kiedy składałam obietnicę Marylin, nie przypuszczałam, że będę musiała ją wypełnić tak szybko. Zawahałam się.

Za to Carlo nie wahał się nawet przez chwilę.

– Ależ oczywiście – rzucił, uśmiechając się do mnie; pewnie uważał, że będę zadowolona, że chce wesprzeć moją rodzinę. – Nie widzę żadnego problemu. Przecież mamy wolny pokój.

Todd ciągnął dalej, jakby się nie spodziewał, że pójdzie mu tak łatwo, jakby czuł przymus powiedzenia wszystkiego, co sobie przygotował:

– Życie nie rozpieszczęło GK – rzekł, gestykulując ręką w stronę dziewczyny, która znowu gapiła się w okno, gdy inni decydowali o jej przyszłości. – Prawie nie miała matki i – pochylił głowę na znak skruchy – ojca też prawie nie. Wiecie, jak to jest w tym zawodzie.

– Dzięki temu zyska meldunek w Arizonie i nie będzie musiała płacić za studia, bo jest z innego

stanu.

– Todd, już... – zaczęłam.

– To był pomysł Gemmy-Kate. Jej i Marylin – wyjaśniał. – Rozmawiały o tym przed jej...
Że byłoby dobrze studiować w innym stanie, w nowym miejscu.

W tym momencie przestałam go słuchać; byłam zdumiona, że tak długo udało mu się wytrzymać i jeszcze się nie drze. Ale mama w końcu ukróciła jego męki.

– Przecież powiedzieli, że się zgadzają – rzuciła poirytowany tonem i bez żadnego problemu podniosła się z kanapy. Mama ma mocniejszą głowę od nas wszystkich. – Brigid, chodź, pomożesz mi schować jedzenie.

Zrobiłam, jak mi kazała. Nieważne, ile odznaczeń i nagród otrzymałam, nieważne, że tak często bywałam w sytuacjach zagrażających życiu, że w końcu zupełnie przestałam się o nie bać, nieważne, że zatrzymywałam najgorszych przestępców w historii FBI, bez względu na to, ile miałam lat, tutaj zawsze byłam tylko najstarszą córką. A więc posłusznie przyniosłam z kuchni pokrywkę i pozamykałam nimi stojące na stole plastikowe pojemniki.

Przy okazji ucieliśmy sobie z mamą krótką pogawędkę. Niestety, mama nie otrzymała okólnika, że mamy być wobec siebie delikatne. Albo to, albo tylko tyle czasu była zdolna wytrwać w uprzejmości.

– Co tam słyhać w Arizonie? – spytała.

– Jest dobrze. Naprawdę dobrze, mamó.

– Carlo mówił, że odeszłaś z kościoła.

Pomimo moich starań o zachowanie spokoju, zamiast wyjaśnić, że Kościół episkopalny, do którego uczęszczaliśmy, jest podobny do rzymsko-katolickiego, poczułam, że to ja pierwsza dokonam wyłomu.

– Nie mogłam odejść, bo nigdy w żadnym nie byłam, mamó.

Cóż, osiągnęłam to, co chciałam. Mama drzące usta ułożyła w coś, co, jak mi się zdaje, nazywają dzióbkiem. Natychmiast wyraźniej uwidoczniły się zmarszczeni palca, choć matka już dawno temu porzuciła nałóg.

– Przecież byłaś u pierwszej komunii – wytknęła mi. – Miałas biały wianek i białe pantofelki.

Objęłam ją i uściśnęłam; gest, którego się nauczyłam nie od kogoś z rodziny, tylko od Carla.

– Przepraszam, przepraszam.

Poczułam, że jej miękka starzejąca się skóra nieco się napięła, prawdopodobnie nie w reakcji na mnie, ale na niecodzienny dla niej bliski kontakt z innym ciałem. Ulitowałam się i puściłam ją.

Wiedziała, że mi wybaczyła, bo zmieniła temat.

– Kto pilnuje waszych psów?

– Przyjaciółka.

– To ty masz przyjaciółkę?

Nie odpowiedziałam, a powrót do trybu miłującej pokój Brigid zajął mi tylko chwilę. Zatopiona w rozmyślnościach i błahych rodzinnych rozmowach wytrwałam w nim bezpiecznie aż do końca, gdy dwa dni później Todd odwiózł naszą trójkę na lotnisko.

Dla Gemmy-Kate była to pierwsza w życiu podróż samolotem. Podczas przelotu z Dallas do Tucson pochorowała się. Miał też miejsce atak nastoletniej hysterii, gdy dziewczyna poderwała się ze swojego miejsca przy oknie i miażdżąc mnie i Carla, wy dostała się do przejścia między rzędami siedzeń i pobiegła na przód. Ale gdy wróciła, przybita i blada, załatwiłam dla niej napój

imbirowy i koc – niemal osiągnięcie w klasie ekonomicznej – i pozwoliłam jej zasnąć z głową na moim ramieniu. Lecieliśmy wtedy nad łańcuchem gór Nowego Meksyku.

Szkoda, Gemma-Kate gór też jeszcze nie widziała.

Zmięklam, jak zawsze gdy mam do czynienia z młodszymi i słabszymi. Chociaż chodziło też o Marylin. Częścią angażowania się w świat zewnętrzny jest pomaganie rodzinie, dotrzymanie złożonych obietnic. Zresztą Gemma-Kate prawdopodobnie potrzebowała tej odmiany. Przez tak wiele lat była praktycznie jedyną opiekunką matki. Dla dziecka nie są to najlepsze warunki do dorastania. „Jest zdewastowana”, powiedziała o niej matka na pogrzebie; słówko „zdewastowana” przejęła pewnie z relacji o kłeskach żywiołowych pokazywanych w wiadomościach. Ale mój brat, Todd, był innego zdania. „To twarda dziewczyna – stwierdził. – Twardy dzieciak”. Twarda, to chyba największa pochwała, jaką jeden Quinn może obdzielić drugiego.

Uznałam więc, że dam radę. Też jestem twarda. Może trochę drobna i przedwcześnie posiwiła, ale psychicznie i fizycznie jestem tak sprawna, jak tylko można w moim wieku. I jak już wyjaśniałam, potrafię rozbroić dorosłego mężczyznę, zanim zdąży powiedzieć... cokolwiek.

Jakby wam to przedstawić?

Przy kimś takim jak ja, Chuck Norris to cienias. Bycie dobrą ciotką na pewno nie powinno sprawić mi większych trudności.

3

Policjanci powiedzą wam, że absolutnie najgorszym odgłosem w świecie jest odgłos kliknięcia. To dźwięk, jaki wydaje broń, gdy się zablokuje. Ale jeśli chodzi o związki między ludzkie, to się przekonałam, że klik to coś dobrego. Takie mentalne pstryknięcie ma miejsce wtedy, gdy z kimś rozmawiasz i już po wymianie pierwszych kilku zdań wiesz, że będziecie przyjaciółmi lub kochankami.

Tak się właśnie stało ze mną i Carlem DiForenza podczas jego zajęć na uniwersytecie, na które się zapisałam zaraz po przejściu na emeryturę i tuż przed tym, jak on przeszedł na swoją. Zanim wyszłam za mąż za Carla, przed dwoma laty, moje nazwisko brzmiało Quinn. Całe swoje życie poświęciłam Federalnemu Biuru Śledczemu, które wysyłało mnie do pracy na terenie całego kraju, żebym odgrywała role prostytutki, handlarek narkotyków albo przemytniczek ludzi. Zajmowałam się tym o wiele dłużej, niż się to uważa za psychologicznie wskazane. No i jako tajna agentka raczej nie zawierałam z nikim bliższych znajomości. Ludzie, których się w takiej pracy poznaje, nie należą do tych, których chciałoby się mieć w gronie przyjaciół.

Dlatego też, tak jak późno w życiu musiałam się uczyć, jak być żoną, tak samo późno musiałam się nauczyć, jak być przyjaciółką. Mallory Hollinger poznałam u św. Marcina w Fields, kościele episkopalnym usytuowanym w pobliżu Foothills, północno-zachodniej okolicy Tucson, zamieszkiwanej przez bogaczy. Poza tym, bym częściej mówiła prawdę, jedynym dodatkowym warunkiem, jaki postawił mi Carlo, była prośba o uczęszczanie do kościoła, a ponieważ miałam złe doświadczenia z Kościołem katolickim, poszliśmy na kompromis i wybraliśmy episkopalny. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo te Kościoły są sobie bliskie, dopóki nie udaliśmy się na naszą pierwszą niedzielą mszę.

Główna różnica polegała na tym, że tuż przed procesją wzdłuż nawy, głos z tyłu kościoła poprosił o wyłączenie komórek. To był sygnał dla wiernych, żeby wstali do odśpiewania hymnu... w całości.

Następna różnica to to, że wierni nie spieszyli się z wyjściem podczas końcowej pieśni – również odśpiewywanej w całości – żeby zdążyć przed innymi wyjechać samochodem z parkingu. Zamiast tego przechodzili na coś, co się nazywało „poczęstkiem przy kawie”. Lubię wszystko, w czego skład wchodzi kawa, udałam się więc do stolika, na którym stała srebrna urna, żeby otrzymać swoją działkę mojego ukochanego naparu, a kiedy wróciłam do miejsca, gdzie zostawiłam Carla, przekonałam się, że mój mąż rozmawia z jakąś kobietą.

To była postawna pani. Nie otyła, raczej majestatyczna. Moją uwagę od razu przykuł jej wzrost oraz to, jak się śmiała z tego, co mówił Carlo. Kiedy podeszłam bliżej, zauważyłam, że miała cienką bliznę, ledwie zauważalną, na lewym policzku. A jej górna warga była nieco

większa od dolnej. Wysuwała ją w stronę Carla jak koń, który wyczuł kostkę cukru. Z uczuciem nieprzyjemnego dławienia w gardle pomyślałam, że tworzą razem naprawdę ładną parę, jak te na reklamach środków na dysfunkcję erekcji.

Roześmiałam się z własnego żartu i otrząsnęłam z tej myśli.

– Proszę, to twoja kawa, kochanie – zwróciłam się do Carla, podając mu kubek po czym odwróciłam się do nieznamomej. – Witam, mam na imię Brigid – oznajmiłam z uśmiechem, zadowolona, że udało mi się odzyskać poczucie bezpieczeństwa przynajmniej tak, że ta wypowiedź nie zabrzmiała jak pisk zazdrosnej o swojego chłopaka nastolatki. Nieznajoma wyciągnęła do mnie rękę. Jej uścisk był silniejszy, niż można się było spodziewać u tak atrakcyjnej kobiety. Zresztą w przypadku Mallory Hollinger nie chodziło o to, że była zabójczo piękna. Wręcz przeciwnie. Po prostu zachowywała się tak, jakby nikt jej nigdy nie mówił, że nie może mieć każdego mężczyzny w jej otoczeniu.

Przedstawiła się:

– Mallory Hollinger. – I dodała: – Twój mąż i ja właśnie omawialiśmy podobieństwa w Kościołach katolickim i episkopalnym.

– Poza tym, że ludzie są tu lepiej ubrani, nie widzę innych – odrzekłam.

– Bo prawie nie istnieją, kochanie – przyznała Mallory, odwracając się do mnie i dodając ściszym głosem, tak żeby Carlo nie słyszał: – Jesteśmy po prostu katolikami light... więcej pieniędzy, mniej papieża.

I wtedy zostałyśmy przyjaciółkami. Klik. A ponieważ nigdy nie miałam przyjaciela spoza Biura, nie zdawałam sobie sprawy, że to może się stać tak szybko.

Zasadniczo łączyło nas podobne, sarkastyczne poczucie humoru, odraza do dewocji i upodobanie do luksusów, dużych i małych. Mallory była mną po odjęciu okazjonalnych napadów niepokoju.

To ona opiekowała się naszymi dwoma Mopsami, gdy byliśmy na Florydzie, i to ona po naszym powrocie przywitała nas hinduskim jedzeniem, moim ulubionym. Mopsy od razu się nam rzuciły, usiadłam więc na podłodze, żeby je wycalować i wygłaskać, potem uspokajałam jednego z nich, żeby nie dostał z radości ataku niekontrolowanego kichania.

– Już zapomnieliście, kto jest waszą mamusią, wy paskudne psiska? – wyrzucała Mallory Mopsom, zarazem całując Carla w oba policzki. U każdej innej osoby uznałabym ten gest za wyraz pretensjonalności, ale w wydaniu Mallory było to tak naturalne, jakby po to się urodziła, żeby rozdawać pocałunki.

– Co u Owena? – spytałam. Owen był jej mężem, tak samo dla niej ukochanym, jak Carlo dla mnie. Był sparaliżowany po wypadku, który wydarzył się przed pół rokiem, jeszcze zanim oboje poznałam. Ale to już całkiem inna historia, na później.

– Tak sobie. Annette z nim została. – Mallory nie lubiła się nad sobą użalać, powróciła więc do tematu Mopsów. – Były skrajnie nieszczęśliwe, ale żebyście je widzieli, kiedy usłyszały, że podnoszą się drzwi garażu. No, ale mówcie, kim jest to przecudowne dziecko?

Przedstawiłam jej Gemmę-Kate, przyglądając się z zaciekawieniem, czy dziewczyna zareaguje na kokietyjne zachowanie mojej przyjaciółki jak wszyscy inni.

– Witaj, Gemmo-Kate! Mam na imię Mallory! – zawołała Mallory, rozkładając ramiona na całą szerokość. Potem przechwyciła moje spojrzenie. – Przesadzam? – spytała.

Żadne z nas nie miało dużego doświadczenia w obcowaniu z młodymi ludźmi.

– Trochę mniej ciotki Mame^[2] pewnie by nie zaszkodziło – odparłam.

Mallory spuściła nieco z tonu i zapytała:

– Jak ci minął lot?

– To było coś wspaniałego – odparła Gemma-Kate; jej oczy zrobiły się szerokie na wspomnienie podróży.

– Tak się złożyło, że Gemma-Kate pierwszy raz leciała samolotem – wyjaśniłam.

Nawet Mallory zamilkła – zrozumiała reakcja u kogoś, kto latał helikopterem nad Kilauea i to tak nisko, że czuł bijący od wulkanu żar. Ale się otrząsnęła i przybierając ton raczej zazdrości niż wyższości, powiedziała:

– Jakie to wspaniałe móc doświadczać nowych wrażeń.

W tym momencie Gemma-Kate zwróciła uwagę na Mopsy, obwąchujące jej kostki. Przez chwilę tylko się im przyglądała, jakby nie wiedziała, co powinna z nimi zrobić, potem jednak szeroko się uśmiechnęła, opadła koło mnie na podłogę i zaczęła każdego z osobna klepać po głowce. Tak jakoś niezręcznie, automatycznie, pac, pac, pac, no, ale dziewczyna nigdy nie miała domowego zwierzątka.

– Jakie one są słodkie! Jak się wabią? – spytała.

– Nie mają imion – odpowiedziała Mallory, przewracając oczami. – Brigid woła na nie po prostu Mopsy.

Gemma-Kate podniosła wzrok na naszą trójkę i zasznurowała te swoje różane usteczka. To wtedy zwróciłam uwagę na to, jakie wszystko w niej było okrągłe; duże oczy, nos, nawet małżowiny uszne miała jak małe poduszcзки.

– Może ty im nadasz imiona – powiedziałam, żeby pokazać, że Mallory się z niej nie nabija.

Gemma-Kate się uśmiechnęła.

Mopsom chyba nie przypadło do gustu klepanie po głowie w jej wydaniu, a może uznały je za nieszczerę. Porzuciły dziewczynę, podchodząc do drzwi, prowadzących na podwórko z tyłu domu, i siedziały tam, aż Carlo je wypuścił.

– Czas na relaks – zarządziła Mallory, gdy Carlo wyniósł naszą walizkę do naszego pokoju, a Gemma-Kate do pokoju gościnnego. – Wino oddychało o wiele dłużej niż na to zasługuje. Gemma-Kate, wolno ci pić wino?

Gemma-Kate podniosła się z podłogi i przeszła do kuchennego aneksu. Spojrzała na mnie, żeby sprawdzić, czy zaoponuję, a kiedy tego nie uczyniłam, z wdzięcznym uśmiechem zawstydzienia skinęła głową. Mallory otworzyła la drzwiczki szafki, w której stały kieliszki, ja sięgnęłam po wino.

– Brunello di Montalcino – przeczytałam. – To nie nasze. – Pokazałam na mały stojak nad lodówką. – Widziałaś, że mamy tam wino, które można otworzyć?

Mallory naciągnęła wargi na zęby, jakbym jej zaproponowała wypicie oleju do smażenia, i odebrała ode mnie butelkę.

– Tak widziałam.

– Idź do diabła, Hollinger. Znam się na dobrym winie, po prostu mnie na nie nie stać.

Mallory rozlała wino do kieliszków i podała mnie i Gemmie-Kate. Gemma-Kate ze swoim przeszła do salonu, gdzie był Carlo, ja powąchałam swoje i upiłam łyk.

– O mój Boże – westchnęłam. – Czegoś tak dobrego nie miałam w ustach od... – Zamilkłam, uświadamiając sobie, że nie mogę opowiedzieć Mallory o człowieku, który w Las Vegas

zajmował się handlem ludźmi.

– Nigdy? – zakpiła.

– Nigdy – zgodziłam się. – Dzięki za opiekę nad psami i że do nas zaglądałaś.

– Podoba mi się u was. Masz dobry gust – stwierdziła z uśmiechem. Mój gust był jej gustem; Mallory pomagała mi, gdy przechodziłam krótką fazę odnawiania domu.

Przeszliśmy z kieliszkami do salonu, gdzie Carlo pokazywał Gemmie-Kate pasmo górskie rozciągające się po wschodniej stronie naszej działki. Carlo używał takich słów, jak „metamorfozy”, a Gemma-Kate uprzejmie udawała, że jest pod wrażeniem.

Usiadłam obok męża na sofie o antycznych wygiętych kształtach, którą Mallory poradziła mi zatrzymać. Po jej uprzejmych pytaniach o przebieg pogrzebu i stan ducha tych, co pozostali wśród żywych, przeszliśmy do innych tematów. Mallory zabawiła nas opowieściami o nocowaniu Mopsów w jej domu. Jak się zwinęły obok Owena na jego łóżku, a jemu chyba to się podobało.

Mopsy wróciły do domu i wtuliły się we mnie. Jeden przykleił się do mojego uda, drugi, dysząc mi w twarz gorącym, niezbyt przyjemnie pachnącym oddechem, ułożył mi się przy szyi, połową ciała wsparty o oparcie kanapy. Widok psów przypomniał mi o zaproszeniu, jakie Mallory złożyła nam co najmniej miesiąc przed pogrzebem.

– Wciąż jesteście zaproszeni na tę kwestę? – spytałam.

– Na jaką?

– Tylko ty możesz nie wiedzieć, o którą kwestę chodzi. Mówiłaś, że wykupiłaś stolik na tę imprezę Stowarzyszenia Pomocy Zwierzętom.

– Wiecie co, chyba was tam nie zabiorę. Zapowiada się, że będzie okropnie.

– Ty, królowa gościnności, urządzisz okropną imprezę? Jak to możliwe?

– Nie chciałam o tym wspominać, bo zmarła twoja szwagierka i w ogóle. Pamiętasz tych ludzi, o których ci jakiś czas temu opowiadałam, tych, których syn się utopił i opuścili nasz Kościół, bo byli wściekli na wszystkich? Tuż zanim do nas wstąpiłiscie?

– Coś tam pamiętam. Ta kobieta, co tak strasznie szalała.

– Właśnie ta. Oskarżała wszystkich. Kościół, dzieciaki z koła młodzieżowego, żonę proboszcza. Rzecz w tym, że jej mąż prowadzi Owena i jest naprawdę dobrym lekarzem. Wymyśliłam, że może trochę załagodzić sytuację. Minęło już sporo czasu, kwesta odbędzie się na neutralnym terenie, a ona pewnie trochę ochłonęła i już tak nie szaleje. Przyjęła zaproszenie. Ale, jak powiedziałam, może być niezręcznie.

– Daj spokój. Nie odbieraj mi szansy na zobaczenie, jak brylujesz w towarzystwie. To będzie mój pierwszy raz.

Mallory ustąpiła.

– Gemma-Kate też będzie mile widziana – oznajmiła. – Znajdziemy dla niej miejsce przy naszym stoliku.

– To bardzo miłe z twojej strony – podziękowałam i obejrzałam się na Gemmę-Kate, żeby sprawdzić, czy przyjmuje zaproszenie.

Dziewczyna podniosła się z kanapy, na której siedziała obok Carla, i przeszła do aneksu kuchennego, żeby sobie dolać wina, co zanotowałam z niejakim zainteresowaniem. Po wychyleniu kilku łyków krążyła po pokoju, niczym ryba, która się boi, że umrze, jeśli przestanie pływać. Gdy ją zapytałam, czy ma ochotę pójść na kwestę, wreszcie się zatrzymała, plecami do

nas, przed jednym z okien, wychodzących na stojący na podwórzu naturalnej wielkości posąg św. Franciszka. Czy rzeczywiście wyglądała przez okno, czy raczej przyglądała się swojemu odbiciu? Ja też je widziałam i zauważyłam, że w tej chwili się nie uśmiechała. Wtedy przyszło mi na myśl, że chyba niedobrze zrobiliśmy – ze względu na nią, nie na nas – że tak szybko po śmierci matki zabraliśmy ją od ojca i dziadków.

Carlo i Mallory teraz również się jej przyglądali.

– Gemmo-Kate? – powtórzyłam, żeby zwrócić jej uwagę.

– Będzie dobrze – mruknęła. – Podoba mi się tu. – Odwróciła się do nas, a raczej do Carla.

Znów się uśmiechała. – Tak się zastanawiałam... Powinam się do ciebie zwracać wujku Carlo, ojczu Carlo czy po prostu Carlo?

Poczułam, że cała nasza trójka znowu zaczęła oddychać. Wszyscy byliśmy nieco spięci, usiłowaliśmy obserwować Gemmę-Kate, nie dając po sobie poznać, że to robimy. Ale też chyba wszyscy się o nią martwiliśmy.

Carlo z uśmiechem odpowiedział:

– Już od bardzo, bardzo dawna nikt się do mnie nie zwracał: ojczu Carlo, Gemmo-Kate. Proponuję, żebyśmy, zamiast ustalać coś teraz, zaczęli z decyzją i zobaczyli, jak się sytuacja rozwine.

– W porządku – zgodziła się.

W tym momencie Mops, który leżał mi na szyi, zapragnął wetknąć mi język do nosa, więc zepchnęłam go z siebie.

– Mopsy uwielbiają Brigid – rzekł Carlo, z powrotem skupiając się na mojej osobie. Położył mi dłoń na ręce i już ją tam pozostawił.

Jestem przekonana, że tylko ja zauważyłam, iż Gemma-Kate spojrzała na dłoń Carla na mojej i nieco zeszywniała.

– Tata twierdzi, że zwierzęta nie mają uczuć – oznajmiła. – Mówił, że gdyby ciotka Brigid zmarła, a one byłyby zamknięte z nią w domu bez żadnego jedzenia, po kilku dniach zaczęłyby ją zjadać. Najpierw to, co nie byłoby zakryte ubraniami, jak ręce albo twarz.

Ktoś postronny mógłby uznać, że taka uwaga jest nie na miejscu, ale dla mnie była to po prostu zwyczajna rozmowa prowadzona przez Quinnow przy obiedzie z odgrzewanych gotowych dań, gdy ojciec zabawia się w grę pod tytułem „Zamknąć dzieciakom jadaczki”. Jednak Carlo i Mallory byli wstrząśnięci; cywilów nie wolno bez zapowiedzi częstować czymś takim. Zrobiło mi się żal Gemmy-Kate, bo sama raz czy dwa doprowadziłam do sytuacji, gdy ludzie milki ze zgorzzenia.

– Kto ma ochotę na tikię z kurczaka? – spytałam, żeby przerwać ciszę.

4

Na szczęście tilda była dobra i wszyscy w miarę szybko pokonali uczucie odrazy wywołane drażliwym komentarzem o psim padlinożerstwie. Wyczyściliśmy danie do końca, łącznie z sosem, który zebraliśmy z talerzy chlebkiem naan. Rozglądając się po biesiadnikach, nie mogłam się nadziwić, że choć to nie ja przyrządziłam jedzenie, nawet nie nakrywałam do stołu, moje dotychczasowe wysiłki sprawiły, że w rodzinie, którą stworzyłam, panowała atmosfera jakiegoś takiego zgrania. Tylko pomyślcie, po długich latach życia w samotności, nie licząc towarzystwa przestępców, miałam męża i przyjaciółkę, z którymi mogłam sobie swobodnie pogawędzić przy posiłku. To jest właśnie normalne życie, pomyślałam, takie, jakiego przez lata broniłam dla innych. I nawet nie musiałam się martwić, że zaraz wybuchnie sprzeczka, jak to bywało w moim domu rodzinnym. Zachwyciałam się, że może być tak przyjemnie, kiedy wszyscy przy stole są zadowoleni. Pamiętam to bardzo wyraźnie, bo to był nasz ostatni wspólnie spędzony czas. To znaczy, kiedy byliśmy zadowoleni i szczęśliwi.

Po kolacji Mallory, zwracając się do Gemmy-Kate, powiedziała:

– Wiesz, co mogłoby być zabawniejsze od przebywania w gronie starych przyków? Przyjdź do kościoła. Jest tam fajny chłopak w twoim wieku.

– Nie chciałabym sprawiać kłopotu – odparła Gemma-Kate.

Jej odpowiedzi były tak uprzejme i gładkie, jakby je wcześniej ułożyła i przećwiczyła. I nie brzmiały jak jej własne. „Nie chcę sprawiać kłopotu”, to był głos Todda. Pewnie przykazał córce, żeby się tak do nas zwracała. Byłam ciekawa, co usłyszymy, gdy w końcu Gemma-Kate zacznie mówić we własnym imieniu.

– To świetny pomysł – pochwaliłam. – Kongregacja nie jest liczna, ale kilkoro dzieciaków widziałam. Co oczywiście nie znaczy, że musisz wstąpić do grupy młodzieżowej czy coś w tym stylu.

– Chyba że będzie chciała – zauważyła Mallory. Zanim się obejrzelśmy, umawiała się z Gemmą-Kate, że po nią przyjedzie i zawiezie ją na organizowaną w kościele imprezę: oglądanie nocnego nieba przez teleskop.

Z miną „no to zrobiłam tu już, co miałam do zrobienia”, Mallory uściskała mnie i odjechała jednym z nielicznych jaguarów, jakie widziałam w Tucson. Carlo został w domu, żeby pozmywać talerze i wyrzucić pojemniki, w których dostawca przywiózł jedzenie, zaś Gemma-Kate zgodziła się, że pomoże mi wyprowadzić Mopsy na wieczorny spacer. Włożyłyśmy swetry; w marcu po zachodzie słońca w ciepłym swetrze jest przyjemnie.

Zimą dużo padało i kiedy wysłyszmy na dwór, odgłos rechotania żab, stęsknionych za spółkowaniem po długim okresie hibernacji, sprawia, że okolica przypominała bar dla żabich

singli.

Gemma-Kate nie oponowała, kiedy zaproponowałam, żeby założyła na głowę ledową lampkę na gumce. Dzięki jej światłu miałyśmy pewność, że kiedy usłyszymy jakiś szelest lub grzechotanie, będziemy mogły zobaczyć, skąd dociera. I zobaczyć, gdzie się załatwiły Mopsy, żebyśmy mogły po nich pozbierać.

Po ostrzeżeniu: „Trzymaj go na krótkiej smyczy, GK”, ruszyłyśmy, każda prowadząc po jednym psie; Mops samiec zatrzymywał się co krok, żeby zaznaczyć słupki, rośliny i ulubione miejsca na piasku.

Na pogrzebie i po nim Gemma-Kate była przygnębiona, wręcz zamknięta w sobie, jednak teraz szła, praktycznie podskakując. Byłam przekonana, że cierpi po śmierci matki, ale rozumiałam, że może też być podekscytowana tym, że uwolniła się od choroby i reszty naszej rodziny. Możliwe też, że podziało na nią wino oraz przebywanie w orbicie Mallory.

Chętnie odpowiadała na moje pytania. Tak bardzo się cieszy, że może poznać nowe otoczenie. Tak to świetnie, że będzie studiowała. Tak bardzo by chciała zobaczyć Wielki Kanion.

Wiedząc, że się interesuje biologią, zwróciłam jej uwagę na świecące punkciki na chodniku, które wyglądały jak drobinki brokatu, dopóki nie zaczynały się poruszać. Odkryłam, że to pająki, a blask ledowych lampek odbijał się od ich oczu. Gemma-Kate liczyła je na głos.

Uznyslowiłam sobie, że po raz pierwszy jesteśmy ze sobą same. W spokoju wieczoru, w jego ciemności była to dobra okazja, by ją wyczuć, trochę lepiej poznać tę prawie mi obcą dziewczynę.

Ale Quinnowie nie są znani z subtelności.

– Więc powiedz mi, Gemmo-Kate, jak się czujesz? – zaczęłam.

– Jak długo znacie się z Mallory? – zapytała niemal w tym samym momencie.

– Jakies pół roku.

– Daliście jej klucz do domu?

– Nie, podałam jej kod do automatycznej bramy w garażu i zostawiłam drzwi do garażu otwarte.

– Zamierzasz zmienić kod?

– Nie, Gemmo-Kate, Mallory to przyjaciółka.

– Nie wpuściłabym do domu podczas mojej nieobecności kogoś, kogo nie znam.

Oderwałam plastikową torebkę z rolki przytroczonej do smyczy i przystanęłam, żeby zebrać kupę, którą Mops Gemmy-Kate zostawił na mokrym żwirze.

– Zdawało mi się, że polubiłaś Mallory – zauważyłam.

– A ty ją lubisz?

– To moja pierwsza w życiu przyjaciółka, po cioci Ariel i twojej mamie.

– Ja po prostu, no wiesz, miałam na względzie kwestię bezpieczeństwa.

– Powiedziane, jak na prawdziwą córkę gliniarza przystało – zażartowałam, wycierając Mopsowi zadek, żeby nie zostawił śladów na moim nowym beżowym dywanie.

Poszłyśmy dalej, dochodząc do ślepej uliczki, i tam zawróciłyśmy. W drodze powrotnej jeszcze raz się zatrzymałyśmy, żeby zebrać kolejną kupę spod kaktusa, który mi przypomniał słodkie kropkowane sukienki, jakie matka szła dla mnie i dla siostry. Dzieciństwo jednak nie było tak do końca złe. Zresztą rzadko takie jest.

– Opowiesz, co czujesz? – spróbowałam znowu, starając się o ciepły ciotczy ny ton.

Zapadła długa cisza.

– Jakoś się trzeba przystosować – odpowiedziała w końcu i zatrzymała się, żeby się przyjrzeć kolejnemu świecącemu pająkowi.

Znowu pojawił się głos jej ojca, pouczający, jak się ma zachowywać i co mówić do ciotki Brigid. Pragnęłam ponad ojcem dotrzeć do niej samej.

– Smutek w żalobie to normalna reakcja. Twoja mama była wspaniałą osobą, miała w sobie coś ze świętej – powiedziałam, czując, że zbiera mi się na łzy, których jak dotąd jeszcze nie zdążyłam wylać. – Bardzo ją kochałam.

Znowu zapadła cisza, tak długa, że Gemma-Kate miała szansę przywołać i odrzucić przynajmniej pół tuzina odpowiedzi. Kiedy już uznałam, że się na żadną nie doczekam, powiedziała:

– Ona ciągle to tobie mówiła, o twoich przygodach. Czasami udawałam, że jesteś moją matką.

Od tego wcale nie poczułam się lepiej.

– Nie zawsze byłam taka jak teraz. Byłam dobrą tajną agentką, dobrym śledczym, ale to wszystko, co potrafiłam. Byłabym raczej matką pijaczką niż taką, z którą można się dobrze bawić.

– Mama też się ze mną nie bawiła. Była chora i to wszystko. – Gemma-Kate uczyniła tę uwagę w taki sposób, że zabrzmiało to, jakby miała do matki żal.

– To nie była jej wina. Chora czy nie, nie mogłaś mieć lepiej.

Było ciemno, ale widziałam, że Gemma-Kate odwróciła do mnie głowę, bo lampka na jej czole zaświeciła mi w twarz. Osłepiona światłem nie mogłam dostrzec jej oczu.

– Mój Mops się załatwia. Mam to zebrać? – spytała.

– Nie. Ja to zrobię. – Wyciągnęłam plastikową torebkę, nałożyłam na dłoń i podniosłam kupę.

Kiedy się znowu wyprostowałam i przewiązałam torebkę, Gemma-Kate uchwycem smyczy pokazała na coś na drodze.

– Popatrz tam. To tarantula?

Dostrzegłam to, o czym mówiła: okrągła grudka brokatu wielkości ćwierćdolarówki, poruszająca się wolno przed nami po gładkim piasku.

– Nie, już takie wcześniej widziałam. To wałęsak, wilczy pająk. Niesie na grzbiecie małe.

– Myślałam, że pająki składają jaja.

– Ale nie ten. A może ten też, ale małe, gdy się wyklują, wspinają się matce na grzbiet. To, co tak blyszczy, to ich oczy.

– Dlaczego ona je nosi?

– Instynkt, kontynuacja gatunku, coś tam. – Byłam już przyzwyczajona, że nocą widzę polyskiwanie pająków, i choć się ich brzydziłam, lubiłam to, że mnie ostrzegają o swojej obecności. Ale gdy Gemma-Kate podała mi smycz, pochyliła się i pozwoliła, by pająk wspiął się jej na rękę, żołądek podszedł mi do gardła. Gemma-Kate przyjrzała się uważnie pająkowi w świetle lampki na głowie i pozwoliła mu przejść na drugą rękę. Matka pająk ugiwała się pod ciężarem tuzina perfekcyjnie uformowanych małeństw. Obserwowałam ją, gdy tak studiowała pająka – jej nieruchome skupienie zakłócało jedynie tętnienie szybkiego pulsu pod zuchwą – i pomyślałam, że dziewczynie się podoba, że na nią patrzę. Oto Gemma-Kate robi coś, co fascynuje, a może nawet przeraża twardą ciotkę Brigid.

Potem odłożyła pająka.

Znowu pomyślałam o Marylin i jak to się zdarza osobom, które widziały zbyt wiele umierania,

coś we mnie zapragnęło, by ta groteskowa pajęczna mama zachowała życie. Obie z Gemmą-Kate jeszcze przez chwilę się jej przyglądałyśmy. Potem Gemma-Kate podniosła nogę. Podniosła ją, czy może nie pamiętam tego dokładnie po tym wszystkim, co się wydarzyło? Zatrzymała się i zerknęła w moją stronę, żeby sprawdzić, czy ją obserwuję, i dopiero wtedy postawiła stopę na ziemi, daleko od pająka. Czy się zastanawiała, jakby to wyglądało, gdyby te wszystkie isierki rozprysły się na chodniku niczym mikroskopijne fajerwerki?

Nie. To ja o tym myślałam.

Ktoś powiedział, że w rzeczywistości nie pamiętamy minionych wydarzeń, że raczej je wymyślamy. Dlatego czasem człowiek nie ma pewności, czy zapamiętał prawdę, czy kłamstwo.

Następnego dnia wieczorem zgodnie z obietnicą Mallory podwiozła Gemmę-Kate do kościoła i potem ją stamtąd przywiozła, znowu z tym nastawieniem „zrobiłam, co miałam zrobić, i znikam”. Spytałam Gemmę-Kate, jak jej się podobało.

– To grupa kościelna i była nas tylko piątka – odpowiedziała, podgrzewając sobie herbatę w kubku w mikrofali. – Graliśmy w ping-ponga. Myślałam, że umrę z nudów. – Ale potem z niejakim oporem przyznała: – Był tam taki chłopak, który jest w moim wieku. Nawet fajnie, że go poznałam, bo jego ojciec też jest policjantem.

– Jak ten chłopak się nazywa?

– Peter jakiś tam. Znasz go?

– Nie znam zbyt wielu osób z kościoła.

– Mogłabym się z nim zakumplować.

– Chciałabyś z nim chodzić, to masz na myśli? – Nie bardzo rozumiałam ten ich młodzieżowy żargon.

– Chyba żartujesz, prawda?

– Tak, żartuję.

I rzeczywiście kilka dni później około osiemnastej usłyszeliśmy dzwonek do drzwi. Kiedy je otworzyłam, po drugiej stronie drzwi z siatki ujrzałam jakiegoś chłopaka. Podrapał się po nodze i uśmiechnął, a ja się przyszykowałam, że zaraz usłyszę, że sprzedaje świece na rzecz kościelnego koła młodzieżowego. Zerknęłam w dół, żeby się upewnić, że drzwi z siatki są zamknięte.

– W czym mogę pomóc? – spytałam.

Za moimi plecami stanęła Gemma-Kate.

– Mam zabrać latarkę? – rzuciła ponad moim ramieniem.

– Mam dwie – odparł chłopak.

– Hm, przepraszam – mruknęłam.

– Och, sorki, ciociu. Poznaj Petera.

– Hej – rzucił chłopak podnosząc dwa palce, ale nie oczy, które były utkwione w punkt gdzieś na poziomie mojego prawego ramienia. Należał do osób, które na własny użytek określałam słówkiem „ani”. To znaczy ani wysoki, ani niski, ani ciemny, ani jasny. Ani uśmiechnięty, ani skrzywiony. Pomyślałam, że gdybyśmy porozmawiali, okazałoby się, że jest ani towarzyski, ani nietowarzyski. Zupełnie niezauważalny, do momentu, gdy się ogląda jego zdjęcie w aktach policyjnych. Nie, to cyniczne z mojej strony, że tak mówię.

– Peter? Ten z kościoła? – upewniłam się, udając, że nie kojarzę.

Peter wciąż stał po drugiej stronie siatkowych drzwi, gdy Gemma-Kate odpowiadała:

– Powinłam cię była uprzedzić. Przepraszam, ciociu, ale w domu tak się przyzwyczaiłam, że jestem niezależna, że nie przyszło mi to do głowy.

Jakaż uprzejma.

Otworzyłam zamek w moskitierze i uchyliłam ją, po czym udając, że nie jestem tym specjalnie zainteresowana, spytałam, dokąd się wybierają.

Peter wreszcie postanowił się odezwać. Był grzeczniejszy i bardziej elokwentny, niż się spodziewałam zasugerowana pierwszym wrazeniem, jakie na mnie wywarł.

– Jedziemy na pieszą wycieczkę do kanionu Sabino. Będziemy oglądać kaktusy kwitnące nocą i dziką przyrodę. Wycieczkę prowadzi przewodnik z parku. Opowiadałem Gemmie-Kate, że to dobry sposób na zapoznanie się z okolicą. Z przejazdem tam i z powrotem nie powinno to potrwać dłużej niż kilka godzin. Po drodze zatrzymamy się na kanapki w Eegee.

– Interesujące. Mogłabym zobaczyć twoje prawo jazdy?

Gemma-Kate się skrzywiła, ale Peter natychmiast wyciągnął z tylnej kieszeni pognieciony portfel i otworzył go, pokazując plastikowy kartonik. Ten gest najlepiej świadczył o tym, że był synem policjanta.

Podczas gdy ja sprawdzałam, czy chłopak rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje, i czy jego prawo jazdy jest aktualne, Carlo, który do nas podszedł, wsunął w dłoń Gemmy-Kate dwudziestodolarowy banknot. Jeśli chodzi o mnie, ponieważ zostałam zaskoczona i ponieważ nie miałam żadnego doświadczenia w postępowaniu z nastolatkami, nie wspominając już o odgrywaniu wobec nich roli opiekuńczej matki, puściłam młodych na tę wycieczkę, tyle że gdy tylko zamknęłam za nimi drzwi, pomyślałam, że koniecznie muszę zadzwonić do Mallory.

– Gemma-Kate nie marnuje czasu – zauważyła moja przyjaciółka.

– Chłopak ma na imię Peter. Wygląda jak punk, ale jest grzeczny.

– To Peter Salazar. Nie masz się o co bać – zapewniła. – Wprawdzie wiele o nim nie wiem, poza tym, że się wałęsa po okolicy, jak to chłopaki w jego wieku, ale ma bardzo surowych rodziców. Jego ojciec jest policjantem.

– Wiem, słyszałam. Tylko nie wiem, o co chodzi z tą wycieczką do Sabino. Mam nadzieję, że nie ma to nic wspólnego z migdaleniem się w samochodzie na jakimś odludziu?

– Nie, nie, to prawdziwa wycieczka. Nie panikuj, Brigid. To są prawie studenci, a ty się zachowujesz jak nadopiekuńcza mamusia.

Rozłączyłam się, trochę spokojniejsza, chociaż nadal zastanawiałam się, czy nie powinnam zrobić czegoś jeszcze. Carlo, który w okresie, gdy inni mężczyźni wychowują dzieci, utrzymywał celibat, też nie był przekonany, że dobrze zrobiliśmy.

– Myślisz, że powinniśmy pogadać z tym chłopakiem? – spytałam.

– Nie za bardzo wiem, co miałbym mu powiedzieć.

Uzmysłowiłam sobie, że nieczęsto słyszałam takie stwierdzenie w jego ustach.

– A może powinnam porozmawiać z Gemmą-Kate o bezpiecznym seksie? – nie odpuszczałam.

– Nie wiem – powtórzył. – Jest taka duża, że chyba ktoś już z nią o tym rozmawiał.

Gdy niczym prawdziwi rodzice czekaliśmy na powrót Gemmy-Kate, przeprowadziłam małe dochodzenie, z którego się dowiedziałam, że Peter Salazar nie był jeszcze notowany.

Gemma-Kate wróciła o dwudziestej drugiej. Jej relacja z wieczoru ograniczyła się do wyznania, że odczuwała ulgę, iż miała okazję pogadać z kimś, kto nie tylko był mniej więcej w jej wieku, ale kto też tak jak ona zna cienie i blaski dorastania w rodzinie policjanta. Kto wie, jak

wygląda życie spędzone w atmosferze niewytłumaczalnego lęku przed własnym ojcem, który się wydawał taki mocarny, i zarazem codziennego strachu, że ojciec może już nie wrócić do domu. Oczywiście Gemma-Kate nie ujęła tego w ten sposób, ale wiedziałam, że o to jej chodziło. I rzeczywiście wyglądała, jakby wysilek fizyczny, wieczorne powietrze i towarzystwo kogoś w jej wieku dobrze jej zrobiły.

Tak czy inaczej żałowałam, że Marylin nie zostawiła mi żadnego podręcznika do obsługi jej córki.

6

Prawie bym zapomniała wyjaśnić kwestię gotowania. Najlepszą rzeczą, najmniej spodziewaną korzyścią wynikającą z pobytu u nas Gemmy-Kate, było to, że dziewczyna umiała gotować i że to lubiła. Naprawdę umiała i naprawdę lubiła to robić. Przez kilka pierwszych dni w milczeniu zносиła moje kotlety w gotowej przyprawie Shake n' Bake i odgrzewaną w mikrofalni mrożoną zieloną fasolkę. Potem któregoś dnia po obudzeniu – było to niedługo przed tą nocną wyprawą – po nałożeniu ciepłego szlafroka bez odczuwania przy tym niechęci do faktu, że muszę się czymś okryć, gdyż z rana wciąż bywało dość zimno, poczłapałam do kuchni w kapciach w lamparcie cętki i okazało się, że kawa jest już zaparzona.

Gemma-Kate siedziała w moim fotelu i czytała książkę kucharską z przepisami z południowo-zachodnich stanów, w której pewnego dnia zamierzałam skorzystać, wcześniej jednak chciałam się nauczyć poprawnie wymawiać słówko „kwinoa”^[3] tak, aby nie brzmiało to sztucznie.

– Co tak pachnie? – spytałam, mając na myśli zapach przebijający nawet aromat kawy.

– Buleczki – odparła, bardziej z ostrożnością niż entuzjazmem. – Lubisz? Nie znalazłam w lodówce kremówki na nadzienie, ale było coś, co się nazywa galaretką z opuncji. Chyba też będzie pasowała.

Przeniosłam uwagę na leżącą na blacie obok kuchenki blachę do pieczenia, na której spoczywało pół tuzina niebiańskich trójkątów. Skubnęłam jeden. Galaretka nie była potrzebna.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

– Od mamy, kiedy była jeszcze zdrowa. Potem, gdy już nie chodziła, jeśli miałam na nie ochotę, musiałam je sobie upiec sama. Okazało się, że całkiem dobrze mi to wychodzi.

Spytałam, co jeszcze potrafi ugotować. Gemma-Kate wyprzedzała mnie o dwa kroki. Kiedy jeszcze spałam, przejrzała zawartość szafek i teraz podała mi listę rzeczy, które powinnam kupić w sklepie spożywczym, gdy się do niego wybiorę.

– Co to jest sos rybny? – spytałam, przeglądając listę.

– W Whole Foods stoi tam, gdzie sos sojowy. Macie tu Whole Foods?

– Nigdy do żadnego nie zaglądałam. Może lepiej zrobimy, jeśli dam ci kluczyki do mojego samochodu i kartę kredytową. Co ty na to?

W kącikach jej ust pojawiło się coś prawie jak uśmiech.

– Jeśli ty będziesz gotowała, ja przejmę na siebie sprzątanie – dodałam. Potem, nie chcąc, żeby się poczuła jak Kopciuszek, szybko wyjaśniłam: – Tylko obiady. I będę ci pomagać, może się czegoś nauczę.

Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, mawiała moja matka.

Carlo i ja zawsze byliśmy aktywni. Ja prowadziłam prywatne dochodzenia (te, które mnie zainteresowały), Carlo zajmował się tym, co w danym momencie było akurat jego pasją, jak na przykład budowa obserwatorium, żeby mógł łatwiej korzystać z trzydziestocentymetrowego teleskopu, który dałam mu w prezencie na zesłłą Gwiazdkę. Ale Gemma-Kate dodatkowo podkręcała nas swoją młodością i podnieceniem, wywołanym nowym otoczeniem i oczekiwaniem na rozpoczęcie studiów oraz na przeprowadzkę do akademika jesienią.

Podczas lotu z Florydy, zanim się pochorowała, ona i Carlo ułożyli listę wszystkich miejsc, które Gemma-Kate powinna odwiedzić. Sedona. Góra Lemmon. Tombstone. Wielki Kanion. Rozmawiali o miejscach, których nawet ja jeszcze nie widziałam.

Tego dnia wychodziłam z gabinetu po zdaniu relacji klientce o tym, że kobieta, którą widziała w samochodzie męża, nie była kobietą, tylko silikonową sekslalką. Co nie było aż tak dziwaczne, gdyby nie to, że facet zlecił producentowi wykonać lalkę tak, by wyglądała jak jego żona. Nie potrafiłam doradzić klientce, czy powinna się rozwieść z mężem, bo zdradzał ją z nią samą. Zresztą takie doradztwo nie należało do moich zadań.

Carlo siedział przy biurku na obrotowym fotelu, zwrócony twarzą do Gemmy-Kate, która, oparta o poduchy ze skrzyżowanymi na brzuchu rękoma, siedziała w rogu kanapy. Kiedy odwróciła głowę, żeby się pożegnać, wyglądała jak postać ze starych obrazów, ucieleśnienie spokoju. Ona i Carlo wybierali się do Muzeum Pustyni, dowiedzieć się czegoś o florze i faunie Arizony; ja jechałam na zakupy.

Z nas dwóch to Mallory lubiła chodzić na zakupy; ja wołałam piesze wędrówki. Ale w trakcie małżeństwa z Carlem odkryłam, że czasami najsympatyczniejsze rzeczy dzieją się, gdy człowiek idzie na kompromis. Okazało się, że zakupy to wspaniała okazja do rozmowy, której nie towarzyszy to napięcie, jakie się pojawia, gdy się z kimś rozmawia twarzą w twarz, zwykle w takich wypadkach mam ochotę przekonywać mojego adwersarza, że nie kłamie. No i jeszcze odkryłam, że zakupy i picie często idą w parze, zwłaszcza gdy rzeczą, której się poszukuje, jest kostium kąpielowy.

Spotkałyśmy się w La Encantada, podzielonym na poziomy wytwornym centrum handlowym, gdzie na dole mieścił się Coldwater Creek, ale na górze były St. John i Tiffany. Po kilku kieliszkach chardonnay w restauracji North Mallory była już gotowa do odwiedzenia małego butiku o nazwie Wszystko Oprócz Wody. Zwrócone twarzami do stojących pod ścianą wieszaków, przesuwać na drążku kolejne kostiumy, rozmawiałyśmy. To właśnie ten ruch przesuwania działał na mnie terapeutycznie, nieważne, czy wcześniej coś piłam, czy nie.

Odkryłam również, że kobiety najchętniej rozmawiają o dwóch rzeczach: o swoich dzieciach i

o szkaradnych defektach własnych ciał. Ponieważ ani Mallory, ani ja nie miałyśmy dzieci, obie zgodne co do tego, że nie ma z nich żadnego pożytku, nasza rozmowa siłą rzeczy, skoro oglądałyśmy kostiumy kąpielowe, skupiała się na naszych ciałach.

Mallory powiedziała:

– Patrząc na te kostiumy i ciągle słyszę w głowie głosik, który powtarza: nie masz talii, dziewczyno. Ty się tym nie musisz martwić. Na brzuchu nie masz nawet grama tłuszczu.

Choć czasy jędrnych ud i twardych jak kamień piersi dawno są już za mną, to muszę przyznać, że wciąż jestem w całkiem dobrej formie. Ale chcąc okazać solidarność, odrzekłam:

– Za to na kolanach mam go całe hektolitry.

Mallory prychnęła, jakbym na pojedynkę na pistolety przysłała z nożem. Zdjęła z wieszaka jednoczęściowy kostium z tuniką i podniosła go w górę. Pokręciłam głową.

– Wybierz bardziej wycięty na udach.

– Wciąż masz pewność, że chcesz iść na tę kwestę? – spytała, zmieniając temat. Wiedziała, że nadążę za tymi skokami w rozmowie, bo tak to już jest, gdy rozmawiają przy jaciółki.

– Jasne, dlaczego miałabym nie iść?

– Bo nie wiem, czy będzie miło. Jedna z par, którą zaprosiłam..., ich syn utopił się tuż zanim cię poznałam.

Podniosłam dwa palce. To był delikatny sygnał, że się powtarzamy.

– Mówiłam ci już – ciągnęła Mallory – że zaprosiłam ich trochę z wyrachowania, bo ojciec to lekarz Owena.

– Tak mówiłaś. Ale nic mnie to nie obchodzi. Ciężko się napracowałam w roli ciotuni i chętnie wezmę sobie wieczór wolnego.

– A jak się udała randka?

– Chyba dobrze. Zdaje się, że Gemma-Kate polubiła Petera, chociaż niewiele o nim mówi. Zreszta, gdy w ogóle o czymś mówi, zastanawia się nad każdym słowem. Jest cicha. Bardzo uprzejma, ale skryta. Więc ja też się staram być bardzo uprzejma. I trochę mnie to męczy.

– Dziewczyna pewnie zachowuje się tak, jak myśli, że wypada. – Mallory odwiesiła kostium na wieszak z miną źle skrywanej odrazy. – Powinam więcej wypić.

– Przecież będziesz w nim pływała tylko we własnym basenie. Dziwię się, że w ogóle potrzebujesz kostiumu.

– Nie bądź obleśna, kochanie. – Zmierzyła mnie zdegustowanym spojrzeniem.

– Co tak patrzyasz? Przecież nie mówię, że lubię paradować nago – odgryzłam się, myśląc przy okazji o czasach, gdy w ramach pracy udawałam striptizerkę i obnoszenie się z nagością wychodziło mi całkiem nieźle. Trudno się nie czuć dobrze we własnej skórze, gdy się tańczyło na murze przed publicznością. Tamtemu cynglowi z mafii nawet się nie śniło, że jakaś agentka potrafi się tak wyginać.

– Po prostu mówię, że po wyjściu z kąpeli, jeśli chcę coś z kuchni, nie muszę wkładać szlafroka, żeby to przynieść. Zresztą czy ktoś tak robi?

– Tak – odrzekła wyniośle Mallory. – Niektórzy tak robią.

A przy okazji wróciłyśmy do tematu dzieci.

– Cóż, teraz jest trochę trudno, gdy mieszka z nami Gemma-Kate. Muszę się pilnować i być skromniejsza.

– *Quelle horreur.*

– Ale w sumie nie jest aż tak źle, jak myślałam, że będzie. I Gemma-Kate dogaduje się z Carlem.

– Nazywa ją już Cupkate?

– Nie. Mówiłam ci, że to jest jej przezwisko? I naprawdę dobra z niej kucharka. Uczy mnie gotować.

Śmieszne, jak patrząc z perspektywy czasu, złowróźnie brzmiała ta wymiana zdań.

– Wciąż jej się zdarzają te niestosowne uwagi, jak ta o Mopsach pożerających ci twarz?

– Mówiła o twarzy? Nie pamiętam. Tak czy inaczej to ryzyko zawodowe w rodzinach policyjnych. Człowiek raczej twardnieje niż uczy się empatii.

I nie tylko to.

Niegdyś kwitnąca parafia świętego Marcina zajmowała dwanaście hektarów pierwszorzędnych gruntów na terenie La Cholla, obok pola golfowego. Kościół w stylu misyjnych budowli z białej cegły wyraźnie odznaczał się na tle otoczenia, pozostawionego w stanie naturalnym. Grunt porastały krzewy pustynne, opuncje, kaktusy. W przedłużonych mszach uczestniczyło zwykle najwyżej dwieście osób. Podczas nich korpulentny ojciec Elias Manwaring wygłaszał tak rozwlekłe kazania, że człowiek miał ochotę poderwać się z ławki i wrzasnąć, żeby już się zamknął. Ale ogólnie Elias był porządnym człowiekiem, a ja nigdy dotąd nie miałam tyle czasu na beżmyślne siedzenie, jak w jego kościele.

Po mszy wszyscy wychodziliśmy na zewnątrz, żeby uścisnąć gąbczastą dłoń Manwaringa, za co byliśmy nagradzani jego akceptującym, pobrużdżonym uśmiechem. Uśmiech przeznaczony dla Carla był zawsze nieco bardziej autentyczny, jak dla towarzysza broni. Manwaring nachylił się do Carla, mówiąc coś, czego nie mogłam usłyszeć. Potem wraz z kilkoma tuzinami najbardziej oddanych parafian przeszliśmy do oddzielnej salki parafialnej na kawę i ciasto.

Carlo zatrzymał się w wejściu, żeby się rozejrzeć, i dostrzegł jakiegoś tyłka z włosami związanymi w kucyk. Facet miał na środku łysinę, wyglądało to więc tak, jakby włosy zsunęły mu się z czubka głowy na tył.

– Gość – mruknął Carlo. – Elias poprosił, żebym z nim pogadał. – Wziął mnie za rękę i pociągnął do stolika z kawą, gdzie nieznajomy stał potulnie w kolejce, wyglądając jak kościelna cnotka. Pięćdziesiąt kilka lat. Ładna koszula, ale sprawiająca wrażenie forniru położonego na powierzchnię wymagającą oszlifowania. Kolczyk w uchu, skrawek militarnego tatuażu wystający spod podwiniętego rękawa – umaszczanie rozrabiaki, który złagodził, a może się zużył rozrabianiem i postanowił odnaleźć Jezusa.

Carlo wyciągnął dłoń.

– Witam. Nazywam się Carlo DiForenza, a to moja żona, Brigid. Przykro nam z powodu kolejki. Serdecznie zapraszamy na bananowe ciasto z kawałkami czekolady.

Mężczyzna uścisnął dłoń Carla, ale jego oczy i uśmiech były skierowane wyłącznie na mnie. W tym momencie kucyk i kolczyk oraz tatuaż wydały mi się tak seksowne, jak musiały być seksowne w latach siedemdziesiątych. Facet był z rodzaju tych, na których w tamtych latach napalały się wszystkie dziewczyny, chyba dlatego, że rodzice przestrzegali nas przed takimi chłopakami, nie wyjaśniając, dlaczego mamy się ich wystrzeżać.

– Nic nie przebiję dobrego ciasta bananowego – odparł podstarzały hardrockowiec. Mogła to być kpina, ale jego mina tego nie zdradzała.

– Podeszłem do pana, bo wiem, że to niełatwe dołączyć do grupy, w której się nikogo nie zna

– ciągnął Carlo. – Przyszedł się pan zorientować?

Mężczyzna zrobił zdziwioną minę.

– Jak wygląda nasz kościół – wyjaśnił Carlo.

Niezajomy starł z twarzy olśniewający uśmiech i przywołał subtelniejszy, przepełniony autoironią.

– Taa... chyba można tak powiedzieć. Dawno nie byłem w kościele. Dopiero co się tu przeprowadziłem.

– A skąd? – spytałam.

– Z Florydy.

– Ja też stamtąd pochodzę. Z hrabstwa Broward.

– Cóż, mawiają, że jeśli mieszkasz na południe od Orlando, to znów jesteś na północy. Bardziej tam różnorodnie. Ja pochodzę z hrabstwa Alachua – dodał. – Prawdziwy biały nędzarz.

– To w górę, blisko Gainesville – wyjaśniłam, zwracając się do Carla.

– Prowadziłem tam przez lata restaurację. – Oczywiście nieznanego zaszyły mgłą. Zamrugał nimi, żeby się z nich pozbyć wyrazu smutku. – Przepraszam, siedem i pół miesiąca temu straciłem żonę, a to ona dbała o maniery w naszej rodzinie. Adrian Franklin.

Carlo, u którego natychmiast odezwał się instynkt duszpasterza, zaczął opowiadać o własnych doświadczeniach wdowca. Ponieważ już znałam tę historię, postanowiłam mu nie przeszkadzać. Popatrzyłam w stronę Mallory, która z uznaniem uniosła brwi. Zamierzałam ją przedstawić Adrianowi, ale jeszcze nie w tym momencie. Na razie, zapominając o tak zwanej kobieciej solidarności, przecięłam kolejkę do kawy i zaczęłam się rozglądać za Gemmą-Kate.

Salka parafialna miała z jednej strony wysokie okna, wychodzące na przykościelne grunty. Widać przez nie było labirynt utworzony z kamieni starannie ułożonych w okręgi, które wiodły do stojącego w środku krzyża, a trochę dalej, na prawo, część innej ceglanej budowli, same ściany bez dachu. Nigdy do niej nie zaglądałam.

Gemmę-Kate dostrzegłam właśnie na terenie labiryntu. Przy odgłosach krzątania i rozmów za moimi plecami stałam przy oknie i popijając kawę, przyglądałam się jej. Sprawiała wrażenie zagubionej i samotnej, a samotność w kościelnej oprawie zawsze wydaje się smutna.

– Wyślałam do niej mojego syna – usłyszałam czyjś głos za mną, głos, który skojarzył mi się z wiewiórką. Był szybki i energiczny.

Odwrociłam się i ujrzałam nieznaną kobietę. Niską, jak ja, ale o wiele młodszą.

– Cześć, mam na imię Ruth. Ten tam, to mój syn, Peter.

Znów się odwróciłam do okna i zobaczyłam, że Peter wychodzi z salki i zmierza w stronę labiryntu.

– Poznałam go. Zabrał Gemmę-Kate na nocną wędrowkę. – Byłam z siebie bardzo zadowolona, że wiem coś, czego tamta kobieta nie wiedziała o naszych dzieciach. Czy tak właśnie zachowują się rodzice?

Jeśli chodzi o Ruth, to zatuszowała zaskoczenie zmianą tematu.

– Uczęszczamy do tego kościoła od jakichś trzech lat – rzekła. – Mają tu grupę młodzieżową. Uważałam, że Peter powinien się więcej zadawać z dziećmi chrześcijan. Tam stoi chłopak Manwaringów, Ken. – Z uprzejmości odwróciłam się, żeby spojrzeć, i dostrzegłam zwalistego, nadąsanego chłopaka, budową ciała bardzo podobnego do ojca. Ruth nie przestawała gdać. – Ale grupa nie jest liczna. Powinni ściągnąć więcej młodych. Miło, że dołączy do nich

dziewczyzna. Mamy więcej chłopców niż dziewcząt w naszej grupie.

– My ślę, że...

– No proszę. Widzisz, spaceruje po labiryncie z twoją córką. Wiedziała, że to twoja córka, bo się jej tak przyglądałaś. Późne dziecko, co? Takie potrafią być najlepsze. My mieliśmy trochę problemów z Peterem. Ale w sumie nie było to nic poważnego. Takie tam rzeczy, w jakie się w dzisiejszych czasach pakują wszystkie dzieciaki. No wiesz.

Zauważyłam, że Ruth nie potrzebowała mojego udziału w rozmowie, więc gdy ona dalej paplała o kościele, Peterze, o sobie i mężu, który nie chodził do kościoła, i czy to nie szkoda, ale z Bożą łaską, kto wie..., przyglądałam się, jak Gemma-Kate i Peter obchodzą labirynt. Nie razem, bo sposób uformowania drózek sprawiał, że przecinali sobie drogę, a potem się rozchodzili, przecinali i rozchodzili, nie patrząc jedno na drugie, jak w jakimś medytacyjnym *pas de deux*. Z tej odległości nie widziałam nawet, czy ze sobą rozmawiają.

– Jesteś wierząca? – spytał Peter.

– Nie, tylko zdruzona – odpowiedziała Gemma-Kate. – Do czego służy to coś?

– To się nazywa labirynt. Jakaś głupota. Jest tylko jedna droga wejścia i wyjścia. Nie wiem, jaki z tego pożytek.

– Może chodzi o to, żeby nie trzeba było wybierać. Ani myśleć. No i proszę, dotarłam do środka. – Pokazała na białą ceglana ścianę w oddali. – A to co?

– Pokażę ci. Chodźmy.

Podeszła Mallory powiedzieć, że musi wracać do domu, do Owena, i że widziała Gemmę-Kate i Petera.

– Czyż to nie urocze? – rzuciła, gdy Ruth i ja odwróciłyśmy się do niej. – Ale nie musicie mi dziękować. Carlo kazał ci powiedzieć, że też jest gotowy do wyjścia.

Ruth natychmiast uczepiła się Mallory, a ta próbowała się od niej grzecznie uwolnić, co wyglądało trochę tak, jakby zdierała z siebie oblepiającą plastikową folię. Pomogłam jej, prosząc, by poszła do Carla i przekazała mu, że zostaniemy trochę dłużej. Potem, z nadzieją, że Ruth przestanie gadać, znów zaczęłam się przyglądać dzieciom, choć te odeszły w stronę małej białej budowli i już ich z mojego miejsca nie widziałam.

– To się nazywa kolumbarium. Widzisz te marmurowe kwadraty? Pod każdym jest człowiek. To znaczy prochy.

– Poszłam na cmentarz, kiedy chowali moją matkę, ale ona była katoliczką, ojciec nie pozwolił jej skremować – wyjaśniła Gemma-Kate. – Ja chyba bym wolała, żeby mnie skremowali. Znałeś kogoś z tych ludzi?

– Tego tutaj. Widzisz, Joseph Neilsen. Byłem tu, kiedy chowali jego prochy pod tą płytką. Były w takim małym metalowym czymś, co wyglądało jak shaker mojego ojca do martini.

Gemma-Kate dokonała obliczeń.

– Miał czternaście lat. Jakumarł?

– Utopił się.

– Dziwne. Przecież wy tu nawet w rzekach nie macie wody.

– Miał basen.

– Tak? I co, uderzył się w głowę, czy coś takiego?

Peter wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział.

– Nikt go tak naprawdę nie lubił. Bo był palantem. Na początku często o tym rozmawialiśmy, ale to się wydarzyło jakiś czas temu.

– Teraz sobie przypominam – rzuciła Gemma-Kate. – Słyszałam, jak przyjaciółka mamy mówiła o tym u nas w domu.

– I co mówiła?

Gemma-Kate odwróciła się na dźwięk swojego imienia. Jej ciotka zbliżała się ścieżką, ale jeszcze nie dotarła do ściany; machała do niej. Gemma-Kate jej odmachala i powiedziała Peterowi, że musi iść.

W drodze powrotnej siedziała na tylnym siedzeniu i pisała wiadomości tekstowe.

– Z kim esemesujesz? Już z Peterem?

– To tata.

– Pozdrów go ode mnie i napisz, że do niego zadzwonię.

9

Na początku tamtego tygodnia Carlo zabrał Gemmę-Kate na zwiedzanie Uniwersytetu Arizyńskiego, gdzie przedstawił ją dziekanowi Wydziału Biologii i oprowadził po laboratoriach. Było to dla niej duże przeżycie, bo dotąd całą wiedzę mogła czerpać tylko z podręczników lub z Internetu. Po powrocie weszli do domu przez garaż. Oboje nucili coś Gilberta i Sullivana, ale Carlo wiedząc, że nie lubię muzyki, zaraz po zamknięciu drzwi uciszył Gemmę-Kate.

Podczas lunchu dziewczyna referowała mi wydarzenia dnia, a Carlo, przysłuchując się, promieniał zachwytem, niczym nauczyciel, który się wreszcie doczekał pojętnego ucznia.

– Oglądałam pod mikroskopem skrzydełko muchy. I słuchałam rozmowy Wujka Ojca z dziekanem Wydziału Biologii, panem Brogdonem. Chcą wygłosić serię wspólnych wykładów na temat powiązań nauki z religią. Wiedziałaś, ciociu Brigid, że starożytna filozofia rozpoczęła się od pytań o świat fizyczny, a nie duchowy? Termin „atom” ukuli filozofowie przedsokratejscy.

Skinięłam głową, jakby każdy to wiedział, bardziej przejęta tym, w jaki sposób Gemma-Kate wpadła na określenie „Wujek Ojciec”. Trochę to załatwiał South Parkiem.

Późnym popołudniem tego samego dnia ja i Carlo przebraliśmy się na przyjęcie i przekazaliśmy Gemmie-Kate wytyczne dotyczące Mopsów. Sprowadzały się jedynie do prośby, by wypuściła psy na tylne podwórko, jeśli się będą tego domagały. Gemma-Kate spytała, czy może zaprosić Petera, i była naburmuszona, gdy odpowiedziałam, że wolałabym nie, ale się nie upierała. Potem pojechaliśmy do położonego względnie blisko Hiltona El Conquistador udawać bogaczy na rzecz Stowarzyszenia Pomocy Zwierzętom.

Moje wrażenie przez kilka pierwszych lat, gdy tu mieszkałam, było takie, że w Tucson małe centra handlowe są na wymarcu. Mallory sprostowała to wrażenie. „To nie Manhattan – mawiała. – Ale też nie *Green Acres* ^[4]”.

Przebieg mojej kariery zawodowej wyglądał tak, że często miałam do czynienia z bogaczami, potrafiłam więc docenić smak montracheta, fakturę tajskiego surowego jedwabiu, kopa, jaki daje pierwszorzędna kokaina, i wartość Kooninga, ale nie zazdrościć bogatym. Wystarczy mi, że żyję.

Mówię poważnie. Kiedy do człowieka strzelano, kiedy się było dźgniętym pilniczkiem do paznokci w śledziona, kiedy się spadało z konia, dostawało zastrzyk przeciwko wściekłości po pogryzieniu przez wściekłego rottweilera i robiło za przynętę na seryjnego zabójcę, to nie jest to pusty frazes. Naprawdę się cieszę, że wciąż żyję.

Zatrzymałam się w wejściu, tuż za półkolistym trejażem obwieszonym sztucznym bluszczem.

Utrzymanie się przy życiu zawsze było kwestią zachowania przytomności umysłu. Przytomna również teraz, pomyślałam, że to dziwne uczucie nie mieć na sobie podsłuchu; jedyną rzeczą, która mnie w tym momencie opasywała, był mój biustonosz. Nawet broni przy sobie nie miałam. Rozejrzałam się, by sprawdzić, czy potrafię rozpoznać, że ktoś inny może ją mieć. Nie spodziewałam się krwawej jatkii czy czegoś takiego. Po prostu na publicznych zgromadzeniach, jak to, zawsze trochę się spinam. Są poza kontrolą; zbyt wielu obcych, wiele niewiadomych. A ja byłam aż nadto świadoma, co się może wydarzyć. Zlustrowałam więc pomieszczenie, dokonując szybkiej oceny ewentualnych zagrożeń.

Między starszymi gośćmi dominowały cekinowe bluzki, jakieś jedwabie, może z tuzin smokingów, żaden z wybrzuszeniami w obu miejscach, w których mężczyźni coś chowają. Wśród młodych przewaga czarnych tkanin, koszule, krawatów brak. Czulałam się w sam raz w mojej granatowej długiej sukni bez rękawów i w limonkowozielonej narzutce, która miała mi zapewnić przynajmniej częściową ochronę przed chłodem, gdy późnopołudniowe słońce przestanie tak grzać.

Większość osób trzymała w dłoniach kieliszki do szampana i małe talerzyki, ustawione tu i ówdzie okrągłe stoły z białymi, spływającymi do ziemi obrusami generalnie były opuszczone. Zasadą na tego typu imprezach jest, że jeśli usiądziesz, to przegrałeś – przeciwieństwo gry towarzyskiej w gorące krzesła. Miejscowe restauracje miały namioty. Woń czosnku, sosu słodko-kwaśnego i curry rywalizowały ze sobą. Mała kapela grała spokojny jazz, czyli ten rodzaj muzyki bez melodii, której nie da się zanucić, nawet gdybyś próbował. Kelner w smokingu i z łbem psa z *papier mache* na głowie minął mnie niebezpiecznie blisko ze srebrną tacą zastawioną kieliszkami do szampana. Było oczywiste, że nie dysponuje najlepszym wzrokiem.

– Nawet pretensjonalni nie potrafią być – prychnęłam, zwracając się do Carla.

– Nie bądź snobką – odparł. – Daj się Tucson trochę popuszyć. Nie ma do tego zbyt wielu powodów.

Oceniałam, że jest tu trzysta osób, góra trzysta pięćdziesiąt, nie licząc zwierząt, głównie psów, choć była też miniaturowa różowa świnka na smyczy tego samego koloru.

Jakiś facet jest w spodenkach khaki i sandałach, mimo oficjalnej imprezy. Czy to dlatego, że to Tucson i wszystko tu ujdzie, czy może znalazł się na kweście przez przypadek? Stoi w pojedynkę, sprawia wrażenie osamotnionego. Jest zdenerwowany?

Na karku poczułam niespodziewany dotyk palców, lekkie pociągnięcie. Nerw się uaktywnił. Lekko podskoczyłam, moje mięśnie zelektryzowały się do działania.

– Wybacz, że cię wystraszyłem – powiedział Carlo. – Ale przestań już pracować, O’Hari.

Carlo zna mnie chyba lepiej niż ktokolwiek. Czasami mam wrażenie, że wie o mnie rzeczy, których ja sama o sobie nie wiem, jakbym przy nim miała rozpiętą skórę. Nie jest to zupełnie nieprzyjemne uczucie.

Po części z tego powodu i częściowo dlatego, że ostatnio powoli coraz więcej opowiadałam mu o przeszłości, Carlo wiedział, że wchodząc na kwestę, instynktownie dokonuję oceny zagrożenia. A to, że mnie nazywał O’Hari, zawsze sprawiało, że przestawałam aż tak poważnie siebie traktować.

Dostrzegłam Mallory, która nie widziała nas. Rozmawiała z mężczyzną, którego poznaliśmy w kościele, tego z kucykiem, teraz interesująco kontrastującym z elegancką marynarką i czarnymi garniturowymi spodniami. Mallory roześmiała się z czegoś, co mężczyzna powiedział. Nawet z daleka widziałam, że zalewa się rumieńcem. Potem potknęła się na jakiejś nierówności i

mężczyzna, żeby jej pomóc zachować równowagę, przytrzymał ją za ramię, zarazem lekko do siebie przyciągając. Zręczna taktyka, pomyślałam. Mallory była dzisiaj w wyjątkowej formie. Postanowiłam odpuścić sobie czujność.

Następnie Mallory zauważyła mnie, powiedziała coś do mężczyzny, przypuszczalnie coś nonszalanckiego, i ruszyła w stronę moją i Carla. Ubrana w długą westernową spódnicę, białą bluzkę rozpiętą pod szyją do ściśle określonego momentu i w nisko zawieszony westernowy pasek, który miał za zadanie ukryć brak wcięcia w pasie, szła z wdziękiem i pewnością siebie. Nie mogłam wyjść z podziwu, że strój taki jak ten może mimo wszystko wyglądać, jakby pochodził od Ralpha Laurena.

Skinęłam głową w stronę Faceta z Kucykiem i powiedziałam:

– Rozumiem, że już się zapoznałaś z panem Adrianem Franklinem.

– Właśnie przed chwilą. Powiedział, że pamięta, że mnie widział w kościele – wyjaśniła, wywracając oczami w stylu Mae West. Ale głowę miała zaprzątniętą poważniejszymi sprawami niż przypadkowy flirt. Objęła ramionami mnie i Carla, całując każde z nas w policzek. Jednak nie odsunęła się od razu, a mnie przyszło na myśl, że znam ją już na tyle dobrze, że umiem ocenić, kiedy jest przygnębiona i tylko udaje wesołą. Nie musiałam długo czekać, by poznać powód jej przygnębienia.

– To taka ulga, że jesteście – szepnęła, zanim się odsunęła; w głosie brzmiało napięcie. – Popeliłam straszny błąd i musicie mnie ratować przede mną samą. – Kiwnęła głową w tył, na stolik za jej plecami. – Nie gapcie się, ale widzicie parę siedzącą z Manwaringami? To Neilsenowie. – Z wrażeniem, jakbym znowu brała udział w tajnej akcji, szybko zerknęłam w stronę stolika.

Po jednej stronie ze zwieszonymi ramionami, wyglądający na zrezygnowanego, siedział ojciec Manwaring, a obok kobieta, która z informacji Mallory była jego żoną. Lulu miała na sobie biały strój, wyglądała bardzo zanie, ale zlewała się z tłem przy mężu, który nawet nie starał się wyodrębnić z tłumu. Widywałam ją w kościele, ale nie łączyłam jej z Eliasem.

Po drugiej stronie, odchyleni na oparcia, czyli tak daleko od Manwaringów, jak się tylko dało bez spadania z krzesel, siedzieli dwoje ludzi, sprawiających wrażenie ogromnie skrępowanych. Z relacji Mallory wynikało, że to Neilsenowie.

– Sądziłam, że to dobry pomysł, żebyśmy się zebrali na neutralnym terenie, zawarli pokój – wyjaśniła z uśmiechem. Fakt, że jest zdenerwowana, zdradzał tylko jej głos.

– Skąd miałam wiedzieć, że ona wciąż jest zrozpaczona i wściekła? – Ktoś inny pomyślałby, że prowadzimy zwykłą towarzyską pogawędkę. Tylko ja słyszałam, że Mallory krzyczy. – Nie mogę wam teraz o wszystkim opowiedzieć, bo będą wiedzieli, że o nich rozmawiamy. Chodźmy.

– Nie mogę się doczekać – mruknęłam, ale pozwoliłam, by wzięła mnie za rękę, drugą wsunęła Carlowi pod ramię i poprowadziła nas ku czemuś, co już na wstępie zapowiadało się na tragicznie zły wieczór.

Zostaliśmy przedstawieni osobom przy stoliku. Kochani, to są Carlo i Brigid DiForenza. Znacie ojca Eliasa, ale nie wiem, czy już poznaliście Lulu i Tima, doktora Neilsena, oraz Jacquie.

Gdy Mallory nas sobie przedstawiała, przyjrzałam się Neilsenom. Tim był szczupły, ale muskularny, z zakolami tyśiny, co jednak nie było aż tak oczywiste, bo był blondynem i miał bladą karnację. Skóra głowy i włosy zlewały się ze sobą, tak że nie było się pewnym, co jest czym. Patrząc na niego, zastanawiałam się, czy zawsze jest taki skrzywiony, czy tylko w

obecności osób, których nie lubi.

Wygląd Jacquie powiedział mi więcej. Na jej widok przypomniało mi się schronisko dla bitych kobiet. Sukienka na niej wisiała, widać było nawet brzeg stanika, szczególnie, którego kobiety zwykle bardzo pilnują. Zęby były pokryte lekkim nalotem, jakby nie zadała sobie trudu, żeby je umyć przed wyjściem, a może nawet nie myła ich od poprzedniego dnia. Włosy miała ufarbowane na kruczoczarno. Dziwne, że komuś tak niedbającemu o wygląd i higienę osobistą chciało się malować odrosty.

Ogarnęło mnie współczucie dla niej, ale szybko je zdławiłam, podobnie jak w wypadku kobiet ze schroniska. Znałam zbyt wiele osób, które straciły bliskich, włącznie ze mną samą, i czułam, że nie jestem więcej w stanie przyjmować w siebie czyjegoś bólu. Albo przy najmniej nie w tej chwili.

Mallory ucieka pod pretekstem przyniesienia nam wina; ja i Carlo byliśmy zmuszeni usiąść przy stoliku, między przygaszonymi Manwaringami a nieufnymi Neilsenami.

Wraz z Carlem zagailiśmy rozmowę z pakietu tych powierzchownych i bezpiecznych, w odpowiedzi doczekaliśmy się tylko kilku ospałych mruknięć, po czym przy stoliku znowu zapadła cisza. Zaczęłam układać w myślach plan, jak ochrzanić później Mallory za to, że nas porzuciła, gdy Carlo wyszedł z typową zagrywką pod tytułem: „Od jak dawna mieszkacie w Tucson”.

To wypadło nieco lepiej; pozwoliło Carlowi porozmawiać z Neilsenami z pominięciem Manwaringów i nie wyjść przy tym na nieuprzejmego. Tim opowiadał, jak to Jacquie tu dorastała, ale że on sam przeprowadził się do Tucson, by rozpocząć praktykę lekarską, i poznał swoją przyszłą żonę. Przy tych słowach podniósł dłoń Jacquie i ją pocałował. Zauważyłam, że dłoń nie zareagowała na pocałunek, ale sama Jacquie wymamrotała coś na potwierdzenie, „ach” i „hm”, które dźwięczały w tle jego słów niczym chórek w zespole muzycznym.

Carlo wspomniał, że zamieszkała z nami moja bratanica i możliwe, że będzie zainteresowana studiami medycznymi. Było to kłamstwo, które napełniło mnie podziwem. Tim stwierdził, że zna kilka osób, i dał Carlowi wizytówkę. Zerknęłam na nią i pod nazwiskiem ujrzałam podpis „lekarz internista”. Potem mi się przypomniało, że Mallory mówiła, że Tim jest lekarzem jej i jej męża.

– A ty gdzie pracujesz? – spytał Tim, zadając ostatnie ze standardowych pytań, które dotąd jeszcze nie padło.

– Jestem już na emeryturze, ale wcześniej wykładałem filozofię na Uniwersytecie Arizońskim – wyjaśnił Carlo. – Ale to nie ja, tylko Brigid ma interesujący zawód.

Nienawidzę, gdy to robi.

– Interesujący tylko dla Carla. Pracowałam w federalnych organach ścigania. Śledziłam naruszenia praw autorskich.

Nasi rozmówcy uprzejmie pokiwali głowami; chcieli przejść do innego tematu, ale Carlo na to nie pozwolił.

– Brigid udaje skromną. Była agentką specjalną FBI. Ścigała złoczyńców. – To wywołało poruszenie przy stoliku. Wszyscy zrobili wielkie oczy. – A obecnie zajmuje się prowadzeniem prywatnych dochodzeń.

– Prywatnych... – było pierwszym słowem wypowiedzianym przez Jacquie od chwili, gdy się przysiedliśmy. Wbiła we mnie spojrzenie z rodzaju tych, gdy oczy są w pełni na tobie skupione, ale umysł jest skierowany do wewnątrz. Jakby nieświadoma, że wszyscy na nią patrzymy, podniosła z kolan wieczorową torebkę, wyciągnęła z niej długopis i zapisała coś na odwrocie

wizytówki Tima, która leżała na stole między nami. Tim przyglądał się temu z niechęcią, ale najwyraźniej nie mógł zaoponować.

Potem wstała i nachyliła się nad stołem, opierając się o niego dłońmi. Leżały na stole płasko rozprostowane. Tim przykrył jedną z nich swoją, ale Jacquie nie rozluźniła dłoni, nie zachęciła męża, żeby splótł palce z jej palcami. Uśmiechnęła się sztucznie, zbyt szeroko.

– Jak się miewają twoje dzieci, Lulu? – spytała. Zabrzmiało to trochę szaleńczo, już nawet przez sam fakt, że tak nagle przeszła do nowego tematu, nie mówiąc już o spiętym tonie głosu i zbyt promiennym uśmiechu.

Lulu wymamrotała, że dziękuje, jej dzieci mają się dobrze. „Dobrze” wypłynęło z jej ust w formie przepelnionego skruczą szeptu.

– Amanda wciąż w liceum? – pytała dalej Jacquie, tym razem z wściekłością, jakby podejrzewała Amandę o torturowanie małych zwierząt.

– Tak

– I Ken. Joey mówił, że Peter to zabijaka. Ale Kena lubiłam. – Teraz, kiedy już zaczęła, słowa wystrzeliwały z jej ust dość płynnie. – Czy koło młodych wciąż działa, Lulu? Nadal nim zarządzasz?

– Tak, w planach mieli założenie drużyny kickballa...

Nagle Lulu zamilkła. Jakby sobie uświadomiła, że wszystko, co powie, będzie jak policzek zadany Jacquie. Więc zupełnie porzuciła starania prowadzenia rozmowy oraz wysiłki, by wyglądać inaczej niż na skrajnie zrezygnowaną.

Pomyślałam, że zacznę przeproszać Jacquie: za jej rozpacz, za to, że dzieci Lulu żyją. Jacquie odwróciła się do mnie z miną mówiącą: „Widzisz?” Ale ja niczego nie widziałam.

– Przepraszam – rzuciła, cały jej gniew zapadł się w siebie – choć przeprosiny zdawały się być skierowane wyłącznie pod adresem Carla i mnie. – Po prostu nie dam rady. Myślałam, że dam, ale nie mogę.

Lulu odwróciła głowę, jakby nie była w stanie dłużej patrzeć na cierpienie Jacquie. To był ten moment, w którym Mallory, zawsze tak pewna, że nie istnieje sytuacja, której nie dałoby się naprawić winem, podeszła do stolika. W każdej dłoni trzymała po butelce.

– Mogłam przynieść szampana, ale jeszcze uderzyłby wam do głowy... – umilkła, widząc, że Tim i Jacquie stoją, a reszta z nas siedzi.

– Przykro nam, ale nie możemy zostać – oznajmił Tim. – Pozdrów od nas Owena. W przyszłym tygodniu wpadnę go przebadać.

– Ale... – zaczęła Mallory.

Tim podniósł palec, tym gestem zamykając Mallory usta.

– Myślałem, że to będzie dobre dla niej... dla nas, ale chyba oboje popełniliśmy błąd.

Mallory postawiła butelki na stole i zaczęła go okrążyć, żeby podejść do Neilsenów, ale się zatrzymała. Tim uprzejmym potrząśnięciem dłoni pożegnał się z Carlem i Eliaszem. Lulu, wyglądająca na urażoną, trzymała ręce na podolku. Jacquie wydobywała z siebie ciche pomruki, „ach-och”, „hm”, jednak teraz brzmiały one jak miniaturowe słowne ciosy w szczękę.

Nie żegnając się z Mallory ani z Manwaringami, jeszcze raz powtórzyła: „Nie mogę”, potem odwróciła się i odeszła przez trawnik, wspierając się na ramieniu Tima, gdy się potykała, czy to z nieprzyzwyczajenia do chodzenia na wysokich obcasach, czy też dlatego, że gdy szła, ugięły się pod nią kolana.

Podniosłam leżącą na stole wizytówkę Tima i odwróciłam ją. Na odwrocie wraz z numerem telefonu Jackie napisała: pomóż mi.

10

Mallory **jałiś czas odprowadzała ich wzrokiem**, potem bez słowa nalała wina do kieliszków do poziomu, jaki zwykle uznawała za niewybaczalny. Podniosła swój, a gdy i my podnieśliśmy nasze, zastanawiając się, jaki toast byłby najodpowiedniejszy w takim momencie, Mallory, potrząsając głową, czemu towarzyszyło również drżenie dłoni trzymającej kieliszek, rzuciła cicho „Jurwa”.

Było to grubiańskie i bezduszne, ale powiem wam, że w tamtej chwili wydawało się idealnym podsumowaniem i dawało nam przyzwolenie na naturalne zachowanie. Lulu ponuro się zaśmiała, lyknęła wina, po czym ukryła twarz w wolnej dłoni w pierwszym szczerym geście, jaki widziałam przy tym stole. Elias podniósł kieliszek nieco wyżej i poszedł w ślady żony z pełnym smutkiem: „Serce mi pęka z jej powodu”.

Mallory zamiał po prostu usiąść, ciężko opadła na krzesło.

– Tak mi przykro. Tak strasznie przykro – jęczała. – Że ja sobie tego nie uświadamiałam! Jestem najzwyklejszym potworem.

– Oni przyjęli zaproszenie, Mallory – zauważyłam. – Nie mogli przewidzieć, jak to się skończy. Po prostu nie była jeszcze gotowa.

Zaczęli opowiadać na zmianę, przy czym Manwaringowie mieli o wiele więcej do powiedzenia niż Mallory. Nie obchodziło mnie, czy miałam do czynienia z objawami chrześcijańskiej troski, czy ze zwyczajnymi staroświeckimi plotkami; słuchałam z zaciekawieniem, jak Elias i Lulu przerzucają się faktami, zachęceni, gdy zachodziła taka potrzeba, przez Mallory, która najwyraźniej była wdzięczna za to, że przy najmniej rozmowa się klei.

– Ich syn, Joe, zmarł jakieś pół roku temu. To było straszne.

Pomyślałam o innej osobie, którą znałam, a która też straciła dziecko. Wiedziałam, że sześć miesięcy, sześć lat, to nic. Ale nie licząc Carla, nadal zatrzymywałam takie przemyślenia dla siebie, żebym nie musiała odpowiadać na pytania, skąd znam takie rzeczy.

– Wypadek Utonięcie. Basen.

– Samobójstwo.

– I na czym stało? – spytała Mallory. – Słyszałam obie plotki, ale nie wiem, co w końcu ustalili.

– Nie, to chodziło o tę sprawę z tożsamością płciową.

Wtrąciła się Lulu:

– Nie, nie, to tylko kolejna plotka. Jeśli kiedykolwiek będziecie rozmawiali z Jacquie, nawet nie sugerujcie, że o tym słyszeliście. Podслуchała, jak ktoś o tym mówił na pogrzebie, i wpadła w furję tam na miejscu, na oczach wszystkich.

– Wyparcie – rzucił Elias.

– Ale dlaczego mają pretensję do was? – dziwiła się Mallory. – Sądziłam, że rzucili kościół z powodu kryzysu wiary, więc pomyślałam, że mogłabym...

– Chodzi o coś zupełnie innego – zaczęła Lulu.

– Wyparcie – powtórzył Elias. – Tim Neilsen to pieprzony homofob. – Podsunął kieliszek do Mallory, żeby mu dołąła.

Wyglądało, że Lulu odczuwa ulgę, że może opowiedzieć całą historię, a ja zastanawiałam się, ile jeszcze razy będzie ją musiała powtórzyć, zanim na dobre ją sobie odpuści.

– Jestem kierowniczką koła młodzieżowego. W ten sposób pomagam. Dzieciaki czują się przy mnie swobodnie. Joe zwierzył się, że chciał powiedzieć ojcu, że jest gejem.

– Ojczy mowi.

– Ale przecież Joe był taki mały, kiedy się pobrali, że to prawie jego ojciec. Nie powinnam go zachęcać. Nie powinnam się wtrącać. To nie była moja sprawa.

– Mamy dwójkę dzieci, chłopaka i dziewczynę, jedno w liceum, drugie na studiach – przejął opowieść Elias. – Amanda ujawniła się dwa lata temu. Nic wielkiego. Wszyscy już wiedzieliśmy, tak to jest, czyż nie? – Kiwnął głową w stronę Lulu. – Dlaczego miałyby uważać, że w przypadku Neilsenów będzie inaczej?

– Tim i Jacquie, zwłaszcza Tim, wypierali to, że Joe był gejem – dodała Lulu.

– W tych czasach, w dwudziestym pierwszym wieku? – zdziwiłam się. – Zrozumiałabym, gdyby to się działo w Prescott lub Yumie, ale w Tucson? To przecież uniwersyteckie miasto, na litość boską. Tucson jest... – zniżyłam głos, jak ludzie, gdy chcą wypowiedzieć słowo „opryszcza” – ...liberalne.

Mallory pokiwała głową.

– Tutaj każdy albo jest LGBT^[5], albo pisze książkę. Ty chyba też jakąś piszesz, kochanie? – zwróciła się do Carla.

Uwagę Carla pochłaniał znauceropudel, który podszedł i obwąchiwał mu nogawki. Carlo uśmiechnął się na potwierdzenie, ale milczał. Najwyraźniej nie uważał za konieczne wyrażać swojej opinii, skoro inni wyrazili ich już tak wiele. Taki właśnie jest Carlo.

– Nieistotne, gdzie mieszka ani czy był biologicznym ojcem Joego. Tim to pieprzony homofob – powtórzył Elias. – Zwycły palant.

– Och, złościś się, bo odeszli – zarzuciła mu Lulu z ostrością sugerującą, że na co dzień raczej nie tykała alkoholu. Następnie zwróciła się do mnie: – Joe na tyle mi ufał, że postanowił mi się zwierzyć. Poradziłam mu, żeby wyjawiał rodzicom prawdę, i on tak zrobił.

Ja tylko powtórzyłam:

– W tych czasach, w dwudziestym pierwszym wieku?

Lulu pokiwała głową.

– Neilsenowie są tak konserwatywni, że zmienili kościół.

– Przeszli do św. Bedy. Mam nadzieję, że są tam szczęśliwi – rzucił Elias. Ta z pozoru niewinna uwaga zabrzmiała, jakby mówił: niech się nażrą gówna i zdechną.

Spojrzałam na Mallory, która zamyślona sączyła wino. Próbowwała pogodzić Neilsenów i Manwaringów w sposób, w jaki Lulu próbowała pomóc Joemu i jego rodzinie. Wszyscy poza mną powinni pilnować własnych spraw, tak uważałam.

– Więc ty o tym nie wiedziałaś? – spytałam.

Mallory pokręciła głową.

– Znamy się tylko z kościoła. Wiesz, jak to jest.

Przekazałam wizytówkę Tima Carlowi, a on powiedział:

– Brigid, powinnaś do niej zadzwonić. Może będziesz mogła jakoś pomóc.

– Moim zdaniem bardziej przydałaby się jej terapia niż dochodzenie – odparłam, mając nadzieję, że uda mi się zmienić temat. – Pewnie znacznie jakiegoś terapeuty, do którego można by ją skierować? – spytałam Elias.

Zamiast niego znów odezwał się Carlo.

– Wiedziałybyś, jak z nią rozmawiać, umiałabyś jej wyjaśnić pewne rzeczy, pomogłabyś znaleźć informacje. Znasz odpowiednich ludzi.

Lulu uznała to za świetny pomysł.

– Musisz do niej zadzwonić.

Mallory, która widziała, że się waham, z rozbawioną miną wtrąciła:

– O tak, Brigid, musisz koniecznie.

– Nie wiem tylko, czy to... – zaczął Elias, ale Lulu ostro mu przerwała.

– To ty mówiłaś, że grożą, że nas pozwą.

Ach, no i proszę. Nawet motywacje żon duszpasterzy nie są do końca czyste. Na nieszczęście dla rozmowy, która zaczęła przybierać interesujący obrót, przy stoliku pojawił się Adrian Franklin z czarnym labradorem retrieverem i z tym uśmiechem, który sprawiał, że człowiek czuł się o dwadzieścia lat młodszy.

– Patrzcie, co mam! – pochwalił się jak małe dziecko, szczęśliwe z prezentu w postaci szczeniaka.

Pies rzucił się całą swą uradowaną dwudziestokilogramową masą na Mallory, przypadkowo zahaczając pazurami przedniej łapy o jej bluzkę, niczym psi rozpruwacz gorsetów. W innych okolicznościach, gdyby chodziło o innego mężczyznę, możliwe, że Mallory wykorzystałaby okazję, ale w tej chwili nie wygłądała na szczęśliwą.

Carla sparaliżowało, Lulu zamurowało, Elias przewrócił krzesło, zrywając się, żeby pomóc, a Adrian, unikając kontaktu z okolicami biustu Mallory, co mogłoby zostać odebrane jako zachowanie niedzentelemeńskie, próbował odciągnąć psa okrzykami: „Siad, Ebony! Siad!” Ebony nie reagowała. Bardziej niż komenda pomogło działanie samej Mallory, która chwyciła szczeniaka za łapy i strząsnęła z siebie.

Ebony została zmuszona do tkwienia w miejscu. Siedziała, podrygując od nie w pełni zdławionej radości, u stóp Adriana, Carlo na wszelki wypadek przedstawił wszystkim Franklina i zaproponował mu jedno z krzeseł, które zwolnili Neilsenowie.

– Bardzo przepraszam – rzekł Adrian. – Podszedłem, żeby się przywitać, bo państwa rozpoznałem, ale widzę, że tylko przeszkodziłem w rozmowie. Już od jakiegoś czasu chciałem kupić psa, żeby mi dotrzymywał towarzystwa, i pomyślałem, że zapytam się tutaj o jakiegoś. Jeśli ktoś jest zainteresowany, to mają jeszcze kilka uratowanych do oddania, szukających domu. Ebony nie ma nawet roku. Uwierzyć ci państwo, że ktoś jej mógł nie chcieć zatrzymać?

Widziałam, że Ebony to groźba destrukcji; mogła narobić tyle kłopotów, ile ważyła, ale to przemilczałam.

– Wygląda jednak, że czeka nas trening posłuszeństwa. – Adrian wruszył ramionami. – Ale co

lepszego można robić na emeryturze?

– Dodać komuś wina? – spytała Mallory, która wciąż nieufnie zerkała na labradora.

Adrian i Ebony, choć nieumyślnie, sprowadzili rozmowę na powierzchowne tory, ucieszyłam się więc na dźwięk dzwonka mojego telefonu, mimo że się zastanawiałam, o co może chodzić. Zaczęłam się przekopywać przez zawartość torby, odsuwając na bok butelkę z wodą, emulsję do rąk i balsam do ust – zwykły ekwipunek osoby mieszkającej w miejscu, gdzie wilgotność na ogół pozostaje na poziomie sześciu procent.

Telefon przestał dzwonić w chwili, gdy go znalazłam. Otworzyłam klapkę i zobaczyłam numer domowy. Wcisnęłam go, żeby oddzwonić. Gemma-Kate odebrała w połowie pierwszego dzwonka.

– Wszystko w porządku? – spytałam.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała. – Nie wiedziałam, czy powinnam wam przeszkadzać.

– Co się stało?

– Wydaje mi się, że jeden z Mopsów się rozchorował.

– Jak to rozchorował?

– Wymiotuje.

– Wymiotuje? Jak bardzo? One tak czasami mają, trochę wymiotują, kiedy się najedzą zielska.

– Wiem, ale te wymiociny są jakieś zielonkawe i spienione... Ciociu Brigid... on zaczyna dziwnie oddychać.

– W tej chwili wychodzimy i zaraz przyjeżdżamy.

Odstawiłam telefon od ucha z zamiarem zamknięcia klapki, kiedy usłyszałam:

– O mój Boże, on dostał drgawek!

11

Szybko się pożegnaliśmy i wróciliśmy do Cataliny. Po wejściu do domu ujrzelśmy Gemmę-Kate stojącą bezradnie nad jednym z Mopsów, który leżał na podłodze w kałuży zielonych wymiocin. Nim kóreś z nas zdążyło zareagować, pies zeszywniał, a potem dostał drgawek.

– O Boże – krzyknęła z przerażeniem Gemma-Kate. – On tak ciągle, a ja nie wiem, co z nim zrobić! – Kiwała się w tył i w przód, opleciona ramionami, jakby nie dowierzała, że jej ręce mogą się do czegoś przydać.

Pobiegłam do kuchni i odszukałam kartkę z adresem, którą przyczepiliśmy do boku lodówki.

– La Canada i River – wymamrotałam do siebie, Carlo w tym czasie owinął chorego, teraz trzęsącego się Mopsa w ręcznik i podał mi go.

– Ja prowadzę – oznajmił.

Gemma-Kate stała i przyglądała się nam. Wyglądała tak, jakby wszystko, na co ją stać, to wstrząść się z płaczem do chwili, aż znikniemy za drzwiami, ale w tym momencie nie miałam czasu jej pocieszać.

Inną kwestią był drugi Mops, suczka, która stała u mojego boku i patrzyła na mnie wytrzeszczonymi oczami, zupełnie jak przerażona Elsa Lanchester^[6], gdy poznała narzeczonego.

– Zabierzmy ją – powiedziałam do Carla. Mopsy wszystko robiły razem.

Carlo podniósł suczkę i wyszliśmy. Suczka zawodziła na tylnym siedzeniu, ja na miejscu pasażera trzymałam na kolanach leżącego się przez ręce drugiego Mopsa, który tak się ślinił – przez ręcznik na moją sukienkę – że wyglądało, jakby wymiotował śliną. Przeciągnęłam palcem po jego mięciutkim futerku między oczami i przez głowę przeleciała mi myśl: pospiesz się Carlo, on umiera, ale nie powiedziałam tego na głos. Możliwe za to, że powiedziałam coś w stylu: już dobrze, dobrze, mój ty Panie Brzydału, wszystko będzie w porządku. Wiem, też mi głupio, kiedy to sobie przypominam.

Jazda trwała całą wieczność; miałam wrażenie, że z każdym kilometrem oddech Mopsa coraz bardziej zwalniał. Carlo jechał Oracle, przekraczając dozwoloną prędkość o co najmniej dwadzieścia kilometrów; mnie przy padło zadanie wyklinania na czerwone światła i modlenie się, żebym znalazła policjanta, w razie gdyby nas zatrzymano. Kiedy wreszcie dotarliśmy na parking kliniki weterynaryjnej, policzyłam, że Mops wykonuje co najwyżej jeden oddech na minutę, a jego ciało wydawało się pozbawione kości, taki był wiotki.

Przez automatycznie rozsuwające się drzwi wbiegliśmy do holu, z którego byłby dumny każdy szpital dla ludzi. Recepcjonistka spojrzała na psa, podniosła słuchawkę telefonu i wrzasnęła do niej: „Triage!” Gdy Carlo wypełniał dokumentację, asystentka szybko wprowadziła mnie na zaplecze, gdzie kobieta weterynarz, nie marnując czasu na przedstawienie się, dokonała

dwuminutowych oględzin i orzekła:

– Ropucha. Kiedy to się stało?

– Nie jestem pewna.

Kobieta wzięła psa na ręce i razem ze mną, podążając tuż za nią, ruszyła do wyjścia z pokoju.

– Dłużej niż pół godziny temu?

– Nie wiem.

– Jak duża była ta ropucha?

– Nie widziałam jej.

– Przepłukała go pani?

– Nie rozumiem.

– Aktywny węgiel pewnie będzie bezużyteczny – mamrotała, a ja czułam, że równie dobrze mogłaby mówić o mnie. Weszłyśmy do małego pokoju ze zlewem, obok którego kobieta położyła mojego Mopsa. Odkręciła kran z dołączoną do wylotu rurką i wetknęła ją w pyszczek psa z boku. Z przerażenia chciałam krzyknąć „nie”, ale zapanowałam nad sobą i przyglądałam się, jak strumień wody wlatuje jedną stroną i wylatuje drugą. Część bez wątpienia dostawała się do żołądka i trochę do płuc, bo Mops kaszłał, dławił się i znowu zaczął wymiotować.

Gdy pani weterynarz skończyła pompować wodę w moją biedną psinę, zabrała ją do drugiego pomieszczenia i po wygoleniu małej kępki na nodze, podłączyła do kroplówki przygotowanej przez asystentkę. Wbiła w nogę igłę, Mops nie zareagował, potem długo go obserwowała, sprawdzając, czy jego stan się stabilizuje, i dopiero wtedy wyjaśniła, co się z nim działo.

– Ropucha koloradka – powiedziała, kiedy obie wreszcie mogłyśmy oddychać. – Są toksyczne, a przez te opady w zimie miałam już do czynienia z kilkoma przypadkami, chociaż to jeszcze nie sezon na nie. – Pies nadal był otepiały, jak w samochodzie, jedyną oznaką, że wciąż żył, był słaby ruch żeber, unoszących się, gdy od czasu do czasu brał oddech. Ale już nie miał ślinotoku ani drgawek. Cokolwiek zawierała kroplówka, specyfik zadziałał. Kobieta weterynarz uniosła jedną z aksamitnych warg mojego pupila i pokazała mi jego dziąsła. – Widzi pani, jakie są blade? Odwodnił się od wymiotów.

– Wyzdrowieje? – spytałam obcym drżącym głosem.

– Miejmy nadzieję, że dzięki wymiotom i płukaniu, jakie mu zrobiłam, spora część trucizny została usunięta z organizmu.

– Jakie ma szanse? – szepnęłam, unosząc jedną z łap, która była zupełnie bezwładna.

Kobieta objęła mnie i uściśnięła, z czym nigdy dotąd nie spotkałam się u żadnego lekarza.

– Bardzo duże. Coś pani powiem. Proszę go u nas zostawić, żebyśmy mu mogli dalej podawać płyny dożylnie i zmniejszyć odwodnienie.

– Nie istnieje żadna odtrutka?

– Nie, nie istnieje. Gdybyście go państwo przywieźli zaraz po spożyciu ropuchy, moglibyśmy przepłukać mu żołądek roztworem z aktywnym węglem, który wchłonałby toksyny, zanim te przeniknęłyby do krwiobiegu. Ale wasz pies wyzdrowieje. Nic mu nie będzie.

Kiedy rozmawiałyśmy, asystentka wprowadziła do pokoju Carla. Trzymając w jednej ręce zdrowego Mopsa, drugą objął mnie w pasie.

– On nie umrze – powiedziałam. Czułam się tak, jakby te słowa czyniły ze mnie Boga; pozwalały mi nad sobą zapanować, abym mogła dalej wykonywać swoje zwykłe zadania. Nie da się uratować wszystkich, ale ten pies nie umrze.

Gemma-Kate włączyła komputer w gabinecie Brigid i zadzwoniła do Petera. Kiedy odebrał, nie spytała, czy go obudziła.

– Wejdź na Skypa, Peter.

Peter ziewnął.

– Po co?

– Chcę cię widzieć, gdy będziemy rozmawiali. Sprawa jest poważna. – Zaczekała, potem szeptem powiedziała: – Dobrze. Nie mogę zasnąć. Chyba wpakowałam się w kłopoty, Peter.

– Co się stało?

– Ich pies się zatrul.

– Zdechł?

– Chyba nie. Zostawili go u weterynarza.

– Więc dlaczego uważasz, że masz kłopoty? Ty go otrułaś?

– Nie do końca.

– Co to znaczy „nie do końca”?

– Zjadł ropuchę koloradzką.

– Nakarmiłaś ich psa ropuchą koloradzką?

Gemma-Kate uważnie przyglądała się jego twarzy.

– Tak kurwa... Otrułam im psa. Zadowolony?

– Dlatego, że nie pozwolili mi przyjść, kiedy wyszli? – Wyglądał, jakby mu to nawet schlebiali. – Ale jazda.

– To nie było tak – Gemma-Kate zamilkła. Przyglądała się Peterowi. Widziała, że próbuje wypatrzyć, czy pod nocną koszulą ma biustonosz. Żałowała, że mu powiedziała. – Nikomu o tym nie mów – przestrzegła.

– Są na ciebie wściekli? – spytał.

– Ty nic nie łapiesz, co? Oni nie wiedzą.

Peter gapił się w monitor. Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Co się stało psu? Wymiotował czy jak?

Gemma-Kate rozłączyła się bez odpowiedzi, a potem pod nosem mrugnęła: „Beznadziej”.

12

Następnego poranka, kiedy wstałam krótko przed wschodem słońca, drugiego Mopsa, suczkę, znalazłam śpiącego z plecami przyciśniętymi do drzwi prowadzących do garażu. Podrygiwały jej łapy i powarkiwiała. Wybudziłam ją z, jak się wydawało, złego snu, i suczka poczłapała za mną do kuchni.

Carlo fakturę od weterynarza zostawił na blacie. Widniała na niej kwota w wysokości stu dwudziestu pięciu dolarów za wstępne leczenie oraz przybliżony koszt trzydniowego pobytu w klinice i opiekę. Imię psa wpisane w rubryce brzmiało „Al”.

Po nastawieniu pierwszego tego dnia dzbanka kawy, zabrałam komórkę z blatu kuchennego i wraz z suczką wyszłyśmy na tylną werandę. Usiadłyśmy razem w fotelu i przyglądałyśmy się wschodowi słońca oraz słuchałyśmy piskiwego zawodzeniu kojotów w wąwozie za domem. Dwie filizanki kawy później dołączył do mnie Carlo. Jak każda normalna nastolatka, Gemma-Kate jeszcze spała, chociaż było późno. Ale dzięki temu mogliśmy z Carlem swobodnie pogadać w sposób, w jaki to czynią tylko zżyci partnerzy; rozmowa przypominała leniwe przerzucanie się piłką na korcie tenisowym, gdy nikomu nie zależy na zdobyciu punktów.

– Dzwoniłam do kliniki – oznajmiłam.

– Tak wcześniej?

– Mówili, że działają całą dobę, więc zadzwoniłam. Powiedzieli, że jego stan jest stabilny. – Poklepałam suczkę. – Ona za nim tęskni. Spodobali mi się ci ludzie z kliniki.

– Mnie też się podobałi. – Carlo wskazał na rachunek leżący między nami na stole. – I nawet nie są drodzy.

– Powiedziałeś, że nazywa się Al?

– Recepcjonistka pytała, a mnie było głupio się przyznać, że go nie nazwaliśmy. Potem, gdy go ratowaliście, recepcjonistka zapytała o imię suczki.

– Nie zniosę tego napięcia, mów – rzuciłam żartobliwie.

Carlo odwrócił wzrok. Uśmiechał się półgębkiem, jakby był nieco skępowany, ale zarazem z siebie dumny.

– Peggy.

– Peggy. Al i Peg.

– No wiesz, te imiona nie trafią przecież do żadnych dokumentów. Zawsze je można zmienić. Zamierzasz porozmawiać z Jacquie Neilsen?

– Nie mam na to ochoty.

– Dlaczego nie?

– Bo to wariatka.

– Nie jest wariatką, tylko cierpi.

– No proszę cię, znowu się bawisz w te duszpasterskie ratowanie uciemionych.

Carlo głośno jęknął.

– No już dobrze, dobrze. Wiesz, że nie znoszę, kiedy tak skamlesz. Zadzwoń do niej, tylko wcześniej chcę się trochę przygotować.

Niedługo później, w spodniach od piżamy i w T-shircie, ze swojego pokoju wyczłapała Gemma-Kate i zapytała o śniadanie.

– Co, nie będzie naleśników? – zdziwiłam się. Sądziłam, że za to, że podczas swojego dyżuru pozwoliła zjeść Mopsowi ropuchę, mogę liczyć, jeśli nie na przeprosiny, to przynajmniej na dobre śniadanie. Ale Gemma-Kate, nie odzywając się słowem, zaczęła szperać w szuflarce, szukając płatków śniadaniowych. Wydawała się spięta, jakby się obawiała, że zarzuty spadną na nią bez ostrzeżenia.

Przygotowanie do rozmowy z Jacque Neilsen polegało na zadzwonieniu do doktora George'a Manriqueza, który po pierwsze, był wspaniałą osobą, po drugie, patologiem traktującym zmarłych, jakby byli jego pacjentami. Kiedyś mi powiedział, że oni, a ściślej ich ciała, przemawiały do niego z taką otwartością, do jakiej nikt z nas, żyjących, nie jest zdolny. Byliśmy sobie w pewnym sensie bliscy, bo oboje pochodziliśmy z Florydy. A Floryda różni się od Arizony.

Byli u niego ludzie z Banku Tkanek Oka, którzy przyjechali po rogowki do przeszczepów, trochę więc to zajęło nim George mógł oddzwonić, ale był jak zawsze bardzo pomocny. Wymieniliśmy kilka uprzejmości, George dopytywał się, czy już doszłam do siebie po naprawę okropnym kryzysie, jaki przechodziłam pół roku wcześniej, i czy wiem, co słyszeć u Laury Coleman. Powiedziałam, że jest u brata w Północnej Karolinie, w górach, i kuruje psychikę oraz ciało po śledztwie, które ze mną prowadziła. Utrzymywała ze mną kontakt mailowy, żebym wiedziała, że nie obarcza mnie odpowiedzialnością, mimo że ja sama się nią obarczałam. Ze swojej strony spytałam George'a, czy widział się ostatnio z Maksem Coyotem, i czy on też już doszedł do siebie. Nie pytałam, czy kiedykolwiek przekazał wymaz z moim DNA, a Manriquez o tym nie wspominał. Potem przesłam do sedna.

– Prowadzę drobne rozeznanie w sprawie śmierci czternastolatka, Josepha Neilsena, który się utopił – wyjaśniłam, dodając następnie jeszcze kilka szczegółów, żeby szybciej sobie przypomnieć. – Coś o tym masz?

Odąd się pojawiły, komputery znacznie wszystko upraszczały. Nie musiał wstawać, żeby się dostać do akt.

– Niewiele tu tego – odparł po kilku minutach. – Mam akt zgonu.

– Ty go wystawiłeś?

– Nie, był wystawiony, zanim zwłoki trafiły do kostnicy. Doktor Lari Paunchese.

– Znasz go?

– Nie, ale do wystawienia aktu zgonu nie jest wymagany lekarz sądowy ani koroner.

– Wiem, po prostu byłam ciekawa.

– Ja tylko potwierdziłem przyczynę zgonu.

– A kto wtedy prowadził śledztwo?

– Sam Humphries. Trochę go znam, wtedy był jeszcze zielony.

– Przecież to się wydarzyło zaledwie pół roku temu. Wciąż jest zielony. Dlaczego jest tak mało informacji? Nie przeprowadziłeś autopsji?

– Nie kompletną. Ojciec prosił, żebym jej nie robił, bo to byłoby zbyt przygnębiające dla matki, poprzestałem więc na oględzinach zewnętrznych. Ale pobrałem próbkę płynu z płuc, żeby

potwierdzić przyczynę zgonu.

– Żadnych siniaków, nie uderzył głową w trampolinę lub coś w tym stylu?

– Lekkie otarcie na prawej kości jarzmowej...

– Po ludzku proszę.

– ...Na policzku. Nic, co by wskazywało na uderzenie w głowę na tyle silne, żeby stracił przytomność. Sprawdziłem to.

– Żadnych śladów autoeroty zmu?

– Nie, dlaczego?

– Krążą takie plotki.

– Nic z tych rzeczy, ale woda w płucach *post mortem* potwierdzała, że było to utonięcie.

– Co wykazały badania krwi?

– Nie mam tu raportu toksykologicznego. Być może powstał, ale jeszcze nie dotarł. To nic nadzwyczajnego. Mają duże zaległości, a nikt ich nie popędzał.

– Nie dziwi cię, że nie popędzał?

– Wiesz, jak to jest, Brigid. Nie ja prowadziłem dochodzenie, nie jestem Quincyem^[7]. Ustalam przyczynę śmierci, przekazuję raport i doradzam śledczym, czy powinni zgłębiać przypadek. Wiem, co sobie myślisz: że powinniśmy zacząć z diagnozą do czasu wykluczenia wszelkich innych przyczyn. Ale myślę, że ten detektyw, bo to była jego pierwsza sprawa, był naprawdę dokładny, wykonał dobrą robotę. Kiedy dochodzi do utonięcia w basenie, szanse, że było to coś innego niż wypadek, są jak jeden do trzech tysięcy, chyba że topielec miał na nogach buty z betonu. Może chłopak coś zażył, ale to bez znaczenia, wszystko wskazywało, że to wypadek.

Cóż mogę powiedzieć; jestem frajerką, kiedy w grę wchodzi rodzice, którzy stracili dzieci. Przy najmniej miałam coś, co mogłam przekazać matce Josepha: mogłam ją zapewnić, że osoba, której ufam, wystawiła właściwe orzeczenie. Po poproszeniu George'a, by sprawdził, co się dzieje z raportem toksykologicznym, zadzwoniłam do Jacquie.

Usłyszałam słaby, piskliwy głos.

– Tim?

Wiedziała, że to Jacquie. Najwyraźniej albo nie miała usługi identyfikacji rozmówcy, albo nie spojrzała na wyświetlacz.

– Pani Neilsen, rozmawiałyśmy wczoraj krótko. Mówi Brigid Quinn.

– Tak Och. Tak

– Dzwonieć powiedzieć, że właśnie rozmawiałam z patologiem. Lekarzem medycyny sądowej.

– Rozmawiała pani z lekarzem sądowym?

– Tak, to mój bliski znajomy.

– Och! Czy jest pani w stanie teraz do mnie przyjechać?

W drodze do Neilsenów zameldowałam się u Mallory przez komórkę, żeby jej opowiedzieć, czego się dowiedziałam od George'a Manriqueza, i podziękować za cudowny wieczór. Śmiała się ze mnie.

– Mówiłam ci już, że mnie nominowali do Pokojowego Nobla? Wciąż liżę rany. A skoro mowa o lizaniu, jaktam twój pies?

– U weterynarza powiedzieli, że zjadł ropuchę.

Natychmiast przechodząc od żartów do współczucia, sapnęła.

– To straszne. Słyszałam o zwierzętach... skąd on ją wziął?

– Nie jestem pewna.

– Gemma-Kate nie widziała, jak ją wykopywał? One tak zimują. A może przeskoczyła przez wasz płot i pies dorwał się do niej, zanim Gemma-Kate zdążyła go zatrzymać. Pewnie jest załamana i umiera z poczucia winy. Biedna dziewczyna.

Pomyślałam o Gemmie-Kate, że rano była spięta, jakby się obawiała, że na nią naskoczy my.

Czy w rozmowie nastąpiła wtedy przerwa? Na następne pytanie, które nie zostało zadane? Czy może znowu źle zapamiętałam szczegóły? Czy wspomniałam, że Gemma-Kate nie sprawiała wrażenia załamanej, że nawet nie przeprosiła? A może tylko to sobie pomyślałam.

Jeśli nastąpiła przerwa, wiem, że Mallory zwróciła na nią uwagę. Wiem, że obie myślałyśmy o tym samym. Mallory ponownie podjęła wątek ze zwykłym u niej opanowaniem, mówiąc to, co wypadalo, że teraz już nic nie można zrobić, ale że jest pewna, że Mops wyzdrowieje.

– Ale co z tą Jacquie? – spytała.

– Jadę teraz do niej.

– Chyba wiesz, że to była ironia, kiedy cię wczoraj zachęcałam, żebyś jej pomogła?

– Zorientowałam się. Ale podczas rozmowy z lekarzem sądowym odkryłam kilka nieścisłości. Chcę to sprawdzić. Takie rzeczy się zdarzają w wypadku niejednoznacznych zejść. Mąż zrzuca żonę ze schodów, dziecko wywozi ojca z demencją i potem opowiada, że wyszedł i się zgubił...

– Niejednoznaczne zejście. Brzmi jak kod Brigid na zwykłe mor-der-stwo... Aż mi się robi zimno. Przeróżające.

Roześmiałam się.

– Zadzwonię do ciebie, jak od niej wyjdę.

Zerknęłam na zegarek i stwierdziłam, że mam jeszcze czas przed wizytą u Neilsenów wpaść do szpitala dla zwierząt.

Poprzedniej nocy byłam rozkojarzona. Tego dnia, gdy weszłam do środka, zwróciłam uwagę, że lobby jest czyste i oszczędnie urządzone, z ty mi odsłonięty mi rurami przy suficie, które często

się teraz widuje w nowoczesnej architekturze, i aktualnymi wydaniem magazynu „Twój Kot” zamiast, jak wszędzie indziej, starych egzemplarzy „People”.

Musiałam zaczekać, aż recepcjonistka załatwi starszą kobietę, która przysła odebrać prochy jej psa. Kobieta, mimo że w poplamionych dżinsach i obszarpanym T-shircie, sięgnęła uroczyście po pudełko i przyciskając je do piersi niczym relikwię, nieco skołowana, wymaszerowała z kliniki.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała recepcjonistka z większą zyczliwością niż spotykana w większości oddziałów intensywnej opieki. Włosy tak jak ja miała ściągnięte w ścisły kucyk, tylko nie były siwe jak moje. Chyba nie była to ta sama kobieta, co w nocy. Nie mogłam sobie przy pomnieć.

– Nazywam się Brigid DiForenza. Przyszedłam się dowiedzieć, co u... Ala – wyjaśniłam.

Widocznie nie mieli wielu zwierząt, które u nich nocowały, bo wiedziała, że mówię o Mopsie. Przywołała asystentkę, a ta zaprowadziła mnie do przestronnego, dobrze oświetlonego pokoju, gdzie spał mój pies. Stały tam inne klatki, ale wszystkie były puste. Wyglądało na to, że Mopsowi nie przeszkadzało, że jest sam ani że zamknęli go w klatce.

– Chce pani, żebym go wyjęła? – spytała asystentka, choć cała jej postawa i głos namawiały mnie, żebym odmówiła.

– Nie – rzuciłam. – Chyba jest mu tam dobrze. Jak on się czuje?

Kobieta zerknęła do karty, którą ze sobą przyniosła.

– Od przyjazdu już nie wymiotował, ale nadal go obserwujemy i nawadniamy. Myślę, że jeszcze doba i będzie mógł wrócić do domu. Będziecie tylko musieli państwo go pilnować, bo czasami one się uzależniają od toksyn tych ropuch. – Pokazała na krzesło. – Proszę zostać tak długo, jak pani zechce.

Zamknęła za sobą drzwi. Przyciągnęłam plastikowe krzeselko do klatki i posiedziałam kilka minut z moim Mopsem, głaszcząc go przez oczka w siatce po niereagującym uchu, tak miękki jak zwiędły płatek kwiatu. Spomiędzy ciemnych warg wystawał różowy czubek języka.

Po jednym nieśmiałym „cześć, Al”, umilkłam. Nie byłam przyzwyczajona do rozmawiania ze zwierzętami, więc nic nie mówiłam. Kiedy się podniosłam, żeby wyjść, Mops nadal nie reagował. Wyśliznęłam się z pokoju, ostrożnie zamykając za sobą drzwi, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Byłam lekko oszołomiona, jak ta kobieta, która wyszła z prochami pupila.

Na przestrzeni kilku ostatnich lat kontaktowałam się ze światem o wiele intensywniej, niż gdy pracowałam dla Biura, ale czasami przychodziło mi na myśl, że kontakt ze światem to wcale nie taka dobra rzecz, jak sądziłam.

Wsiadłam do samochodu i pojechałam do Neilsenów, po drodze zahaczając jeszcze o zmotoryzowanego Starbucksa.

Tucson jest jak strumień płynący wzdłuż gór Catalina, rozciągających się na północy miasta. Jest dłuższe niż szersze, tak długie, że ludzie wybierają sobie przyjaciół częściowo w zależności od tego, w której części miasta mieszkają. Przejechanie z jednej strony na drugą może zająć nawet godzinę. Dlatego to częsty widok przy pierwszym spotkaniu, że w oczach rozmówców znika błysk zainteresowania, gdy ktoś rzuci „wschód”, a druga osoba mówi „zachód”. Oboje myślicie, że długi powrót do domu po prośzonej kolacji po prostu nie jest tego wart.

Większa część miasta leży na nizinie, ale niektóre domy wzdłuż strumienia rozlewają się na zbocza gór, i ta część nazywa się Foothills. To tam są pieniądze.

W mojej zakupionej na emerycką żniżkę białej toyocie camry, zakurzonej, żeby pasowała do otoczenia i nie rzucała się w oczy, wjechałam na górę krętą, stromą szosą, która jak się okazało, była drogą dojazdową do posesji Neilsenów.

Ich dom był z rodzaju tych, które mają podjazd pod *porte cochere*^[8], wielkim jak Holiday Inn, ale o wiele bardziej wymownym akcentem był rosnący przed domem kaktus saguaro. Roczny przyrost kaktusów saguaro – to te z ramionami – to tylko dwa i pół centymetra. Kiedy się je kupuje już wyrosnięte, koszt wynosi tysiąc dolarów za pół metra. Neilsenowie mieli takich pięć, każdy wysokości około sześciu metrów. Jednemu jeszcze nie wyrosły ramiona. Sterczał sztywno w górę, podparty u podstawy dwoma dużymi głazami. Ten widok zmusił mnie do refleksji, że Timothy chyba cierpi na lekki syndrom braku pewności siebie.

Musiałam chwilę zaczekać, aż ktoś podejdzie do drzwi. Wcisnęłam dzwonek tak cichy, że brzmiał jak odgłos kamienia wrzuconego do studni. Ale nie przeszkadzało mi, że czekam. Może już zwróciliście uwagę, że nie uskarżałam się na upał. Tego dnia było najwyżej dwadzieścia sześć stopni, przy dwudziestoprocentowej wilgotności. To najlepsze, na co można liczyć w tych stronach.

Ciężkie podwójne drzwi z płaskorzeźbami kalii otworzyła Jacquie. Zalatywało od niej piwem. Znałam ten odorek z czasów, gdy sama piłam, na tyle dobrze, żeby móc określić, czy jest stary, z poprzedniego wieczoru, czy nowy, poranny. Ten był świeży.

Przesunęła się w bok, żeby mnie wpuścić, potem poprowadziła przez salon, nie zatrzymując się, żeby popatrzeć, czy zrobił na mnie wrażenie. Nasz spacer – słyśmy krótko, chociaż zdecydowanie można to było nazwać spacerem – zakończył się w jednym z tych obszarów, które tworzą jedność z kuchnią. W pomieszczeniu, gdzie niegdyś spotykała się rodzina, a obecnie służy za centrum rozrywki. Jacquie usiadła w rogu kanapy z podciągniętymi pod siebie nogami i gestem wskazała mi drugi koniec.

Jej makijaż i fryzura nie były ruszone od poprzedniego dnia, nawet ich nie odświeżyła. I wciąż

miała niedomyte zęby. Ze sposobu, w jaki jej włosy były skołtunione, mogłam się domyślić, że spała na lewym boku. To nie jest bezdzusna krytyka. Po prostu znałam tak wielu rodziców, którzy stracili dzieci, że zauważam takie rzeczy.

– Przepraszam – rzuciła. Jej pierwsze słowo od otwarcia drzwi. – Taka jestem zamyślona, powinnam coś zaproponować.

Paazy w jej wypowiedzi pojawiały się w dziwnych miejscach. Jakby w połowie zdania chciała zmienić temat, ale brakło jej odwagi.

– Woda? – zasugerowałam. Na pustyni ludzie zawsze częstują gości wodą.

– A może kawy? – mruknęła.

Pomyślałam o tej ze Starbucksa stygnącej w samochodzie.

– Może i lepiej.

Podniosła się i szybko przyrzędziła mi kawę z tych małych kapsulek na jedną porcję. Nie spytała, czy chcę z mlekiem i z cukrem, ale nie przeszkadzało mi to. W ciszy usłyszałam płynący skądś odgłos szemrzącej wody, jakieś CD z nagraniem dźwięków natury, i zachciało mi się siku. Należę do tych kobiet, co to co chwila muszą chodzić do toalety. Ale nie chcąc zdradzać mojego wieku, zamiast pytać, gdzie jest łazienka, wykonałam kilka keglów^[9].

Sobie Jacquie nic nie nalala, co miało sens. Gdyby otworzyła kolejne piwo, wyglądałoby to źle, a kofeina popsułaby efekt piwa wypitego wcześniej. Wróciła do kanapy i bez słowa znowu usiadła.

– Jestem tu, żeby pani wysłuchać – rzuciłam. Ludzie zwykle mówią. Rzadko zdarza się ktoś, kto chce słuchać, zazwyczaj trzeba komuś za to zapłacić. Przekonałam się, że w śledztwie to często najlepszy początek.

Miałam rację i tym razem. Wystartowała jak koń w derby. Jacquie Neilsen mówiła dwadzieścia minut. Zamiast jednak podać prosto, trzymała się jednej ścieżki, po czym, rozkojarzona kąskiem informacji, który akurat dostrzegła, zmieniała tor, by po chwili bez ostrzeżenia powrócić do wcześniej poruszonego wątku. Zadawałam jej pytania, próbując ją zmusić do skupienia się, bym mogła pojąć sens tego, co mówiła, jednak ostatecznie esencją, jaką udało mi się wyodrębnić, było to, że bardzo kochała syna i naprawdę, naprawdę nie chciała, żeby zginął.

To – oraz że to była wina kogoś jeszcze poza Joeyem. Tak, tak właśnie, jak to sugerowała Lulu, to było sedno. Jacquie rozważała przypadkowe zabójstwo. Joe z jakimś kolegą zaszałeli i kolega zostawił go, gdy Joe miał wypadek. Brała pod uwagę nawet samobójstwo na tle prześladowania w szkole lub na tle odrzucenia przez ojczyzna jego seksualnej orientacji. Jedyłą rzeczą, która nie mieściła jej się w głowie, była myśl o bezsensownej śmierci Joeya na skutek utonięcia w trakcie masturbacji, jakiej się oddawał przy brzegu basenu. Nie jej syn. Nie, nie i nie.

Tak się zapętiła w tych wypowiedziach, że w końcu została tylko z tym „nie”. Potem wstała z kanapy i przeszła do kominka tak wielkiego, że dałoby się w nim opiec na różnie całego losia. Na gzymsie powstał ołtarzyk. Stały tam wszystkie szkolne zdjęcia jasnowłosego Joego, od słodko uśmiechniętego pierwszoklasisty po naburmuszonego ósmoklasistę z pryszczem wielkości borówki na brodzie. Dokoła wytwory artystyczne jego rąk. Miska na owoce z wypalanej w piecu gliny pomalowana w małe owocki, żeby wyglądało realistycznie. Coś podobnego do jaszczurki wykonanej z muszelek. Kamień z namalowaną na niej karykaturą twarzy. Akwarelka w ramce,

przedstawiająca dom i trójosobową rodzinę. Te przedmioty kłóciły się z wysmakowanym, dystygowanym wystrojem reszty domu.

Jacquie zdjęła z gzymsu skrzyneczkę w kształcie tych, w jakich piraci trzymali łupy, wróciła z nią do kanapy i otworzyła przede mną jej wieko takim gestem, jakby mi pokazywała drogie klejnoty.

– Miał szczęśliwe dzieciństwo. Proszę zobaczyć, ile kartek dla mnie zrobił – powiedziała. Wyciągnęła wszystkie naraz: kartka walentynkowa udekorowana goździkami z bibułki, opuncja namalowana akwarelami z różowym kwiatostanem na obrzeżach. – Joe był zawsze bardzo twórczy – dodała.

Pamiętki miały swój ciąg dalszy w postaci okolicznościowych kartek, rysunków, znalezionych gdzieś przedmiotów; wszystkie powstawały od najwcześniejszego dzieciństwa aż do czasu śmierci, nawet w okresie nastoletnim, kiedy można się było spodziewać, że chłopak zacznie się odrywać od mamusiej spódniczki.

– Ma pani jakieś praktyczne przedmioty? – spytałam. – Portfel, zdjęcia, kalendarz, telefon komórkowy?

Zamierzała odpowiedzieć. Dom był tak duży, że nie słyszało się otwierania drzwi frontowych, ale obie usłyszałyśmy zdecydowane kroki na terakotowej posadzce. Jacquie chyba lekko drgnęła, gdy je usłyszała, jakbyśmy zostały przyłapanie przez ojca na robieniu czegoś złego. Znów mi się przypomniały kobiety ze schroniska. Zanotowałam sobie w pamięci, żeby obserwować, czy zauważę u Jacquie inne oznaki lęku. Bez względu na to, co faktycznie czuła, gdy Timothy wszedł do pokoju i podał mi rękę, szeroko się uśmiechnęła, tym przesadnie promiennym uśmiechem, który widziałam u niej już poprzedniego wieczoru. Ale mąż na nią nie spojrział, żeby podziwiać ten uśmiech.

16

Brigid – rzucił, nie dodając nic w stylu: „Cóż za miła niespodzianka”.

– Panie doktorze – odpowiedziałam.

– Ależ nadal Tim – rzekł z uśmiechem, który wyszedł mu bardziej jak grymas. Zerknął na stolik przed kanapą i zauważył moją pustą filiżankę. – Brigid pewnie ma ochotę na dolewkę – zwrócił się do Jacquie. W tym momencie pocałował ją w policzek, a ona wymamrotała przeprosiny. Przegapił jej uśmiech, nie mogła się tak długo szczyrzyć, inaczej wyglądałoby to, jakby była niezłe szurnięta.

– Nie podnoś się, ja zrobię. – Wyniósł moją filiżankę do części kuchennej dużego pokoju. – Sam też się napiję – dodał i nie pytając, na jaki smak mam ochotę, wsunął kapsułkę do ekspresu i wcisnął przycisk.

Jacquie opuściła głowę. Wyglądała, jakby w tym momencie nie miała siły kontynuować rozmowy, więc lekko się obróciłam, żeby widzieć Tima krzątającego się w kuchni. Otworzył szafkę, wyciągnął apteczną buteleczkę na przepisywane na receptę lekarstwa, otworzył ją i nie wiedząc, że jest obserwowany, zajrzał do środka. Liczył pigułki Jacquie, żeby sprawdzić, w jakim jest stanie? Odwróciłam wzrok Kilka chwil później wrócił do nas z kawami. Do swojej dołączył śmietanki, podał mi moją i odszedł, by usiąść w stojącym blisko krześle. Kiedy przyszedł do domu, był swobodny, ale jego dobry nastrój już się rozprasał.

W trakcie tego wszystkiego Jacquie cały czas miała spuszczoną głowę; przeglądała prace Joego. Teraz spojrzała na męża. Jej usta ułożyły się w prostą linię, broda poderwała w górę i do przodu w krótkim przełyku krnąbrności.

– I jak tam golf? – rzuciła spóźnione pytanie, ujawniające, jak mało ją to interesowało.

Tim udał, że jest inaczej.

– Tragedia. Larry złoł mi tyłek – poskarżył się.

Nie trzeba było wielkiej intuicji, żeby się zorientować, iż wie, że moja wizyta ma związek z ich problemami, i że mu się to nie podoba. Na piaskach małżeńskiego stadła została wyrysowana graniczna linia i oboje tylko czekają, które pierwsze ją przekroczy. Ktoś musiał coś powiedzieć, a więc uczyniłam to ja.

– Pani Neilsen chciała ze mną porozmawiać jako z prywatnym detektywem o państwa synu – rzekłam. – Mam pewne znajomości i wiem, jak uzyskać odpowiedzi, których nie znacie.

Blysk – nie zadowolona, lecz olśniona – pojawił się w oczach Tima, gdy oschle rzucił:

– Tak jak w tych telewizyjnych kryminałach, to masz na myśli?

– Brigid jest agentką FBI – powiedziała Jacquie.

– Emerytowaną – sprecozowałam.

– Słyszałem – mruknął Tim.

– Chce się dowiedzieć, co się naprawdę stało Joeyowi – dodała Jacquie, chociaż nic takiego nie mówiłam. Specjalnie tak powiedziała, żeby wyglądało, że to ja wymusiłam na niej to spotkanie. Buntownicza postawa rozviała się tak szybko, jak się pojawiła, teraz w jej oczach widniało błaganie.

Obserwowałam ich milczącą walkę, popijając zarazem kawę, żeby wyglądało, że się im nie przyglądam. Mimo że przez większość życia nie byłam w związku, to i tak nie pomyliłabym z niczym innym tej intymnej wojny, jaka jest możliwa tylko między małżonkami. I byłam skłonna założyć się o wszystko, że wygra Tim, bo Jacquie nie miała tyle silnej woli, by się oprzeć mężowi; ale się myliłam.

Tim odstawił kubek z kawą na stolik obok krzesła. Zamknął oczy. Kiedy je otworzył, błyszczały. Oddał żonie tę rundę. Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Po raz pierwszy zwróciłam uwagę, jak niebieskie są jego oczy i że wyglądają zupełnie jak topniejący lód. Ale nie dotknął żony, prawie na nią nie patrzył. Przypomniało mi się, jaki był opiekuńczy na kweście, jak pocałował jej dłoń i przykrył swoją. Zupełnie, jakby z okazywaniem oddania czekał na momenty, gdy te gesty będą mogły być widziane przez większe grono osób. Być może jest jednym z tych facetów, którzy w domowym zaciszu nie ulegają potrzebie ujawniania uczuć.

– Jaq – rzucił. Odwrócił się do mnie. – Już o tym wcześniej rozmawialiśmy – rzekł. – Wielokrotnie.

– Cóż, skoro tu jestem i jeszcze nie dokończyłam ławy, może zechcielibyście o tym porozmawiać po raz kolejny?

Jacquie dała Timowi spojrzeniem znak, żeby to on mówił, ale on, opierając się, siedział z zaciśniętymi ustami. Więc zaczęła ona, od początku opowiadając wszystko to, co już musieli opowiadać policji przed pół rokiem, powtarzając to, co już mówiła mi wcześniej, i dodając kilka nowych faktów. Jak to Joey wiódł stosunkowo szczęśliwy żywot, dopóki nie osiągnął kilkunastu lat. Jak to dołączyli do kościoła św. Marcina z Pól i bardzo się ucieszyli, kiedy się okazało, że jest tam grupa młodzieżowa, bo Joey nie miał wielu przyjaciół w szkole. Zupełnie jak Gemma-Kate, pomyślałam, zastanawiając się, co jeszcze mogli mieć ze sobą wspólnego. Okazało się, że zainteresowania naukowe.

– Joseph mówił mi, że chciałby studiować medycynę. Rozmawialiśmy o różnych specjalizacjach. Interesowała go neurologia, może badania doświadczalne – wtrącił się Tim, najwyraźniej mimo woli rozochocony tematem – lub może chciał mi pokazać, że coś wiedział o swoim pasierbie, tak jak wiedziałby prawdziwy ojciec.

– Tak naprawdę wcale go to nie interesowało – zaoponowała Jacquie. – Joey mówił ci takie rzeczy, bo miał nadzieję, że będziesz go mniej nienawidził za to, że jest gejem.

Ale mu wywaliła. Głupia Jacquie, to nie jest dobry sposób na osiągnięcie tego, o co się walczy.

Tim przeczornie patrzył w moją stronę, gdy nie zwracając się do żony, odpowiadał na jej zarzuty. Zastanawiałam się, jak wiele lub jak mało tak naprawdę wiedzieli o synu i ile tak naprawdę wiedzieli o sobie. Uśmiechnął się, zanim się odezwał, ale nie do Jacquie. Uśmiech nie do końca pasował do tego, co następnie powiedział.

– Czy Jacquie już mówiła, że to ja znalazłem Joego? Opowiadała, jak go wyciągnąłem z basenu i wezwałem policję? Mówiła już, jak mnie ten śledczy maglował i maglował, aż czułem się tak, jakbym był oskarżony o zamordowanie własnego pasierba? Przepuszczam, że nie wiesz,

jak to jest stać po drugiej stronie barykady prawa, co, Brigid? Być podejrzanym, że się kogoś zamordowało.

– Nie, nie wiem – odparłam. Wszyscy kłamiemy.

– Mówiła, że nawet kazali mi oddać ubrania, które miałem na sobie, kiedy wszedłem do basenu, jakby mogły posłużyć za dowód rzeczowy? Nie, Brigid. Robiliśmy wszystko, jak trzeba. Stosowaliśmy się do procedur. Współpracowaliśmy – mówił smętnie, jakby świat był racjonalny i uporządkowany, jakby istniał właściwy i niewłaściwy sposób postępowania w przypadku śmierci dziecka. Zdawał się sugerować, że teraz kolej na wszechświat, teraz on ma wykonać swoją część roboty, zgodnie z oczekiwaniami Tima. Chciałam odpowiedzieć, że jeszcze nie powiedziałam, iż zrobili coś niewłaściwego lub nielegalnego. Ale na razie milczałam.

– Jeśli jesteś ciekawa – a jego ton sugerował, że pewnie muszę być i że to go napawa obrzydzeniem – możesz przeczytać oficjalne raporty. Jestem przekonany, że oficer śledczy wszystko to spisał i że jest to gdzieś w aktach. Ktoś taki jak ty zapewne będzie mógł do nich dotrzeć. Powiem szczerze, kiedy przejrysz dokumentację, myślę, że potwierdzisz, że nic więcej nie da się zrobić – oznajmił.

– Brigid twierdzi coś przeciwnego – wtrąciła Jacquie, splatając ręce na brzuchu.

– Nie sądzę, że powinniśmy się tym zajmować – upierał się Tim. Wypowiedział to zdanie, kładąc nacisk na każde słowo, jakby miał nadzieję, że podziałają one na nas i nie będzie musiał wyjaśniać, dlaczego tak uważa. Chodziło o to, że nie mógł tego wyjaśnić w mojej obecności, czy że w ogóle nie potrafił się wytłumaczyć?

– Dlaczego nie powinniśmy? – spytała Jacquie. Muszę przyznać, że też zaczęłam sobie zadawać to samo pytanie. – Boisz się, że będziesz musiał zwrócić pieniądze z ubezpieczenia, jeśli się okaże, że Joey popełnił samobójstwo?

Bang, kolejna strzała wystrzelona w Tima. Jak na taką myszkę, Jacquie z wielkim talentem potrafiła wytaczać działa typu „Kto się boi Virginii Woolf?”. Tim posłał jej wściekłe spojrzenie. Pochnęła go poza granice uprzejmości.

– Szczerze? Bo uważam, że zrobiliśmy wszystko. – Odwrócił się do mnie. To interesujące, jak ludzie myślą za zawodowych detektywów ze spowiednikami. Na jaw wychodzą rzeczy, których nie powiedzieliby nigdy nikomu. – Obeszliśmy wszystkie kościoły i psychiatrów. Ona chodziła nawet do wróżek na litość boską.

– Nie wróżek, tylko medium – poprawiła Jacquie.

– I opowiedz, jak się starałaś. Kazała mi zapłacić za nowy klimatyzator w kościele, do którego teraz uczęszczamy. Jakby to mogło przywrócić Joego do życia. Jakby Bóg był przedsiębiorcą handlującym urządzeniami do klimatyzacji. Ale tak szczerze, to też nie poprawiło ci samopoczucia, co?

Tim tracił opanowanie. Czulałam się nieswojo w środku czegoś, co zmierzało do domowej awantury. Przy kominku leżał pogrzebacz, noży jednak nigdzie nie zauważyłam.

– Bo ja muszę wiedzieć, co się wydarzyło. – Jacquie wyciągnęła do mnie ręce, jakby tonęła i jakbym ja była jej kołem ratunkowym. – Jaka ja byłam głupia! Z Joeyem coś się działo, a ja tego nie widziałam. Gdybym wiedziała, mogłabym to zatrzymać albo zrobić coś inaczej. Jestem pewna, że było coś, o czym nie wiem. Matki wyczuwają takie rzeczy. Może tobie się uda dowiedzieć. – Czekaając na moją odpowiedź, wyglądała, jakby wstrzymywała oddech.

Tim też wstrzymał swój i z jakiegoś powodu mnie to wkurzyło, więc oznajmiłam:

– Powiem wam, co mogę zrobić. Znam odpowiednich ludzi i wiem, o co pytać. Czasami udaje mi się uzyskiwać odpowiedzi, których zwykli ludzie nie otrzymują. Dowiem się, czy jest coś, jeśli w ogóle, czego wam nie powiedziano. Może nic takiego nie ma. I wtedy będę mogła wam polecić grupę wsparcia. Może wtedy będziecie mogli rozpocząć proces zdrowienia.

Jacque nie miała ochoty odpuścić.

– Nie wykonano badania krwi. Wiesz, żeby sprawdzić, czy nie został otruty.

– Rozmawiałam z lekarzem sądowym. Mówił, że pobrał próbki i odesłał do laboratorium, ale jeszcze nie dostał raportu.

– Widzisz, o co mi chodzi? Minęło sześć miesięcy! Nie uważasz, że jest w tym coś podejrzanego?

– Wiem, że to zabrzmiało strasznie, ale czasami tak się dzieje. Nie ma tu żadnej zmywy. – Nie wspomniałam o tym, co Manriquez mi mówił, że Tim prosił o nieprzeprowadzenie autopsji, bo to by zmartwiło jego żonę. Teraz nie wyglądało, jakby rzeczywiście tak było. Wydawało się raczej, że Jacquie, gdyby miała okazję, wręcz domagałaby się sekcji. Postanowiłam ujawnić część faktów.

– Czy we krwi waszego syna była jakaś kontrolowana substancja, czy nie, lekarz sądowy i tak by orzekł, że śmierć zaszła na skutek wypadku. Co do próbek, to mogli je zachować, ale jeśli testy nie zostały przeprowadzone do tej pory, krew zmetabolizowałaby obcą substancję, inaczej mówiąc, strawiłaby ją. Nie zostałyby nic do wykrycia.

– A gdyby ekshumować ciało i przeprowadzić dodatkowe badania? – zasugerowała Jacquie.

Wyjaśniłam pokrótce, że tylko niektóre trucizny, jak arsenik, przedostają się do tkanek, kości i włosów, że w procesie balsamowania cała krew jest usuwana, więc po takich substancjach jak leki, narkotyki, alkohol nie zostałby ślad, nawet bez procesu metabolizacji.

– No to może ten arsenik? – rzuciła Jacquie, kiwając głową z takim zapalem, jakby chciała mnie przekonać, żebym też zaczęła to robić.

Kiedy się odezwała, zerknęłam na Tima, żeby sprawdzić, jak on na to wszystko reaguje. Wstał, prostując się na całą wysokość, żeby wykorzystać jak najwięcej swojego średniego wzrostu. Jacquie też się podniosła i stanęła między nim a mną. Nigdy nie miałam dziecka, ale wiedziałam, że kobieta, która za nic nie stanęłaby w swojej obronie, własne dziecko broniłaby nawet przed lwem. Tim wyciągnął z kieszeni kluczyki do samochodu.

– Moja żona jest fanką tych wszystkich seriali o CSI – mruknął. – Ale jak dla mnie serial się skończył. Proszę wybaczyć, muszę załatwić kilka spraw. – I wyszedł.

Miał rację w kwestii serialu. Widać było, że ten scenariusz przerabiali już wcześniej, prawdopodobnie wielokrotnie. Często mnie pytano, jak mogłam pracować wśród przestępców, obcować ze złem i się nie załamywać. Cóż, prawda jest taka, że wszyscy cierpimy przez zło. Żyjemy poranieni, radząc sobie z bólem z pomocą narkotyków, alkoholu, seksu lub psychiatrów. Na szczęście dla mnie spotkałam Carla, inaczej mogłabym skończyć jak Neilsonowie. Okrucieństwo smutku zawsze zdumiewa mnie bardziej niż najbrzydliwszy czyn seryjnego mordercy. Smutek nachodzi cię zniemacka, nieistotne, jak bardzo masz zakodowane, że to zwykła ludzka kondycja. Jest wszędzie, czai się tuż pod powierzchnią.

Jacque odwróciła się do mnie, bardziej wyczerpana niż tryumfująca, niemniej, gdy się odezwała, jej głos był zaskakująco opanowany.

– Cały czas nie rozumiem, dlaczego nie zrobili analiz toksykologicznych. Przecież na ich wykonanie nie trzeba więcej niż doby, prawda?

– Och, Jacquie. – Widząc jej desperackie próby wykreowania informacji tam, gdzie ich nie było, widząc, że jest zupełnie sama, tym bardziej zapragnęłam jej pomoc. – To naprawdę nie jest tak jak w telewizji. Nie wystarczy, że wcisną jakiś przycisk i wyskoczy odpowiedź, muszą wykonać testy na wiele różnych rzeczy.

Zaprotestowała:

– Już to słyszałam.

– I zdarzają się opóźnienia. W większych okręgach na analizę czekają dosłownie tysiące próbek DNA. Nawet w Tucson muszą wybierać, która sprawa jest ważniejsza. A lekarz sądowy miał stu procentową pewność, że to był wypadek

– Mogę ci zapłacić – rzuciła. – Mam własne konto, na które Tim wpłaca pieniądze.

Wyjaśniłam, że nie o to chodzi, ale gdyby się uparła, żeby mnie wynająć, liczę pięćdziesiąt dolarów za godzinę plus pięćset bezzwrotnej zaliczki. Za tę zaliczkę mogłabym wykonać ocenę wstępną, upewnić się, że śledztwo zostało przeprowadzone dokładnie, sporządzić listę osób, które powinny być zostać przesłuchane, i dałabym jej znać, czy coś odkryłam. Spytałam, czy szukała dla siebie grupy wsparcia, ale to pytanie również zignorowała.

Wyszła z pokoju i wróciła z czekiem na pięćset dolarów oraz z dość niedawno zrobionym zdjęciem ich całej trójki, nie portretowym, raczej pokazującym ich w całości. Joe był szczupły i na tym zdjęciu ciemny jak Jacquie, włosy prawie tej samej długości i koloru. Oczywiście żadnego podobieństwa do ojczy ma. Bładość Tima sprawiała, że wyglądał trochę jak duch w tle. Joe wykonywał do aparatu toast butelką i uśmiechał się tym uśmiechem, który ludzie nazywają ironicznym. Mrużył oczy przed jaskrawym słońcem. Stał między rodzicami, obejmując ramieniem matkę, nieco odsunięty od ojczy ma.

– Przystojny młody chłopak – stwierdziłam.

– Zrobiliśmy to zdjęcie jakieś pięć miesięcy przed jego śmiercią – wyjaśniła. – Podzuciliśmy go na miejsce zbiórki. Wybierał się z kołem młodzieży na wędrowkę po kanionie Sabino. Zdjęcia umieszczono na facebooku na stronie św. Marcina. Wydrukowałam je.

– Czy to sprawa oświecenia? Jego włosy wydają się o wiele ciemniejsze niż na zdjęciach, które mi pokazywałaś wcześniej. Kiedy był młodszy, był chyba blondynem, chociaż zdarza się, że z wiekiem włosy dzieciom ciemnieją.

Jacque popatrzyła na zdjęcie z ciepłym uśmiechem.

– Nie, nie ściemniały mu. Ufarbował je na taki sam kolor jak mój. To był taki śmieszny prezent na Dzień Matki. Żeby ludzie widzieli, jaki jest dumny, że jest moim synem.

I żeby, Boże broń, ktoś się nie pomylił i nie wziął go za syna Tima, pomyślałam, ale na głos spytałam:

– Czy jego biologiczny ojciec jest blondynem?

Jacque pokiwała głową. Już się nie uśmiechała, chociaż wciąż wpatrywała się w zdjęcie.

– Nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym je zabrała? – zapytałam.

Pokręciła głową, że nie.

Jeszcze przez jakiś czas rozmawiałyśmy o wszystkich szczegółach z życia Joego Neilsena: czy się dobrze uczył, czy należał do tych chłopców, którzy się pakują w kłopoty, jeszcze raz, czy miał przyjaciół – kolegów albo koleżanki, pracę dorywczą, własne konto w banku, prawo jazdy. Odpowiedzią na wszystko było apatyczne „nie”.

– Próbowaliśmy go zainteresować różnymi rzeczami, jak w przypadku tego koła młodzieżowego u św. Marcina, ale on był samotnikiem. Nie bardzo go pociągały zajęcia poza domem.

– Jak się czuliście, wy i on, z jego orientacją seksualną? – spytałam.

– Manwaringowie ci powiedzieli? – mruknęła, marszcząc brwi. – Domyśliłam się, kiedy nie zareagowałaś na to, co mówiłam do Tima. To mogła być tylko taka faza. Eksperymentalna, prawda? Mógł się mylić.

Notując w pamięci, że nie odpowiedziała na pytanie, położyłam na stoliku formularz informacyjny, żeby go wypełniła, gdy będzie miała okazję sprawdzić niektóre dane i może gdy coś się jej jeszcze przypomni. Mogłabym temu poświęcić o wiele więcej czasu, ale również w kwestii zbierania informacji człowiek musi umieć określić, co jest pilniejsze i ważniejsze.

– Kto prowadził dochodzenie w sprawie śmierci waszego syna? – spytałam. – Ktoś z metropolitalnej?

– Masz na myśli policję? Mam wizytówkę, którą mi dał ten policjant. Ale widziałam go tylko raz. On naprawdę nic nie zrobił. Nie było żadnego dochodzenia. – Jacque miała już tę wizytówkę przyszykowaną. Pewnie założyła, że będę ją chciała zobaczyć. Spojrzałam na nią. Sam Humphries.

– Porozmawiam z nim – obiecałam. Dowiem się, czy George Manriquez miał rację twierdząc, że Humphries był skrupulatny. – Lekarz sądowy mówił, że nie było autopsji – dodałam pytającym tonem.

– Nie było... przynajmniej nie pełnej. Tim twierdził, że to nie było konieczne, i powiedział mi, że lekarz sądowy się z nim zgodził. – Jacque mocno potarła twarz dłońmi. – Jego zwłoki zostały zabrane, orzeczono zgon, potem był pogrzeb u św. Marcina. Wtedy byłam tam po raz ostatni. Wszystko potoczyło się tak szybko, że trudno mi sobie przypomnieć, co się naprawdę działo. Jest tak że...

– Nie miałaś jeszcze możliwości poczuć, że Joe naprawdę odszedł – dokończyłam za nią, odwołując się do własnej pamięci, do innych zdarzeń i innych rodziców.

Jacque otworzyła usta i wypuściła całe powietrze na jednym szybkim wydechu. Moje słowa podziały na nią jak cios w splot słoneczny. Pożałowałam ich, ale nic nie mogłam zrobić, by je załagodzić. Kiwnęła głową.

– On jest w swoim pokoju – powiedziała szeptem, jakby chłopak mógł nas usłyszeć.

– Jesteś w stanie mi go pokazać?

Jacque wstała i poszłam za nią na następną przechadzkę, tym razem w górę kręconych schodów, rozpoczynających się w salonie, potem długim korytarzem. Cały był obwieszony zdjęciami w ramkach, ale ja skupiałam uwagę tylko na jednym. Przedstawiał wszystkich Neilsenów przebranych za braci Marx. Joe był Graucho – mały chłopiec w okrągłych okularach, z doczepionymi sztuczny nosami i wąsami. Nawet trzymał w ustach cygaro. Tim był Chico – skrępowany uśmiech, kasztanowa peruka pod śmiesznym stożkowym kapeluszem. I Jacquie jako Harpo, w jasnej peruce w loki i z szerokim uśmiechem, udająca, że trąbi rowerową trąbką w ucho Joego. Zdjęcie wystarczyło za całe tłumaczenie, dlatego Tim ją kocha lub kiedyś kochał.

Słyszy dalej, ku zamkniętym drzwiom. Jacquie zmusiła się, by je otworzyć, i ujrzałam typowy chłopięcy pokój, utrzymany w kolorze brązu i leśnej zieleni. Mnóstwo elektroniki, ale nie umiałam stwierdzić, czy Joe był wyjątkowo rozpuszczony, czy po prostu tak dziś wyglądają pokoje młodych ludzi.

Spod welwetowej narzuty wystawał rąbek pościeli z nadrukiem w kowbojskie buty z ostrogami. Albo Jacquie nadal kupowała pościel w kowboje dla piętmastolatka, albo była oszczędna, a pościel tak dobrej jakości, że się nie zużywała. Tak czy owak pokój był sympatyczny. Weszłam do środka i się rozejrzałam, próbując dostrzec detale, które inni mogli przegapić. Jedyne, jaki mi się narzucało, to taki, że nie było tam żadnych. Ktoś starannie tu posprzątał. Założyłabym się, że pod łóżkiem nie znalazłabym nawet papierka po cukierkach.

Odwrociłam się, ale Jacquie nie weszła za mną do pokoju. Stała w drzwiach i niepewnie, zwiuctzylał palcem wskazującym pokazywała na drzwi do łazienki.

– Czy śledczy oglądał tę część domu? Sprawdzał, czy nie brakuje ręczników, które mogły zostać użyte do usunięcia plam wody?

Potrząsnęła głową.

– Wchodził na górę. Nie pamiętam wiele. Siedziałam na kanapie na dole.

A więc wszystko, co mogłaby mi teraz powiedzieć, było bezużyteczne. Weszłam do łazienki. Była wyłożona ciemnymi kamiennymi kafelkami, na których nie widać brudu, ale osadzający się od twardej wody kamień już tak. Wieszaki na ręczniki były puste, na zlewie nie leżało mydło. Solidna rama otaczająca drzwi do prysznica byłaby świetnym zaczepem, gdyby ktoś chciał się na niej powiesić. Otworzyłam drzwi, obydwoma dłońmi złapałam się ramy nad głową i zawisłam bezwładnie. To był jedyny przedmiot, którego dotknęłam. Tak dobre miejsce, żeby się powiesić. Gdybym chciała popełnić samobójstwo, zrobiłabym to tutaj, na przykład połknęłabym jakieś proszki, a nie topiłabym się.

Panująca w łazience cisza byłaby prawie absolutna, gdyby nie ciche trzaśnięcie drzwi od prysznica, które się za mną zamknęły. Wyszłam z łazienki i zobaczyłam, że Jacquie wciąż stoi w drzwiach i patrzy w lewo, na dywan.

– Widziałas go? Po wszy stkim? – spytałam.

– Chodzi ci o basen? Nie, tamtego dnia Tim wrócił do domu pierwszy. – Zrobiła pauzę, głęboko odetchnęła. – Ja zostałam dłużej w klubie książki.

– Czy Tim do ciebie zadzwonił?

– Powiedział, że myślał, że jestem w kinie i wyłączyłam komórkę. Mówił, że był w szoku i nie myślał jasno. Gdy wróciłam, Joey już był w kostnicy. Tim jest bardzo zaradny. Operatywny.

Dnia wywozu śmieci też nigdy nie przegapia. Zawsze wie, kiedy śmieciarze się spóźniają, nawet o jeden dzień. Z powodu świąt.

Rozbrojona wreszcie czymś, co sama pewnie nazwałaby krańcowo trywialnym, wessała w siebie kolejny głęboki oddech, po czym wypuściła powietrze z odgłosem łkania. Wyciągnęłam do niej rękę, ale kuląc się przed moim dotykiem, jakby nie była warta tego, by ją pocieszać, oparła się ciężko o framugę.

– Ojciec Joeya pojawił się na pogrzebie, chociaż dotąd nie bardzo się angażował. Przyszedł tylko po to, żeby mi powiedzieć, że to wszystko moja wina.

W tym momencie rozumiałam, że jednym z powodów, dla którego obwiniała wszystkich wokół, były wyrzuty sumienia, że została dłużej w tym pieprzonym klubie książki, sącząc trzeci pieprzony kieliszek wina. Och, te cholerne „co by było, gdy by”, jakże one nas prześladowają.

– Czy ojciec Joeya płacił na niego alimenty?

– Niedużo. Nie zarabia tyle, co Tim.

– Czym się zajmuje?

– Chyba handluje samochodami. – A więc zamieniła sprzedawcę aut na lekarza i skończyła z martwym synem. Nie wyciągałam pochopnych wniosków, że Tim coś zrobił. Po prostu podsumowałam stan rzeczy. Jackie chyba myślała o tym samym, bo powiedziała: – Wiesz, na początku zależało mi na spokoju, robiłam wszystko tak, jak chciał Tim. Ale, no wiesz, ta rozmowa z tobą mi uświadamia, że jeśli nie mogę odzyskać Joeya, to nie zależy mi też na zatrzymaniu Tima.

Tim prawdopodobnie już sam do tego doszedł, wcześniej niż sama Jackie. Na pewno uważał, że oszalała z rozpaczy. I nie tylko on. Uważali tak wszyscy, poczynając od jej męża, kończąc na oficerze Samie Humphries, tym, który prowadził dochodzenie.

Prawda jest taka, że potrafię zrozumieć ludzi, którzy tracą cierpliwość, gdy ktoś nie chce przyjąć odpowiedzi do wiadomości, jednak nie mogłam mieć pretensji do Jackie za pytania, na które nikt jej nigdy nie odpowiadał. Ale jeśli odpowiedzi nie istniały, to może zadowolili ją wiedza, że tak właśnie jest. Może potrzeba tylko tego: poświęconego czasu i świadomości, że coś jednak w jej sprawie zrobiono i zostały zadane wszystkie pytania.

– Jak długo jesteście małżeństwem?

– Dwanaście lat. Ojciec Joeya zostawił nas, gdy Joey miał trzy lata. Potem zaczął mi dokuczać ten ból mięśni i poszłam do Tima jako pacjentka. Zdiagnozował u mnie fibromialgię. Zaczęliśmy się umawiać i wydawało się, że chciał nas oboje.

– Wydawało się?

Jackie potrząsnęła głową. Wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać lub znowu zapętlić, a ja nie byłam pewna, czy któraś z nas w tej chwili byłaby to w stanie znieść.

– A jak twoja fibromialgia? – spytałam, żeby zmienić temat.

– Na jakiś czas przestała mi dokuczać, teraz znowu wróciła.

Może na to były te proszki, które liczył Tim.

– Pokażesz mi basen? Dasz radę?

Kiwnęła głową i zeszła na dół, po czym przez pokój rodzinny, centrum rozrywki i jakieś przesuwane szklane drzwi wyprowadziła mnie na patio z tyłu domu.

Basen był duży i zakrzywiony, otoczony głazami, które nadawały miejscu wygląd skalnej groty. Między nimi wila się zjeżdżalnia.

– To niesamowite, co oni potrafią zrobić z tych sztucznych skałek – zachwyciłam się.

Poczułam, że Jacquie się najeżyła.

– One nie są sztuczne – zaprzeczyła. Nie pozwala się znieślawiać arizońskich skał, nawet jeśli ktoś jest pogrążony w rozpacz po stracie dziecka. – Tim kazał go zbudować, kiedy się pobraliśmy. Mówił, że to dla Joeya, ale moim zdaniem on nigdy go naprawdę nie lubił.

Pomyślałam o zdjęciu z braćmi Marx. Nawet jeśli Tim nie lubił chłopaka, to przynajmniej się starał. Poszurałam butami o posadzkę patio: przyjemny kamień absorbujący wodę, beżoślizgowy. Obrzeże basenu nie było cementowe, tylko wykonane z terakoty schodzącej wprost do wody. Na tym już się można było pośliznąć.

– I ty niczego nie widziałaś? – upewniłam się.

– Nie. Jak mówiłam, był już w kostnicy, gdy wróciłam do domu.

– Jacquie, wiem, że to trudne pytania, ale muszę je zadać. Czy było ci coś wiadome o tym, żeby Joe spożywał alkohol?

Spojrzała na mnie, a ja z zaskoczeniem dostrzegłam lekki błysk nienawiści w jej oczach.

– Ten policjant też mnie o to pytał. – Ale nie odpowiedziała ani „tak”, ani „nie”.

Jednak kiedy mnie wypuszczała frontowym wyjściem, dodała:

– Joey się też nie masturbował.

Pomyślałam, że dziwnie się ze mną żegna, zwyczajowe „do zobaczenia” byłoby chyba bardziej na miejscu. Zastanawiałam się, czy do niej też dotarły plotki o tym, że syn wpadł do basenu w trakcie autoerotycznej ekstazy. Ale co tam, mogłam podtrzymać jej wersję. Musiałam tylko uważać na ton, żeby nie zabrzmiał sarkastycznie, jakbym mówiła: „Ech, cóż moja droga, przecież wszyscy się masturbujemy”.

– Skąd to możesz wiedzieć?

Jej odpowiedź była niewyraźna, prawie mamrotala:

– Bo... bo coś bym zauważyła. Na jego bieliźnie. Prześcieradłach. Wiedziałybym.

Mogłam się założyć, że tak. Coś mi mówiło, że wszystkie ubrania jej syna, łącznie z bielizną, w dzień prania były dokładnie oglądane, a Jacquie nie miała pokojówki, która by się tym zajmowała. Przyszło mi na myśl, że Joe dlatego miał ściągnięte spodnie, bo pod nieobecność rodziców siadł do basenu, ale tego też nie powiedziałam na głos.

Opuściłam dom Neilsenów ze zdjęciem Joego Joeya Josepha i z kopią jego aktu zgonu, który stanowił jedyne oficjalny zapis wydarzenia, nie licząc broszurki pogrzebowej, która została u Jacquie. I choć niewiele tego było, czułam podniecenie, jakie się pojawia na początku sprawy, gdy wszystko jeszcze pozostaje w sferze pytań i gdy nie ma jeszcze mowy o odpowiedziach. Coś jak uczucie, że jest się pustą tabliczką, że można podążyć w każdym kierunku i ma się do dyspozycji niezliczone wybory. Oczywiście najłatwiej byłoby poczynić te same założenia, co inni, ale to nie przyśłużyłoby się Jacquie.

Tim. W jego wypowiedziach zbyt wiele było odnośników do szczerości: „szczerze mówiąc”, „tak naprawdę”. Prowadzący dochodzenia powiedzą wam, że jeśli podejrzany okrasza tymi zwrotami rozmowę, to znaczy, że coś ukrywa. Czy Tim kłamał w jakiej sprawie? Może coś wiedział o Joeyu i nie powiedział o tym Jacquie? I dlaczego wrócił do domu, gdy ja tam byłam? Jeśli wiedział, że mam przyjść, kto mu o tym powiedział?

Ci, co piją kawę, rozumieją, że nie tyle chodzi o to, ile kofeiny potrzebujesz, a bardziej, jaką jej ilość twój organizm jest w stanie przyswoić. Trochę rozdygotana, ale zakładając, że spokojnie zdołam wypić jeszcze jedną kawę, zadzwoniłam do Mallory i spytałam, czy ma się ochotę ze mną spotkać w kawiarni Einstein's Bagels. Akurat przy niej zmusiło mnie do zatrzymania czerwone światło. Odpowiedziała, że nie może w tym momencie zostawić Owena, ale żebym wpadła do niej.

– Dowiedziałaś się czegoś ciekawego? – spytała.

– Postanowiłam, że jednak zajmę się śledztwem w sprawie śmierci Joego Neilsena. Chcę, żebyś mi powiedziała, co o nich wiesz.

– A co tu jest do śledzenia?

– Mam złe przeczucia co do Neilsenów.

– Neilsenów? Och, daj spokój. Chyba coś nie tak z twoją intuicją. Warto by ją może podregulować.

Roześmiałam się, zawróciłam i pomknęłam w stronę domu Mallory.

Jednopiętrowy dom Hollingerów był przytulniejszy niż dom Neilsenów, ale stał na jeszcze większym odludziu. Tuż za nim znajdowało się dramatycznie strome zbocze kompleksu górskiego Pusch Ridge, a obok biegł publiczny szlak wędrowski, który się rozpoczynał na szosie poniżej i przebiegał praktycznie przez boczne podwórze posesji Mallory.

Uwagę jednak przede wszystkim przyciągał sześćdziesięciometrowy podjazd. W pewnym momencie skręcał pod kątem aż czterdziestu pięciu stopni (nie przesadzam), kiedy więc się jechało w dół, trzeba było zmienić bieg na dwójkę. Z samej góry nie było widać sąsiadów, choć lekko na południe stał jeden dom, ale był sprytnie ukryty, bo znajdował się w połowie zbocza, którego szczyt zajmował dom Hollingerów. Od jego frontu rozciągał się niczym niezakłócony widok osiemdziesięciokilometrowej doliny, kończącej się dopiero u podnóża gór.

W środku wszędzie królował elegancki styl Mallory. Wykuszone okna z widokiem na zbocze na tyłach. Trzymetrowe przesuwane szklane drzwi w głównej łazience, które można było otworzyć na patio, kiedy się kąpało. Basen z małym wodospadem, chociaż bez zjeżdżalni, jak u Neilsenów. No wiadomo, tego typu rzeczy.

Mallory opowiadała mi, że jest dziedziczką funduszu po rodzicach, którzy majątek zrobili na brytyjskich tabloidach. Mówiła, że dla rozrywki i ze względów towarzyskich weszła w biznes ze sztuką i nie mogła się przestać bogacić. Otworzyła galerię w Nowym Jorku, potem w Boca Raton i kolejną w Shaker Heights. Gdy się przeniosła z Owenem do Tucson, sprzedała galerię, choć część eksponatów zatrzymała. W jej domu nie było nic z południowego zachodu, żadnych sprzętów z jasnego drewna ani indiańskich motywów. Oprócz mebli, które mogłyby pochodzić z apartamentów na Park Avenue, surowych, oszczędnych w formie, lubowała się w sztuce nowoczesnej, Picasso, Rothko, Miro, i właśnie to się widziało, idąc od wejścia ku kuchni. Nie znałam wszystkich artystów, ale podpisy na obrazach wyglądały na prawdziwe.

Mallory Hollinger nie marnowała czasu i żeby poznać miejscową socjetę, zaraz po przeprowadzce wstąpiła do stowarzyszeń symfonicznego i teatralnego, więc już знаła ludzi, którzy mogli się zadawać z Neilsenami. Uważałam, że plotki to równie dobry początek dochodzenia, jak każdy inny, poza tym miałam ochotę na babskie pogaduszki, które zaczynałam lubić coraz bardziej. Okazało się jednak, że Mallory wiedziała mniej, niż sądziłam.

W drzwiach wejściowych przywitała mnie Annette, domowa pielęgniarka. Jej brunatne włosy były krótko obcięte – wygodna fryzura, gdy się uprawia sport lub prowadzi aktywny styl życia – i wyglądały jak hełm, a o jej ciele można było powiedzieć, że jest naciągnięte niczym namiot cyrkowy lub łóżko polowe. Dłonie miała wielkie jak u mężczyzny. Musiała taka być, żeby mogła przekręcać pacjentów na wszystkie strony, jak to czy niła. Lubiłam ją, bo nigdy się nie rozkładała

ani nad Owenem, ani nad Mallory, przez co u nich też nie wzbudzała skłonności do uzalania się nad sobą.

– Hej, Brigid, co słyhać?

– Wszystko w porządku. A jak się dzisiaj czuje Owen?

– Właśnie miałyśmy go przełożyć na plecy i podać mu obiad. Chodźmy do niego.

Poszłam za nią do głównej sypialni. Charakterystyczna woń odświeżacza powietrza, maskującego zapach środków odkażających, który zawsze towarzyszy chorobie, wzmagala się, im byliśmy bliżej pokoju, który tak naprawdę wyglądał jak prawdziwa sala szpitalna z całym oprzyrządowaniem.

Pokój był duży, jak wszystkie pomieszczenia w tym domu, z szerokim podwójnym łóżkiem na niskiej ramie. Cała reszta to były sprzęty jak w szpitalu. Półki z zapasami lekarstw i środków opatrunkowych. Na lewo od łóżka pod ścianą nowoczesny monitor, który nieprzerwanie rejestrował parametry czynności życiowych chorego. Na małym regale tłoczyły się wydruki internetowych artykułów, artykuły wydarte z czasopism i opasła literatura medyczna. Twarde okładki nosiły takie tytuły, jak *Neurologia, wydanie dziewiąte*, co zdawało się sugerować, że autor wie o tym dziale medycyny wszystko, co można wiedzieć, i o innych również. Większość obwolut była czarna, granatowa lub bordowa, oprócz jednej, wyróżniającej się, bo miała barwę pomarańczowej dyni. Poza tym reszta kolekcji wyglądała jak te, jakie się widuje w gabinetach lekarskich.

Mallory codziennie spała obok Owena. Materac był sterowany mechanicznie, można więc go było ustawiać w różnych pozycjach, jak łóżka szpitalne. Teraz po stronie Owena był uniesiony pod głowę i lekko pod kolanami. Owen wpatrywał się w galerię zdjęć na ścianie naprzeciwko łóżka, wykonanych za czasów ich szczęśliwszej, i nieco sprawniejszej, przeszłości. Jedno przedstawiało jego i Mallory w dramatycznej pozie tanecznej, ze szczuplejszą Mallory popisującą się szyją jak u Audrey Hepburn, zrobione w trakcie czegoś, co Mallory określała jako *Taneczna Podróż po Argentynie*. Na drugim stali otoczeni stadkiem pingwinów. Na innym u stóp wulkanu; ich postaci były tak małe, że trzeba się było domyślić, że to oni.

Mallory siedziała na łóżku przy Owenie i masując podbicie jego stopy, czytała mu na głos. Było raczej mało prawdopodobne, żeby Owen czuł dotyk jej palców. Wiedziałam, co czytają – *Moby Dicka* – bo przerabiali tę lekturę już od jakiegoś czasu. Nie wiem, kto ją wybrał i dlaczego. Mallory jakimś szóstym zmysłem wyczuła, że za nią stoję, ale podniosła palec na znak, że chce doczytać rozdział do końca. Oprócz jej głosu w pokoju rozchodził się tylko jeszcze jeden dźwięk rytmiczne syczenie respiratora.

Miałam okazję przyjrzeć się im obojgu w sytuacji, gdy są sami. To dziwne, jak bardzo intymnie się poczułam, patrząc na to, czym się ze sobą dzielili; uważałam, że jestem uprzywilejowana, że mogę być tego świadkiem. W tamtym okresie wydawali mi się bardzo zgraną parą, choć może wszystkie małżeństwa są jak jedność. Podróżowali i tańczyli, zanim doszło do idiotycznego wypadku na torach kolejowych, w którym Mallory niemal straciła życie, Owen zaś doznał uszkodzenia pnia mózgu. Jedyne, co potem normalnie u niego funkcjonowało, to były organy wewnętrzne i oczy patrzące z ciała. Na opisanie tego stanu medycyna ma wymyślny termin, ale potocznie mówi się o kimś takim, że jest jak roślina.

Mallory troszczyła się o Owena, a jednocześnie flirtowała. Widziałam ją w akcji już pierwszego dnia naszej znajomości – sposób, w jaki zerkała na Carla, którego dopiero co poznała –

i na kweście, kiedy się potknęła, idąc z Adrianem Franklinem – to, jak obydwoma dłońmi chwyciła się jego ręki, gdy pomagał jej utrzymać równowagę. Mężczyźni, kobiety, dzieci, zwierzęta, te dodatkowe kilogramy, których tak nienawidziła – to wszystko przestawało się liczyć, kiedy się angażowała w swoją ulubioną rozrywkę.

Pewnego razu, podczas jednej z naszych brutalnie szczyrych rozmów, poruszyłam ten temat.

– Czy ty masz świadomość, jaką jesteś kokiетką? – spytałam ją.

– A, to. Dobra w tym jestem, co? – Trochę posmutniała, a ja wyobraziłam sobie, że myśli o swoim życiu po śmierci Owena. – Ale to zupełnie niewinne. Może robię to tylko po to, żeby nie zardzewieć.

Na początku uważałam ją za świętą, zanim jeszcze przyziemna rzeczywistość nie zdążyła zasnąć jej wzniosłego wizerunku. Wtedy myślałam, że znalazłam kogoś, na kim mogę się wzorować, kobietę, która mi posłuży za przewodniczkę w moich poszukiwaniach samej siebie.

– Spójrz, kochanie, przyszła Brigid! – Mallory usiadła, zamknęła książkę i odłożyła ją na stolik obok łóżka. Ale Owen już mnie zauważył i na powitanie zamrugał powiekami.

– Mam go przekręcić teraz czy zaczekać? – spytała Annette. Lekko się wzdrygnęłam, zaskoczona, że dałam się przyłapać na przyglądaniu się Hollingerom. Nie zauważyłam, kiedy Annette stanęła za mną. To było do mnie niepodobne. Może coraz bardziej stawałam się nie sobą.

– Brigid to nie będzie przeszkadzało. – Mallory odwróciła się do mnie. – Czuj się jak u siebie, moja droga.

Robiłam to przez minione miesiące tak często, że usadowiłam się w stojącym w taktownej odległości od łóżka tapicerowanym fotelu bez skrępowania. Co do Mallory, to nawet jeśli na początku nie miała aż tyle siły, by samodzielnie podnosić i przekręcać Owena, wraz z upływem czasu już jej nabrała. Ale gdy w domu była Annette, chętnie korzystała z jej pomocy. Wiedziałam, że Owena trzeba przekręcać, żeby nie dostał odleżyn i zapalenia płuc. Mallory nie chciała się zgodzić, by marniał w domu opieki. Twierdziła, że te instytucje są dla biedoty.

Podczas gdy Annette krzątała się przy Owenie, zmieniając mu worek na mocz, a potem karmiąc przez sondę, Mallory siedziała na brzegu łóżka. Zasłaniała przede mną męża, chcąc, jak sądziłam, uszanować jego godność. Ale lubiła, kiedy byłam w pokoju. Zależało jej, żeby Owen słuchał naszych rozmów. Sięgnęła po mały słoiczek z wazeliną stojący na stoliku po jej stronie łóżka, odkręciła zakrętkę, zanurzyła palec w słoiczku, po czym posmarowała Owenowi maścią usta. Jej reszkę wsmarowała potem w jego leżące na koldrze dłonie.

Przyglądając się tym pielęgnacyjnym zabiegom, spytałam:

– Co wiesz o Josephie Neilsenie?

– Jak to boleśnie udowodniłam wczorajszego wieczoru, tą, o której nic nie wiem, jest Jacquie. – Mallory zakręciła wieczko na słoiczku i odstawiła go na stolik – Wiesz, Brigid, moja matka zawsze mnie pouczała, że bym, gdy zobaczę idącego w moją stronę szaleńca, przechodziła na drugą stronę ulicy. Naprawdę aż tak bardzo potrzebujesz tych pieniędzy?

– Tu nie chodzi o pieniądze. Po prostu mam już dość spraw, gdzie motywem są zazdrość albo żądza. Poza tym, gdybym zdołała znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania Jacquie, może by się okazało, że wcale nie jest szalona. Sprawiliby mi to przyjemność.

Mallory nie wyglądała na przekonaną.

– A jak się czuje twój pies?

– Odwiedziłam go z rana w klinice. Nie wygląda najlepiej.

– Co z tą ropuchą? Skąd ją wziął?

– Nie wiem. – Wcześniej jakoś specjalnie się nie zastanawiałam nad sprawą ropuchy, jednak teraz pomyślałam, że pytania Mallory i moje odpowiedzi brzmią jak echo tych z kliniki.

– Psy wyszły tylko na podwórkę, czy Gemma-Kate zabrała je gdzieś dalej?

– Miała z nimi zostać w domu. Nie mówiła, że wychodziła z nimi na spacer.

– U was na podwórku rosną bugenwille. To tam się mogą gnieździć różne paskudztwa. Widziałas jakieś resztki ropuchy?

– Nie.

– Dziwne.

– Dlaczego?

– Niektóre z nich są większe od twoich Mopsów. Coś powinno zostać na podwórku. Lepiej to sprawdzić, bo jeszcze drugi pies się do tego dorwie. Co wiesz o ropuchach koloradzkich?

– Prawie nic. Poza tym, że ich jad jest trujący dla psów.

– Powinnaś poczytać o tym w Internecie.

W sypialni stały rozkładane stoliki do jedzenia. Annette przyniosła nam lunch – sporą porcję czegoś, co Mallory nazywała *cassoulet*, a ja zupą. Była posypana tartym parmezanem. Przed jej zjedzeniem najpierw wybrałam się do toalety; Mallory pozwoliła mi skorzystać z tej głównej, przy sypialni.

– Powinnaś podczas jazdy samochodem robić ćwiczenia Kegla. Bardzo pomagają – oznajmiła, gdy wróciłam.

– To tylko kawa. Czasami mam wrażenie, że przeze mnie przelatuje.

Potem rozmawiałyśmy o Joem i Mallory ponownie się zarzekła, że prawie nic o nim nie wie. Poza jednym, raz lub dwa przed śmiercią był u Owena, żeby mu poczytać.

Mallory uniosła głowę i lekko wydmuchnęła powietrze w bok, tak jak to robią osoby, które paląc, nie chcą dmuchać w ciebie dymem. Nie paliła już od kilku lat, ale ten nawyk jej został. Gdy tak robiła, było wiadomo, że się nad czymś głęboko zastanawia.

– Trochę mi się to nie podobało, bo w pewnym sensie miałam wrażenie, że kościelna grupa młodzieżowa wykorzystuje Owena. – Skrzywiła się przed następnym zdaniem. – Że go traktują jak jakiś projekt. Poza tym czuło się, że Joe przychodził tu na siłę, jakby ktoś go zmuszał. Ale specjalnie się nad tym nie zastanawiałam. Wszyscy na tym korzystali. Nawet Tim Neilsen, który w każdy wtorkowy wieczór mógł przynajmniej na krótko mieć Jacquie tylko dla siebie. – Odwróciła się do Owena. Nigdy w jego obecności nie mówiła o nim tak, jakby go nie było obok. – A tobie też było miło usłyszeć inny głos, prawda?

Owen jeden raz zmrużył oczy. To znaczyło „tak”. Dwa zmrużenia oznaczały „nie”.

Annette, choć nikt jej o to nie prosił, przyniosła do sypialni dwie filiżanki kawy. Jedną podała mnie, drugą Mallory, ale Mallory gestem pokazała, żeby odstawiała filiżankę na stolik obok łóżka. Spojrzała na monitor czynności życiowych i oznajmiła, że Owenowi lekko podskoczyło ciśnienie.

– Powinnaś wyjść? – spytałam. – Może moja obecność ci przeszkadza? – zwróciłam się do bezpośrednio do Owena, w ten sam sposób, w jaki to czyniły Mallory i Annette, ale on dwukrotnie mrugnął. Powoli, co jak wiedziałam oznacza zdecydowane „nie”. Annette podała mu przez kroplówkę jakieś dodatkowe lekarstwo. Potem zakropiła mu krople do oczu i wyszła, zabierając ze sobą puste talerze po zupie. Annette taka była, trochę niezauważalna, więc się o niej nie myślało, ale gdy była potrzebna, zawsze się zjawiała. Mieszkała u Hollingerów, miała tu swój pokój, i była

w domu praktycznie prawie zawsze.

Zwróciłam uwagę na jedno ze zdjęć na ścianie, chyba zrobione przez Owena, na którym Mallory stała w szczególnie ryzykownej pozie. Zawsze chciałam o nie zapytać, ale jakoś mi to umykało.

– To prawdziwy krokodyl?

– Aligator – poprawiła, nie oglądając się nawet na zdjęcie. – Nigdy nie opowiadałaś, jak się prowadzi takie dochodzenia. Od czego zaczynasz?

Odniosłam wrażenie, że jest skupiona na Owenie i że powinnam wyjść, więc moja odpowiedź była zwięzła.

– Jackie jest taka załamana. Chciałabym to tak poprowadzić, żeby wyglądało, że ktoś się naprawdę przejął tym, co się stało z jej synem. To nie powinno być trudne. Wydaje się, że wszystko było przeprowadzone na odczepnego. Nie zrobili autopsji. A ona mówi o ekshumacji zwłok. Nie wiem, jaka korzyść miałaby z tego wyniknąć, ale uważam, że powinnam ją odwieść od tego pomysłu.

Mallory oderwała wzrok od klatki piersiowej męża, poruszającej się w górę i w dół za pomocą maszyny pompującej powietrze do płuc.

– Ekshumacji? A nie mówiłam, że to wariatka?

– Jak to?

– Byłam na mszy i na pogrzebie. Zwłoki Joeego zostały skremowane. Widziałam urnę.

A więc nie istniało ciało, które można by ekshumować. Zwłoki Joeego na zawsze zachowają milczenie, nie nigdy nie opowiedzą George'owi Manriquezowi. Nic dziwnego, że Tim tak nagle wyszedł z domu.

19

Jeszcze chwilę roztrząsałyśmy to, jak bardzo niezrównoważona może być Jackie Neilsen i co w związku z tym powinnam zrobić. Po powrocie do domu rzuciłam torbę na blat w kuchni i zabrałam się do szykowania typowego wieczoru: kolacja, potem książka. Byłam w połowie którejś z kolei powieści o Jacku Reacherze. Carlo czytał *Ja i Ty* Martina Bubera, chyba czwarty raz z rzędu. Kiedy go zapytałam, dlaczego tyle razy to czyta, odpowiedział, że za trzema pierwszymi nie wszystko do niego dotarło.

– Gdzie Gemma-Kate? – spytałam, zamierzając zaproponować pomoc przy czymkolwiek, co planowała przyrządzić na kolację.

– W twoim gabinecie. Z Peterem – odparł Carlo.

– Peter. W moim gabinecie.

Zastałam ich tam siedzących przed moim komputerem. Ze skupieniem wpatrywali się w monitor.

– Witam – rzuciłam.

Peter tylko lekko się wzdygnął, jakby był przyzwyczajony, że się go na czymś przyłapuje. Gemma-Kate odwróciła głowę. Uśmiechała się słodko tym kpiącym uśmiechem przeznaczonym dla starszego pokolenia.

– Pamiętasz Petera? – spytała.

Odwzięczyłam się równie uroczy uśmiechem, choć zirykowało mnie, że Gemma-Kate traktuje mnie, jakbym miała problemy z pamięcią.

– Ależ oczywiście, że pamiętam! Peter – wymruczałam. – Mogę cię na chwilę poprosić, Gemma-Kate? Wybaczysz nam, Peterze?

Zdawał się być skonsternowany naszą nadmierną uprzejmością, ale skinął głową, jakbym rzeczywiście prosiła go o pozwolenie. Gemma-Kate i ja wyszłyśmy z pokoju, ale nie za daleko, poza tym stanęłam w takim miejscu, że miałam oko na chłopaka.

– Hm, to mój gabinet, w którym pracuję. Mogą się tu znajdować rzeczy, których obcy nie powinni widzieć. Proszę do niego nie wchodzić, zgoda?

– Okej, już wychodzimy.

Zatrzymałam ją i spytałam tak, żeby Peter nie słyszał:

– A w ogóle, to co wy tam robicie?

– Szukamy czegoś w Internecie.

– Czego?

– Zadania domowego. Pomagam Peterowi w pracy domowej z biologii. Nie jest głupi, ale do mnie mu trochę brakuje. – Gemma-Kate wydawała się lekko rozbawiona. – A może wolisz go

sama zapytać?

– Może wolę – mruknęłam i wróciłam do gabinetu. Peter wstał. Czy zrobił to po to, żeby zasłonić sobą monitor, nie wiem. Odsunęłam krzesło, na którym siedziała Gemma-Kate, jedno od kompletu stołowego w jadalni, i usiadłam, zachęcając Petera, by uczynił to samo. – Masz ochotę na coś do picia, Peterze? – Starałam się jak mogłam mówić łagodnie, choć nie przesadnie wazelinarsko, tak jak do nastolatków zwraca się większość dorosłych.

Pokręcił przecząco głową, nie mówiąc „dziękuję”. Ale nie próbował uciekać.

– W kościele poznałam twoją mamę.

Nie było to pytanie, a chłopak najwyraźniej nie czuł potrzeby przyznawania głośno, że i owszem, ma matkę.

Ciągnęłam dalej:

– Do której szkoły chodzisz?

– Do Pimy – odparł.

– To ta przy La Cholla, tak?

– Taa...

– To dość duża szkoła, prawda?

– Chyba. Nigdy do innej nie chodziłem.

– W której klasie jesteś?

– W ostatniej.

– Znasz kogoś z pierwszych klas?

– Raczej nie.

– A u świętego Marcina? Znałeś Joego Neilsena?

Nie potrafił powstrzymać podejrzliwego spojrzenia. Zmrużył oczy, jakby wiedział, do czego zmierzam.

– Nie. Nie bardzo. – Na to pytanie odpowiedział szybciej.

– Nie bardzo?

– Nie bardzo.

Tu go miałam.

– My ślałam, że obaj należeliście do tamtejszego kółka młodzieżowego?

– Ciociu Brigid – rzuciła ostrzegawczo Gemma-Kate.

Peter, widząc, że Gemma-Kate trzyma jego stronę, nie odpowiedział. Ogarnęły mnie złe przecucia co do tego chłopaka, przypomniały mi się słowa jego własnej matki, że lubi się pakować w tarapaty. Może dzieciaki glin nie powinny się ze sobą zadawać. Może jest w tym jakaś alchemia i szybko może dojść do reakcji łańcuchowej. W skrócie, do problemów.

Ale tego dnia było spokojnie. Peter wyszedł bez uskarżania się, a ja z Gemmą-Kate przyrządziłyśmy pieczeń rzymską, spoza mojego repertuaru, na sposób niemiecki, z sałatką z kiszzonej kapusty i szwajcarskim serem. Ponieważ sama potrafiłam upichcić tylko dziesięć różnych dań, które podawałam na zmianę, dopingowałam Gemmę-Kate pochwałami. Później pomogła mi też przy zmywaniu: wyszorowała garnek do którego na dnie przywarł ser.

Czułam się dobrze. Tam u licha, pamiętam, że byłam w absolutnej euforii, w głowie szumiąło mi ze szczęścia. Przepelniona nadzieją zarówno co do Mopsa, jak i samej Gemmy-Kate, nawet krótko ją uścisnęłam, gdy już naczynia były wytarte i odstawione na miejsce. Rozsiedliśmy się każde w swoim fotelu, a GK oznajmiła, że pójdzie sprawdzić, co dają w telewizji. Powiedziałam

jej, że jeśli chce, może sobie coś wypożyczyć z opcji „na żądanie”. Kiedy usłyszałam wrzaski dochodzące z jej pokoju, poprosiłam, żeby przyciszyła telewizor. Chyba oglądała horror, ale nie wyglądała na szczególnie przestraszoną. Jeśliby zajrzała do któregoś z podręczników Todda, gdy się uczył na detektywa, znalazłaby powód. Rzeczywistość jest o wiele gorsza.

Todd... Pewnie nie dzwonił, bo się bał usłyszeć, co się u nas dzieje. Postanowiłam go powiadomić, że jest całkiem nieźle. Odebrał po drugim dzwonku.

– Co się stało?

Było jasne, że ma w telefonie identyfikację dzwoniącego.

– Nic! – odpowiedziałam. – W gruncie rzeczy jest nawet miło. Gemma-Kate uczy mnie gotować, a Carlo oprowadza ją po okolicy. Mówiła ci o tym?

– Nie dzwoniła do mnie. Nawet się już zastanawiałem.

Przypomniałam sobie, jak kilka dni wcześniej, gdy wracaliśmy z kościoła, Gemma-Kate, siedząc z tyłu samochodu, pisała SMS-a i mówiła, że pisze do ojca.

– Myślałam...

– Co?

– Nic. A co u ciebie?

– W porządku.

– No to w porządku.

I na tym się skończyła moja typowa rozmowa z bratem. Przez chwilę jeszcze rozmyślałam, po co Gemma-Kate miałyby kłamać w tak nieważnej sprawie, ale w końcu zrzuciłam to na skłonność młodych do tajemnic i usunęłam tę kwestię z głowy.

Choć wieczór był przyjemny, miałam trudności z zaśnięciem, nawet mimo to, że przed położeniem się wypłam kieliszek lub dwa wina. Ponieważ po winie nie chciałam brać tabletki nasennej, przez kilka godzin leżałam w łóżku całkowicie rozbudzona. Serce mi waliło, jak zawsze, gdy mam problemy. W pewnym momencie musiałam zasnąć, ale potem obudziło mnie wiercenie w żołądku.

Szybko wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam do łazienki sądząc, że zwymiotuję, jednak miałam tylko kilka odruchów wymiotnych i na tym koniec.

– Co się dzieje? – spytał w ciemności Carlo, gdy wróciłam do sypialni.

– Wybacz, że cię obudziłam. To nic poważnego, lekkie mdłości. Może kapusta kiszona mi zaszkodziła.

– Możliwe, że to odwodnienie – mruknął. – Moim zdaniem pijesz za dużo kawy.

– Co ty tam opowiadasz – odburknęłam i poczłapałam do kuchni wypić alka-seltzer. W świetle nocnej lampki podłączonej przy kuchence przyglądałam się, jak tabletki rozpuszcza się w wodzie. Potem na myśl przyszły mi Mopsy, które, gdy było ciepło, zwykle spały na podłodze w kuchni, a gdy zimno – w naszym łóżku. W sypialni mieliśmy otwarte okno, a temperatura w nocy mogła wzrosnąć albo opaść. Wyobraziłam sobie mojego biednego psinę w szpitalnym pokoju, zziębniętego, tak jak go widziałam ostatnio. Czy psy nie lubią ciemności? Miałam nadzieję, że zostawili mu tam jakieś małe światelko, żeby się nie bał.

Naszego drugiego Mopsa nie było w kuchni, ale wydawało mi się, że gdzieś słyszę jego skomlenie. Mój niepokój wzrósł. Poszłam do naszej sypialni sprawdzić, czy tam jest.

Nie było go. Z poczuciem narastającego niepokoju, zaskoczona, że w ogóle jestem zaniepokojona – to wszystko odtwarzałam jakiś czas później, gdy trudno jest sobie dokładnie

przypomnieć, jak się ktoś czuł w przeszłości, jak silne było to uczucie i co go wywołało – obesłam cały dom, poszukując suczki. Nawet wyszłam na werandę z tyłu domu i włączyłam światło, sądząc, że może przez przypadek zostawiliśmy sunię na zewnątrz. Przeszłam się po podwórku. Psa nie było.

Zostało jeszcze tylko jedno miejsce do sprawdzenia – za zamkniętymi drzwiami sypialni, w której spała Gemma-Kate. Wróciłam do naszej, otworzyłam szafę i ostrożnie, tak żeby wieszak nie uderzył w ściankę, ściągnęłam z niego szlafrok. Zarzuciłam go i tak cicho, jak tylko mogłam – rozumiecie, żeby nie obudzić Gemmy-Kate – przekradłam się przez salon na drugą stronę domu i zajrzałam do pokoju gościnnego. Przez okno wpadało tyle poświaty księżycowej, że widać było sylwetki na łóżku. Gemma-Kate leżała na brzuchu, obejmując poduszkę, Mops w jej nogach. Przemierzyłam cicho pokój i przytknęłam palec wskazujący do boku suczki. Oddychała. Spała i w tej chwili już nie skomlała.

– Cześć, ciociu Brigid – rozległ się w ciemności głos Gemmy-Kate.

Nerw z boku szyi, który u mnie się uaktywnia w obliczu bezpośredniego zagrożenia, dał silnie o sobie znać. Gwałtownie podskoczyłam, co mi się nie zdarzało nawet w sytuacjach, gdy zaskakiwał mnie napastnik z nożem. Chociaż że z nożem, to akurat nie jest zaskoczenie, bo w zasadzie człowiek zwykle się spodziewa, że napastnik będzie miał nóż.

– Kłopoty ze snem? – spytała. Mówiła, jakby była w pełni rozbudzona.

Odchrząknęłam, żeby się upewnić, że zdołam wydobyć z siebie głos.

– Rozboleł mnie brzuch, więc wypilałam alka-seltzer i przy okazji sprawdzam, czy wszystko jest w porządku. Także u ciebie.

– No, widzę.

– Wydawało mi się, że słyszałam skomlenie – dodałam.

– Nie, pies nie skomlał – odparła.

– Ty też nie możesz zasnąć? – zainteresowałam się.

– Trochę tak

– Coś cię dręczy?

– Nie.

– No to w takim razie życzę dobrej nocy.

– Dobranoc, ciociu Brigid. Kocham cię.

Jej życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni, upomniałam się w myślach. Znowu odchrząknęłam, żeby oczyścić gardło.

– No tak, ja też cię kocham, Gemma-Kate.

Po czymś takim zabranie Mopsa wyglądałoby na brak zaufania, zostawiłam go więc śpiącego w jej nogach, wróciłam do naszej sypialni i położyłam się.

– Wszystko w porządku? – spytał Carlo.

– Jezus Maria – krzyknęłam cicho, wystraszona. – Czy w tym domu nikt nie śpi? Tak chyba raczej w porządku – dodałam, czując przyjemne zaskoczenie, choć... ten niepokój... Moje serce wciąż waliło, nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nie jestem senna po tak męczącym dniu. Podzieliłam się tym z Carlem.

– Może to przez wino – mruknął. – Za dużo kawy i wina. Wypij dużą szklankę wody.

Śmieszna sprawa. Gdy po roku małżeństwa Carlo dowiedział się, że potrafię zabić gołymi rękami i że kilka razy mi się to zdarzyło, zamiast mniej stał się wobec mnie jeszcze bardziej

opiekuńczy. Uważał, że przez moją pełną przemocę przeszłość jestem bardziej podatna na zranienie.

– Daj już spokój, kochanie, z tym matkowaniem i śpij.

Carlo przekręcił się na bok, a ja go pogłaskałam po plecach, jakby to on był tym, który potrzebuje pocieszenia. Ja też się przekręciłam, ale przysunęłam się do męża, żeby poczuć dotyk jego pośladków na swoich, tak dla ukojenia nerwów.

Siądmo rano w marcu: niebo dopiero się rozjaśnia, temperatura to przyjemne siedem stopni Celsjusza. Powietrze jest suche. Mops suchka, przygnębiona, nie odstępowała mnie na krok, siadała i gapiała się na mnie wyczekująco, ilekroć na chwilę gdzieś przysiadłam. Gemma-Kate zostawiła w patelni na kuchence trochę omleta z cheddarem i zieloną chili, który dla siebie przyrządziła. Po zjedzeniu tego i wypiciu następnej porcji alka-seltzer poczułam się trochę lepiej. Myśląc, że może spacer pomoże mi się pozbyć nieprzyjemnego uczucia w żołądku i ogólnego zdenerwowania, chwyciłam swój nowy patyk do chodzenia – ten, który zrobił dla mnie Carlo, z ostrzem na końcu, żebym się mogła opędzić od paskudztw na drodze – założyłam psu szelki i wyszłam z domu, kierując się na tyły naszej posesji.

Mówią, że przez Tucson, jego okolice i przez góry przebiega pięć tysięcy, a może nawet więcej, szlaków, które łączą teren w sieć, jak żyły i arterie w ludzkim ciele. Kiedyś pokazałam Mallory na mapie trzy z nich, te, które jeśli się wiedziało którąś iść, i miało się ochotę pokonać mniej więcej sześć kilometrów, łączyły nasze domy. Ale ona nigdy nie zgodziła się przejść wraz ze mną którejs z tych tras ani nawet spotkać się na nich w połowie drogi. Jak już wspominałam, raczej wolała chodzić na zakupy niż na piesze wycieczki.

Ale choć sama nie przepadam za robieniem zakupów, to rozumiem jej stosunek do pieszej turystyki. Kiedy pracowałam dla Biura, nie miałam czasu na obcowanie z naturą. Przyroda to było to, przez co się musiało przejść, żeby dotrzeć do innego budynku. Obecnie, dysponując czasem i wyciszonym umysłem, nie tylko zwracałam uwagę na otaczający mnie świat, ale też potrafiłam nazywać występujące w nim rzeczy. A wiosna na pustyni potrafi przyciągnąć uwagę jak mało co. Myślicie, że to przez dużą ilość fioleto? To wyobraźcie sobie fioletowe kaktusy z intensywnie różowymi kwiatami, wielkimi jak filizanki. W zimie mieliśmy sporo opadów. Nie tych nagłych monsunowych deszczy, przez które zwykle suche koryta rzek wypełniają się po brzegi wodą wylewającą się na drogi i czyniącą je nieprzejezdnymi, tylko słabych, zimnych całodziennych kapuśniaczków. Nawadniały one glebę, przygotowując ją pod żółte maki, które teraz w różnych miejscach porastały teren kępkami. Wyglądało to, jakby ktoś wawoży wysmarował musztardą.

Byłam dumna z tej myśli, z tego, że kolor maków skojarzył mi się z musztardą, zamiast z jakimś okropnym wspomnieniem z mojej brutalnej przeszłości. Tam, gdzie na wyższych wzniesieniach roztopiał się lód, widać było odbicia promieni słońca w małych kałużach. Przypomniało mi się, jak Carlowi, gdy któregoś dnia poszliśmy na spacer w stronę gór i dostrzegliśmy to błyszczenie, przyszły na myśl lśniące diamenty, a ja pomyślałam o wściekłym olbrzymie roztrzaskującym lustro. Zmieniam się, skoro maki kojarzę z musztardą. Ty lko patrzeć, a

w kształcie chmur zaczęły widzieć motyle i małe słodkie króliczki. Wszystko już nie będzie kierowało moich myśli ku czemuś obrzydliwemu.

Nie spieszyłam się i dobrze, bo ten akurat Mops lubił sobie poobwąchiwać teren. Podczas chodzenia dobrze się myśli, zebrałam więc do kupy to, czego się do tej pory dowiedziałam o Josephie Joem Joeyu Neilsenie.

Syn nadopiekuńczej matki i ojczyzna, który być może nie był zachwycony myślą, iż pasierb, hetero czy gej, nieistotne, zostanie z rodzicami pod jednym dachem na zawsze.

Zainteresowania ograniczone do robienia ręcznie wykonanych prezentów dla matki i prawdopodobnie masturbacji, możliwe, że w basenie, żeby mamuśka nie znalazła śladów na pościeli. Przemknęło mi przelotne pytanie, czy Joe, gdy się onanizował, wstrzymywał pod wodą oddech, coś jak to, do czego mnie namawiał Francis Wolfington III w tej sprawie z lat osiemdziesiątych. O mało się tamtej nocy nie utopiłam.

Otrząsnęłam się z nieprzyjemnych wspomnień i z powrotem skupiłam na sprawie Joego Neilsena.

Do kościoła i do kółka młodzieżowego wciągnięty na siłę, mogłabym się o to założyć. Odpowiednie towarzystwo zostało mu po prostu narzucone, co w tych czasach nazywają „socjalizacją”. W przyszłą niedzielę trzeba porozmawiać z dzieciakiem Eliasa i Lulu. Jak on ma na imię... Ken?

I muszę się zobaczyć z detektywem Samem Humphriesem oraz wpaść do laboratorium medycyny sądowej, pogadać z Georgem Manriquezem. Za dnia zawsze tam siedział, chyba że był na miejscu zbrodni, ale w Tucson nie dochodziło do wielu morderstw, tych podejrzanych czy tych oczywistych.

I jeszcze trzeba powiedzieć Jacquie Neilsen, że nie bada się prochów ludzkich.

Zauważyłam, że rozważając poszczególne elementy sprawy, uderzam rytmicznie kijkiem w ziemię i mamrocze: Joe. Joey. Joseph. Joe. Joey. Joseph.

Myślałam byłam tak daleko od tego, co mnie otaczało, że prawie naraziłam psa na niebezpieczeństwo. Suczka obwąchiwała stertę kamieni – pewnie czuje mocz kojotów, przemknęło mi automatycznie przez głowę – potem zaczęła rozgrzebywać ziemię obok. Przyglądałam się jej, skandując w myślach: Joe, Joey, Joseph, gdy nagle moją uwagę przykuło coś ostrego, wystającego z ziemi. Kość od kurczaka, pomyślałam, choć był to raczej instynktowny domysł niż pewność, i skróciłam smycz, żeby Mops nie mógł dotrzeć do kości.

Ale to nie była kość kurczaka. Ptasi pazur? Zaciekawiona, na chwilę zapominając o sprawie Neilsena, zaczęłam się przyglądać. Potem uderzyło mnie, że sterta kamieni nie wygląda naturalnie. Ktoś je usypał. Wciąż trzymając suczkę krótko, bo się wyrывała do tego samego miejsca, które i mnie zafascynowało, odkopnęłam kamienie na bok i czubkiem buta pogrzebałam w ziemi pod spodem. Mały ostry przedmiot okazał się być wyschniętą kończyną żaby.

Większej niż zwyczajna żaba, martwej ropuchy, dużej. A nawet ogromnej, wielkości spodka. Leżała na plecach w płytkim grobie. Nachyliłam się, żeby się jej lepiej przyjrzeć, popukałam w nią kijem.

Była rozcięta wzdłuż, od gardła po odbył, zbyt równo, żeby to można było uznać za dzieło innego zwierzęcia. Z całości brakowało tylko organów wewnętrznych.

Na spacerzy zawsze zabieram torebki na psią kupę, nawet wtedy, gdy wyprowadzam psy dalej niż na podwórko; chodzi o to, żeby nie zwabiać w pobliże domu jeszcze więcej much. Wsunęłam

dłoń do torebki i nadal trzy mając psa tuż przy nodze, pochyliłam się i podniosłam zwłoki ropuchy.

Potem poszłam do domu. Mops skakał dokoła mnie i szczekał, jakby mówił: ja to chcę, daj mi to, daj. Jakby sobie życzył śmierci.

– Nie. Niegrzeczny pies – karciałam go, ale bez przekonania, bo byłam zajęta zmuszaniem umysłu do pracy.

Kiedy już byłam w domu, poszłam po większą plastikową torebkę po zakupach, rozłożyłam ją na szklanym blacie stojącego na ganku stolika i przerzuciłam ropuchę z mniejszej torebki do większej. Włączyłam szlauch zaczepony o podwórkowy kran i pod małym strumieniem, tak żeby nie zmyć ropuchy ze stołu, opłukałam ją z ziemi. Potem uważnie się jej przyjrzałam. Rozcięcie na brzuchu widać było teraz wyraźnie. Było równe, na pewno nie od zębów. Wewnętrzne organy zostały starannie usunięte. Poszłam do domu, do biurka w salonie i wysunęłam szufladę, w której trzymaliśmy długopisy, znaczki i inne drobne przedmioty. Skalpel, którego używaliśmy do rozcinania tych przeklętych opakowań, w które pakuje się wszystko, jakby po to właśnie, żeby zniechęcić człowieka do rozpakowywania, leżał w szufladzie w tym miejscu, co zawsze. No, ale skalpel mógł zostać umyty.

Mops, skomłając, drapał w tylne drzwi. Chciał, żeby go wypuścili, chciał się dostać do ropuchy.

– Gemmo-Kate – zawołałam spokojnie, bo moja wcześniejsza wściekłość przeszła w zatykające dech niedowierzanie. Nie odpowiedziała. Usłyszałam krzyk w jej pokoju... poszłam tam. Równocześnie gapiała się w telewizor i w iphone'a. Chyba oglądała *Pilę*, ale nie wiem, którą część, bo ich nie widziałam. – Gemmo-Kate – powtórzyłam. Spojrzała na mnie pustym wzrokiem, ale przy sięgłabym, że wiedziała, o co chodzi.

– Zapraszam ze mną – rzuciłam ostro, odwróciłam się i odeszłam.

Posza za mną do salonu.

– O co chodzi? – spytała.

Kiedy się odwróciłam, żeby na nią spojrzeć, przywołała na twarz – w moim ówczesnym mniemaniu – niepewny uśmiešek

– Na werandę. Natychmiast – warknęłam głosem, który mi się łamał od nowej fali gniewu.

Otworzyłam drzwi i chwyciwszy Gemmę-Kate wcale nie tak delikatnie za ramię, wypchnęłam na zewnątrz, jednocześnie nogą zagradzając drogę Mopsowi, żeby za nami nie wyszedł. Zatrzasnęłam drzwi i wskazałam na leżącą na stole mokrą martwą ropuchę.

– Twoja sprawka, tak?

Spojrzała na ropuchę, potem na mnie. Nie zaprzeczała, nawet nie wyglądała na zaskoczoną. Popatrzyłam jej w twarz, na której ujrzałam nie strach czy wątpliwości lub wyrzuty sumienia, tylko charakterystyczną dla niej kombinację szeroko rozwartych oczu i półuśmiešku, brak jakiegokolwiek poruszenia. Wtedy po raz pierwszy umyśliłam sobie, że znam to spojrzenie z przeszłości, i ono mnie przeraziło, jak zawsze, gdy je widziałam. Doświadczyłam czegoś, co Carlo nazwałby epifanią.

– Otrułaś mi psa – rzuciłam ostro.

Drzwi za jej plecami stanęły otworem.

– Nie wypuszczaj Mopsa – krzyknęłam, ale suczka już wybiegła i Carlo rzucił się za nią. Ostrzeżenie oraz chwilowe skupienie uwagi na psie wystarczyło, by Gemma-Kate zdążyła ocenić sytuację i wymyślić reakcję. Opadła na krzesło przy stole i ukryła twarz w dłoniach.

– Co się dzieje? – spytał Carlo, patrząc na Gemmę-Kate siedzącą w klasycznej pozie biednej ofiary, zanim zdążył zauważyć martwą ropuchę.

– Otruła nam psa – powtórzyłam.

– Co się stało, Gemma-Kate? – powtórzył Carlo.

Mówiąc częściowo przez ręce, żeby nie musieć podnosić głowy i pokazać twarzy, powiedziała:

– Tamtego wieczoru, kiedy wyszliście na przyjęcie, znalazłam tę ropuchę na podwórku. Zamierzałam ją wyrzucić przez płot, ale potem pomyślałam, że może wskoczyć z powrotem, więc uznałam, że lepiej ją zabić. Potem pomyślałam... no wiecie, interesuję się biologią i już robiłam sekcję ropuchy, tylko nie takiej dużej. Dlaczego miałabym jej nie rozciąć? Nie miałam nic innego do roboty. Więc przeprowadziłam tę sekcję.

– Jak to zrobiłaś? – zapytał Carlo. Pomyślałam, że zbacza z tematu, ale go nie powstrzymałam.

– Przyniosłam z domu kilka rzeczy, skalpel z biurka i stary garnek spod kuchenki. Był zakurzony,

więc uznałam, że pewnie nie będziecie go używali. Pęsetę z waszej łazienki.

– Moją pęsetę – powtórzyłam, na chwilę się rozprasząc, bo próbowałam sobie przypomnieć, czy ten mały włoszek z brody wyrywałam sobie przed czy po kweście.

Usta Gemmy-Kate lekko drżały.

– Wasz pies chyba podszedł za blisko i może zjadł coś, co wyciągnęłam z ropuchy. Wrócił do domu i zaczął wymiotować, i dostał drgawek

– Nie mówiłaś nam o tym, kiedy wróciliśmy.

– Nie wiem, dlaczego nie powiedziałam. – Jej oczy prześliznęły się w bok, jakby przypomniała sobie coś, co nie miało związku z nami. – Tyle się działo i tak szybko. Zresztą nawet nie byłam pewna, czy to miało coś wspólnego z ropuchą. Kiedy pojechaliśmy do weterynarza, weszłam do Internetu, wygooglowałam „trujące ropuchy” i odkryłam, co się stało. Przypuszczam, że wiedziałam wcześniej, ale nie chciałam powiedzieć. Bałam się, że mnie odeślecie do domu, więc gdy byliście u weterynarza, wyniosłam ropuchę i ją zakopałam. A potem, kiedy wróciliście, już wiedzieliście, co się stało, więc uznałam, że nie muszę mówić. – Wyglądała, jakby chciała się rozplakać, ale nie mogła. – I wasz pies żyje, nic mu nie jest.

Jezus Maria, ta dziewczyna potrafiła kłamać równie dobrze jak ja.

Carlo przybrał surową minę, ale mnie to jakoś nie przekonywało.

– To nie było najmądrzejsze zachowanie, nie sądzisz?

Gemma-Kate głębiej ukryła twarz w dłoniach i potrząsnęła głową.

Kim ona była, ta Gemma-Kate?

Carlo popatrzył na mnie, jakby zamierzał coś powiedzieć. Byłam ciekawa co. Staliśmy po tej samej stronie, tak czy nie? Chciałam się z nim podzielić tym, co o tym wszystkim myślałam, ale nie w obecności Gemmy-Kate.

– Wyrzucę to do śmietnika – oświadczył. – Rano przyjeżdżają śmieciarze, poza tym ta ropucha i tak już nie śmierdzi.

– Tylko później umyj ręce – upominałam go.

Posłał mi spojrzenie typu „phi, no wiesz?”, niezwykłe u niego, zawiązał ropuchę w torebkę i wniósł ją do domu. Spojrzałam na Gemmę-Kate.

– Co zrobiłaś z resztkami, których nie dałaś psu? – spytałam.

– Przepuściłam przez młynek w kuchennym zlewie – odpowiedziała jak ktoś, kto mówi: „Przyniosłam listy ze skrzywnki i położyłam je na kredensie w przedpokoju”.

Mam bardzo odporny żołądek. Przyglądałam się akcji wyciągania auta z bagien Everglades, w którym były dwutygodniowe zwłoki. A jednak na myśl o wnętrznościach trującej ropuchy w moim zlewie zrobiło mi się niedobrze. Było tak może dlatego, że już wcześniej czułam się źle, a poza tym mój gniew przeszedł w coś jakby strach, który się umiejscowił w moim podbrzuszu w postaci twardego glazu. Dotknęłam ręką brzucha i ucisnęłam go.

– Ojej – rzuciła Gemma-Kate. – Leci ci krew z palca. Pobrudzisz bluzkę.

Carlo przyszedł do łazienki, gdy zmywałam z T-shirta plamkę krwi i oglądałam skórki na palcach, które obgryzłam, nie wiedząc, że to robię. Z dziwnym uczuciem oderwania, że te dłonie nie są moje, tylko kogoś innego, zauważyłam, że się trzęsą.

Kiedy Carlo umył swoje po popusze, zamknęłam drzwi do pokoju i powiedziałam:

– Musimy porozmawiać.

Podprowadził mnie do łóżka i usiedliśmy razem na jego brzegu. Przypomniało mi to czasy,

gdy nocą jeździliśmy do parku i siedząc w samochodzie i nie patrząc na siebie, mówiliśmy sobie to, co naprawdę myślimy. Stało się to naszym ulubionym sposobem rozmawiania o poważnych sprawach, trochę jakbyśmy chodzili do spowiedzi. Carlo ujął moją dłoń, położył ją sobie na udzie i przykrył swoją.

– Mów – zachęcił.

– Musimy odesłać Gemmę-Kate – oznajmiłam. – Nie nadaję się na jej opiekunkę. Uważam, że nie jestem odpowiednią osobą.

– To dość drastyczne posunięcie...

– Ja ci to zaraz wszystko wytłumaczę. Tylko musisz się postarać mnie zrozumieć. Są pewne rzeczy... Drobnostki, niemniej... – Carlo mi przerwał.

– Ze względu na ciebie żałuję, że przyjechała. Widać, że jesteś rozbita. Może ten ból brzucha w nocy to nerwy. Ta sytuacja cię rozstraja i to nie ma sensu. Nie warto się tak męczyć, nawet dla rodziny.

– Rozstraja? Uważasz, że w tym wszystkim chodzi tylko o to, że jestem zdenerwowana? Denerwować to się można, kiedy się toaleta zapcha. Carlo, instykt mi podpowiada, że z tą dziewczyną jest coś nie tak. To coś niebezpiecznego.

Pokręcił głową gwałtowniej, niż wymagałoby tego zwykłe „nie”

– Bo zrobiła sekcję ropuchy?

– Nie, dlatego że otruła naszego psa. Ktoś ci truje psa i nic nie mówi. Takiemu komuś raczej się nie ufa.

– Ale jej tłumaczenie brzmiało logicznie: ukrywała, co się stało, bo się bała, że będziesz na nią zła. I jesteś.

Położył mi dłoń na policzku i odwrócił moją twarz do siebie.

– Kochanie, spójrz na mnie. Jestem po twojej stronie. Ale zastanów się. To tylko kilka miesięcy. Nawet jeśli masz rację, to co gorszego może się wydarzyć?

– Najgorszego. Hm... Jest coś takiego jak tak zwana triada. Mówi się, że to wskaźnik osoby poważnie zaburzonej, złej: krzywdzenie zwierząt, moczenie się do łóżka i rozniecanie ognia. Jak dotąd mamy psa w szpitalu. Chcesz czekać na coś gorszego niż to?

– Naprawdę trudno mi sobie wyobrazić, żeby to dziecko otruło psa.

– Więc dla zabawy umówmy się, że masz bardzo kiepską wyobraźnię. A jeśli mam rację?

Carlo na tyle mnie szanował, że poświęcił chwilę na zastanowienie się nad moim „a jeśli”.

– Jeśli zrobiła to umyślnie, to została ostrzeżona. Dobrze, że znalazła ropuchę. Myślę, że Gemma-Kate nie chce wracać na Florydę, więc od teraz będzie się pilnowała.

– Żeby czegoś nie zrobić, czy żeby nie dać się przyłapać?

– Chyba nie myślisz poważnie, że twoja bratanica chciała otruć naszego Mopsa?

Umilkł.

Ja też milczałam.

W końcu się odezwał:

– Brigid... Nie myślisz tak, prawda?

– Masz rację – mruknęłam. – Jeśli będziemy ostrożni i nie zrobimy czegoś, co ją zrytuje, powinniśmy być bezpieczni. Jeśli pozwolimy jej kontrolować sytuację.

– Kochanie... Będę z tobą szczery. Mówisz jak paranoiczka. W tej chwili bardziej martwię się o ciebie niż o to, co mogłaby zrobić Gemma-Kate. Moim zdaniem, reagujesz przesadnie. I

pomyśl o Toddzie. Nie możemy go czymś takim obciążyć. Musiałabyś mu wytłumaczyć, dlaczego ją odsyłasz, a to się nie wydaje w porządku, teraz, gdy jest w żałobie po śmierci żony.

Carlo jest po mojej stronie, upomniałam się w duchu i zdusiłam narastające rozdrażnienie. Może faktycznie miałam paranoję. Dobrze, patrząc wstecz wiem, że w tej sprawie ją miałam. A jednak, jak się później okazało, nie byłam w całkowitym błędzie.

– Zgoda, ale sprawdź baterie w czujnikach dymu.

– Jesteś sam? – spytała Gemma-Kate.

– A widzisz w pokoju kogoś jeszcze? – odpowiedział Peter.

– To przynajmniej mów ciszej, w razie gdyby ktoś mógł cię usłyszeć. Posłuchaj, ciotka znalazła ropuchę.

– Jak ją znalazła?

– Drugi Mops ją wygrzebał tam, gdzie ją zakopałam. Brigid się domyśliła, że to ja ją rozkroiłam, a potem ich okłamałam.

– Czy ten zatruty pies żyje?

– Taa, ale nadal jest w klinice.

– Dlaczego?

– Od tej trucizny wymiotował i miał drgawki.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. Masz jaja.

– Wszyscy robią z tego takie wielkie halo.

– Dostałaś jakąś karę?

– Jeszcze nie. Ale ciotka dziwnie się zachowuje, podsłuchałam, jak rozmawiała z mężem. Chce się mnie pozbyć.

– To znaczy co? Zaaresztuje cię?

– Za próbę zamordowania psa? Żartujesz? Chyba chce mnie odesłać na Florydę. Ale ja nie chcę tam wracać.

– Dlaczego nie? Plaża i te rzeczy.

– Floryda jest do dupy. Za nic nie dam się jej odesłać do tego syfu – oznajmiła twardo Gemma-Kate.

– To co zrobisz, podrzucisz ciotce ropuchę do jedzenia? – roześmiał się Peter.

Wpuściłam ją pod swój dach. Postąpiłam jak należało, dotrzymałam obietnicy danej Marylin, ale jednak nie powinnam była brać do siebie Gemmy-Kate. Przypomniała mi się rozmowa z pewną młodą agentką o tym, że aby schwytać seryjnego mordercę, musimy zachować łączność z zabójcą w sobie. Ale może nie każdy ma wewnętrzne go seryjnego mordercę. Może chodziło tylko o nas, Quinnów.

Nie po raz pierwszy się zastanawiałam, czy cała moja rodzina nie jest pod tym względem pokręcona, czy do pewnego stopnia nie występował u nas genetyczny brak humanitarności, i tylko jakiś przygodkowy rzut kosmicznej kostki ustawił nas po stronie dobra.

Po upewnieniu się, że Annette zostanie z Owenem i że wszystko jest w porządku, Mallory zgodziła się pójść ze mną na niezapowiedziany obiad. Umówiłyśmy się w Blanco, jednej z meksykańskich restauracji, do których Mallory chadzała. Fasolę i enchiladę podawali tam świeże, sałatki robili z arbuzem i mozzarellą, a guacamole przyrządzali przy stoliku w kamiennym moździerzu.

Dzień był typowo wiosenny, pogoda wciąż na tyle przyjemna, żeby usiąść na tarasie z widokiem na dolinę, w której leżało Tucson. Włączono nawiewy z mgiełką wodną, która z powodu niskiej wilgotności prawie wysychała, nim dotknęła naskórka, ale schładzała powietrze dookoła.

Mallory już tam była – na stoliku obok chłodziła się butelka białego wina – i podjadała coś z półmiska z pieczonym czosnkiem niedźwiedzim, kruszonką z niebieskiego sera i chlebem. Gestem dłoni pokazała, żebym też się poczęstowała. Jej kieliszek był już prawie pusty, ale podszedł kelner i nalał wino mnie oraz dolał do kieliszka Mallory. Gdy spytał, czy może odebrać zamówienie, z zalotnym uśmiechem w delikatny sposób go przepędziła. Ja sięgnęłam po kromkę chleba, posypałam ją serem i na wierzch dodałam miękki, upieczony czosnek, po czym wszystko schrupałam ze smakiem. Potem zjadłam jeszcze jedną taką kromkę i napiłam się wina.

Gdy w pewnym momencie podniosłam wzrok, zobaczyłam, że Mallory przygląda mi się, marszcząc brwi. A Mallory rzadko się marszczyła. Twierdziła, że to marnowanie kosmetycznych zabiegów, jakim się od czasu do czasu poddawała, tego rodzaju gruntownych procedur, których skutków nie widzi się od razu.

– Dlaczego utykasz? – spytała.

– Jak to „utykasz”? Ja nie utykam.

– Ależ tak Obserwowałam cię, gdy szłaś do stolika. To nie wyraźne kulenie, ale jednak utykasz.

– No to wspaniale. Jeszcze i to?

Popatrzyła na mnie uważnie i nagle zmieniła temat.

– Brigid, czy ty się dobrze czujesz?

Uzmysłowiłam sobie, że nie mogę mówić, bo szczęki są zacisnięte, a język przykleił mi się do podniebienia. Na siłę rozluźniłam szczękę na tyle, żeby móc zapytać, dlaczego o to pyta.

– Wydajesz się niespokojna. To do ciebie niepodobne – powiedziała.

Przez tę uwagę nagle uświadomiłam sobie, że czuję pulsowanie na szyi. Z czystej ciekawości przytknęłam do niej palec, zgadując, że puls mam pewnie bliski stu dwudziestu.

– Jestem... bardzo... sssspięta.

– Śmieszne, zawsze cię miałam za diabelnie opanowaną. Dlatego mnie to zdziwiło.

– No, wiem! Czuję się, jakby jedyną rzeczą trzymającą mnie w kupie były moje nerwy – odparłam.

– Opowiadaj, co się dzieje – zachęciła, udając, że kciukiem włącza nieistniejący stoper. To był gest, który miał nam przypominać, że choć w naszym wieku można latami się rozwodzić o dolegliwościach zdrowotnych, my tego mamy nie robić, bo to okropnie nudne. Moimi powszednimi bolączkami były kłopoty ze snem, ból w krzyżu i alergie. Mallory lubiła się uskarżać na zatwardzenia, sezonowy reumatyzm i niekończącą się walkę o zrzucenie dziesięciu kilogramów.

– Nie mogę sobie przypomnieć, czy to się zaczęło dopiero wczoraj, czy wcześniej. W nocy rozboleł mnie brzuch i byłam jakaś niespokojna. Teraz za to jestem otepiała, w głowie mam mętlik. Może dlatego, że się nie wyspałam, choć Carlo uważa, że to przez stres. Ale ja, zestresowana? Tak czy inaczej, jeśli chodzi o żołądek, nadal coś mi tam jeździ.

Kliknęła w niewidzialny stoper, jakby go wyłączała, jakby to było ważniejsze od sezonowego kataru czy pękniętego hemoroidu.

– Nierównowaga elektrolitów? Za dużo albo za mało wody.

Posiadanie chorego męża z konieczności czyni człowieka ekspertem w dziedzinie medycyny. Pokręciłam głową.

– Nie zmieniałam diety. Jadłam i piłam to, co zawsze.

– To pewnie nic poważnego, ale kiedy się ostatnio badałaś? – spytała.

– Nie pamiętam. Chyba w zeszłym roku, kiedy brałam szczepionkę przeciwko grypie.

Sięgnęła po torebkę wiszącą na oparciu krzesła. Była z rodzaju tych, które gdy się je widzi w sklepie, człowiek zadaje sobie pytanie, kto zechce zapłacić tysiąc dolarów za coś tak maleńkiego. Wyciągnęła z niej telefon komórkowy.

– Nie wiem, do kogo chodzisz, ale najwyższa pora odwiedzić dobrego internistę.

– No, nie wiem – mruknęłam.

– Ale ja wiem. – Wybrała numer z listy szybkiego wybierania – domyślałam się, że miała go tam wpisany ze względu na Owena – i przewróciła oczami, bo pewnie usłyszała powiadomienie typu „jeśli to, to przyćśnij to”. Z góry wiedziała, jaki klawisz wcisnąć, żeby się połączyć. – Mówi Mallory Hollinger – oznajmiła, gdy ktoś odebrał. – Proszę przekazać doktorowi Neilsenowi, żeby do mnie zadzwonił, gdy tylko będzie mógł.

Zrobiła przerwę.

– O nie, pan Hollinger czuje się dobrze. Niemniej proszę o telefon od doktora Neilsena. – Rozłączyła się bez pożegnania.

– Nie sądzę, żeby doktor Neilsen bardzo mnie w tej chwili lubił – zauważyłam.

– A jakie to ma znaczenie? Mnie pewnie też nie lubi po tym, jak sięciągnęłam jego i Jacquie na to przyjęcie. Nie zapominaj, że to ja was sobie przedstawiłam. Ale jest lekarzem, a nie

chłopakiem na randkę. Obchodzi go tylko, czy stać nas na zapłacenie za wizytę.

Dłużej się nie opierałam. Po wypowiedaniu się ze wszystkiego, co mnie dręczyło, byłam zbyt wyczerpana, żeby się czemkolwiek przeciwstawiać. Łatwiej było pozwolić Mallory działać.

Po odłożeniu telefonu wyciągnęła z torebki pudełeczko na lekarstwa w kształcie jajka Fabergé. Byłam pewna, że to nie oryginał.

– Chcesz też? – spytała, po czym otworzyła jajko i wysypała na rękę kilka różnej wielkości kapsulek i tabletek

– Co to za lekarstwa? Po co tyle? – zdziwiłam się.

Pokazywała każdą tabletkę po kolei.

– Dziurawiec, valium, tabletki na odchudzanie, tabletki na odchudzanie, wapno, tabletki na odchudzanie, valium, olej z rekina. Proszę, weź valium.

Popatrzyłam na proszek z powątpiewaniem. Rozpoznawałam go, bo takie same miałam w domu, ale obiecałam Carlowi, że będę z tymi rzeczami uważała.

– Jeśli się odprężę, może być niewesoło.

– Zaryzykuję. Możesz go nawet popić winem – zapewniła. – To tylko dwa miligramy. Tim mi przepisał, żebym brała, kiedy będą mi siadały nerwy z powodu Owena.

– Wezmę, jak wrócę do domu. Jeśli do tego czasu nie poradzę sobie bez nich, to znaczy, że jest ze mną gorzej niż przypuszczam. To powinno wystarczyć – oznajmiłam, sięgając po kieliszek z winem. Ale zaciśnięcie palców na nóżce wywołało skurcz, więc po wypiciu porządnego łyka i gdy już udało mi się odstać kieliszek na stół bez rozlania wina, zaczęłam, by pozbyć się bólu, gimnastykować palce. – Powinnas przestać się przejmować swoją wagą – rzuciłam, żeby zmienić temat. – Wyglądasz dobrze.

Mallory uniosła rękę i chwyciła się za zwiotczały mięsień trójgłowy ramienia ze spojrzeniem mówiącym: „Wysoki sędzie, nie mam nic więcej do dodania”. Z urazą rzekła:

– I to mówi ktoś, kto wciąż może chodzić w bluzkach bez rękawów. Nienawidzę cię.

Pomyślałam o niedawnym przypadku, kiedy to na skutek moich działań trzy razy ode mnie młodszy weteran wojny padł zemdlny.

– Sama się nienawidzę. To nie ja. Może to sprawa hormonów?

Mallory prychnęła.

– Twoje hormony nie funkcjonują już od dobrych kilku lat. Nie jestem pewna co do utykania, ale niepokój musi mieć jakieś powód. – W domu miała męża, który nie mógł poruszyć ręką i nogą, a przejmowała się moim niepokojem. – Gemma-Kate? – spytała.

Miło być z kimś tak blisko, żeby się swobodnie porozumiewać.

– Gemma-Kate – przytaknęłam. – Gemma-Kate.

– Rozmawiałaś z Carlem?

– Carlo jest zauroczony.

– Przeszkadza ci to?

– Do teraz nie przeszkadzało. Ale po to właśnie są przyjaciele, żeby człowiek zaczął zauważać rzeczy, których wolałby nie widzieć. Tylko jeśli tak jest, to kto chodzi do psychologów?

– Czy właśnie zasugerowałaś, że podejrzewam Carla o to, że jest zdolny do nawiązania romansu?

Niewiele rzeczy było w stanie wstrząsnąć Mallory Hollinger, ale to ją zaszokowało.

– Z Gemmą-Kate?

– Nie, nie, nie. Z kimś bardziej w jego wieku.

Spodziewałam się, że mnie wyśmiejcie, ale jej odpowiedź brzmiała:

– Kobiety są zdolne do platonicznej przyjaźni, jednak w przyjaźni mężczyzn z kobietami, moim zdaniem, zawsze istnieje podtekst seksualny, nawet jeśli facet mu nie ulega. Czy Carlo ma jakieś przyjaciółki?

Zastanowiłam się.

– Ciebie – odparłam i się roześmiałam.

– Co w tym takiego zabawnego? – obruszyła się. Widać uważała, że to oczywiste, iż mogłaby wpaść w oko każdemu facetowi. Chyba zamierzała zesnurować usta, ale ostatecznie zrezygnowała z dbałości o niepogłębianie zmarszczek.

Oto kolejna porcja mądrości, jaką kiedyś podzieliła się ze mną Mallory: nieważne, jak ktoś traktuje ciebie; o tym, czy naprawdę jest dobry, świadczy to, jak traktuje kelnerów. I to, żeby zawsze wypijać wino do końca. Pojawił się kelner, by zebrać ze stołu ogołocony w tajemniczo szybkim tempie półmisek po niebieskim serze i czosnku.

– Proszę nie odchodzić, mój drogi – powiedziała do niego Mallory, lekko dotykając palcami jego ramienia. – Zbyt długo tu gawędzimy i zajmujemy stolik. Powinnyśmy coś zamówić. – Wybrała sałatkę z kawałkami kurczaka na sposób południowo-zachodni, sos poprosiła podać oddzielnie.

Zamówiłam to samo, bo nieoczekiwanie wybieranie z menu okazało się dla mnie zbyt stresującym zadaniem. Dziwne, żeby ktoś, kto prowadził tajną akcję w meksykańskim kartelu narkotykowym, czuł strach przed kartą z daniami. Kelner odszedł, a Mallory rzuciła:

– Może się lepiej poczujesz, jak coś zjesz. A teraz mów, co jeszcze cię dręczy?

Opowiedziałam jej o wszystkim; o tym, że znalazłam ropuchę i że Gemma-Kate nie przyznała się do tego, że była odpowiedzialna za zatrucie psa, i że się zastanawiałam, czy zrobiła toумыślnie.

– Twierdzi, że nie wiedziała, że te ropuchy są trujące, dopóki nie sprawdziła w Internecie.

Mallory wzruszyła ramionami.

– Wydawało mi się, że wszyscy to wiedzą.

– Ja nie wiedziałam. Ale i tak się zastanawiam.

Sądziłam, że Mallory mnie wykpi, powie, że widziałam za dużo filmów o okrutnych dzieciach, ale ona tylko skinęła głową i słuchała, gdy opowiadałam o tych wszystkich drobnych sprawach dotyczących Gemmy-Kate, które mnie doprowadziły do obecnego stanu. Zaczynałam żałować, że nie zażartowała, że się naoglądałam filmów o wynaturzonych nastolatkach. Ale wszystko, co od niej słyszałam, to tylko „hm”, „ach, tak” i „rozumiem”. Jak Carlo, udzielała mi wiele wsparcia, ale żadnych pomysłów na rozwiązanie sytuacji.

– A co o tym myśli Carlo?

Zreferowałam jej naszą rozmowę, wyjaśniłam, że mnie wspierał, ale nie widział tej sytuacji jak ja.

– Jest na to zbyt racjonalny.

– Nie możesz mieć o to do niego pretensji – uznała Mallory. – Sama wiesz, co się zwykle mówi o sąsiedzie, który okazał się seryjnym mordercą.

Roześmiałam się.

– Był taki spokojny. Nigdy nie stwarzał żadnych problemów. A tu się okazuje, że cały czas

trzymał zwłoki w zamrażarce.

– Może powinnaś się poradzić eksperta – zasugerowała. – Znasz tu kogoś? Może ktoś powinien ją zobaczyć i ocenić, co się z nią dzieje? W sprawach zdrowotnych mogę udzielać wielu rad, ale na psychologii się nie znam. Jesteśmy z Owenem aż do znużenia normalni.

Doznałam momentu ośnienia, gdy nagle z pamięci wypłynęła mi twarz dawnego znajomego.

– Znam kogoś takiego. Pracuje dla Biura, jeszcze nie przeszedł na emeryturę, więc pewnie uda mi się go złapać w pracy. Nawet kiedyś poznał Gemmę-Kate, gdy mnie odwiedziła w Waszyngtonie, kiedy tam mieszkałam. Zobaczymy, co mi poradzi.

– A przede wszystkim zacznij oddychać, kochanie, bo ciągle wstrzymujesz oddech.

Wciągnęłam kolejny głęboki haust powietrza i ucieszyłam się, gdy kelner przyniósł nasze sałatki i do końca opróżnił butelkę wina do naszych kieliszków. Mallory zaczęła, aż odejdzie, nim spytała:

– Myślisz, że możesz mieć depresję? Okoliczności, których się nie da kontrolować, te rzeczy?

Prychnęłam i sięgnęłam po widelec, chcąc się zabrać do jedzenia, ale znowu dostałam skurczu palców i nie mogłam utrzymać widelca. Odłożyłam go i ukrywszy dłonie pod stołem, żeby nikt nie widział, wyginałam palce, dopóki skurcz nie ustąpił.

Obydwie odroczyłyśmy rozmowę na czas wyszukiwania w sałatce tego, co najlepsze: oliwek Kalamata, pasków pieczonego kurczaka, czerwonych papryczek. Znowu złapał mnie skurcz, ponownie wykonałam gimnastykę dłoni, żeby się go pozbyć. Jeśli podłożem skurczów był stres, to wino niewiele na to pomagało.

Mallory umoczyła ząbki widelca w sosie na boku talerza i nadziała na widelec cząstkę awokado; sposób na ograniczenie kalorii. Jeśli nawet zwróciła uwagę na moje manewry z dłońmi, postanowiła to zignorować.

– Mogę ci dać jedną radę?

– Jaką?

– Jeśli Gemma-Kate ma problemy, może lepiej trzymać ją z daleka od Petera. Ten mój pomysł chyba jednak nie był taki wspaniały, jak sądziłam.

– Coś słyślaś?

– Nic strasznego. Pogadałam z Lulu, wtedy kiedy Gemma-Kate z nim wyszła, bo wydawałaś się przejęta. Nic wartego wzmianki, aż do teraz. Picie piwa, zniszczenie samochodu; widać to jakby po jego matce, wydaje się taka spięta jak ty. Może generalnie chodzi o obcowanie z nastolatkami. Wywołują stresujące sytuacje.

Przypomniałam sobie tę kobietę wiewiórkę. Mallory miała rację. Sprawiała wrażenie, jakby zawsze była w gotowości, czujna.

– Więcej już razem nigdzie nie byli, ale podsłuchiwałam, jak z nim rozmawiała przez telefon. Mówiła zupełnie inaczej, niż wtedy gdy rozmawia ze mną lub z Carlem. Prawie jak ktoś inny.

– No cóż, to akurat nic dziwnego. Pamiętasz tego chłopaka z *Leave it to Beaver*^[10]? „O rany, jaki piękny fartuszek, pani Cleaver”. Pewnie jest bardziej sobą, gdy jest z kimś w jej wieku, jakkolwiek to „sobą” wygląda. Pewnie wszyscy tak mamy. Ale i tak bym uważała... och... – Widelec zaczął jej nagle ciążyć.

– Co? O czym pomyślałaś?

– Nie, o niczym. Takie tam głupoty.

– I co z tego, że głupoty? Nie przypominam sobie, żeby to cię kiedykolwiek powstrzymało od mówienia.

– To, jak ty... nie, no serio, chyba mi odbija. Naoglądałam się za dużo telewizji.

– Nazywają to „syndromem CSI” – mruknęłam. – Moim zdaniem Jacquie Neilsen ma ten sam problem.

Zadzwonił mój telefon, a ponieważ myślałam, że to od weterynarza, odebrałam, nie patrząc na wyświetlacz.

– Brigid? Tu Jacquie Neilsen.

– Witaj, Jacquie – odparłam, przyglądając się, jak Mallory bezgłośnie mówi: „O wilku mowa”.

– Czego się dowiedziałas? – spytała Jacquie.

– Kochanie, to dopiero jeden dzień. Nie mam jeszcze żadnych informacji, ale po południu idę się spotkać z tym oficerem śledczym i obiecuję, że później do ciebie zadzwonię, okej?

– Okej. – Rozłączyła się.

– O czym to rozmawialiśmy? – spytałam.

– O twoim mężu, o tym, że się źle czujesz i o twojej szalonej bratanicy. Ale zostawmy to i poplotkujmy o Neilsenach.

Powiedziałam, że wiem tyle samo, co poprzedniego dnia, ale opowiem jej, czego się dowiedziałam, gdy porozmawiam z policjantem, który prowadził śledztwo, i z lekarzem medycyny sądowej.

– Jakie to interesujące. Mogę ci jakoś pomóc?

– Na przykład w czym?

– Mówię serio, mogłybyśmy stworzyć zespół, same kobiety.

Mallory oczywiście żartowała, ale pomyślałam o innych moich współpracownikach, którzy zginęli, i nie było mi do śmiechu.

– Nie – rzuciłam tylko.

– W porządku, może faktycznie jesteśmy trochę za stare, ale mimo wszystko...

– Zastanowię się. – Nie.

Dokończyłyśmy nasze sałatki i zapłaciłyśmy po połowie. Kiedy Mallory mi się przyglądała, gdy podpisywałam paragon, pod jej uważnym spojrzeniem poczułam się trochę nieswojo. Chyba chciała sprawdzić, czy drżą mi ręce. W drodze do wyjścia obserwowała, jak idę, i w końcu zaprosiła mnie do siebie – „mam w domu coś, co ci pomoże”.

Pojechałam swoim samochodem, żebym potem mogła wrócić prosto do siebie. Szosa prowadząca do jej posesji była stroma i kręta; na jednym z zakrętów musiałam ostro zahamować, bo na drogę wyszedł mi człowiek.

Ale to nie był tylko człowiek. Zatrzymał się jakieś pięć metrów od samochodu i odwrócił do niego twarzą. Ujrzałam Carla. Zobaczyłam, że się uśmiecha tym swoim zwykłym łobuzerskim uśmiechem. Potem ciało oderwało się od twarzy, przemieniając uśmiech w grymas gołej czaszki. Nieważne, jak wspaniale dotąd potrafiłam reagować na nieprzewidziane zagrożenia, tym razem byłam bezsilna. Na pół zahipnotyzowana, na pół przerażona, przyglądałam się, jak Carlo dalej zamieniał się w szkielet, od czubka głowy po stopy, zanim się kompletnie nie stopił z asfaltem, nic po sobie nie pozostawiając.

Mam skłonność do wyobrażania sobie strasznych rzeczy. Zdarza się nawet, że te rzeczy wcale nie są wytworem mojej wyobraźni. Ale to było prawdziwsze od wszystkiego, co sobie dotąd

kiedykolwiek wyobraziłam. A jednak byłam pewna, że nie zobaczyłam nic rzeczy wistego. To nie jest realne, powiedziałam do siebie. Złudzenie optyczne wywołane światłem. Bardzo dziwne złudzenie optyczne wywołane światłem.

Słabe pocieszenie, gdy się zorientowałam, że palce mam zaciśnięte na kierownicy, dyszę od hiperwentylacji, a serce wali mi tak mocno, że pulsowanie krwi czuję nawet w języku. Pod pachami miałam pot, co przy dziesięcioprocentowej wilgotności powietrza jest szczególnie zauważalne. Zajęło mi kilka minut, zanim się uspokoiłam i mogłam ruszyć wolno dalej, powtarzając sobie, że to, co mi się przywidziało, to nie były obrazy z przyszłości.

Kiedy dotarłam na miejsce, drzwi były otwarte i wokół pusto. Nikt się nie zapytał, „co tak długo”, i bardzo dobrze, bo nie chciałam urealniać szkieletu Carla, opowiadając o nim. Weszłam do środka z zamiarem odszukania Mallory, ale poczułam nagły ból brzucha, szybko zmieniając kierunek i pobiegłam do łazienki dla gości.

Wyglądało, że dokuczały mi nie tylko wymioty. Nie czułam się tak odkład próbowałam dodawać do wódki colon C, bo alkohol wywoływał u mnie zatwardzenie. Czy te objawy były ze sobą powiązane, czy to kolejny symptom czegośkolwiek co mi tam było? Nie ma nic atrakcyjnego w opowieściach o biegunce, ale usiłuję zrelacjonować wszystko, co się wydarzyło, nawet jeśli wtedy wydawało się to nieistotne. Umyłam ręce i szukając odświeżacza powietrza, otworzyłam szafkę pod zlewem. Znalazłam w niej coś, co się nazywało „neutralizatorem zapachów” w eleganckiej buteleczce, nie do kupienia w Walmarcie. Zerknęłam na spód, na nieoderwaną metkę. Siedemdziesiąt dziewięć dolarów, dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Rozmyślając o tym, że kupiłam wodę kolońską, która kosztowała mniej niż ten odświeżacz, spryskałam nim siebie i łazienkę.

Odstawiłam buteleczkę z powrotem na miejsce, przy okazji zaglądając do szafki, żeby sprawdzić, co jeszcze tam jest. Tym razem w oczy rzuciły mi się zgrabna górka zapasowego papieru toaletowego, puszka Scrubbing Bubbles, pumeks, z tych, które ścierają kamienny nalot po wodzie, i mała kolekcja szamponów i odżywek z ekskluzywnych hoteli. Widać bogaci też je zabierają, pomyślałam, zastanawiając się, jak stare mogą być te łupy i kiedy ostatnio Hollingerowie mieli okazję podróżować.

Zamknęłam szafkę i – a co tam – póki przy tym byłam, zajrzałam też do tej nad umywalką. Stała tam cała gama sprzedawanych bez recepty leków przeciwhistaminowych, aspiryna, jeszcze nieużyta pasta do zębów oraz coś z kategorii marzeń o wieczności: nieotwarta tubka nakładanego miejscowo estrogenu z kończącą się datą przydatności. Uwaga dla tych przed menopauzą: używa się tego na suchość w pochwie. Mimo tylu rozmów o naszych mężach, Mallory i ja rzadko poruszałyśmy temat seksu. Przeważnie to ja go unikałam, ponieważ zakładałam, że Owen ostatnio raczej nie miewa erekcji, a nie chciałam robić Mallory przykrości. Było też mało możliwe, żeby Owen wydobrzył przed upływem terminu ważności maści, pomyślałam więc, że być może Mallory planuje znaleźć sobie kochanka. Na myśl przyszedł mi Adrian Franklin.

Była tam też fiołka z antydepresantami, przepisany niedawno przez Tima Neilsena. Wyglądało, jakby Mallory z nich korzystała. Antydepresanty zamiast estrogenu, środki uspokajające zamiast seksu. Pewnie trzymała to wszystko w łazience dla gości, bo Annette zbyt

często zaglądała do głównej, a Mallory widocznie wolała zachować dla siebie, czym się sprzytuje. Cokolwiek pomoże ci przetrwać noc, przyjacielu.

Po wyjściu z łazienki poszłam do kuchni, ale ponieważ nikogo tam nie zastałam, przeszłam do najoczyszego miejsca – pokoju Owena.

Mallory nachylała się nad łóżkiem, w dłoniach trzymała worek umieszczony nad gardłem męża. Annette stała po drugiej stronie i wstrzykiwała coś do kroplówki. Przede wszystkim pamiętam białe w mnie oczy Owena, przepełnione emocjami, oczy człowieka przerażonego, ale niemogącego o tym powiedzieć ani czegoś w związku z tym zrobić. Z otworu w tchawicy po tracheotomii wydobywał się dźwięk jak z zatkanego odkurzacza.

Usłyszałam, że obie panie mówią coś do siebie nagłymi głosami. Nie było krzyków, biegania, tylko wyraźne napięcie. Bezspornie dowodziła Annette, która instruowała Mallory, ale wymiana zdań świadczyła o tym, że obie miały już do czynienia z podobną sytuacją. Były skupione na Owenu, a Owen na mnie, jakby widział we mnie jedyny ratunek. Z uczuciem, że mój wysiłek stanowi część tego, co się tam działo, wyłożyłam słuch, żeby dosłyszeć urywki poleceń i odpowiedzi przelatujące między kobietami.

– ...oczyszczam tchawicę...

– ...mam go odessać?

– Nie... zaczął zwracać wentyl.

– Z respiratorem też walczy.

– Nie przerywaj. Może to panika, to pomoże.

– No już, Owen, uspokój się.

– Ciśnienie.

Mallory szybko spojrzała na monitor, jakby oderwanie wzroku od cierpienia Owena mogło oznaczać jego śmierć.

– Sto osiemdziesiąt cztery na sto szesnaście.

– Spokojnie, Owen, dasz radę.

– Kiedy czyściłaś...

Annette zaczęła odpowiadać: „Właśnie...”, potem, jakby uznała to za bezużyteczne, zignorowała pytanie i ponownie się skupiła, kończąc wstrzykiwanie czegoś do kroplówki.

– Ciśnienie.

Mallory znowu spojrzała.

– Sto dziewięćdziesiąt sześć na sto dwadzieścia jeden.

Odgłos zasysania docierający z dziury w gardle Owena stał się głośniejszy.

– Puls.

– Sto dwadzieścia sześć.

– No już, Owen. Nie walcz. Daj mi odłączyć worek.

Mallory odsunęła się, pozwalając Annette przejąć ręczne podawanie tlenu. Po jakimś czasie, na tyle długim, że się wydawało, że Owen powinien umrzeć, jego powieki zatrzęptały i opadły. Odgłos zasysania zelżał, potem ucichł.

– Zanim go podłączę, przez kilka sekund będę go wentylowała ręcznie.

Staliśmy i patrzyliśmy, jak Annette to robi, by potem, w mojej opinii bardzo fachowo, przełączyć Owena z manualnego wentylowania na respirator mechaniczny.

Dopiero wtedy i gdy sprawdziła parametry na monitorze, powiedziała:

– I zrobione. – Annette była profesjonalistką, ale nawet ona się zdenerwowała. Usiadła na łóżku i wzięła głęboki oddech. Mallory wyszła na chwiejnych nogach do łazienki. Poszłam tam za nią i przyglądałam się, jak wyjmuje z szafki flakonik z tabletkami i próbuje odkręcić zakrętkę z zabezpieczeniem przed dziećmi.

– A niech to szlag – zaklęła.

Wyjęłam jej flakonik z rąk, przy okazji, z niejaką obojętnością, zauważając, że moim dłoniom brakuje zwykłej siły; były jakieś niemrawe, jakby nie należały do mnie, ale mimo wszystko udało mi odkręcić zakrętkę i wytrząsnąć tabletkę.

– Wody? – spytałam, sięgając po szdankę.

– Och, daj mi to – warknęła, wyrwała mi flakonik, wrzuciła sobie do ust kilka tabletek i przelknęła na sucho. – Cholera – zaklęła pod nosem, mówiąc chyba bardziej do siebie niż do mnie. Usiadła na sedesie i oparła głowę na rękach. – Zamknij drzwi.

Zrobiłam to. Ukłękłam przed nią i położyłam jej dłonie na ramionach.

– Moja droga przyjaciółko. Mogłabyś go oddać do szpitala. Nikt by nie miał do ciebie o to pretensji.

– Nie musieliby. Wiesz, co się zdarzyło tego wieczoru, gdy to się stało? Piliśmy na kweście w Phoenix. Dwie godziny drogi do domu i Owen zasnął, może urwał mu się film. Ja prowadziłam. Samochód zablokował się na torach. Wyskoczyłam z niego, gdy zobaczyłam światła w oddali. Obiegnęłam auto i rozpięłam pasy Owenowi. Zaczęłam go wyciągać. Wypadł z samochodu. Próbowałam go ocucić. W ostatniej minucie odskoczyłam od niego – opowiadała. Na jej twarzy odmalowało się krańcowe przerażenie. – Ale nie w tę stronę, co powinnam. Nie w tę stronę. – Wpatrując się w drzwi, jakby mogła przez nie widzieć męża, spytała: – Czy ty się czasami modlisz?

Łał. Protestanci zaliczają modlitwę i seks do tej samej kategorii: wolno to robić, ale z pewnością się o tym nie rozmawia.

– Dlaczego pytasz?

– Tak po prostu, bo wcześniej nigdy ci tego pytania nie zadawałam.

– Nawet nie wiem, czy wierzę w Boga.

Przyglądała mi się chwilę, jakby mnie zobaczyła w innym świetle, ale nie sądzę, żeby była w tym krytyka.

– Ja się modlę – wyznała. – O Boże, Brigid, czasami nie jestem pewna, jak długo to jeszcze zniosę, i modlę się, żeby umarł. Ale wtedy sobie przypominam, że to mnie się należy kara. – Przycisnęła dłonie do gardła, jakby wystraszona, co jeszcze jej się wymknie, jeśli nie będzie ostrożniejsza. – Nigdy nikomu takich rzeczy nie mówiłam. Powinnam przystopować z winem podczas lunchu.

Rozdzwonił się jej telefon, sięgnęła po niego do kieszeni. Nigdy jej nie pytałam, dlaczego na dzwonek wybrała tę właśnie melodyjkę, jakie miała dla niej znaczenie. Ale teraz nie była to odpowiednia pora.

– Wybacz – rzuciła i wyszła do salonu, zostawiając mnie na chwilę z Annette, która weszła do łazienki. Zauważyłam, że wciąż trzy mam pojemnik z tabletkami, odczytałam nazwę na nalepce. Valium, dziesięć miligramów.

– Jak on się czuje? – spytałam, zwracając się do Annette.

– Zasnął – odpowiedziała, spoglądając na flakonik z valium, który odstawiłam do szafki.

Prawdopodobnie ona też chętnie coś by sobie łyknęła na uspokojenie, ale to, jak sądzę, raczej zły pomysł, gdy się jest w pracy.

– Co się stało?

– Czasami pacjenci w takim stanie wpadają w panikę i walczą z respiratorem, który podtrzymuje oddychanie.

– Co wywołało panikę?

– Jest na tak zwanym reżimie Q4. To znaczy, że muszę odsysać tchawicę co cztery godziny, również w nocy. Może się denerwować, kiedy to robię, ale nigdy nie wiadomo, czy to nie awaria respiratora. Dlatego same go wentylujemy, czyli podajemy tlen manualnie. Powinien być w szpitalu, gdzie miałby pełną opiekę w razie zagrożenia. Myślę, że ona trzyma go w domu, żeby się ukarać.

Pomyślałam, że praca Annette jest tak samo nerwowa jak niegdyś moja. I równie absorbująca.

– A co z tobą? – spytałam ze współczuciem. – Jesteś tu chyba przez cały czas.

– Nie, miewam wolne. Czasami na krótko zastępuje mnie Mallory i jest jeszcze jedna pielęgniarka, która przychodzi do Owena. Nigdy im tego nie powiem, Brigid, ale tak sobie myślę, że gdybym była w takim stanie, to chyba wołałabym nie żyć. – Skinęła głową w kierunku, w którym odeszła Mallory. – Ale nie oni. Oboje mają to niesamowite pozytywne podejście. Pewnie się dziwisz, skąd to wiem, ale ja po prostu wiem. O ludziach najczęściej można powiedzieć po ich oczach. Może nawet lepiej się ich poznaje, gdy są w takim stanie.

Skinęłam głową.

Mallory wróciła, więc przerwałyśmy rozmowę na jej temat. Wzięła się już w garść. Mallory z łazienki, łykająca valium, została bezpiecznie sprowadzona do podziemi.

– Masz wizytę u Neilsena jutro o dziesiątej. Dasz radę?

– Już jutro? – zdziwiłam się.

– Jestem przekonana, że przyjął cię tak szybko tylko ze względu na mnie – stwierdziła. – Lubi faszerować pacjentów prochami, ale który z nich tego nie robi. Za to jest wspaniałym diagnostą. Opowiedziałam pielęgniarce, jakie symptomy zauważyłam podczas lunchu.

Ale Mallory nie myślała o mnie. Odwróciła się do Owena, położyła mu dłonie na sercu, potem na swoim. Następnie zwróciła się do Annette. Rozmawiały o tym, że trzeba sprowadzić specjalistę terapii oddechowej oraz technika medycznego, żeby sprawdził, czy respirator jest sprawny, czy nie ma gdzieś wycieku, żeby ustawił przepływ i ciśnienie gazów, i jeszcze inne rzeczy, których nie zapamiętałam. Kolejny raz podziwiałam to, jaką ekspertką stała się Mallory w tej dziedzinie. Gdy już skończyły, znowu skupiła się na mnie, ale wcześniej spytała Annette, czy nie wie, gdzie jest jej narzutka.

Annette chyba wiedziała i pospieszyła po nią do syplalni.

Mallory odprowadziła ją wzrokiem.

– Annette jest taka operatywna. – Dobrze znając Mallory, wiedziałam, że za określeniem „operatywna” nie kryje się pochwała, raczej czuło się w jej tonie cień powątpiewania. Byłam ciekawa, co jeszcze powie mi na temat Annette, gdy już będzie na to gotowa. Byłam ciekawa, o czym jeszcze nie wiem.

– Ona uważa, że jesteś wspaniała.

Annette minęła nas z białą narzutką, zmierzając do kuchni.

– Zaraz wracam – zapowiedziała, i tak było. – Proszę, podgrzałam ją w mikrofalach. – Owinęła mi szalem ramiona i szyję. Narzutka była przyjemna, ciepła i pachniała lawendą. Dzięki niej zbite mięśnie zaczęły się rozluźniać. Gdyby jeszcze potrafiła sprawić, bym przestała mieć omamy.

Czulał się okropnie, poruszona tym, czego była świadkiem u Hollingerów, co pewnie już wcześniej bym widywała, gdybym tam mieszkała. Pojechałam jednak do miasta na umówione spotkanie z detektywem Samem Humphriem.

Miał swoje małe biuro w Wydziale Dochodzeniowo-Śledczym Policji Tucson. Kiedy wyszedł po kawę dla mnie, usiadłam na krześle obok biurka i obejrzałam sobie jego królestwo. Panował w nim porządek, nie było żadnych osobistych przedmiotów, jakby urzędował tu od niedawna. Na biurku leżała gruba teczka z naklejką z wydrukowanym na niej nazwiskiem Neilsenów. Kiedy wrócił z kawą i batonikiem, który, jak powiedział, przyniósł do pracy któryś z kolegów (miły gest), przekonałam się, że pasuje do swojego biura.

Sam Humphries: dopiero co wyskoczył z munduru i sprawiał wrażenie, jakby wciąż czuł się niezręcznie w bezwzględnych spodniach od garnituru, jakie nosił jako detektyw. Żeby ich nie pognieść, siedział z szeroko rozstawionymi nogami. Dzieciak z rodzaju tych, do których masz ochotę zawołać: „Hej, synu”, nawet jeśli nigdy nie miałeś własnego.

Mówiłam łagodnym tonem, tylko troszeczkę zabarwionym w lizusostwem, żeby nie pomyślał, że się z niego nabijam. Jak szacowna starsza pani.

– Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić czas, detektywie Humphries. Sama pracowałam w organach ścigania, więc wiem, jak jest po obu stronach. Będę wdzięczna za wszystko, co mógłby mi pan opowiedzieć o sprawie.

Przez chwilę milczał, napawając się „detektywem”, potem zaproponował:

– Proszę mi mówić Sam.

– Brigid – zrewanżowałam się.

Jak na razie dobrze. Byłam względnie szczerą w kwestii moich kontaktów z Jacquie Neilsen.

– Poznałyśmy się na gruncie towarzyskim i trochę rozmawiałyśmy. Ma problem z uzyskaniem jakichkolwiek informacji na temat wyników śledztwa dotyczące śmierci jej syna.

– Pani Neilsen kilka razy do mnie dzwoniła. Było mi przykro, ale nie miałem jej nic więcej do przekazania. Rozmowa za każdym razem wyglądała tak samo, potem przestałem odbierać od niej telefony. To już zajęcie dla psychologa, rozumiesz?

Kiwnęłam zdecydowanie głową; ty i ja jesteśmy *simpatico*, mój przyjacielu.

– W żadnym razie to nie jest zarzut o brak profesjonalizmu. Tyle że Jacquie ma mętlik w głowie, nie wie, co się wydarzyło tamtej nocy, i nie satysfakcjonują jej żadne odpowiedzi. To nie twoja wina. Po prostu chcę odtworzyć wypadki, być może ująć je w takie słowa, które przyjmie, no wiesz, jak to kobieta z kobietą... – Pozwoliłam, by moje mętne wyjaśnienie zawisło w powietrzu.

Humphries nie ukrywał, że było to jego pierwsze dochodzenie w roli oficera śledczego badającego przypadek podejrzanego zgonu. Żartował, że miał przy sobie w kieszeni załamowaną instrukcję z punktami, jak postępować.

– Ale sprawa była dość prosta – rzekł. – Wszystko jest tutaj.

Starając się ukryć drżenie dłoni, odebrałam teczkę, którą mi podał. Były tam zdjęcia patio i wszystkich pomieszczeń na górze i na dole, ale nie zwłok. Czasami znasz już odpowiedź, a mimo to pytasz. Czasami jesteśmy zaskoczeni, jak inaczej brzmi odpowiedź, gdy pytasz o coś po raz czwarty.

– Nie widziałeś ciała na miejscu zdarzenia?

Sam pokręcił głową.

– Prawdopodobnie powinni je tam zostawić, ale zostało już zabrane przez karetkę. – Przerzucił zdjęcia i wybrał jedno. – Tu są zwłoki w kostnicy. Przejął je lekarz sądowy. Mnie wezwano później.

– Tej samej nocy?

– Tak

– Obejrzałeś cały dom?

– Oczywiście, tu są wszystkie zdjęcia. Mają tam naprawdę duży pokój gościnny. Większy niż cały mój dom – dodał. – A widziałeś kominek?

– Robi wrażenie. – Przybrałam odpowiednią minę.

– Rozmawiałem z moim szefem i dowiedziałem się, że problem z utonięciami jest taki, że trudno zrekonstruować, co się wydarzyło. Jest woda i choćby ofiara nie wiem jak walczyła, po wszystkim wciąż jest tylko woda, prawda? Nie ma potrząskanych aut i śladów hamowania, jak w wypadkach drogowych. Szukałem nawet śladów krwi, tak jak kaže instrukcja, ale niczego nie znalazłem. Zwłoki zabrała karetka. Tam do diabła, przy tak niskiej wilgotności nawet płyty przy basenie, w miejscu gdzie ojciec próbował robić mu sztuczne oddychanie, były prawie suche, gdy tam dotarłem.

– Ojciec, doktor Tim Neilsen, mówił, że ostro go przemaglowałeś. – Żeby pokazać, że go popieram, kiwnęłam głową.

Odebrał to jako pochwałę.

– Ponieważ to on znalazł i próbował ratować chłopaka, kazałem mu odtworzyć wydarzenia i to kilka razy, no wiesz, „proszę mi pokazać, co pan zrobił”. Razem weszliśmy do domu i on starał się przypomnieć sobie swój każdy krok, włączenie światła na patio, bo w domu się nic nie świeciło, oprócz tych świateł, które włączył z wyprzedzeniem swoim smartfonem.

Nauczyłam się, że gdy podczas przesłuchania zadam pytanie oderwane od wątku, by przesłuchiwany przestał mnie karmić przygotowanymi odpowiedziami, czasami udaje mi się uzyskać ciekawe informacje. Więc spytałam:

– Żadnych rekwizytów, kajdanek, sznurów, czegoś, co by sugerowało zabawy erotyczne...

– Niczego w tym stylu. Ale jak ktoś chce to robić, to wystarczy wstrzymać oddech pod wodą, prawda?

Chłopak był pojętny.

– Prawda – zgodziłam się.

Humphries studiował zdjęcie basenu, które widział do góry nogami.

– Kto wie, może to były jego pierwsze próby i uznał, że basen to najlepsze do tego miejsce.

Joe miał rozsunięty suwak w spodniach, ale spodnie nie były ściągnięte z bioder. Majtki też znajdowały się na miejscu. Co się wydarzyło między momentem, gdy rozsunął suwak, a czasem, gdy utonął, że nie mógł dokończyć tego, co zaczął? Było to dla mnie bardzo zastanawiające.

– Pytałeś, czy ktoś czegoś nie zmieniał na miejscu wypadku? No wiesz, czy czegoś nie zatuzował ze skrępowania albo żeby uszanować godność dziecka. Powiedzmy, podciągnął mu spodnie?

Sam jak dotąd wydawał się zadowolony z przebiegu spotkania i własnych odpowiedzi, jakby to był egzamin.

– W instrukcji... To znaczy, tak, spytałem, ale ojciec mówił, że nie.

– Ojczy m – poprawiłam.

– Racja. – Słuchałam uważnie, czy w jego głosie nie pojawi się nuta niepewności, chęć obrony, ale wydawał się odprężony. Natomiast jeśli chodzi o mnie, zauważyłam, że kolana lekko mi podskakują; nie tłumacząc się, przy cisnęłam je dłońmi, żeby je uspokoić.

Powróciłam do właściwego wątku.

– Słyszałam już relacje rodziców, ale bardzo bym chciała poznać profesjonalny opis tego, co się tamtej nocy wydarzyło.

Humphries musiał poświęcić chwilę na przejrzenie raportu, przepaszając, że tak słabo go pamięta, choć sprawa była nieskomplikowana i w ogóle. Taki uprzejmy młody człowiek. Częściowo opowiedział to, co zapamiętał, częściowo przeczytał z raportu, który napisał po zakończeniu dochodzenia.

– Ojciec, ojczy m, będąc lekarzem, wiedział, co robić. Próbował reanimować chłopaka. Potem wezwał pogotowie, ale potwierdził, że pasierb już nie żył, gdy wrócił do domu około ósmej trzydzieści wieczorem.

– O której zadzwonił po pomoc?

Humphries zajrzał do notatek

– Wygląda, że o ósmej pięćdziesiąt.

– Aż dwadzieścia minut od odkrycia zwłok – zauważyłam, unosząc brwi.

– Wiem, mnie też to zastanowiło. Ale rozliczył się z każdej minuty. Pokazał, jak wszedł do basenu...

– Nie wskoczył? No wiesz: o Boże, muszę szybko dotrzeć do topielca?

– Trudno powiedzieć, co ludzie myślą w takich chwilach, ale nie, pokazał, jak podszedł do schodków, wszedł do wody, mówił, że zdjął sandały, bo mu przeszkadzały. Przyciągnął ciało – wtedy już było bezwolne – do płytkiego końca, wciągnął je po schodkach... uderzył głową o schodek, stąd siniak, ale to był jedyny. Wykonał sztuczne oddychanie, jednak usta już siniąły, wyciekła z nich piana.

– Doktor Neilsen zna się na topielcach.

– Na to wygląda.

– Więc na razie mamy co najwyżej dziesięć minut. Co z resztą?

– Powiedział, że wszedł do basenu z komórką w kieszeni. Z paniki. Kiedy chciał wezwać pomoc, telefon nie działał.

– Sprawdziłeś to?

– Tak. Oni tam nie mają telefonu stacjonarnego. Poszedł do komputera, który stoi w kuchni, i

napisał do znajomego, tego, który go podrzucił do domu. To ten znajomy zadzwonił na numer alarmowy. Pomoc zjawiała się w ciągu siedmiu minut.

– Więc czas zgonu to...

Sam znowu sprawdził w raporcie.

– Temperatura ciała zmierzona w kostnicy wskazywała, że śmierć nastąpiła około dziewiętnastej, dziewiętnastej trzydzieści.

– Po uwzględnieniu temperatury wody w basenie.

– Tak, to również zostało uwzględnione.

– Wliczając nawet to, że ojciec zwlekał z wezwaniem pomocy, dzieciak nie żył już od co najmniej godziny.

Humphries kiwnął głową i ten ruch sprawił, że trochę mi pociemniało przed oczyma. Potem sobie uświadomiłam, że o coś mnie pyta.

– Pani Quinn, czy dobrze się pani czuje?

Miałam wrażenie, że na sekundę się wyłączyłam.

– Oczywiście.

– Przepraszam, ale wyglądałaś, jakbyś odpłynęła na chwilę.

Zignorowałam go.

– Nie, wszystko w porządku. Jaki był czas zgonu?

Popatrzył na mnie dziwnie.

– Do śmierci doszło około dziewiętnastej, dziewiętnastej trzydzieści.

– A co było wcześniej? To był zwykły dzień czy weekend?

– To był poniedziałek, październik, Dzień Kolumba. Joseph miał w szkole wolne. Był w domu od popołudnia. Jego rodzice wyszli mniej więcej o tej porze, oddzielnie.

– Co z kolegami? Spotykał się z kimś tego dnia?

– Nie miał kolegów. Nie był, jak to się mówi, lubiany.

Mój umysł nagle znowu zaskoczył.

– A skąd o tym wiesz?

Humphries zająknął się. Coś ukrywał i się wygadał. Właśnie po tu przyszedłam, jednak wiedziałam, że niczego nie osiągnę, gdybym go teraz nacisnęła. Pozwoliłam mu wrócić do opowieści, a on szybko ją podjął, ale się powtarzał.

– Ojciec był w barze sportowym ze znajomym na poniedziałkowym wieczorne futbolowym, ten znajomy to inny lekarz z jego przychodni. Matka w klubie książki. Zmarły sam w domu. Jak mówiłem, ojciec wrócił pierwszy, znalazł chłopaka unoszącego się na wodzie, twarzą w dół.

– Widziałeś się z matką tego wieczoru?

– Ojczym próbował się do niej dodzwonić, ale miała wyłączoną komórkę. Zwołki zostały odwiezione do kostnicy. Cieszył się, że żona nie musiała ich oglądać. Powtarzał, że dziękuje Bogu, że to on wrócił pierwszy. Zaczekałem na miejscu na żonę i przesłuchałem ją, ale była w rozszypce. Oczywiście to rozumiałe – dodał, próbując pokazać, że nie jest pozbawiony wrażliwości. – Ciągłe mówiła do męża: „Coś ty zrobisz”, ale według mojego rozeznania ojciec nie zrobił niczego złego. Przemawiała przez nią rozpacz.

– Ile czasu minęło do jej powrotu?

– Byłem tam do około jedenastej. Żona wróciła około dziesiątej.

– Czy ojciec zeznał, że wszystkie drzwi były zamknięte, kiedy przyjechał?

– O to też go pytałem. – Nie pociągnęłam go za język, kiedy się wygadał, że Joe nie był lubiany, i znowu odgrywał rolę piątkowego studenta na egzaminie ustnym. Zupełnie mu nie przeszkadzało, że go przepytuję. Cała jego postawa mówiła „no dalej, sprawdź mnie”. – Poza drzwiami na patio wszystkie inne były zamknięte od wewnątrz. Ojciec wszedł przez garaż.

Przypominał mi się komentarz Gemmy-Kate o osobach spoza rodziny znajdujących kod do garażu. Zadałam to samo pytanie, co wtedy ona. Sam odrzekł, że nic mu o tym nie wiadomo, ale odpowiadając, uciekł wzrokiem. Jeden punkt mniej.

– I absolutnie nie uważasz, że to mogło być samobójstwo.

– Rozmawiałem z ratownikami medycznymi i z lekarzem sądowym. Gdyby to było samobójstwo, zrobiłby coś, żeby zapobiec wypłynięciu, czymś by się obciążył, podciął sobie nadgarstki, cokolwiek. Bez względu, jak bardzo ktoś chce się zabić, nie da się pozostać pod wodą aż do całkowitego ustania oddechu.

– Albo zabójstwo, upozorowane na wypadek.

W drzwiach biura stanął jakiś mężczyzna, ratując Humphriesa przed koniecznością wyduszenia odpowiedzi przez nieco rozdziawione usta. Mężczyzna miał szeroką klatkę piersiową, był w garniturze, pod krawatem i wyglądał władczo. Nie spytał, kim jestem. Nie spojrzął na teczkę na moich kolanach, jak uczyniłaby każda inna osoba, z ciekawości. Zwracał się tylko do Humphriesa.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział. Potem wyszedł.

– Tak jest – rzucił Humphries, gdy mężczyzna już wyszedł.

– Sierżant? – spytałam.

Skinął głową. Wyszedł z biura, a ja, pozostawiona sama, otworzyłam teczkę i przejrzałam resztę raportu. Ponieważ to było jego pierwsze dochodzenie, Humphries rzeczywiście był bardzo skrupulatny. Oprócz sfotografowania wszystkich pomieszczeń w domu i basenu pod różnymi kątami, wykonał również dokładny szlic terenu, ujmując na nim trasę, jaką pokonał Tim przez dom, oraz miejsce, w którym przeprowadził reanimację. Rysunek był tak ładniusi, że miałam ochotę go zabrać i powiesić na lodówce.

Po kilku minutach Humphries wrócił, przepaszając, szef miał dla niego jakąś robotę. Wyciągnął rękę po akta. Chociaż nic nie powiedział, oboje musieliśmy zauważyć, że odrobinę poplamiał je krwią. Spojrzałam w dół, przekonując się, że znowu, nic o tym nie wiedząc, z nerwów obgryzałam skórki.

– Powinieneś przełożyć raport do nowej teczki. Na tej jest krew – mruknęłam.

Zamierzałam się z nim pożegnać serdecznym uściskiem dłoni, ale teraz pomyślałam, że pewnie wolałby tego unikać. Więc tylko wetknęłam ręce do kieszeni, w które mogłam wytrzeć krew z kciuka, wyciągnęłam z jednej wizytówkę i położyłam ją na biurku. Czy mógłby do mnie zadzwonić, gdyby mu się coś jeszcze przypomniało?

Odparł, że mógłby. Ale byłam pewna, że to nasza ostatnia rozmowa, chyba że sama zainicjuję powtórne spotkanie.

Opuściłam komendę i chwilę posiedziałam w samochodzie, zaciskając szczęki, żeby zęby przestały mi klekotać. Postanowiłam, że zdecydowanie muszę odstawić kawę. Przynajmniej na jakiś czas. No, co najmniej do końca dnia. Napady rozkojarzenia stanowiły trochę większy problem i nachodziły mnie coraz częściej. Ale akurat w tym momencie tymczasowa demencja nie dawała o sobie znać, a mój umysł przełączył się na pracę na wszystkich cylindrach.

Ojczym wraca do domu. Odkrywa ciało martwego pasierba w basenie, próbuje go reanimować i wzywa pomoc, ale przy tym wszystkim jest jednak na tyle przytomny, żeby zanotować i to zgłosić, że wszystkie drzwi wejściowe do domu były zamknięte.

Sam nie mógł mieć pewności, że ktoś spoza rodziny nie znał kodu do garażu.

Jacque nie wspomniała, że Tim do niej dzwonił, ale jej telefon był wyłączony. Ale czy rzeczywiście dzwonił? Czy telefon faktycznie był wyłączony?

Czy Joe Joseph Joey faktycznie cały wieczór był w domu i to sam, jak twierdzi raport? Czy przepytano jego kolegów, żeby to potwierdzić? I gdzie był przez resztę dnia?

I dlaczego Humphries doszedł do wniosku, że chłopak nie był lubiany? Czy to wystarczy, żeby ktoś mógł go zostawić w sytuacji zagrożenia, pozwalając mu utonąć?

To były tylko wstępne okruczki wątpliwości, drobne pytania, które nie zostały zadane przez tego odpowiedzialnego, lecz jeszcze zielonego śledczego, który nigdy przedtem nie prowadził dochodzenia w sprawie śmierci, nie wspominając o bardziej wymagającej sytuacji, jaką jest śmierć przez utonięcie. Jasne, prawdopodobnie była to prosta sprawa, tak jak ustalili, przypadkowe utonięcie z możliwością udziału autoerotyzmu. Brak znanego motywu czy sposobności, żeby uznać, że wydarzyło się coś bardziej dramatycznego lub groźnego. Ale zaczynałam rozumieć podejrzenia Jacquie i jej poczucie winy. Wszystko wyglądało na trochę zbyt proste, w dochodzeniu było kilka luk. Ta wyjątkowa dbałość, by ochronić Jacquie przed horrorem sytuacji. Zastanawiałam się, kto tak naprawdę na tym skorzystał.

Zadzwoiłam do niej.

– Jacquie, właśnie rozmawiałam z Samem Humphriesem.

– Z kim?

– Z tym śledczym, który prowadził dochodzenie w sprawie Josepha – przypominałam jej. – Chyba jest kilka luk, które należałoby wypełnić, ale to nic poważnego. Humphries był dokładniejszy, niż zapamiętałaś.

– Co to za luki?

– Czy Joseph miał przyjaciół? W szkole? Kim są ci chłopcy, o których mówiłaś wtedy na kweście?

Przeskakując pytanie o kolegów ze szkoły, Jacquie od razu przeszła do drugiego.

– Uczęszczali do koła młodzieżowego przy kościele św. Marcina, gdy do niego należeliśmy. Ken był w porządku, Joey mówił, że był dla niego miły. Peter mu dokuczał. Sądzisz, że coś w tym może być?

– Na razie staram się nie przywiązywać do żadnych podejrzeń. Nadal poszukuję faktów. Co wiesz o tych dzieciakach?

Odpowiedziała, że niewiele, że Joey nie spędzał dużo czasu w kole młodzieżowym, był z rodzaju tych cichych dzieci, które wolą zostawać w domu. Marzyciel, z dużą wyobraźnią, kreatywny. Może trochę introwertyczny.

Powiedziałam jej, że się odezwę, kiedy dowiem się czegoś nowego, a ona mi podziękowała. W tych podziękowaniach sły chać było jej samotność, jakbym na świecie oprócz niej była tylko ja. Jeden świat i dwa typy szalonych kobiet. To właśnie przypadki, gdzie istnieje taka nierówność, pociągają mnie najbardziej.

Ponieważ Wydział Śledczy znajdował się niedaleko biura lekarza sądowego, wpadłam tam, żeby się dowiedzieć, czy George'owi Manriquezowi udało się odnaleźć wyniki badań toksykologicznych próbek krwi Josepha Neilsena. Jak wspominałam, Manriquez był jednym z moich ulubionych znajomych, wrażliwy wobec bliskich ofiar i jeszcze wrażliwszy wobec samych ofiar, choć tu akurat nie jest to wcale potrzebne. Gdybym była trupem, chciałabym, żeby to on przeprowadził moją sekcję. Ale na razie żyłam i ledwie miałam siły, żeby się doczłapać do jego biura, choć czułam się już odrobinę bardziej sobą niż wcześniej.

– Cześć, George – przywitałam się. – Dzięki, że zechciałeś mnie przyjąć.

– Jak na dziewczynę na emeryturze faktycznie często cię tu widuję. – Zajrzał mi w twarz. – Nie wyglądasz najlepiej. Dobrze się czujesz?

Zignorowałam pytanie, ale przy okazji zdałam sobie sprawę, że przygryzam policzek od wewnątrz, przez co wyglądałam, jakbym dostała wylewu. Wypuściłam policzek i rzuciłam:

– Trochę czasu minęło, co? Od ostatniego sierpnia.

Spotkaliśmy się w lobby, ale później zamiast do prosektorium, w którym spędziłam z nim najwięcej czasu, zabrał mnie do biura. Pamiętałam ten pokój z innego spotkania, kiedy byłam bardziej zdenerwowana, za to w o wiele lepszej kondycji fizycznej. Wyjaśniłam, że teraz, kiedy już miałam okazję porozmawiać ze śledczym, chciałabym jeszcze raz przyjrzeć się wynikom, jakie uzyskał po zbadaniu zwłok Josepha Neilsena.

– Jak mówiłem, przypadek nie był wyjątkowy, nie było w nim nic zastanawiającego. Zostałem poproszony tylko o wykonanie oględzin zwłok. Młody mężczyzna w dobrej formie fizycznej.

– I mówiłeś, że nie było sekcji?

– Tak, nie było.

– A dlaczego?

– Czemu znowu o to pytasz? Przecież już o tym rozmawialiśmy, prawda?

– Proszę, zrób mi tę uprzejmość. Jestem stara i mam słabą pamięć.

George posłał mi swoje oschłe spojrzenie.

– Nie odstawiaj przede mną staruszki, bo oboje wiemy, że to nieprawda. A co do twojego pytania, to lepsze od „dlaczego nie wykonano sekcji” byłoby: dlaczego miałbym ją wykonać? Dziennie przeprowadzam przynajmniej jedną, wcale się nie proszę o dodatkowe. Wiesz, jak to jest, Brigid. Na filmach wykonują sekcję każdemu, kto nie zmarł w szpitalnym łóżku na skutek wcześniejszej choroby. Sama wiesz, ile rozkładających się zwłok przywożą tu corocznie po tym, jak przeleżały po kilka dni w mieszkaniach. Większość z tych zgonów to zawały i nie musimy nikogo otwierać, żeby się o tym przekonać.

Mówił trochę jakby się bronił, ale ja się nie wycofałam.

– Wszystko to rozumiem. Ale ten chłopak miał dwadzieścia jeden lat. Jesteś pewien, że jego ojczym, który jest świetnym lekarzem, nie miał z tym nic wspólnego?

– Nie. Ale jak mówiłem, ciało zostało przewiezione do szpitala, a mnie nie wezwano na miejsce wypadku. Obejrzałem zwłoki, przepytalem śledczego i obejrzałem zdjęcia oraz opis domu. Potem wydałem orzeczenie. I pamiętam, że ojcu zależało, żeby to się szybko skończyło, bez większych fajerwerków. Myślę, że się wstydził.

– On jest ojczymem. Poza tym – wstydy? Trochę dziwna reakcja na śmierć.

– Wstyd, poczucie winy, gniew, śmiech... Widziałem tyle reakcji, że już nic nie wzbudzi mojego zdziwienia.

– A co z matką?

– Miałem kontakt tylko z Timem Neilsenem. Matka w tym nie uczestniczyła, słyszałem, że dostała ataku hysterii i podali jej coś na uspokojenie. Dokonałem zewnętrznych oględzin i nie znalazłem żadnych śladów świadczących, że chłopak się bronił lub że z kimś walczył. Pobrałem próbkę krwi...

– Mówiłeś mi. Obiecałeś, że dowiesz się w laboratorium, co z wynikami.

– Dzwoniłem do nich. Zobaczmy, czy coś mieli. – Odwrócił się do komputera i uruchomił go. – Oby wamy się już bez papieru, ale nasze komputery są stare i tak wolno pracują, że... o, wreszcie się włączył. – Gdy już otworzył plik ze sprawą Neilsena, znalezienie tego, czego szukał, nie zajęło mu wiele czasu. – No proszę, zamieścili raport, ale mnie o tym nie powiadomili. Ty powe.

– A więc wykonali testy?

– Tak

– Skąd takie opóźnienie?

– Z tego samego powodu, o którym już mówiłem. Są zawaleni robotą. Poza tym przenosili się do nowego budynku. Zakupionego przez władzę. Dzieło sztuki. – Mówiąc to, wpatrywał się w monitor komputera i przeglądał raport. – Hm... – mrknął.

– Znalazłeś coś interesującego?

– Nic, co by wyglądało podejrzenie, żadnych zwyczajowych toksyn, opiatów, stymulantów, antydepresantów... Sprawdzają je teraz ruty nowo. Jest trochę etanolu. To o to ci chodziło?

– Być może. Ile go było?

– Sporo ponad normę dla dorosłej osoby. Dla czternastolatka ponad normę oznacza każdą ilość.

– Dlaczego dowiadujesz się o tym dopiero teraz?

– Jak powiedziałem: zawalenie pracą, przeprowadzka. Straciłem sprawę z oczu. Poza tym obecność alkoholu w organizmie tylko potwierdza orzeczenie o wypadku. I jest tu nawet wzmianka, że raport został przekazany rodzicom na ich prośbę.

– Chyba żartujesz. Matka, zrozpaczona, twierdzi, że nikt jej niczego nie dawał.

– Kłamie. Tu jest napisane, że wyniki zostały przekazane doktorowi Timothy'emu Neilsenowi jakieś trzy tygodnie po śmierci pasierba. Trochę to zajęło, ale badania zostały wykonane do końca. Jak powiedziałem, alkohol, ale poza tym niczego, co by wskazywało na samobójstwo lub zabójstwo. Wyniki potwierdzają diagnozę o zgonie na skutek wypadku. Dzieciak obrobił baryk rodziców pod ich nieobecność, poszedł popływać i utonął. Smutne, ale tak to wygląda.

Wiedziała, że nie mówi tego z ironią.

– Ale chwileczkę. Zlecenie zaniechania autopsji: Timothy Neilsen. Badania toksykologiczne

wykonane na zlecenie i przekazane... Timothy'emu Neilsenowi. Pytania matki zablokowane. Nie dostrzegasz tu schematu?

– Interesujące, ale nie widzę pola do wniesienia oskarżeń przeciwko komuś, kto tylko zbiera informacje. Chcesz, żebym ci to wydrukował? – Nie czekając na odpowiedź, przepuścił raport przez drukarkę stojącą na szafce. W dokumentacji znajdował się również akt zgonu.

– Zastanawiam się, kim jest ten Lari Paunchese?

– Nie mam pojęcia. Lekarzem. Pamiętam, że rozmawiałem z nim i Timem Neilsenem następnego dnia rano po wypadku. Nie znam okoliczności jego zaangażowania w sprawę.

– George, wiem, że nie ma lepszego lekarza sądowego od ciebie, ale czy tobie tutaj nic a nic nie śmierdzi?

George się nie obraził. Od zbyt dawna znosił naciski śledczych, rodzin i prawników, żeby miały go rozdrażnić jakieś niewielkie wątpliwości.

– Brigid... Można się doszukiwać spisku za każdym rogiem. Przypadek wyglądał na całkiem oczywisty. I jak mówiłem, śledczy i rodzina...

– Ojczym...

– Dobrze, niech ci będzie. Ale szanowany i uczciwy. Gdyby sprawę oddano do ponownego wyjaśnienia, podtrzymałbym moją opinię, że to był wypadek.

Gdzieś w głębi mojego umysłu coś się poruszyło, jakieś wspomnienie, nie do końca wyraźne. Tak jak wtedy, gdy nie możemy sobie przypomnieć czyjś imienia lub nazwiska, choć mamy je na końcu języka. Nienawidzę, gdy się tak dzieje.

Potem nawet to niejasne wspomnienie zniknęło i pokój wokół mnie nagle się przechylił. Pożegnałam się, wstąpiłam do damskiej toalety, zwymiotowałam i pojechałam dalej.

Wymioty przypomniały mi o moim Mopsie, więc po drodze do domu zajechałam do kliniki weterynaryjnej. Minęły już dwa dni odkąd zostawiliśmy tu naszego małego pupila, który wciąż był dość apatyczny, chociaż asystentka zapewniała, że trochę zaczął jeść. Jej zdaniem, moglibyśmy już go zabrać, jeśli tylko będziemy na niego uważali i przywieziemy go z powrotem, gdyby znowu zaczął wymiotować. Spytała, czy ma sporządzić wypis. Pomyślałam o sytuacji w domu i o tym, że Mops będzie bezpieczniejszy w klinice, póki całkiem nie wydobrzeje. Zapytałam, czy mogą go jeszcze kilka dni zatrzymać, aż do momentu, gdy poukładałam swoje sprawy.

Chwilę z nim posiedziałam, a on lizał mi palce, jakby był mi wdzięczny za uratowanie życia. Wyglądał na smutnego, ale Mopsy zawsze tak wyglądają, jakby miały lekką depresję.

– Jesteś dla nas ważny, Al – mówiłam. – Musisz wrócić do domu i odbić kojotom okoliczne zarośla. Twoja siostra nie zna się na znaczeniu terenu.

Następnego dnia zjawiłam się na umówionej wizycie u Timothy'ego Neilsena, trochę dlatego, że byłam wystraszona tym, co się ze mną działo, a trochę po to, by wykorzystać okazję, że będziemy sami i będę mogła, obserwując jego reakcję, powiedzieć Neilsenowi o rozmowie z detektywem Humphriesem. Pozwoliłam również, żeby mi się wymknęło, że wiem od George'a Manriqueza, iż otrzymał raport z informacją o tym, że Joseph był pijany. Nie uczyniłam tego w sposób oskarżycielski, tylko łagodnie, jakbym się trochę dziwiła. Ale gdy o tym powiedziałam, Neilsen przybrał chłodniejszy ton.

– Chyba zaszła jakaś pomyłka. Mallory Hollinger mówiła, że chciałaś się umówić na wizytę z powodu problemów zdrowotnych – oznajmił.

– Bo tak jest. I oczywiście Jacques też przekazał, czego się dowiedziałam. Pomyślałam tylko, że może cię to zainteresuje, więc skoro tu jestem...

– Brigid, jest coś, o czym prawdopodobnie nie wiesz, chyba że jakimś cudem już się to przedostało do tego plotkarskiego mlyna, który nazywają kościołem. Wtedy, na kweście, to był pierwszy raz od wielu miesięcy, kiedy moja żona była w stanie opuścić dom. Uroiła sobie, że jeśli gdzieś wyjdzie, wydarzy się coś strasznego, ponieważ tak się stało, gdy wyszła z domu ostatnim razem. Na tę kwestę też poszła tylko dlatego, żeby nagadać Manwaringom, bo ich nienawidzi. A potem puściły jej nerwy. Kiedy powiedziała, że nie da rady, mówiła prawdę.

Zamiast obserwować reakcję Neilsena na moje rewelacje, stwierdziłam, że to on siedział i obserwował mnie. Usatysfakcjonowany, że go zrozumiałam, dodał:

– No i tak. Teraz widzisz, co mnie interesuje. Naprawdę mi przykro, że mój pasierb wpadł do basenu i się utopił. Najchętniej bym ten basen zabetonował, żeby mój już nigdy nie musiał na niego patrzeć. Ale teraz najbardziej mi zależy na odzyskaniu kobiety, z którą się ożeniłem, i nie sądzę, żeby to, co robisz, temu się przysłużyło. W gruncie rzeczy raczej pogorszysz sytuację, jeśli jej wyjawisz, że ukryłem przed nią informację o tym, że Joe był pijany. Chcę cię prosić, żebyś mi zrobiła przysługę i jej o tym nie mówiła. – Neilsen nachylił się do mnie i wbił we mnie wzrok, jakby chciał mnie przyspilić do krzesła. – Twoje działania nie przyniosą niczego dobrego, rozumiesz? Wyrządzisz wszystkim większą krzywdę. A teraz zajmijmy się twoim zdrowiem, dobrze?

Gdybym była bardziej sobą, do głowy przyszłoby mi z pół tuzina odpowiedzi, i w ułamku sekundy wybrałabym najlepszą. Ale wzmianka o moim „zdrowiu” przypomniła mi, po co tak naprawdę została umówiona ta wizyta. Mój organizm zachowywał się dziwnie, a umysł szedł w jego ślady. Opisałam Neilsenowi objawy, o których już opowiadałam Mallory. Że w środku nocy obudziłam się z mdłościami, że miałam te ataki maniakalnej paniki bez przyczyny. O

szkielecie Carla nie wspomniałam. Neilsen spytał, czy biorę coś z amfetaminą, a ja zaprzeczyłam. Alkohol? Góra kieliszek wina dziennie. Nie wyjaśniłam, że kieliszek był duży. Wszyscy kłamiemy, no nie? Valium, żeby się wyciszyć. Zolpidem na sen. Zmarszczył brwi. Niecodziennie, zaznaczyłam. W trakcie wyliczania, co mi dolega, poczułam laskotanie i przesunęłam ręką po policzku. Znów miałam wrażenie, że coś mi się przykleiło do twarzy.

– Boże drogi, a to co znowu – jęknęłam, spoglądając na swoje wilgotne dłonie. Pomyślałam o Toddzie, o tym, jak się pocilił, gdy się denerwował.

– Ty płaczesz – stwierdził Neilsen.

Zamilkłam, zbyt skrępowana, by wyjawić, że nie wiedziałam o tym. Ale w duchu myślałam: kto tu wpuścił tę kobietę i co ona zrobiła z Brigid Quinn?

Po badaniu i pobraniu krwi, jakby wątpił w moją szczerłość zarówno w kwestii amfetaminy, jak i alkoholu, Neilsen zaczął mnie przepytawać: Czy ostatnio bywałeś bardzo smutna? Pomyślałam o Gemmie-Kate i uznałam, że owszem. Śpisz więcej niż zwykle, a może mniej? Mniej. Odczuwasz niepokój, strach? Jesteś pobudzona? Kłopoty z koncentracją? Przeczucie, że fizyczne problemy, jak na przykład ból, to objawy poważnej choroby?

Odpowiadałam zgodnie z prawdą, ale wiedziałam, dokąd zmierza. Przechodziłam już tę procedurę, gdy psychologowie z Biura oceniali mój stan psychiczny po tym, jak w trakcie akcji zabiłam nieuzbrojonego podejrzanego, sprawa, która popsukała mi reputację i przez którą wyładowałam w oddziale terenowym w Tucson.

– Nie jestem w depresji – oznajmiłam. – Nie mam do tego skłonności.

Próby wprowadzenia odrobiny humoru do konsultacji na niewiele się zdały. Tim Neilsen, siedzący na krześle przed niedużym biurkiem, na którym stał komputer, gdzie wklepywał moje odpowiedzi, aby pozostały tam jako ślad mojej wizyty na całą wieczność, pochylił się do przodu i obrzucił mnie spojrzeniem już nie chłodnym, tylko stanowczym i współczującym, spojrzeniem doktora Kildare'a.

– Szczerze mówiąc, wszystkie twoje objawy na to wskazują. Na pięć z zestawu standardowych pytań odpowiedziałaś twierdząco. – Nie pomyślałabym, że to możliwe, a jednak jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej stanowcze i współczujące. – Jesteś przekonana, że w twoim życiu ostatnio nie nastąpiły jakieś zmiany? Coś, nad czym nie masz kontroli?

Poczułam się, jakbym się cofnęła w czasie i rozmawiała z Mallory. Pomyślałam o Gemmie-Kate. To było coś, czego w gruncie rzeczy prawie nie kontrolowałam. Nie lubię sytuacji, nad którymi nie panuję. Nadal się nad tym zastanawiałam, kiedy Neilsen powiedział:

– Depresja nie zawsze się objawia w sposób oczywisty. Niektórzy wpadają w manię. Równie często wywołuje bezsenność, co ogromną potrzebę snu. Może nawet być przyczyną ciągłych mdłości. Możemy, oczywiście, przeprowadzić różnego rodzaju testy, ale jeśli chcesz się przekonać, czy mam rację, mogę ci wypisać receptę.

Prawa dłoń, spoczywająca na plastikowym oparciu krzesła, zadrgała i sama lekko poderwała się w górę. Neilsen zwrócił na to uwagę.

– Od jak dawna tak masz? – spytał.

– Dotąd ani razu – odparłam.

Wydawał się nieco bardziej przejęty. Sięgnął po kartkę papieru, długopis i poprosił, żebym coś napisała. Napisałam: Nazywam się Brigid Quinn.

Chwilę przyglądał się moim gryzmołom.

– Zawsze miałaś takie drobne i zbite pismo?

– Nie – przyznałam. Przypomniało mi się, jak podpisywałam rachunek w restauracji. – Też to zauważyłam.

– To się nazywa „mikrografia”. Wstań na chwilę.

Zaczęłam się podnosić.

– Nie – powstrzymał mnie. – Wstań bez podpierania się rękoma.

Spróbowałam wykonać polecenie, ale szczerze mówiąc, było to trudne.

Neilsen zmarszczył brwi.

– Wiesz co, przejdźmy się po korytarzu. Pokażesz mi, jak chodzisz.

– Dlaczego? Po co?

– Zrób mi tę uprzejmość, proszę.

Wysliśmy na korytarz. Tam Neilsen obserwował, jak idę w stronę recepcji i z powrotem.

– Hm – mruknął.

– Co znaczy to „hm”? – zdenerwowałam się.

– Masz nierówny chód. Trochę powłóczyś prawą nogą. Od jak dawna tak się dzieje?

Zastanawiałam się, czy to miała na myśli Mallory, kiedy mówiła, że kuleję. Odpowiedziałam, że nie wiem, od jak dawna tak mam.

Powtórzyłam:

– Hm...

Staliśmy na korytarzu, nie w gabinecie, ale i tak miałam dość tych niejasnych pomruków.

– Co twoim zdaniem się ze mną dzieje?

– Nie jestem pewien. Chciałbym, żebyś się spotkała ze specjalistą.

– Specjalistą od czego? Zechciałbyś mi powiedzieć, co mi może być? Jestem dużą dziewczynką, zniosę każdą diagnozę.

Neilsen zerknął na mijającego nas korytarzem asystenta i z powrotem wprowadził mnie do gabinetu. Tam poprosił, żebym usiadła. Nie uczyniłam tego, tylko mocno spłotłam ręce na pierśiach w sposób, który, jak się dopiero teraz zorientowałam, stał się moją ulubioną postawą.

– Więc co to jest? – zaczęłam, przygotowana na najgorsze, myśląc o szwagierce, o Owenie, o każdym, kogo znałam, z wyniszczającą chorobą. – Stwardnienie rozsiane? Choroba Lou Gehriga?

– Tylko tyle przyszło mi do głowy, więc w tym miejscu urwałam.

– Nie da się postawić diagnozy na podstawie tak małej ilości danych. Nikt by jej pewnie nie postawił. W tego rodzaju przypadkach... trzeba poczekać na...

– Mógłbyś się nie bawić ze mną w zgadywanki i po prostu to z siebie wypluć?

Neilsen z wymuszonym spokojem rzekł:

– Nie ma się jeszcze czym denerwować, ale biorąc pod uwagę resztę objawów, myślę, że musimy rozważyć chorobę Parkinsona.

Świat usunął mi się spod stóp.

Pomimo postawy twardej, moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Potem, tak jak w niebezpiecznych okolicznościach, gdy musiałam zamienić się w maszynę albo zginąć, stałam się kimś innym. To chyba najprostszy sposób, w jaki to potrafię opisać. Mój głos stał się lodowaty i twardy.

– Jakie są prognozy w tej chorobie? – spytałam. – Słabo się znam na medycynie, ale...

Neilsen nie odpowiedział pocieszającymi zapewnieniami na moje „ale” odpowiednio szybko.

Chyba uznał, że mój chłód oznacza, że dobrze znoszę złą wiadomość, siedział więc tylko ze współczującą miną, jakbym przestała być irytującą znajomą i zamieniła się w prawdziwą pacjentkę.

– Kiedy się mogę spodziewać pogorszenia funkcjonowania? Ile mam czasu?

Pokręcił głową.

– O wiele za wcześnie, żeby o tym rozmawiać. Nie powinienem właściwie nic mówić, ale się uparłaś. Posłuchaj, Brigid, to wszystko jest bardzo mało prawdopodobne, po prostu chciałbym, żeby zbadał cię ktoś, kto wykluczy taką ewentualność.

Wyjaśnił, że specjalista przeprowadzi dodatkowe badania – na przykład zrobi mi tomografię – które wprawdzie nie wykluczą Parkinsona, ale sprawdzą, czy w grę nie wchodzi inne schorzenie. Jak dla mnie, „Inne Schorzenia” zabrzmiało jeszcze bardziej złowieszczo. W porządku, pomyślałam, czując grudę lodu w żołądku, zdecydowanie należy wykonać te badania. Sprawdźmy, czy moje ciało zamierza mnie zawieść akurat wtedy, gdy zaczęłam cieszyć się życiem.

– Ale się nie martw, chcę tylko uwzględnić wszelkie okoliczności, a antydepresant może nawet dobrze wpłynąć na powiązane symptomy. – Potem wstukał do komputera receptę na dwadzieścia miligramów leku generycznego, którego nazwę rozpoznawałam, bo taki sam znajdował się w szafce na lekarstwa u Mallory. Kazał mi odstawić valium, twierdząc, że w kombinacji z antydepresantem może wywołać przeciwny skutek i zalecił też odstawić zolpidem, bo to on może wywoływać irracjonalne myślenie. Tak powiedział: irracjonalne myślenie. I żebym nie piła. Wysłałam od niego z myślą, że w sumie to może mieć rację. W końcu valium i wino, jedno i drugie środki uspakajające, pogarszały tylko moje samopoczucie.

Dłonie mi drżały, gdy podpisywałam rachunek dla ubezpieczalni. Ja, zawsze taka opanowana w trudnych sytuacjach, zawsze dostrzegająca słabości innych, które wykorzystywałam na swoją korzyść, nienawidziłam siebie za te niedomagania. Ale wychodziłam zgadzając się z Mallory, że bez względu na wady Neilsena, na to, co być może ukrywa, jest życzliwym i skrupulatnym lekarzem.

Myślałam tak do momentu, gdy czekając, aż recepcjonistka poda mi rachunek, zerknęłam na stojaczki z wizytówkami wszystkich przyjmujących w przychodni lekarzy. To była duża przychodnia, z sześcioma internistami i lekarzami specjalistami od wszystkiego: medycyny sportu, ortopedii, reumatologii... To wtedy dostrzegłam wizytówkę doktora Lariego Paunchese. Lekarz, który podpisał akt zgonu Joego, pracował w przychodni Neilsena. Był dermatologiem.

Timothy Neilsen zlecił zaniechanie wykonania sekcji zwłok

Timothy Neilsen wystąpił o wydanie raportu toksykologicznego i informacjami w nim zawartymi nie podzielił się z Jacquie.

Lekarz, który podpisał akt zgonu, pracował w tej samej przychodni co... Timothy Neilsen.

Pomyślałam, że wrócę do niego i powiem, że o wszystkim wiem, spytam, dlaczego to jego koleś wydał orzeczenie o śmierci. Ale wątpiłam, żeby mnie do niego znowu wpuścili. Zabrałam więc jedną z wizytówek Paunchese'ego, by wykorzystać ją później, kiedy już będę miała więcej dowodów.

Podrzuciłam receptę do apteki i czując, że zanim cokolwiek powiem Carlowi, muszę to przećwiczyć, z parkingu zadzwoniłam do Mallory.

– Mogę wpaść?

– Nowe problemy z bratanicą?

– Nie, coś gorszego

– Dużo gorszego?

– Aż tak, że potrzebne jest martini. Martini z oliwkami i z niebieskim serem.

– W domu skończył mi się alkohol. Nie będę mogła zostać długo, ale spotkajmy się w Ramone.

Chodziło o restaurację w lobby hotelu Westin przy Ina, którą Mallory traktowała jak bar w sąsiedztwie. Już tam siedziała, jej stółek okręcił się w moją stronę, kelner, którego prawdopodobnie znała, zalewał martini tyle oliwek z niebieskim serem, że bardziej to przypominało sałatkę niż drinki. Uśmiechnął się do mnie, jakby jakimś cudem wiedział, że chodzi o coś poważnego. Albo Mallory z nim flirtowała, czekając na mnie.

– Ten atrakcyjny młody mężczyzna ma imię William – oznajmiła. – Studiuje inżynierię mechaniczną.

Przywitałam się z Williamem, który zaraz potem się ulotnił, jakby wcześniej został poinstruowany, że ma nas zostawić same.

Mallory podniosła kieliszek i obowiązkowo, jeśli nie z entuzjazmem, stuknęła nim w mój. Upiła tyk drinka i powiedziała:

– Chodzi o Neilsena, ty le się domyśliłam. Mów, co się stało?

Zjadłam oliwkę. Taki unik

– Przepisał mi antydepresant.

– Teraz wszyscy je przepisują. Zwłaszcza kobietom. – Przechyliła głowę na bok, jakby powątpiewała, że to dlatego byłam taka zdenerwowana. – Rextal, spowolnione uwalnianie, dwadzieścia miligramów?

– To ten. – Byłyśmy wobec siebie zbyt szczerze, żeby udawać. – Zaglądałam do twojej apteczki. Tobie też to przepisał.

– Próbowałam go brać. Ale, jak wiesz, moim ulubieńcem jest valium. A co do twojej depresji, może się to brać stąd, że straciłaś kontrolę nad tym, co się dzieje w twoim domu. Słyszałam, że antydepresanty działają dopiero po kilku tygodniach, za szybko się nie zniechęcaj. I chyba nie powinnaś pić. – Spojrzała na moje martini, ale ją zignorowałam. – Czy to wszystko, co ci przepisał?

– Pobrał mi krew. I dał skierowanie do neurologa. Specjalisty od zaburzeń ruchowych.

Nie zapytała, z jakiego powodu, tylko zamrugła. Chyba tyle się naczytała o zaburzeniach motoryki, by dojść do tych samych wniosków co Neilsen, jeszcze przed moją wizytą u niego.

Zakrzusila się, bo nagle uświadomiła sobie, że mówię o tym najpierw przyjaciółce, a nie mężowi, ale już nie było odwrotu.

– Uważa, że istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że mam parkinsona.

Nawet jeśli już to zgadła, Mallory mimo wszystko sapnęła:

– O mój Boże.

– Widzisz, dlatego nie chcę powiedzieć Carlowi. Boję się, że zareaguje tak samo, a mnie to przeraża. I póki jesteśmy przy temacie, proszę, żebyś mu nic nie mówiła, dobrze? Nie chcę, żeby się martwił, dopóki nie ma o co.

– Oczywiście. Ale kiedyś musisz mu powiedzieć i musisz się sobą zająć. Dla mnie ty jesteś najważniejsza. Te głupoty z Gemmą-Kate, twoje dochodzenia, musisz to wszystko odstawić na boczny tor i rozwiązać kwestie zdrowotne. W końcu, na litość boską, przeszłaś już na emeryturę. Nie wiem, czy ktoś ci już to kiedykolwiek mówił, ale jesteś trochę... pracoholiczką.

– Masz rację, ale taka już moja natura – mruknęłam.

Mallory parsknęła śmiechem.

– Już widzę napis na twoim nagrobku: „Ta, co nigdy nie miała czasu na lunch”.

Rozśmieszyla mnie, tego mi było trzeba.

– To ty jesteś ciągle zajęta – zauważyłam. – Te wszystkie akcje dobroczynne...

– Tak, ale ja się przyznaję, że to mój antydepresant. Dla mnie to kwestia przetrwania.

Chociaż nadal nie byłam przekonana, odebrałam z apteki lek na depresję, przy okazji kupując pepto-bismol na trawienie, który łyknęłam w samochodzie. Pomyślałam o obiedzie. Nie byłam głodna, napchałam się oliwkami w drinku, poza tym wciąż trochę dokuczał mi żołądek, ale jeść przecież trzeba. A przy najmniej Carlo musiał jeść; Gemmą-Kate się nie przejmowałam, bo nadal byłam na nią zła za sprawę z ropuchą. Postanowiłam po drodze do domu zajechać do chińskiej restauracji. Kupiłam tam wieprzowinę Mu Shu na wynos, od której zapachu wprowadzie mnie zemdliło, ale miałam nadzieję, że dla Carla i Gemmy-Kate będzie odpowiednia.

Utrata apetytu. Odhaczono.

Kiedy wszłam do domu, usłyszałam głośną muzykę. Gemma-Kate była w swoim pokoju. Nie śpiewała, tylko gapiła się w telewizor, popijając colę. Spojrzała na mnie trochę zamglonym wzrokiem, nie bardzo radosnym. Nie starała się ukryć grymasu niezadowolenia. Nie odrywając ode mnie oczu, automatycznie podniosła pilota i zmniejszyła głośność.

Poszłam do kuchni i otworzyłam szafkę, w której trzymaliśmy alkohol. Rzadko go pijaliśmy, ale Carlo chciał mieć zapasy, w razie gdyby kiedyś jakiś nasz gość nabrał ochoty na margaritę. Wszystkie butelki były pootwierane, poziom alkoholu się zmniejszył. Gemma-Kate się do nich dobrała, a ja znalazłam ten schemat. Trochę z tej butelki, trochę z tamtej, żeby brak nie był oczywisty. Teraz, gdy ujawniła swoją prawdziwą twarz, już się nie starała odgrywać słodkiego niewiniątka.

Neilsen i Mallory w jednym mieli rację. Czulałam się przeciążona tym, co się działo w moim domu, odpowiedzialnością, jaka na mnie spadała. Wydawało się, że ktoś o mojej profesji wiedziałby, jak postępować, potrafiłby zapanować nad sytuacją. Ale ja nie miałam pojęcia, co powinnam robić, i ilekroć się nad tym zastanawiałam, tylekroć waliłam głową w mur. Czulałam się bezsilna. Gemma-Kate ważyła pewnie niewiele ponad czterdzieści pięć kilo, ale ja dźwigałam na

sobie każdy z tych kilogramów i napierałam na mur, który nie zamierzał ustąpić nawet na cal.

Zażyłam jedną z tabletek

A Gemma-Kate była na tyle uprzejma, że nakryła stół do obiadu.

Po zażyciu pigułek nie poczułam się lepiej, choć wieczorem zasnęłam dość szybko. Jednak potem przyśnił mi się sen, którego już dawno nie miałam. Że kogoś biję, okładałam go pięściami po twarzy. Zatrzymałam się i przyjrzałam; twarz była ledwie rozpoznawalna z powodu krwi. Tym kimś, kogo biłam, byłam ja sama. Nie lubię tego snu. Obudził mnie wraz z wrażeniem szumu w uchu, w tym, które przy ciskałam do poduszki. Budzik pokazywał trzecią siedem.

Oczywiście musiałam iść się załatwić. Było bardzo ciemno, pokoju nie rozświetlała nawet poświata księżycy. W gruncie rzeczy było w nim ciemniej niż zwykle. Nie wpadało do niego światło nocnej lampki z łazienki, nie świeciła się mała żaróweczka w czujniku dymu na suficie na znak, że baterie działają. Nawet cyfry w budziku przy łóżku zniknęły. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie mamy awarii prądu.

Zaspana, nie myśląc, że dzieje się coś dziwnego, wysunęłam ręce przed siebie, żeby dojść do ściany. Trzymając się tej ściany mogłabym pokonać krótki korytarz prowadzący do łazienki. Przeszłam parę kroków. Nie poczułam ściany. Kilka następnych. Wciąż nic oprócz ciemności, żadnej twardej powierzchni pod opuszkami i palców.

Już całkiem przytomna, ostrożnie ruszyłam dalej. Pod stopami czułam dywan, przynajmniej tego byłam pewna. Zagięłam palce stóp, znajdując pocieszenie w znajomym dotyku wełny, przypominając sobie, że ten dywan, o dokładnie takim splocie, położyliśmy w sypialni niedawno. Jest beżowy, pomyślałam. To pewne. Ale poza tym mogłam się znajdować sama w najodleglejszym zakątku kosmosu.

Odwróciłam się w stronę, gdzie moim zdaniem stało łóżko, ale tam też niczego nie zobaczyłam. Przez żaluzje nie wpadała nawet odrobina światła, jeśli rzeczywiście patrzyłam w kierunku okna. Nie umiałam tego stwierdzić.

Dałam krok w stronę łóżka, żeby przy nim odzyskać orientację i znowu spróbować dotrzeć do łazienki. Potem kolejny. Łóżka nie było. Ono też zniknęło.

– Carlo! – zawołałam szeptem, trochę bojąc się obudzić męża, który zobaczy, że jego szalona żona łączy po sypialni we śnie. – Carlo. – Ale nie mogłam usłyszeć własnego głosu. To, co wstydzę się nazwać przerażeniem, zaczęło ogarniać mój umysł. Sprawilo, że bałam się poruszyć i zawołać, zresztą po prostu nie dałabym rady.

Potem coś usłyszałam. Skomlenie. Ten sam dźwięk, jaki słyszałam kilka nocy wcześniej, dochodzący z pokoju Gemmy-Kate. Pomyślałam, że to już coś, że skoro nie mogę znaleźć niczego, co mogłabym zobaczyć lub dotknąć, to przynajmniej coś słyszę. Ruszyłam w kierunku, skąd dochodziło skomlenie. Miałam tylko nadzieję, że dotrę na miejsce, zanim ktoś lub coś przestanie robić to, co zmuszało psa do jęków.

Słyszac tylko jego i czujac dywan pod stopami, szlam tak szybko, jak sie tylko da, gdy sie nie widzi, wolno macajac dloni mi przestrzen przed soba, zebym niespodziewanie nie wpadla na cos twardego i sie nie poobijala. Szlam tak przez... wiem, ze to szalenstwo tak mowic, ale w moim odczuciu byly to godziny. Szlam ostroznie, niepewnie przedzierajac sie przez mrok, coraz bardziej niespokojna o psa, korego zawodzenie, choc ciagle podazalam w kierunku, skad plynelo, bylo tak samo intensywne.

Pomyslalam, ze pewnie juz jestem w salonie. Szlam przeciez tak dlugo.

Nagle cos sie zmienilo. Zamiast dywanu poczulam pod stopa chropowatosc zwiru, korym wysypane bylo nasze podworoko. Nie przypominalam sobie, zebym wychodzila na zewnatrz. Ale jesli nawet byla na tylnym podworzu, to tu tez panowaly ciemnosci i glucha cisza. W domach za wawozem i kanionem Canada del Oro zawsze gdzie sie swiecilo jakies swiatlo, bez względu na porę, lecz nie tej nocy. Zaden ch swiateł, nie bylo nawet gwiazd.

Nie slychać tez bylo ruchu ulicznego na szosie Golder Ranch, biegnacej ze wschodu na zachod kilka posesji ponizej naszej. Milczaly nocne ptaki. Galęzie palo verde nie szumialy poruszane wiatrem. Nie slyszalam nawet wlasnego oddechu. Otworzyłam usta i spróbowałam wydobyć z nich jakikolwiek dzwiek, czulam, jak powietrze wyplywa z pluc, krtań i język sie napinaja, ale z ust nic sie nie wydobywalo.

Teraz ucichł nawet odgłos psiego skomlenia.

Stalam tak, coraz bardziej przerazona, a jednak wraz z panika odczuwalam tez jakies dziwne zakopotanie. Gdyby m mogla widziec, spojrzalabym na siebie, zastanawiajac sie, jaki bedzie mój kolejny krok. Jakby to cos, co sie ze mna dzieje w chwilach zagrozenia, ostatecznie nade mna zapanowalo. Jakbym do konca wyzbyla sie siebie i otdať juz zawsze zostane tylko swiadkiem swojego istnienia.

Stalam, bojac sie isc dalej, i czulam klucie zwiru w podeszwy stop. Nie wiedzialam nawet, w kora strone powinien pójsc, zeby wrócic do domu.

Ciemnosć uderzyla we mnie. Niczym wielkie skrzydlate cos z koszmarów zostalam powalona przez pustkę. Nie angazujac sie w walkę, z tym samym uczuciem, ze jestem tylko swiadkiem, obserwowalam, jak sie przed nia bronie. Walczyłam bez powodzenia, zostalam przygnieciona do ziemi, nie majac nawet sily uniesc glowy wobec niewidzialnego wroga. Czulam ucisk w klatce piersiowej, mialam wrazenie, ze noc powoli mnie przydusza. Chcialam krzyknac, ale ona temu przeszkodzila, zatykajac mi usta ciemnoscia.

Nagle na werandzie zably slo swiatlo.

Noc rozproszyla sie. Przekrecilam glowę w prawo i przekonalam sie, ze wzrok mam wbity w jedna z nagich stop rzeczy wistych rozmiarów posagu swietego Franciszka. Duza ta stopa – to byla moja pierwsza mysl. Kiedy znowu spojrzalam w gore, ujrzalam spogladajaca na mnie Gemme-Kate. Nie miala ze soba latarki, bylo tylko docierajace zza jej pleców swiatlo z werandy, ale moje oczy musialy sie przyzwyczaić do ciemnosci, dlatego wyraźnie widzialam jej sylwetke na tle nieba wypelnionego gwiazdami. Nie czulam potrzeby, zeby cos powiedziec, w tej chwili zajeta byla m przetwarzaniem rzeczy wistosci.

Potem Gemma-Kate powiedziala:

– Zobaczyłam, ze drzwi sa otwarte. I uslyszalam twój krzyk.

Czy krzyczalam? Nie moglam sobie przypomniec. Chwycilam dlon bratanicy, kiedy ja do mnie wyciagnela, nie dbajac o to, ze byc moze mam do czynienia z napastnikiem. Po prostu

cieszyłam się z dotyku realnej osoby, nieważne, kim była. Na początku nie próbowałam się podnieść, tylko ścisłałam tę rękę.

– Co mi jest? – spytałam. Byłam zbyt słaba, żeby zadać właściwe pytanie: co mi zrobiłaś?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparła i lekko szarpnęła mnie za rękę.

Dopiero wtedy zareagowałam. Pozwoliłam Gemmie-Kate, żeby pomogła mi się podnieść, po czym, trochę się na niej wspierając, potulnie dałam się wprowadzić do domu z nocy, która oprócz znów iskrzących się na niebie gwiazd, rozświetliła się również setką migających światełek w oddali. Na Golder Ranch błysnęły reflektory jakiegoś auta, które zniknęły, gdy samochód wjechał w zakręt, a potem znowu się pojawiły.

W domu wszystko było jak zwykle: zegar w mikrofali podświetlony, żarówka w detektorze dymu włączona, wszystkie punkty świetlne, na które zwykle nie zwracałam uwagi. Nie oświetlały domu, sprawiały, że nie panowała w nim kompletna ciemność. Widać moje oczy przyzwyczyły się do mroku, przede wszystkim jednak chodziło o to, że widziałam wszystko wyraźnie, a nie przez mgłę koszmaru, omamu czy halucynacji, jakich ofiarą padłam wcześniej. W przyćmionym świetle dostrzegłam Mopsa leżącego na kuchennej terakocie przy misce z wodą. Podeszłam do niego. Spał i równo oddychał. Nawet nie powarkował przez sen. Podniosłam go, a on się prawie nie rozbudził. Jakby był pod wpływem środków nasennych.

Gemma-Kate dotknęła mojego ramienia.

– Chcesz, żebym cię zaprowadziła do łóżka? – spytała. Mówiła łagodnie i spokojnie. Jakby przemawiała do szaleńca.

Odpowiedziałam, że nie, i usłyszałam nawet, że to mówię. Miałam bardzo słaby głos.

– Dam sobie radę. To był tylko sen – zapewniłam i poszłam z psem do sypialni, zamykając za sobą drzwi na klucz. Nocne światelka tutaj i obok w łazience też już się teraz paliły. Z łatwością dotarłam do łóżka i się w nim położyłam. Byłam zadowolona, że Carlo się nie obudził, że to nie on, tylko Gemma-Kate mnie znalazła. Spojrzałam na budzik.

Tym razem pokazywał trzecią dziewiętnaście.

Mogłabym znowu dać się ovladnąć przerażeniu, które odczuwałam jeszcze chwilę temu, mogło mnie znowu obezwładnić skoro dostrzegłam, że od chwili, gdy się obudziłam, minęło tak niewiele czasu, ale panika mnie wyczerpała, więc z dłonią na ciepłym grzbiecie Mopsa, powtarzając sobie, że pies jest prawdziwy, zasnęłam.

Musiałam zrelaksować się tak że znowu przysnęłam, bo obudziłam się nagle o piątej rano następnego dnia, z uczuciem, że od jakiegoś czasu wali mi serce. Brzuch też mnie jeszcze bolał, ale trochę na myśl, co stało się ostatniego wieczora albo też w ogóle się nie zdarzyło.

Neilsen powiedział mi, że antydepresant potrzebuje do trzech tygodni, zanim zacznę odczuwać jakąś poprawę, powinnam więc zażywać go bez przerw. A po trzech tygodniach, powiedział, wrócimy do sprawy. Kiedy przyjdą wyniki badania krwi i będzie w nich coś podejrzanego, zadzwoni do mnie. Tego ranka wzięłam więc kolejną tabletkę, a godzinę później zwimiotowałam.

Z perspektywy czasu powiązania mogłyby się wydawać oczywiste dla każdego, ale tego dnia rano nadal nie potrafiłam połączyć mojego samopoczucia z tym, co się stało z Mopsem. W końcu wiedzieliśmy, dlaczego Mops zachorował, a ja byłam całkowicie pewna, że nie zjadłam ropuchy. Co do moich objawów, nie czułam, by pasowały do otrucia. Może wymioty, ale niepokój nie. Halucynacje, które z trudem przyjmowałam do wiadomości, też nie. Osoba, która coś zażyła, czułaby się ospale. Ja raczej czułam się jak skacowany myszokoczek, mdliło mnie, ale kipiałam energią. A Carlo miał się doskonale. Mówię o tym, żeby wyjaśnić, dlaczego nie podejrzewałam, że Gemma-Kate mogła dodać coś do chińskiego jedzenia, kiedy poprzedniego wieczoru nakładała je na talerze. W ogóle nie podejrzewałam trucizny.

Sięgnęłam po telefon komórkowy, leżący na szafce nocnej, zadzwoniłam do gabinetu Neilsena i trafiłam na pielęgniarkę. Powiedziała, że antydepresanty mogą czasem na początku wywoływać mdłości i że poprosi o receptę na antyemetyk. Antyemetyk, antydepresant, antybiotyki. Pewnego dnia będę chciała lekarstwa, które jest pro coś tam. Chciałam zapytać ją o halucynacje, ale nie zapytałam.

Tym, co naprawdę wytrąciło mnie trochę z równowagi, kiedy przechodziłam przez swój gabinet, żeby nalać sobie kawy, był widok Gemmy-Kate, która siedziała przy biurku ze skierowaniem do specjalisty od zaburzeń ruchu w rękę. Mogłabym przyjąć, że położyłam je w jakimś bezpieczniejszym miejscu, chyba złożone pod książką albo czymś tam. Gdybym nie przeszła tak burzliwej nocy, pewnie byłabym bardziej uprzejma. Ale jak zareagować, kiedy widzi się, że ktoś czyta wasze prywatne dyrdymały i wiadomo, że zaraz to rozpowie?

– Odlóż to i wynoś się – powiedziałam.

Natychmiast stanął za mną Carlo.

– Wszystko w porządku? – zapytał. Zastanawiałam się, dlaczego wszędzie za mną chodzi. A może mówiłam trochę głośniejsz niż myślałam i dlatego przybiegł?

Zacisnęłam oczy; próbowałam otrząsnąć się z nastroju, na który w równych proporcjach składał się stres i wybuch gniewu, od paru miesięcy trzy manego pod kontrolą.

– Zakaz wstępu do tego pokoju – powiedziałam i wskazałam kciukiem drzwi.

– Przepraszam – odparła jakby trochę machinalnie, bez sprzeciwu wstała, poszła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Te drzwi były zamknięte jak wyrok do przedpołudnia. Nie rozmawialiśmy o tym, co się stało w nocy.

Wróciłam do łóżka i nie mogłam się zmusić, żeby z niego wstać. To przypominało depresję bardziej niż wcześniejsze objawy, ale wiedziałam, że nie mam co liczyć na proszki, które tak szybko mnie z tego nie wyciągną.

Mięśnie miałam unieruchomione, mózg wibrował, jakbym zamieszkała w dwóch różnych ciałach naraz, jednym, które nie może przestać, i drugim, które nie może zacząć. To było denerwujące. Martwiło mnie to, co powiedział Timothy Neilsen, że mogę mieć chorobę Parkinsona, ale za bardzo się bałam, żeby pójść na badania albo sprawdzić w Internecie, czym właściwie jest ta choroba i co mnie może czekać.

Kiedy poczułam się trochę lepiej, napisałam na moim laptopie kilka notatek o sprawie Joego Neilsena i umówiłam się na spotkanie z Eliaszem Manwaringiem na poniedziałek, żeby zapytać go, kto wchodzi w skład grupy młodzieżowej. To było maksimum tego, na co potrafiłam się zdobyć.

Powiedziałam Carlowi, że muszę mieć grypę i czy mógłby zrealizować receptę. Carlo był opiekuńczy, jak to mężczyźni, chociaż słabe z nich pielęgniarki i nawet Gemma-Kate była lepsza. Przyшла do pokoju niosąc Mopsa samiczkę. Położyła ją obok mnie, żeby mnie pocieszyć. Ulżyło mi, gdy zobaczyłam, jak kładzie Mopsa. Pigułki uspokoiły mi żołądek i kiedy nadszedł lunch, Gemma-Kate zrobiła mi grillowany ser z talarkami cebuli i pomidora. Był niezły i nie zwymiotowałam go.

Pomoc ze strony Gemmy-Kate przypomniła mi, jaka była troskliwa dla mnie poprzedniej nocy, kiedy znalazła mnie na podwórku. Czy taka była wobec swojej matki? Zastanawiałam się. Myślałam o mamie, która mówiła, jaka to z niej dobra mała pielęgniarka. Myślałam, że lepiej jej idzie z inwalidami. Ma łagodniejsze usposobienie, kiedy zajmuje się chorymi.

Nie chciałam myśleć o tamtej nocy ani o tym, że na coś tam jestem chora i potrzebuję opieki.

30

Do niedzielnego poranka nie miałam więcej halucynacji, poza takimi drobiazgami, jak przelotna myśl, że moja siostra Ariel przyjechała, by zostać z nami, a ja zastanawiałam się, gdzie będzie spała. To są jakby sny, tyle że na jawie. Środki przeciwwymiotne trochę chyba pomogły, poszłam więc z Carlem do kościoła. Namówił Gemmę-Kate, żeby do nas dołączyła. Opierała się, potem założyła sukienkę, której jeszcze nie widziałam, taką, która uwydatniała jej kształty, kompletnie nie kojarząc się z rozwiążnością. No to poszliśmy.

Msza była nudna jak zwykle, ale Carlo mawia, że z założenia ma nas wynudzić do transcendencji. Do tej pory nie wiem, o co mu chodzi. Potem stanęłam w drzwiach sali parafialnej i rozejrzałam się, jak to zwykle robię, gdy wchodzę do pomieszczenia, w którym jest więcej niż troje ludzi.

Uśmiechnęłam się widząc Adriana Franklina. Kucyk spływał mu po karku. Rozmawiał z Mallory pod ścianą. On nerwowo popijał kawę, ona wyglądała, jakby się miała na bacności. Może wolała sama robić śmiałe propozycje. Przyszedł mi na myśl nieużywany premarin w jej apteczce. Czy ktoś na tym straci, gdy znajdzie sobie kochanka?

Myśli przerwała mi Gemma-Kate, podając mi kubek kawy i pączka posypanego cukrem pudrem.

Być może po nabożeństwie byłam skłonna do wybaczenia, w każdym razie ponownie przemyślałam epizod z ropuchą. To mógł być przypadek, a Gemma-Kate, która mnie słabo знаła, ukryła dowód, bo naprawdę bała się mojej reakcji. Potem pomyślałam, że może po prostu chciała mi się podlizać, kiedy tak się mną opiekowała. Zastanawiało mnie, co chciała zyskać.

Lulu podeszła do mnie i zagadnęła o sprawę Neilsena. Jakieś małżeństwo przedstawiło się jako McClayowie, żona zapytała mnie, czy chciałabym wstąpić do bractwa ołtarzowego. Podeszła też Ruth, żeby pogawędzić. Kiedy uznałam, że nie zniosę już więcej tego bratania, pojawiła się Mallory, żeby mnie uratować. Upiła łyk mojej kawy bez pytania, bo tak między nami było, i powiedziała, że jest ktoś, komu chce mnie przedstawić, chociaż nikogo takiego nie było.

Kiedy zostałyśmy same, przejęłam inicjatywę.

– Jak się miewa pies Adriana?

– Powiedział, że zjadł mu rękawicę do szczy piorniaka. Chyba za mną łązi.

– Nie pochlebiaj sobie. Małe szanse, po prostu chce pójść do kościoła. Powinnaś go zachęcić – powiedziałam tak cicho, żeby nikt nie usłyszał. – On jest z tych facetów, na których miałyśmy ochotę w szkole średniej i myślałyśmy, że ich nigdy nie będziemy miały. No i co z tego, że

minęło parę dziesięcioleci?

– Dziękuję, że tak liberalnie podchodzisz do mojego życia seksualnego, ale chcę żyć po swojemu – powiedziała wesoło. A potem dodała, żeby nie pokazać, że lituje się nad sobą: – Poza tym, wołę takich w typie Clint Eastwooda. A ty?

Pomyślałam o Carlu i że zawsze wołałam przeciętnych mężczyzn z krwi i kości od zwałistych chłopów z płaskich ekranów kinowych. Ale trzeba było odpowiedzieć.

– Takich, jak ten facet, co się jąkał w *Here Comes The Bride*^[11] – powiedziałam.

Mallory mrugnęła parę razy.

– Uwielbiam cię, kochana, ale czasem jesteś taka dziwna.

Potem ruszyła do ataku.

– Powiedziałaś już Carlowi?

– Nie, jeszcze nie. Pączka?

Ugryzła kawałek, otarła cukier z ust i znowu upiła łyk mojej kawy.

– Nie wiedziałam, że lubisz słodycze – powiedziała.

– Gemma-Kate przygotowuje je dla mnie. – Zaczęłam odstawiać kubek na skraj stołu, nie chciałam podnosząc go do ust pokazać, jak trzęsą mi się ręce. Mallory wskazała na kubek

– Daj go tutaj, wypiję resztę. Przynajmniej umówiłaś się na wizytę u specjalisty?

– A wiesz o tym, że jeden raz to rada, a dwa razy to przy nudzanie?

Mallory przełknęła kawę i uśmiechnęła się.

– No to idź do diabła. Ja idę do domu, do Owena, który mnie docenia. – Już odchodziła, ale upuściła kubek ze styropianu na podłogę i zachwiała się.

– Co się dzieje? – zapytałam, sięgając po parę serwetek ze stołu.

– Trochę kręci mi się w głowie – powiedziała. – I boli mnie brzuch. Chyba wstąpię do...

Powiedziałam, żeby się nie martwiła, wytrę kawę, ale ona już odeszła, nie kończąc zdania. Wzięłam parę serwetek ze stołu i nachyliłam się, żeby podnieść kubek i wytrzeć rozlaną kawę. Pozostali zignorowali to uprzejmie, na modłę episkopalną. Ale kiedy wstałam, żeby to wszystko wyrzucić, moją i pozostałych obecnych uwagę przyciągnął krzyk z drugiej strony sali parafialnej, gdzie stał stolik służący za stragan z książkami.

Pani Covington potknęła się i puściła chodzik. Leżała na podłodze, a jej lewa noga była wygięta pod niemożliwym kątem. Rzuciłam wilgotną serwetkę i kubek na stół obok i podbiegłam do niej.

Nie łączyłam początków choroby Mallory z wypadkiem pani Covington.

Gdy przestała krzyczeć, zaczęła kwilić; uklękałam przy niej, żeby ją uspokoić, póki nie nadejdzie pomoc. Carlo był obok mnie, próbował ją pocieszyć. Popatrzyła na niego i powiedziała:

– Valerie? – Potem jej oczy rozbiegły się. Pomyślałam, że to wstrząs. Carlo musiał pomyśleć to samo, bo robił, co mógł, żeby nie połknęła języka. Postawiłam gdzieś swoją torbę. Carlo nie nosił telefonu komórkowego, ale zanim zdążyłam powiedzieć: zadzwonić pod dziewięć, jeden, jeden, kilkoro ludzi już wyciągnęło swoje komórki.

Byłam skupiona na pani Covington, słyszałam, jak dwa głosy mówią, żeby przysłać karetkę do kościoła. Trzecia osoba gmerała przy telefonie, upadł na podłogę obok mnie. Nie schyliła się, żeby go podnieść.

Pomyślałam, że ludzie robią się nerwowi w kryzysowych sytuacjach. Nadal nie wiązałam tych faktów.

Skoro już Carlo zajmował się panią Covington, ja chwyciłam telefon, podniosłam rękę i wzrok na kobietę, która go upuściła. Była jak ogłuszona, nie ruszała się. Chwiała się i kołysała jak pijana.

Rozejrzałam się po sali i zaczęłam kojarzyć. Jeszcze niczego nie rozumiałam, ale zaczęłam łączyć tych ludzi w jedno.

Widzieliście reportaże prasowe o skutkach wybuchu bomby? Unoszący się dym, pokryte sadzą twarze, krwawiące rany, jedni oszołomieni kuleją, inni krzyczą? Rozpaczliwe poszukiwania bliskich?

Pomieszczenie wyglądało jak po ataku terrorystycznym w zwolnionym tempie, ale bez krzyku i krwi. Tylko chwiejny krok, chwytanie się za głowy, oszołomione miny. Co się do diabła stało? Jakaś szczególna aktywność dotarła do mojej nadal skołataną głowę. Kobieta usiłowała pozbyć się swojej spódnicy, wilgotnej od czegoś, co mogło być gorącą kawą, sądząc po wywróconym dzbanku i kawie płynącej po białym obrusie. Mężczyzna, którego nie znałam, leżał na podłodze, sięgał do kobiety, która się nad nim nachylała, pijacko bełkocząc.

– Lulu, Lulu. – Kobieta nachylona nad nim to nie była Lulu. Lulu znajdowała się w innej części sali, wymiotowała w bardzo nieatrakcyjny sposób.

Może to przyptyły adrenaliny wyciągnął mnie z własnego złego samopoczucia. Przeszłam na tryb kryzysowy. Zaczęły napływać reakcje.

Po pierwsze: upewnić się, czy z Carlem wszystko jest w porządku.

Odwróciłam się w stronę, gdzie kłęczął obok pani Covington i przyglądałam mu się przez chwilę. Pewnie poczuł moje spojrzenie i popatrzył na mnie, potem wrócił do pani Covington, która znów zaczęła krzyczeć. Chyba nie dotknęło go to, co tak podziało na innych.

Po drugie: znalazłam faceta, który zadzwonił pod dziewięć, jeden, jeden. Nadal stał z telefonem komórkowym w ręku i otwartymi ustami.

– Hej, kolego – powiedziałam; zwróciłam jego uwagę na siebie, kiedy lekko potrzasnęłam go za ramię. – Zadzwonił jeszcze raz. Powiedz im, że będziemy potrzebowali więcej autobusów.

Kiedy skierował na mnie wzrok, miał oszołomioną minę. Pomyślałam, że też poddał się temu.

– Autobusów? – zapytał.

– Karetka Powiedz im, że mamy... – szybko policzyłam, włączając tych, którzy lekko się chwalili i mogli w każdej chwili upaść – co najmniej szesnastu poszkodowanych.

Ukłękałam obok starego mężczyzny, sprawdziłam jego oddech i zajrzałam w oczy. Poruszały się gwałtownie w górę i w dół jak u pani Covington.

– Jak pan się nazywa? – zapytałam. Popatrzył na mnie jak na dziwaczkę.

Mallory potykając się wyszła z łazienki, Szła w moim kierunku, głowę trzymała wysoko.

– Co jest, do diabła?

– Połóż się, jeśli kręci ci się w głowie.

– Nie. Co mam robić?

– Ta kobieta, o tam. Wygląda na to, że jest poparzona. Przyńś lód z kuchni.

Mallory odeszła, potykając się.

Po trzecie: to, co powinnam być może zrobić na samym początku, a teraz chyba jest za późno. Oceń sytuację, żeby sprawdzić, czy jest ktoś, kto wie, co i dlaczego się dzieje.

Ponownie rozejrzałam się po sali. Poza tymi, którzy dzwoniли ze swoich komórek na numer alarmowy, troje ludzi nie potykało się, nie kładło na ziemi i nie pomagało innym. W różnych częściach sali parafialnej, niepowiązani ze sobą niczym poza spokojem, znajdowali się Gemma-

Kate, Peter i Ruth, matka Petera.

Ruth wyglądała na jeszcze bardziej nerwową niż w poprzednią niedzielę, kiedy ją spotkałam. Stwierdziłam to, przyglądając się jej po raz drugi. Oczywiście miała opuszczone, nie przyglądała się tej scenierii jak po wypadku kolejowym, jak zrobiliby to wszyscy inni. Szczególnie unikała patrzenia na swojego syna. Gemma-Kate przyglądała się temu, co się dzieje. Mężczyzna na podłodze tu, kobieta trzymająca się składanego krzesła tam, starsza pani ze złamaną nogą. Peter patrzył tylko na Gemmę-Kate.

Wtedy mój wzrok spotkał się ze wzrokiem Gemmy-Kate. Teraz dotarło do mnie przekonanie, że wiem.

Wiele karetek później migające światła, sanitariusze wpadają jak policjanci na obławie i nagle zatrzymują się przy drzwiach sali parafialnej. Patrzą na to, co się dzieje, jakby spodziewali się, że za chwilę nastąpi wybuch. Powiedziałam im, że to nie wyciek gazu. Weszli. Pomagałam, jak mogłam, pokazałam starszą panią Covington ze złamaną nogą. Nią należało zająć się pierwszą. Wysłałam z sanitariuszem, który ją zabrał.

– Myślę, że musicie udzielić pomocy piętnastu, szesnastu osobom – powiedziałam. – Nie wszyscy reagują, ale sprawdzić trzeba każdego.

– Jeszcze nigdy nie widziałem takiego bałaganu, co to jest?

Chyba było coś we mnie, co sugerowało, że jestem obeznana z tego typu sytuacjami.

– Mamy tu nudności i wymioty, dezorientację, zawroty głowy, jak przy mocnym upiciu się, ale nie mogli w tak krótkim czasie wypić tyle alkoholu. Hmm, drzenie gałek ocznych.

– Oczopląs.

– Tak

– Przychodzi pani coś do głowy? – zapytał.

– Nie, to nie moja branża. – Podałam mu kubek ze styropianu. – Ale może pan przecież zabrać tę kawę ze sobą.

– Dziękuję, ale...

– Niech pan tego nie pije. To jedyna rzecz, która ich łączy. Domyślam się, że to może być źródło zaburzeń.

Minęły nas kolejne nosze na kółkach, jakby odbywały się tutaj wyścigi. Leżał na nich ojciec Elias Manwaring we własnej osobie. W powszechnej panice przeoczyłam go.

Sanitariusz powtórzył:

– Jeszcze nigdy nie widziałem takiego bałaganu. Zadzwońm po więcej karetek. Jedźcie pani do szpitala?

– Chyba nie – powiedziałam. Jeśli kawa była winowajcą, mnie to nie dotyczy, bo upiłam tylko tyk

Carlo czuł się dobrze. Zawsze mówił, że to, co przyrządzają w kościele, to słaba, episkopalna wersja prawdziwej kawy i nigdy jej nie pił. Mallory poprawiło się po tym, jak zwymiotowała, ale obiecała, że pojedzie do szpitala na badania. Miałam swoje podejrzenia i nie byłam przygotowana na rozmowę ze śledczymi, póki nie porozmawiam z Gemmą-Kate. Zapędziłam ją i Carla do samochodu, byle nie wyglądała na to, że uciekamy. Carlo usiadł za kierownicą, a ja powiedziałam, żeby ruszał.

Nie marnowałam czasu.

– Gemmo-Kate, co dodałaś do kawy?

– O co ci chodzi? Co dodałam? Niczego nie dodałam do kawy.

– Co? – zapytał Carlo.

– Dość tych bzdur – odparłam. – Nie byłabyś taka głupia, żeby użyć śmiertelnej dawki tego czegoś. Ale jeśli im się pogorszy?

– Skąd, kurwa, mam wiedzieć?

Odpięłam pas bezpieczeństwa, sięgnęłam na tylne siedzenie i złapałam Gemmę-Kate za przegub.

– To nie jest dobry czas na szczeniackie wygłupy. Przy sięgam, że cię wydam.

Próbowała wyrwać rękę.

– Oj! Ciociu Brigid, boli. Niczego nie zrobiłam.

Carlo jechał dalej, ale poczułam, że zerka w moją stronę. Puściłam ją i odwróciłam się w kierunku jazdy.

– Dobry Boże! Musimy komuś powiedzieć – rzekł Carlo.

– Daj mi chwilę na myślenie, Carlo. Jest maleńka szansa, że nie ona to zrobiła...

– Hej, siedzę z tyłu i słyszę was.

– Zamknij się. Przy tej maleńkiej szansie muszę się zabezpieczyć.

– Ale będziesz współpracować, prawda? – zapytał Carlo. Miał prawo do tego pytania. W przeszłości ukryłam pewne sprawy i zawsze będę żałować konsekwencji, jakie o mały włos z tego dla nas nie wynikły.

– Przy sięgam, że będę. Ale w tej chwili opieram się tylko na podejrzeniu. Pozwól, że najpierw zapytam się o parę rzeczy. I na wszelki wypadek ustaw się w kolejce do obrońcy w sprawach karnych.

Nie dodałam, że argumentem zarówno za, jak i przeciw, żeby wydać Gemmę-Kate policji, jest to, że pochodzi z Quinnów. Z jednej strony w grę wchodziła rodzinna lojalność i moja obietnica złożona Marylin. Z drugiej – podejrzenie, że piętno Quinnów pochodzi z linii rodzinnej reprezentowanej przez mojego ojca, Fergusa. Nie z linii mojej matki. Jasne, Ariel i ja byłyśmy niegrzecznymi dziećmi, mama trzymała w samochodzie drewnianą łyżkę i kiedy stawałyśmy na czerwonym, waliła nas na tylnym siedzeniu, jednocześnie patrząc, czy światło się nie zmieniło. Ale to nie było znęcanie się, prawda? To tylko frustracja. Pozostali z nas, ci, którzy mieli gen Quinnów, byli inni, mieli w sobie coś nieokreślonego w nadmiarze albo brakowało im czegoś, o czym nigdy nie rozmawialiśmy.

Po przyjeździe do domu zadzwoniłam do Mallory. Powiedziała, że podano jej antidotum, że nie zapytała, co to jest i że wypuszczono ją ze szpitala, że według niej z panią Covington będzie dobrze, że to było koszarne przeżycie i czyż to nie szczęście, że żadne z nas poważnie się nie rozchorowało? Potem dodała, że ostatni raz piła z mojego kubka.

Ale najważniejsze, powtarzałam to sobie w kółko, że przynajmniej nikt nie umarł, nikt nie umarł, co za cholerne szczęście, nikt nie umarł.

Gemma-Kate przyglądała się Peterowi na ekranie komputera. Mienił się na twarzy, wyglądał na podekscytowanego, zamysłonego i trochę wystraszonego naraz.

– To było wariaaaaactwo, laska. Dlaczego tak szybko wyszłaś? Dlaczego żadne z was nie pojechało do szpitala? – pytał Peter.

– Żadne z nas nie piło kawy. Oni myślą, że to było w kawie.

– To podejrzane, że nikt z twojej rodziny nie pił kawy. A ja widziałem cię przy stole.

– Przestań się bawić w nastoletniego detektywa – powiedziała Gemma-Kate. – Ty też nie piłeś.

– Nigdy nie piję. Ale i tak pojechałem do szpitala. Kazali mi napić się whisky.

– O kurwa.

– Tak powiedzieli, że w kawie był odmrażacz i tyłu jest ludzi, że nie starczy im antidotum.

Powiedzieli, że whisky zadziała. Na pewno o tym nie wiedziałaś.

Gemma-Kate milczała.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał Peter. – Tak dla draki?

– Ja tego nie zrobiłam. Pewnie to ty.

Peter uśmiechnął się ironicznie. Gemma-Kate miała chęć się rozłączyć, ale coś trzymało ją wpatrzoną w jego twarz na ekranie.

– Bo ja wiem, Gemma-Kate – powiedział Peter. – Najpierw pies, potem cały kościół. Mówiłaś nawet, że twoja ciocia nie czuje się za dobrze.

– Wcale tak nie mówiłam. Mówiłam, że dziwacznie się zachowuje.

– To jest to samo. Wprowadzasz się i ludzie zaczynają wymiotować.

– Jeśli powtórzysz to komuś, przyśięgam, że cię dopadnę – powiedziała Gemma-Kate. Peter przestał się uśmiechać. Gemma-Kate chciała mu powiedzieć, że nie będzie z nim więcej rozmawiać, ale ekran pociemniał, zanim to zrobiła.

Ojciec Manwaring następnego dnia był sam w swoim gabinecie. Kiedy do niego zaszłam, usłyszałam klik, klik, klik my szki komputerowej.

Podniósł wzrok znad laptopa.

– Właśnie piszę kazanie – powiedział.

– Nie piszesz. Grasz w pasjansa. Poznają po klikaniu.

Rozparł się ma krześle, a krzesło ledwie to wytrzymało. Wyglądał na zmęczonego sprawami tego świata. Zawsze spodziewałam się takiego wyglądu po duchownych, tylko dzisiaj było tego więcej.

– To pomaga zwalczyć stres.

Ale nie za bardzo, pomyślałam, patrząc na niego.

– Mallory powiedziała mi, że wszystkim udzielono pomocy i odesłano do domu – poinformowała go.

– Bo domyśliła się, że coś było w kawie. Nie wiedzieli, jakie testy przeprowadzić, ale potem sanitariusz zaczął wy mieniać objawy i zawęził pole poszukiwań. Ten, kto tym kierował, pracował bardzo szybko. Wyszło im, że to glikol ety lenowy.

– Środek przeciwko zamarzaniu. – Wiedziałam, bo znałam sprawę, kiedy córka podała matce koktajl mleczny z dolewką tego środka. Matka umarła. Psy też to uwielbiają.

Manwaring pokiwał głową.

Staralam się połączyć zatroskanie z obojętnością.

– Kogoś podejrzejwają?

– Nie, sądząc po tym, o co mnie pytali. Chcieli poznać nazwiska wszystkich, którzy tamtego dnia byli w kościele, nie tylko w sali parafialnej. To nie taki znowu wielki kościół, ale jak mam zapamiętać nazwiska setki ludzi? Zapamiętałem tylko, że Vicki Bergesen wysza podczas modlitwy, ale ona zawsze musi wtedy iść do toalety. Potem oglądali różne wejścia i wyjścia z sali parafialnej i przepytawali mnie, kto mógł wejść tylnymi drzwiami, prowadzącymi prosto do kuchni.

– A co z tą biedną starszą panią, która złamała nogę?

– Pani Covington. – Manwaring westchnął. – Nadal jest w szpitalu, ale już ma się dobrze. Odwiedziłem ją rano, zanim przyszedłem do biura. – Nachylił się nad biurkiem, jakby chciał się z czegoś zwierzyć. – W sali parafialnej jest taśma policyjna. Brigid, mówię ci, tu jest jakaś zła karma. Mamy zbyt wiele wypadków jak na jeden kościół, a teraz hurtowe zatrucie całej kongregacji. Nie sądzisz, że to zbyt wiele? – Mówił to tak, jakby wszystkie kłopoty dotyczyły tylko jego. – Może powinienem cię wynająć, żebyś wytropiła, co się tu dzieje.

– Nie wszystko naraz – powiedziałam. – Kiedy umawiałam się na to spotkanie, chodziło o umiarkowanie Joeya Neilsena.

– Ach, ta smutna historia. Czasem przychodzi mi na myśl to, co powiedział Bertrand Russell, jeśli chce się osiągnąć szczęście, trzeba zacząć od zrozumienia, że świat jest straszny, straszny, straszny.

Jego filozofowanie na chwilę zbiło mnie z tropu.

– O tym mówisz ludziom? Jesteś księdzem. A Bóg, pokój na ziemi, życie wieczne?

Elias wzruszył ramionami, sięgnął po myszkę i wyszedł z pasjansa pająka, nie zapisując go.

– Po to do mnie przysłaś?

Pomyślałam, że pewnie jestem chora, ale był jedyną osobą, z którą bym o tym nie rozmawiała.

– Nie, chciałam z tobą porozmawiać o Joem Neilsenie.

– Nie wiem, jak mógłbym pomóc. – odparł. – Neilsenowie już od dawna nie przychodzą do świętego Marcina. Po pogrzebie Josepha przenieśli się do świętego Bedy. Spoczywa w pokoju w naszym kolumbarium.

– Co to jest kolumbarium? – zapytałam.

– Miejsce, w którym składa się prochy.

– Tam z tyłu, z ty mi białymi ścianami?

– Tak tam. – Przyjrzał mi się dokładniej, jakby zobaczył coś, czego nie zauważył, kiedy przyszłam, bo tyle miał na głowie. – Wyglądasz jakbyś nie najlepiej się czuła. Bardzo błada, podkrążone oczy. Masz alergię?

– Neilsenowie – powiedziałam. – Powiedz, dlaczego odeszli ze świętego Marcina.

– To ten dupek, jej mąż. Myślę, że Jacquie dostawała u nas duże wsparcie przed śmiercią Joego, wiesz, kiedy powiedział, że jest homoseksualistą, a też i po jego śmierci. Tim pozwolił jej tylko na to, żeby tutaj pochowała Joego. Potem odeszli na dobre.

– A co z samym Joem? Mówiono mi, że nie był lubiany.

– Lubiany? Myślę, że to był zepsuty gówniarz.

– Wiesz, to godne podziwu, że udało ci się na tyle opanować zespół Turreta, by zostać duchownym.

Wyglądał na trochę zmieszanego.

– Z każdym tak rozmawiasz, czy tylko ze mną?

Elias skrzywił się.

– To sprawa, którą się zajmujesz. Chyba wiesz, że jak się powie to, co się myśli, to można sobie ulżyć. Przyszło ci kiedyś do głowy, jak trudno przez okrągły tydzień, dwadzieścia cztery godziny na dobę, być tym, za kogo inni cię uważają?

– Tak, chyba znam to z tajnych operacji. Przeszło mi przez głowę, że Elias Manwaring też może mieć jakiś cmentarzyk wstydliwych tajemnic, chociaż nie wyobrażałam sobie, żeby były aż takie jak moje. W końcu moje naprawdę leżą na cmentarzu.

– Wróćmy do Joeya. O co ci chodzi?

– To jest kościół. Musimy wszyscy stąd lubić. Ludzie to widzą, więc z tego korzy stają.

No cóż, pomyślałam, przemyt narkotyków i prostytucja są bardziej jednoznaczne niż robota duchownego.

– Jak korzy stał z tego Joe?

– O, nie tylko on, Jackie też. Sprawiał problem rodzicom, wygłupiał się, wdawał się w kłopoty, wymyślał się na noc, popijał, itede, itepe. Jackie oddała go nam, żebyśmy go naprawili, ale gdybyś tak jej to przedstawiła, zaprzeczyłaby i powiedziała, że jest doskonała.

– Widziałeś, jak pije?

– Mój syn mówił, że się tym chwalił.

– Dobrze mu się układało z innymi dziećkami?

– Chyba go tolerowali, tak jak ja. – Elias popatrzył na mnie w zamyśleniu. – Możesz uzyskać opinię przez filtrowaną przez moją perspektywę albo porozmawiaj z Kenem.

– Z Kenem?

– Z moim synem. Był w tej grupie. – Elias podniósł telefon komórkowy, który leżał obok komputera i nacisnął przy cisk szybkiego wybierania. Czekał.

– Cześć, Lu. Jest u mnie Brigid Quinn, pyta o Joeego Neilsena i grupę młodzieżową. Mogłabyś do mnie zadzwonić, gdy Ken wróci?

Rozłączył się.

– Wkrótce powinni wrócić ze szkoły. Dzisiaj chyba nie ma zajęć kółka fotograficznego. – Nastąpiła przerwa, w rodzaju tych, kiedy rozmówcy nie wiedzą, kto powinien zacząć pierwszy i o czym będzie mowa. – Napijesz się kawy?

– Pewnie, byłoby miło.

Elias nachmurzył się.

– Właśnie sobie przypomniałem, wypilem resztkę. – Chyba nie brał pod uwagę, że mógłby zaparzyć świeżą. – Wody? – zapytał.

– Jasne, wody. – Cokolwiek, żeby zabić czas, póki nie oddzwoni Lulu.

Wyszedł z gabinetu i wrócił ze szklanką wody bez lodu.

– Przepraszam, staramy się chronić środowisko naturalne i nie używamy plastikowych butelek. Wzięłam od niego szklankę i trochę wypilałam.

– Może być. – Kiedy go nie było, myślałam o czymś innym. – Skoro już tu czekamy, opowiedz mi trochę o tej grupie młodzieżowej. Ken jest pewnie bardzo zaangażowany, jak to bywa z dzisiejszą młodzieżą.

– Próbujemy, chociaż to trudne, zachęcić go do uprawiania sportu czy robienia czegośkolwiek, co oderwie mu tylek od kanapy. Mówię ci, Brigid, nie znoszę dzieciaków. A najgorsze są dzieci księży. Potrafią być przemądrzałe, bo nie chcą, żeby ludzie myśleli, że są świętoszkami. Ale Ken nie jest taki zły.

– Zawieźli go wczoraj do szpitala? A może nie pije kawy?

– Nie. Nie chodzi do kościoła. Nie możemy go zmusić. Nie wiem, czy mu chodzi o to, żeby poświęcał mu więcej uwagi, czy co, ale wiesz, w domu to ja odwalam robotę. W pracy to już nie mój problem.

– Czy ty w ogóle coś lubisz w swoim zawodzie? – zapytałam.

Elias oburącz potarł twarz. Miał miękkie dłonie.

– Jeszcze raz przepraszam, odszedłem od tematu. Co chciałaś wiedzieć?

– Co właściwie robiły, czy robią, grupy młodzieżowe?

– Wycieczki, filmy z przesłaniem, pisanie własnych kazań. – Znowu potarł twarz, potem tak podciągnął skórę, że wyglądało, jakby się uśmiechał. – To fantastyczne, przynajmniej Lulu tak mówi. Kieruje grupą młodzieżową.

– Lulu powiedziała, że Neilsenowie grożą pozwaniem kościoła.

Jego komórka zadzwoniła i nie mógł na razie odpowiedzieć.

– Cześć – powiedział. – Co on teraz robi? – Słuchał. – Dobrze, to idziemy.

– Trafiliśmy w zły czas? – zapytałam, wyobrażając sobie mały dramat rodzinny.

– Wygląda na kolejny dzień w raju. Lulu powiedziała, że kiedy weszli, Ken wysłuchał nagranej wiadomości i zaczął płakać.

Plebania była niedaleko kościoła, w dół wzgórza zwirowaną ścieżką i przez usiane kaktusami pole. Szybciej dojść tędy, niż gdyby się pojechało samochodem, powiedział Elias. Potem milczał, pogrążony w myślach podczas drogi do domu, który pokazał mi palcem. Szłam trochę za nim. Wydało mi się dziwne, że zadyszałam się próbując dotrzymać kroku tak grubemu facetowi. Stwierdziłam, że nie jestem zbyt dobra w chodzeniu.

Lulu patrzyła na nas zza zewnętrznych drzwi z siatki z metalowym kojotem pośrodku. Otworzyła je, zanim dotarliśmy. Obok niej siedział spaniel i lizał wierzch jej trampka. Można się było domyślić, że nie jest dobrze, bo nie wybiegła z talerzem ciasteczek.

– Nie gniewaj się na niego, Eliasie – powiedziała.

Elias nie słuchał. Chyba napompował się złością po drodze z parafii do domu i musiał ją jakoś z siebie wypuścić. Ken siedział pośrodku kanapy w schludnym, ale odrapanym salonie. Nie wiedziałam, że można jeszcze znaleźć tkaninę z polipropylenu we wczesnoamerykańskim stylu i nie sądzę, żeby kanapa była nowa, kiedy Manwaringowie ją kupowali. Też na niej usiadłam, nie dlatego, żeby mnie szczególnie zapraszali albo żeby bardzo chciała pocieszyć Kena. Byłam trochę zdyszana i oszołomiona, a móżg mi znowu wysiadał po spacerze z kościoła.

Ken, który już zdążył osiągnąć ciało równie korpulentne jak ciało taty, wyglądał jak nieszczęśliwy skutek uboczny zawodu ojca. Za dużo obiadków składkowych, w których jedynym wspólnym składnikiem była grzybowa zupa-krem. Wydmuchał nos, podniósł wyżej okulary, które ześlizgnęły się, kiedy dmuchał i ponownie wytarł nos.

Elias nie tracił czasu na wstępy. Był księdzem i wyczuwał, że zbliża się spowiedź. Miękką ręką, którą widziałam w kościele, zamieniła się w żelazny palec sądu, gdy dźgał nim syna w skroń, lekko, ale zdecydowanie.

– Zacznij mówić – rzekł.

Od tej chwili mogłam tylko słuchać. Ken mówił, a Elias zadawał pytania. Byłby dobrym śledczym w Guantanamo. Oni mówią, że w zasadzie ludzie zawsze chcą powiedzieć prawdę, a przesłuchanie jest po to, żeby mogli to zrobić zachowując resztkę godności. Tak teraz było z Kenem. W moich oczach wyglądało to tak, jakby dręczył się od śmierci Joego.

Przerywając sobie szlochem i pociąganiem nosa, Ken opisał to, o czym już słyszałem, ale jeszcze nie miałam do czynienia. Zabawa w przyduszanie.

Lulu aż zatchnęła się na samą nazwę.

– Co to jest? – zapytała.

– Dzieciaki robią to sobie nawzajem. Od tego traci się przytomność. Niektórzy mówią, że dają czadu, kiedy to się robi, ale ja nigdy...

– Do diabła, mam nadzieję, że ty nigdy...

– Przestań, Eliasie – powiedziała Lulu. – Jak to się robi, Ken?

Ken przyłożył nasady dłoni do szyi z obu stron.

– To się dzieje, kiedy się naciśnie tutaj...

– Ken, nie rób tego – powiedziała Lulu.

– On tego nie robi – mruknął Elias. – Skąd o tym wiesz?

– Mówiło się o tym w szkole. Niektórzy...

– Kto jeszcze się w to bawi? Które dzieciaki?

Ken pokręcił głową.

– Które dzieciaki?

– On mnie zbije – powiedział Ken.

– W tej chwili nie miałbym mu tego za złe – powiedział Elias. Schwycił Kena za koszulę i skrzył ją.

– Elias! – krzyknęła Lulu.

Nawet ja wstrzymałam oddech na sekundę. Potem Elias popatrzył na mnie i puścił Kena. Nie potrafiłam się domyślić, czy twarz ma czerwoną ze wstydu, czy z gniewu. Może dobrze, że u nich byłam.

– Nie rozumiesz – powiedział Ken. – Wpadnie po szyję w kłopoty...

– Przyjacielu, teraz ty tkwisz po pachy w kłopotach. – W tonie była groźba, ale już bardziej kontrolowana. Po chwili Elias zerknął z ukosa na Kena, jakby go widział po raz pierwszy.

– To Peter, prawda?

Milczenie Kena potwierdziło to.

– Znam Petera – powiedziałam. – Czy to Peter sprawia problem?

Elias odpowiedział milczeniem, wreszcie się odezwał:

– To chłopak w ich wieku z grupy młodzieżowej. Jego ojciec to policjant i jest bardzo surowy. Kiedy Ken mówi, że Peter wpadnie po uszy w kłopoty za taką zabawę, to nie przesadza. – Znów zwrócił się do Kena. – Robiliście to po śmierci Joego?

– Nie! – odparł Ken.

– Powiedz mi teraz, co to ma wspólnego z Joem? – zapytał Elias.

– Mówił, że można to zrobić samemu, a kiedy ciało się osunie, sznurek sam się rozplącze, jak się go właściwie zawiąże, wtedy wraca przytomność.

– Kiedy ostatni raz to robiliście?

– Kiedy wróciliśmy do kościoła po ostatniej wycieczce do basenów Romero. Wszyscy już odjechali, a my czekaliśmy na ciebie, żebyś nas zabrał do domu. Łaziliśmy po bibliotece.

– Robiliście to na terenie własności kościelnej – powtórzył Elias. – Oni naprawdę mogą nas poznać. No to, kurwa, wspaniale.

Lulu popatrzyła z wściekłością na Eliasa.

– Dlaczego Joe? Nawet go nie lubieś.

– Bo on zawsze wszystkim się przechwalał. Jego rodzice nie jeździli na wakacje po prostu w Białe Góry, oni jeździli na wyprawy słoniami w Tajlandii albo robili jakieś inne dziwactwa. Wszystko było takie... ach i och. Mam pokój medialny. Mam własną salę do ćwiczeń. Mam basen ze ślizgawką. Takie głupoty. Nigdy nie przestawał. I nigdy nas nie zaprosił.

– ...W kościele – powtórzył Elias.

– Peter lubił go podpuszczać do robienia różnych rzeczy, mówił: hej, jak mogłeś jeździć słoniem po dżungli, to pewnie możesz zrobić to. Potem Peter śmiał się z Joe'go, a Joe nawet tego nie zauważał. No to Peter powiedział nam coś, co mu pokazał tata, coś, co się nazywa kontrola arterialna i policjanci robią to złym ludziom. I obejrzelismy parę wideo. I zapytał, czy Joe by to zrobił, a Joe powiedział, że jasne, że może to zrobić.

Peter, pomyślałam. Byłam jedynym dorosłym w pokoju, który trzymał usta na kłódkę, póki Ken nie skończył.

– Jakie wideo? – zapytałam.

Ken westchnął.

– Wszystko jest na YouTube.

– Przesłaliście Joe'go na YouTube? – zapytał Elias. Twarz znowu mu poczerwieniała.

Ken zrobił się taki mały, że musiałby stanąć na palcach, żeby zawiązać sobie sznurowadła.

– Pokaż nam – powiedziałam.

Ken dzwignął się z kanapy i poprowadził nas do wnetki, w której stał jego komputer, widoczny prawie z każdej części domu. Tutaj rodzice przynajmniej na to uważali, ale nie da rady skontrolować tego, co się dzieje w innych domach. Pracowałam przy tylu sprawach z dziecięcą pornografią, że wiedziałam o tym naprawdę sporo.

Ken, nadal pociągając nosem, włączył komputer, a nasza trójka stanęła za nim i patrzyła. Obok mnie była ściana. Oparłam się o nią. Ręce trzymałam w kieszeniach, żeby ukryć ich drżenie. Spaniel nadal zabawiał się trampkiem Lulu, zrobił ciemną, wilgotną plamę na palcach. Lulu opamiętała się.

– Może pani coś przynieść? Wody?

– Nie, dziękuję. Dobrze się czuję. – Nie patrzyłyśmy na siebie podczas tej wymiany zdań, jakbyśmy się bały, że coś przeoczymy, jeśli oderwiemy wzrok od ekranu.

Ken włączył wyszukiwarkę i wpisał „youtube/przyduszenie”. Pojawiło się ponad cztery tysiące wyników. Na pierwszej stronie były głównie wiadomości i ogłoszenia urzędowe ostrzegające przed niebezpieczeństwem. Ken przerwał, nie miał ochoty przejść dalej.

– Dalej – powiedział Elias.

– O rany – szepnęła Lulu. Nie wiedziałam, do kogo to było.

Ken wpisał kod i nacisnął enter.

– Jesteś na tym wideo? – zapytał Elias.

– Nie! – Ken powiedział to tak samo głośno jak Elias, a potem ciszej: – Filmowałem. Moim telefonem.

Pojawiło się wideo, Ken stuknął palcem i zaczęło się odtwarzanie. Kamera pokazała regał z książkami. Elias nachylił się bliżej ekranu, żeby przyjrzeć się grzbietom wolumenów.

– Tilich. Bonhoeffer. Tak, to ta cholerna biblioteka kościelna, zgadza się.

– Zamknij się! – krzyknęła Lulu.

Kamera prześlizgnęła się w lewo i pokazała chłopca stojącego przed regałem. Znałam go z fotografii, którą dała mi jego matka. Był chudy i niezgrabny, niski i jak większość nastolatków ukrywał niepewność pod brawurą. Jako dorosła wiedziałam to, ale Ken i Peter nie mogli mieć pojęcia o swoim zamaskowanym cierpieniu. Joe zaśmiał się, takim śmiechem rozdrażniłby mnie nawet bardziej, gdyby nadal żył, potem zaczął mówić głosem, w jego mniemaniu zapewne uroczystym: „Melduje się astronauta Joseph M. Neilsen. Pierwszy lot Małpy Kosmicznej. Jeden

mały krokczowieka...”

Przerwał mu głos, prawdopodobnie Salazara: „Ale z ciebie głupi palant”.

Joe znów się roześmiał. Albo myślał, że chłopcy rozmawiają między sobą, albo tak bardzo spragniony był uwagi, że nie obchodziła go jej forma. „Dowódcu Peterze Salazarze, jesteś gotowy?”

Peter był znacznie wyższy od Joego, ale poza tym podobny, ubrany w taki sam uniform nastolatka: niebieskie džinsy i T-shirt.

Dał się słyszeć głos Kena: „Musisz się odsunąć, nie widzę go”.

Peter odsunął się trochę na prawo i sięgnął ręką do szyi Joego. Zatrzymał się. „Naprawdę mam go dotknąć?”, zapytał.

„Czekaj – znów odezwał się głos Kena. – Lepiej stań przed tym fotelem, kiedy będzie opadał”.

Peter złapał Joego za koszulkę, żeby przewrócić go na fotel. „Teraz zadowolony?”

„Ze mną będzie w porządku”. Joe już nie wyglądał tak czupurnie i chyba trochę się denerwował na myśl, że musi spaść. „Do roboty”.

Peter znów sięgnął ręką.

„Trochę na prawo”, powiedział Ken.

Peter przesunął się o krok na prawo. „Tak dobrze?”

Kamera przesunęła się jeszcze trochę, kiedy Ken przeszedł w prawo. Podniósł ręce i nasadami dłoni nacisnął z obu stron szyję Joego. „Tak jest w porządku?”

„Chyba tak”, powiedział Ken.

Joe nic nie powiedział. Zamknął oczy. Dotarło do niego, że wszyscy troje, przed komputerem, razem wstrzymaliśmy oddech. Trwało to dłużej niż mogłam sobie wyobrazić. Potem kolana się pod nim ugięły i upadł do tyłu, na fotel. Podtrzymało go oparcie. Głowa zatoczyła mu się na wyściółce fotela.

„Hura!” – wrzasnął Peter i odskoczył do tyłu, a Ken zawtórował mu: „Hura!”

Joe nie ruszał się.

„Przecież miał zaraz odzyskać przytomność?”, zapytał Peter patrząc wprost w kamerę, na Kena.

Joe zaczął się szarpać. Obie ręce wykręciły się i uderzyły w twarz, jak u oszalałej marionetki. Stopy zagięły się do tyłu, zawinęły pod spód fotela, a plecy wygięły się w łuk, jak przy ataku padaczki

Telefon upadł, mogliśmy więc zobaczyć tylko jakieś szuflady na dole regałów.

„Dzwon pod dziewięć, jeden, jeden”.

„Nie! Joe? Hej, Joe”.

„Czekaj, ściągnij go z fotela! Połóż go płasko”.

Uslyszeliśmy szamotaninę, coś o coś uderzało, może głowa Joego o drewnianą podłogę. Przyglądałam się upływowi sekund na liczniku wideo, jedna, dwie, trzy, cztery i...

„O kurwa, facet! Myśleliśmy, że cię stracimy! Ale to było fajne!”

„Cii, ktoś może usłyszeć”.

„Facet, to było fantastyczne!” To był głos Joego. „Zrobimy to jeszcze raz”. Nie umarł tego dnia.

Wideo skończyło się, staliśmy skamieniali przed komputerem. Usłyszałam szept Lulu:

– O mój Boże.

Ken znów zaczął szlochać.

– Zabiłem Joego – powiedział.

– Dlaczego twierdzisz, że zabiłeś Joego? – zapytała Lulu, kładąc mu ręce na ramionach.

– Gdybym się nie zgodził, żeby to robić z Peterem, Joe nie wpadłby na pomysł, żeby spróbować samemu. Bo nie zrobiliby tego drugi raz. Chyba wiem, co się stało... zanurzył się w wodzie i wstrzymał oddech. Albo coś takiego.

– Nawet Joey Neilsen nie zrobiłby czegoś tak głupiego. – Elias, pokutując za przedwczesny gniew objął dziecko ramieniem, nagle pożby wając się ostrego tonu. – To, że coś sobie wymyślisz, nie musi znaczyć, że to się stało.

– A może coś się stało z jego mózgiem i dlatego utonął – powiedział Ken.

Najwyraźniej nie przywiązywał wagi do mądrości ojca, a Elias szybko tracił cierpliwość.

– Nie zabiłeś Joego – powiedział. – Prawda, Brigid?

– Prawda, nie zabił go – powiedziałam, jakbym była ekspertem powołanym przez Eliasa. Pomyślałam, że być synem ojca Eliasa Manwaringa i mieć na karku tę sprawę, to wystarczający ciężar. – Masz adres Petera Salazara?

– W gabinecie. Tutaj, w gabinecie – powiedział Elias trochę zdenerwowanym głosem. Wyszedł i zaraz wrócił z małą, spiętą zszywkami książeczką, na której było napisane: Książka telefoniczna kościoła św. Marcina. Zaniósł ją do kuchni, poszłam za nim i patrzyłam, jak kartkuje ją według alfabetu i zapisuje dla mnie adres na podkładce pod papiery.

– Przerzuciłeś parę zdjęć. Czy jego rodzina tam jest?

– Chyba zabrali swoje zdjęcia. – Wrócił na koniec książeczki i przekartkował zdjęcie za zdjęciem rodzin w pełnym kolorze, w niedzielnych ubraniach, z niedzielnymi uśmiechami. Rozpoznałam niektórych ludzi z czasów, kiedy chodziłam na msze z Carlem, ale nie zauważyłam Mallory, kiedy przekartkował literę H i przeszedł do S, gdzie pojawił się Peter Salazar z młodszą siostrą, mamą i tatą. Ruth i Peter, chłopiec, który zaprzyjaźnił się z Gemmą-Kate. I ich ojciec o twarzy buldoga, wypukłej piersi, agresywny wobec fotografa.

– Skurczybyk – powiedziałam, trochę mniej szorstko niż zwykle, chociaż i tak nikt tego nie docenił.

– Co? – zapytała Lulu, podchodząc do nas od tyłu.

– Znam tego faceta.

– Pewnie widziałaś go w kościele. Ta rodzina regularnie chodzi do kościoła – powiedział Elias. – Solidni parafianie.

Nie zauważyłam ich u św. Marcina; patrzyłam na człowieka, który mi przerwał, kiedy rozmawiałam z Samem Humphriesem. Mężczyzna podpisany pod zdjęciem jako Anthony Salazar był sierżantem, szefem Sama. Jestem pewna, że narobiłby w gacie, gdyby zobaczył wideo. A może już to zrobił i dlatego wyznaczył do sprawy Sama Żółtodzioba. Może Ken miał rację.

Może na coś to się przyda, a na pewno będzie dobrym pretekstem, żeby porozmawiać z Tonym Salazarem o jego synu Peterze.

Pożegnałam się z rodziną Manwaringów, uporządkowałam ich sprawy i poszłam z powrotem

do kościoła, z zamiarem zatrzymania się przy kolumbarium, o którym mówił mi Elias, żeby zobaczyć, póki tutaj jestem, gdzie został złożony Joey na wieczny spoczynek. Idąc zadzwoniłam do departamentu policji w Tucson, powiedziałam, że pomagam w śledztwie Anthony'emu Salazarowi i poprosiłam o jego służbowy mail. Potem włączyłam YouTube i przesłałam mu wideo, na którym jego syn, Peter, dusi chłopca, którego zidentyfikowałam jako zmarłego Josepha Neilsena. Napisałam Salazarowi, że chcę się z nim widzieć. Mój numer telefonu przyjdzie do niego razem z wiadomością, ale na wszelki wypadek dopisałam adres mailowy. Pomyślałam, że to będzie interesujący wieczór w domu Salazarów.

Byłam zajęta tymi myślami, kiedy doszłam do kolumbarium, znalazłam bramę z czarnego kutego żelaza pośrodku białego, wysokiego muru z suszonej w słońcu cegły i weszłam do środka. Pierwsze, co zauważyłam, to cztery krzyże z wypolerowanego marmuru, złożone z oddzielnych, wypolerowanych marmurowych tablic, każda po jakieś piętnaście centymetrów kwadratowych, a na wielu wykuto ozdoby. Urny z prochami leżały pewnie pod płytami.

Drugie, co zauważyłam, to Adrian Franklin, rozciągnięty przed wykładaną kafelkami betonową ławą, przylegającą do muru obok bramy, ze styropianowym kubkiem obok siebie i kałużą kawy z martwymi mrówkami. Zdaje się, że służby ratunkowe zapomniały sprawdzić kolumbarium.

Biedny, kochany, wesoły Adrian... już nie zobaczymy jego olśniewającego uśmiešku urwisa. Chciał tylko zmienić klimat, przestać oplakiwać żonę i zdobyć paru przyjaciół, którzy nie przypominaliby mu ciągle o niej. Przeprowadził się aż do Arizony. Przyszedł do świętego Marcina szukać ukojenia. I zamiast niego znalazł żywot wieczny.

Zadzwoiłam pod dziewięć, jeden, jeden, potem do Eliasa, potem do Carla, żeby wiedział, że wrócę do domu trochę później. Na szczęście Gemma-Kate nie odebrała telefonu. Jeszcze nie byłam gotowa, by słuchać jej głosu.

Był tu Manriquez, dołączył do niego mężczyzna, o którym zaledwie przed godziną dowiedziałam się, że nazywa się Tony Salazar, jest ojcem Petera i mężem Ruth. Elias też się pojawił, bliski hysterii. Bardzo przeszkadzał.

– O mój Boże, to ten człowiek – powiedział.

Postanowiłam siedzieć cicho, chyba że wprost by mnie o coś spytano. Elias podał nazwisko zmarłego. Adrian Franklin.

– Pamiętam to nazwisko, bo prosił mnie, żeby m mu zrobił plaketkę z nazwiskiem.

Salazar powiedział im, żeby wracali do domu zamiast dreptać tutaj w kółko i niszczyć ewentualne dowody z odcisków butów. Ale Elias i Lulu stali na zewnątrz kolumbarium, obok otaczającego je muru, jakby nie mieli śmiałości odejść.

– Co tu się dzieje? – Elias nie skierował pytania do kogoś konkretnego. – Wypadki. Ktoś truje moich parafian. Teraz to. – Gestem wskazał, że „to” jest nowym obciążeniem jego własności. – Czy to jakaś zbrodnia z nienawiści? Kto nienawidzi kościoła episkopalnego? O jeden hymn różnimy się od unitarian, na litość Boską!

Tony Salazar nie mógł dostać linku do YouTube z filmem pokazującym, jak jego syn dusi Joeya Neilsena. Spojrzał na mnie tylko, pokazując, że mnie rozpoznaje. A jeśli nie wiedział, kim jestem, kiedy przed paroma dniami widział mnie z Humphriesem, to teraz się dowiedział, bo się przedstawiłam.

– Ach, potężna Quinn – powiedział, mrużąc okiem.

– Już to sły szałam – odparłam.

Poprosił mnie, żeby m uspokoiła Eliasa, a on z Manriquezem zajmą się miejscem zdarzenia.

– Dobrze, że możesz go zidentyfikować – powiedział Salazar – bo ten człowiek nie ma przy sobie żadnego dowodu tożsamości.

– Musicie się dowiedzieć, gdzie się zatrzymał – powiedziałam. – Mówił mi, że ma psa. Chyba jest zamknięty już dłużej niż dzień.

Wszyscy mogliśmy się domyślić, że to ofiara otrucia z poprzedniego dnia i nie trzeba było mrówek wyłazających z dziurki w nosie, żeby potwierdzić, że jest martwy prawie od doby, ale to była praca dla Manriqueza. Właśnie się do niej zabrał.

– Nie widzę żadny ch śladów przemocy. Zabieramy go do laboratorium, przeprowadzimy testy na glikol etylenowy. Zastanawia mnie, dlaczego tylko on dostał śmiertelną dawkę.

– Przychodzi tutaj, żeby w spokoju napić się kawy, mleje, a sanitariusze go nie znajdują? – zapytał Salazar.

Manriquez skinął głową.

– Dobry scenariusz. Pije, nie dostaje pomocy, wystarczy parę godzin, żeby umrzeć. Może coś jeszcze znaleźć.

Przez cały czas nic nie mówiłam. Dziś rano nawet nie zadzwoniłam do Manriqueza, bo nie chciałam zadawać zbyt wielu pytań, skoro podejrzewałam, że moja bratanica mogła...

Co mam teraz zrobić, Marylin?

Może duch Marylin właśnie w tamtej chwili przyszedł mi z pomocą, bo pomyślałam o wideo, które widziałam u Manwaringów. Potem przypominałam sobie, w jaki sposób Peter Salazar poprzedniego dnia w kościele patrzył na Gemmę-Kate. Co oznaczało to spojrzenie? Czy „stać mnie na więcej niż otrucie psa”? Może to była fałszywa nadzieja, a może przyczepiłam się do Gemmy-Kate przedwcześnie. A jeśli tak, to co?

Wzięłam Manriqueza na bok, kiedy ciało Adriana Franklina ładowano do worka na zwłoki i do ambulansu. Potrzebne mi były nie tylko odpowiedzi, chciałam rozpocząć proces obmawiania Petera, gdyby mi ich udzielono.

– Słyszałeś o zabawie w przyduszenie? – zaczęłam.

– Inaczej zabawa w omdlenie? Kosmiczna małpa? Jasne.

– Co o tym wiesz?

– Epidemiologia, mechanizm, czy co?

– Po prostu mów. Sama ocenię, czy to jest coś warte.

– W ubiegłym roku w Baltimore była sesja Narodowego Stowarzyszenia Kształcenia Medycznego w Pierwszej Pomocy. Obliczyli, że jakiś tysiąc dzieciaków umiera rocznie w konsekwencji tej zabawy, ale liczby mogą być większe, bo jeśli bawią się w pojedynkę, można to pomylić z samobójstwem. W ubiegłym roku miałem jedną oczywistą sprawę, bo w grę wchodził jeszcze jeden dzieciak, który to zrobił i przyznał się.

– Widziałam na wideo, jak to robią sobie nawzajem. Co się wtedy dokładnie dzieje?

– Nacisk na tętnicę szyjną uciska baroreceptory, co wywołuje...

– George, znowu nie mówisz po angielsku.

– Wiesz, co mówią? Jak uprawiasz ćwiczenia fizyczne, nie powinnaś badać pulsu przy ciskając palce do szyi, bo możesz zemdleć.

– Tak

– To coś takiego.

– Można w ten sposób zabić?

– Jasne.

– Czy to oczywiste?

– Nie. Trudno wtedy ustalić przyczynę śmierci.

Teraz czas na przekazanie informacji.

– Pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie. Jak dobrze znasz sierżanta Salazara? – zapytałam.

– Trochę. Facet jest w porządku. Co chcesz wiedzieć?

– Wiesz, że prowadzę śledztwo w sprawie śmierci? Chodzi o Joego Neilsena. Dopiero co oglądałam wideo z synem sierżanta, jak bawi się w przyduszenie z Neilsenem. Powiedział, że tato go tego nauczył.

Manriquez gwizdnął.

– Hm, niezręczna sprawa.

Moje nowe podejrzenie w stosunku do Petera było bardzo niepewne i podczas jazdy do domu zdałam sobie sprawę, że to mogą być pobożne życzenia. W końcu otrucie w kościele zdarzyło się po przybyciu Gemmy-Kate, no i ta ropucha. Znowu upadłam na duchu.

Kiedy weszłam do domu, Gemma-Kate i Carlo byli w salonie. On siedział w fotelu do czytania, książka wisiała grzbietem do góry na poręczu. Gemma-Kate siedziała po turecku u jego stóp jak uczennica. Carlo uśmiechnął się do mnie, Gemma-Kate odwróciła się, żeby spojrzeć i też się uśmiechnęła, tak jak Carlo. Poczulałam, że twarz robi mi się gorąca ze złości.

– Coś nie tak? – zapytał Carlo. Wyczułam, że rozmawiali o tym, co się stało w kościele poprzedniego dnia; chciał odwrócić wzrok, ale nie spuszczałam go z oka. Zmusiłam się do tego, żeby przestać patrzeć mu w oczy i posłam do swojego gabinetu. Wyszukanie w Google nazwiska Adrian Franklin zajęło mi minutę. Parę trafień, ale w żadnym informacji o właścicielu restauracji w Gainesville na Florydzie. To niewiele znaczyło, niektórzy ludzie naprawdę są nikim.

Carlo poszedł za mną.

– Powiedz, co jest nie tak – rzekł.

Wróciłam do salonu. Teraz oboje mi się przyglądali. Gdybym lepiej się czuła, może użyłabym bardziej subtelnych technik przesłuchania.

– No dobrze, sprawy właśnie poleciały do góry o parę szczebli. To nie jest tylko głupi żart, że wszyscy idą pić whisky i wracają do domu poza jedną biedną kobieciną, która łamie nogę. Umarł ktoś z kościoła.

– Kto? – zapytał Carlo. Wyglądał jednocześnie na wstrząśniętego i zadowolonego, że to nie ja stanęłam wobec bezpośredniego zagrożenia. – Ta przemila starsza pani?

– Adrian Franklin.

– O mój Boże.

– Znalazłam go w miejscu, gdzie się chowa prochy zmarłych. – Mówiąc to patrzyłam na Gemmę-Kate.

Gemma-Kate nie wstała z podłogi. Nic nie mówiła, ale już nie wyglądała nijako. Jej oczy zamieniły się w bliźniacze czarne dziury, które czekają, żeby pochłonąć wszystko, co świat im da. Jednego nie robiła, nie udawała niewiniątka. Tak jak ja wcześniej tego dnia, w kościele, trzymała usta zamknięte i czekała.

– Ty to zrobiłaś? – zapytałam.

– Musimy do kogoś zadzwonić – powiedział Carlo.

– I co powiemy? – zapytałam, nie odwracając wzroku od Gemmy-Kate. – Ty to zrobiłaś?

– Nie!

– Wstań.

Wstała.

Ścisnęłam jej twarz dłońmi, żeby nie mogła odwrócić wzroku. Tym razem miałam nadzieję, że zobaczą prawdę w jej oczach. Próbowaliśmy wziąć się w garść.

– Kochana, posłuchaj. To był dobry człowiek. Człowiek, który oplakiwał żonę i przyjechał tutaj, żeby zacząć życie od nowa. Adoptował labradora retrievera. Grał w piłkę ręczną. Ten człowiek właśnie stracił resztę swojego życia. Słyszysz, co do ciebie mówię? Rozumiem, że to był wypadek i pomogę ci się z tym uporać. Nie chcę cię wydać, ale przysięgam, że to zrobię, jeśli teraz nie powiesz mi prawdy.

Utkwiła we mnie wzrok

Próbowała wyrwać głowę spod moich dłoni, ale ja ścisnęłam mocniej i nie miałam zamiaru puścić, nawet gdyby złamała sobie szczękę.

Wyczuła to, znieruchomiała i powiedziała cicho:

– Nic nie wiesz, a ja nie mam zamiaru dostać za coś, czego nie zrobiłam.

Poczułam rękę Carla na ramieniu. Było w niej jakieś wahanie, jakby skądś wiedział, że umiem postępować w takich sprawach, ale nie był w stanie się zmusić, by stać z boku, patrzeć i nic nie robić.

Zadzwoiła moja komórka. Puściłam twarz Gemmy-Kate, poszłam do korytarza za drzwiami wejściowymi i nachyliłam się, żeby wyjąć telefon z torby na ramię, którą rzuciłam na podłogę. Kiedy się wyprostowałam, dostałam zawrotu głowy, przed oczami miałam czarno-białą szachownicę, czułam, że jest mi gorąco i zimno jednocześnie. Musiałam za szybko się ruszać, bo zdążyłam odebrać, zanim odezwała się poczta głosowa.

– Anthony Salazar – odezwał się głos bez przywitania. – Chcę, żebyś jutro o dziesiątej przyszła do biura.

– W sprawie?

– Na pewno nie chodzi o to bzdurne wideo, które mi przesłałeś, o czym by to, kurwa, nie było.

Rozłączyłam się. Żalowałam, że przesłałam wideo Petera, który dusi Joeya, i zaszłam za skórę Salazarowi w najmniej odpowiednim czasie. Powiedziałam Carlowi i Gemmie-Kate, że idę do miasta porozmawiać z policją.

– Cupkate, chcesz, żebym im powiedziała coś od ciebie?

– Tak. Nie krępuj się i powiedz, że zakopałam cholerną ropuchę, a to dowód na to, że otrułam wszystkich w kościele. Potem powiedz im, że dostałaś świra.

Jej okrągłe oczy zmrużyły się w kształt sierpa księżycy. Zniknęła w swoim pokoju. Krzyknęłam za nią, na tyle głośno, żeby usłyszała przez zamknięte drzwi:

– A że jego ojciec jest tym, kim jest, lepiej, żebym nie przyłapała cię więcej na rozmowie z Peterem Salazarem.

– Najpierw myślisz, że jestem psychiczna, a teraz, że głupia. Pieprz się! – odrzyknęła Gemma-Kate.

To wyglądało jak wyprawa wojenna, a że Quinn wystąpiła przeciwko Quinn, wynik był niepewny.

Gemma-Kate zdobyła się na przeprosiny i zjadłyśmy cokolwiek smutny obiad, łosiosa z wody w sosie tahini. Połknęłam tabletkę i czekałam, kiedy poczuję się dzięki temu szczęśliwa. Mocno trzymając się normalności, poszłam z Carlem na spacer. Trzymałam smycz suczki Mopsa i pytałam ją, czy tęskni za bratem.

Carlo cholernie długo milczał.

– Co? – zapytałam. Ponieważ zwlekał z odpowiedzią przez wieczność, powtórzyłam: – Co?

– W takie bagno wpadliśmy – powiedział.

– Chcieliśmy dobrze, przywożąc ją tutaj. Chciałeś dobrze, broniąc jej. To mogło się w końcu zdarzyć tak w Fort Lauderdale, jak i tutaj.

– Nie wiem, co robić – powiedział Carlo. – A ty?

Przypominałam sobie inne czasy, kiedy nie wierzyłam, że Carlo da sobie radę z trudnymi sprawami. Teraz, w samym środku straszego dylematu, poczułam przypływ miłości do niego, i to, że mogę wszystko powiedzieć. Że nie jestem samotna. Wcześniej nie miałam partnera, w żadnym znaczeniu tego słowa. Powiedziałam mu, że bardzo współczułam Marylin i że dlatego nie pchnęłam Gemmy-Kate pod autobus.

– Nie wierzę, że zrobiła to specjalnie – powiedział.

– Ja też nie. Jeśli to nawet przypadek, to na tyle poważny, że można za to iść do więzienia. Ale jest tak jak powiedziała, nie ma żadnych dowodów, to tylko moje podejrzenia. Jeśli są jakieś dowody, to chcę być pierwsza, która je znajdzie. Panie psorze, rzecz w tym, że chcę się mylić. Chcę, żeby Gemma-Kate nie była winna dodania tego środka odmrażającego do dzbanka z kawą. Nie tylko dlatego, że to rodzina. Widziałam, jak rodziny się rozpadają. Jedna rodzina przestanie istnieć, a ja chcę, żeby to była rodzina Petera Salazara.

Carlo nie wiedział wszystkiego, o czym myślę.

– Peter?

Kiwnęłam głową, ale nie chciało mi się wtedy wyjaśniać.

– Naprawdę, bardzo tego chcę. Ale po kolei. Dobrze, że znalazłam zwłoki, bo teraz mogę pójść do miasta i sprawdzić, czego mogę się jeszcze dowiedzieć, co będzie jutro. Cieszę się, że Salazar chciał się ze mną widzieć, bo przesłuchania mogą iść w obie strony. Wtedy podejmiemy decyzję – powiedziałam, kładąc nacisk na liczbę mnogą. Mówiłam to poważnie, przyzwyczaiłam się, że jestem w parze, że nie jestem sama i że polegam na Carlu, gdyby jakoś zabrakło mi mądrości. – Nadal jest chłodno. – Otuliłam się mocniej swetrem, ale niewiele to pomogło.

– Właśnie miałem powiedzieć, że jest trochę cieplej niż było w nocy – rzekł Carlo.

Byliśmy prawie w domu, kiedy stanęłam. To nie był mój wybór, po prostu poczułam, że ciało

zamienia mi się w kamień. Chciałam podnieść prawą stopę i zrobić krok, ale stopa nie chciała. Chłód, który poczułam przed chwilą, nagle wzmógł się tak, że zęby zaczęły mi szcząć. Były jedyną ruchomą częścią mojego ciała, chociaż tak samo ich nie kontrolowałam jak chodzenia.

Carlo nie zauważył, że stanęłam i zrobił jeszcze kilka kroków do przodu, odwrócił się do mnie, coś powiedział i spostrzegł, że zostałam z tyłu. Czekał, aż zrównam się z nim, może myślał, że Mops obwąchuje zwir, potem musiał zauważyć, że suka napięła smycz, że język zwisa jej niecierpliwie, bo chce iść dalej. Nadal nic nie mówił, przyglądał mi się tylko przez parę sekund, jakbym musiała mieć jakiś dobry powód, żeby się zatrzymać.

– Carlo – powiedziałam. Ucieszyłam się, że chociaż głos mnie nie zawiódł.

Musiał poznać, że to nie jest mój normalny głos. Wrócił do mnie, ale nadal nie pomyślał o udzieleniu mi pomocy. Patrzył mi w twarz, a lampki, które mieliśmy na opaskach, nie pozwalały zobaczyć czeokolwiek z tak bliskiej odległości. Zdjął moją lampkę, żeby lepiej widzieć.

– Coś nie tak? – zapytał.

Mimo wszystko, cała ogarnięta drżeniem, nie mogąc się poruszyć, próbowałam nie robić z tego wielkiej sprawy.

– Mogę cię wziąć za rękę? – zapytałam. Elegancko podał mi ramię. Pewnie myślał, że sobie tylko żartuję.

Z tą fizyczną albo psychiczną pomocą, nie wiem, co to było, znowu udało mi się nabrać rozpędu, ruszyć do przodu i dojść aż do domu. Carlo zostawił mnie, żeby odłożyć smycz i lampki na głowę na półkę w pokoju z pralką. Stałam w salonie, głos z telewizora zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Głośność podnosiła się, opadała i znów się podnosiła, jakby ktoś bawił się pokrętłami albo coś nie tak było z moim słuchem.

Pomyślałam, pamiętam, że to pewnie Gemma-Kate ogląda telewizję. Trochę się zirytowałam, że nie rozpoznaję, jaki to program. Chciałam się do niej odezwać, ale stwierdziłam, że kiedy otwieram usta, nie wychodzą z nich słowa. Ostatnia rzecz, jaką zapamiętałam, to było chyba, że się chwiję, nogi się pode mną uginają. Ciemność.

Nieświadomość jest na swój sposób miła. Tego oczekujemy co noc, kiedy idziemy spać, takie jest to pożądane uczucie, kiedy pentotal sodu robi swoje i wypycha nas „w głąb”. Czasem się dziwię, dlaczego się go tak boimy. Może chodzi o to, żeby się człowiek potem obudził, na dobre albo na złe.

Ale jak miło jest pomyśleć, że obok sympatyczniejszych stron życia może nastąpić czas, kiedy żale, wątpliwości czy obawy wypełnią z zakamarków naszych mózgów. Tym nas chyba nęci samobójstwo. Pamiętam sprawę dziewczynki, która miała wrócić do molestującego ją ojca – omyłka sprawiedliwości; czasem skłania mnie to do myśli, że drugi potop to niezły pomysł. Kolega, który zajmował się tą sprawą, próbował jakoś uporać się ze swoją porażką, żeby uratować małą. Chyba to o niej mówił, kiedy stwierdził: „Bóg nie stawia cię przed niczym, z czym nie dałbyś sobie rady”.

Byłam nastawiona zrzędliwie, już nie pamiętam dlaczego, i brakowało mi tamtego dnia współczucia.

– Gdyby tak było, ludzie nie popełnialiby samobójstw – powiedziałam lekkim tonem.

Trzy dni później mój kolega zastrzelił się. Powinam tamtego dnia wykazać się większą wrażliwością i chociaż zapytać, czy mówił o dziecku, czy o sobie.

Kiedy wróciłam z mojej prawie śmierci, okazało się, że leżę w wannie, w ubraniu, tyle że przemoczonym. To nie było zbyt przyjemne. Carlo i Gemma-Kate kłęczeli obok siebie przy wannie. Przyglądali mi się z uwagą. Uwaga Carla była nieco zaniepokojona, ale uwaga Gemmy-Kate sprawiała, że czułam się dziwnie, jak egzemplarz życia z kosmosu.

Znowu zaczęłam się zastanawiać, skąd u niej takie zainteresowanie, kiedy jestem najwyraźniej chora. Niepamięć może mnie już opuściła, ale paranoja nie. Popatrzyłam na nich z pewną podejrzliwością.

– Co się stało? – zapytałam.

– Znalazłem cię nieprzytomną na podłodze w salonie – powiedział Carlo. – Krzyknąłem na Gemmę-Kate, wybiegła ze swojego pokoju. Już miałem zadzwonić pod drzwi, jeden, jeden, ale wtedy dostałaś konwulsji. Ona powiedziała, że nie ma czasu. Dotknęła ci czoła i powiedziała, że masz wysoką gorączkę i dobrze będzie wezwać pogotowie, ale musimy cię ochłodzić. Więc przynieśliśmy cię tutaj i odkręciliśmy wodę.

Jakieś wspomnienia z przeszłości... nie pamiętałam, z jak odległej... wracały. Pamiętałam chłód i sztywność ciała, kiedy próbowałam się poruszyć. I pamiętałam głosy z telewizora, jak narastały i nikły w moich uszach.

Carlo mówił dalej, wyglądał na trochę zdenerwowanego, bo nie odpowiadałam.

– Wezwałem karetkę. Jedzie od remizy straży pożarnej Golden Ranch, powinna być lada sekundę. Moglibyśmy cię przebrać w jakieś suche ciuchy.

Nie noszę, kiedy ludzie mówią „my”, „Jak się dzisiaj miewamy, pani DiForenza”, pytają w domu opieki. Nie chciałam, żeby Carlo wiedział, że jestem chora. Jakaś nieookreślona obawa wypęzła z tego miejsca w moim umyśle, do którego drzwi są zazwyczaj dobrze zamknięte, a klucz dwa razy obrócony w zamku. Carlo nie może się dowiedzieć, że byłam chora, a jak oni zaczęli przeprowadzać badania, Bóg jeden wie, co znajdują i co mu powiedzą. Któregoś dnia będę musiała trochę poszukać: gorączka i choroba Parkinsona, i dowiedzieć się, czy to jeden z objawów, tak jak problemy z chodzeniem.

Ale na razie Carlo nie może się dowiedzieć, że jestem chora.

– Żadnego szpitala – powiedziałam w końcu.

– Ale... – zaczął. Czy nie przerwał trochę za wcześnie? Czy był zadowolony, że nie musi przez to przechodzić, dowiedzieć się, że jestem kolejną chorą żoną? To „ale” nie zabrzmiało zbyt mocno. No dobrze, więc może teraz wiem, że to było paranoiczne gadanie, że właśnie skończyłam opisywanie tego milego, nowo powstałego zaufania do Carla, ale ciągle próbuję przywołać wszystko tak jak zaszło i jak wtedy to odczuwałam. Wiem, że spojrział na Gemmę-Kate, zanim powiedział:

– A jeśli to opóźniona reakcja na kawę w kościele? Mówiłaś, że wypijałaś tyk

– To niemożliwe. Może to grypa, którą wtedy miałam – powiedziałam. – Czuję się znacznie lepiej.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

– Jedziesz do szpitala – powiedział.

– Nie jadę – odparłam.

– Ależ oczywiście, że jedziesz.

Kiedy się kłóciliśmy, Gemma-Kate poszła otworzyć drzwi. W korytarzu za drzwiami wejściowymi rozległ się stukot czegoś, co wyglądało na rozkładane nosze na kółkach i dwóch sanitariuszy wepchnęło się do małej łazienki dla gości. Stanęli za Carlem. Gemma-Kate zerknęła za jednego z nich. Cała czwórka patrzyła na mnie, jakby się zastanawiali, jak mnie przenieść. Wstałam z wanny trzymając się poręczy na ręczniki, bo nadal byłam trochę oszołomiona.

– Nie muszę jechać do szpitala – powiedziałam. – Jeśli chwileczkę poczekać, kiedy będę się przebierać w suche ubranie, wyjdę do karetki i będziecie mogli sprawdzić moje podstawowe funkcje życiowe.

Jeden z sanitariuszy wruszył ramionami.

– Jak pani chce.

– Nie nalegacie, żeby ją zabrać do szpitala? – zapytał Carlo.

– To jej sprawa – odparł sanitariusz. – Ciągle to mamy.

Na miejscu stwierdzono, że mój stan jest stabilny. Obiecałam Carlowi, że umówię się z lekarzem.

Następnego dnia rano miałam w telefonie informację od Jacquie. Znowu pytała, jakie zrobiłam postępy. Zanim cokolwiek zjadłam, wzięłam aspirynę, żeby zbić gorączkę, i rzeczywiście poczułam się lepiej. Skłonność do zamierania w miejscu ustąpiła na jakiś czas.

Miałam ważniejsze sprawy, ale nie mogłam po prostu zostawić Jacquie. Poza tym wiedziałam, że Jacquie nie jest typem klienta suszącego mi przez cały czas głowę.

Odebrała telefon.

– Tak?

– Tu Brigid. Mogę wpaść?

– Nie – powiedziała.

– Czy Tim tam jest?

– Tak – odparła.

– Możesz się ze mną spotkać?

– Tak – odparła.

– Beyond Bread, na Ina, za kwadrans. – Rozmawialiśmy trochę jak konspiratorki, zdenerwowało mnie to.

Potem ona wyszeptała:

– Masz coś?

– Tak – odpowiedziałam. Hej, ja też potrafię być tajemnicza.

Byłam wobec niej łagodna, domyślałam się, jak to jest, kiedy spędza się za dużo czasu usiłując utrzymać pokój między synem a mężem i kryje się ich obu, próbując zatuszować odmowę. Pojechałam do Beyond Bread. Już tam na mnie czekała. Zamówiłam kawę i batonik cytrynowy, żeby uspokoić żołądek i usiadłam przy stoliku, który wybrała.

W odpowiedzi na jej niecierpiące zwłoki „masz coś?” odtworzyłam rozmowy z detektywem Humphriesem, doktorem Manriquezem i wszystkimi Manwaringami. Wyjaśniłam, że odnaleziono test toksykologiczny i nic nie wskazuje na to, żeby Joe został otruty. Powiedziałam jej bardzo łagodnie o wideo z grą w przyduszenie, które nadal było na YouTube, i jak może do niego dojść. Ale zaleciłam jej, żeby nie robiła tego sama. W zasadzie potraktowałam ją jak silną kobietę.

– Och, och, och – wyszeptała. Potem załapała się łzami.

Sięgnęłam do torby na ramię, wyjęłam parę chusteczek i dałam jej. Potem czekałam, aż się uspokoi. Nie trwało to długo. Postanowiłam spotkać się z nią w restauracji, bo w restauracjach ludzie zazwyczaj nie histeryzują. Dlatego człowieka zwalnia się z pracy w miejscu publicznym.

– Może miałaś podejrzenia co do śmierci Joego, bo widziałaś coś dziwnego w tym, że wpadł do basenu. Zauważyłaś w nim jakąś zmianę?

– Na przykład co?

Streściłam to, czego się dowiedziałam z wyszukiwarki o zabawie w przyduszenie.

– Czy Joe zaczął wyglądać na zdezorientowanego?

Jacque przechyliła pytająco głowę.

– Może coś bardziej określonego. Czy zauważyłaś, żeby miał przekrwione oczy? A może narzekał na bóle głowy?

To była w stanie zrozumieć i pokręciła przecząco głową, ale zaczęła wyciągać więcej wniosków niż leming w depresji.

– Myślisz, że ta zabawa uszkodziła mu mózg? To tamci chłopcy, prawda? To Lulu Manwaring.

Pozwoliła im odejść bez opieki. Wiedziałam.

Podniosłam dłoń, żeby powstrzymać jej rozszalały umysł.

– Chwileczkę, jeszcze nie skończyłam. Dotarłam do paru innych spraw, dotyczących śmierci twojego syna, i one są troszeczkę nieprawidłowe. – Na razie nie wspominałam, że dzieciak, który dławił Joego, był synem szefa detektywa badającego miejsce śmierci. Ani tego, jak można by go połączyć z drugą śmiercią. Widziałam, jak zareagowała na to, co już zdążyłam powiedzieć. Trochę to było trudne. Musiałam bardziej się w to wgłębić. Zapytałam jednak o Lariego Paunchese.

– Znasz go?

Jacque skinęła głową.

– Lari. Jest u Tima na praktyce. Grają w racketball. Obchodzimy razem Boże Narodzenie i inne rzeczy.

– Zauważyłaś, że podpisał świadectwo zgonu Joego?

– Nie. Jak to się stało?

– Nie wiem. Słyszałam, że tego wieczoru, kiedy Joe stracił przytomność, wyszedł gdzieś z Timem.

– Wyszedł. Myślę, że mogli pójść do baru sportowego, żeby oglądać koszykówkę, futbol czy coś takiego. Tim mówił, że byłoby dobrze, gdyby Joe polubił koszykówkę, ale uważał, że nic z tego. – To ją zabolalo. Bolało ją nadal i pewnie zawsze tak będzie. – Czy to zgodne z prawem, żeby Lari podpisywał świadectwo zgonu kogoś, kogo znał?

– Nie wiem, jak to jest ze strony etycznej, ale to jest zgodne z prawem.

Razem wyszłyśmy z restauracji i pomogłam jej wsiąść do samochodu. Nadal wyglądała na trochę wstrząśniętą i wahałam się, czy zadać to ostatnie pytanie, ale zadałam je mimo wszystko.

– Jacquie, wiedziałaś, że Joseph... piję?

Wyglądała na zszokowaną.

– Miał tylko czternaście lat – powiedziała, zapięła pas bezpieczeństwa i nacisnęła zapłon, żeby skończyć rozmowę. Wyciągnęłam rękę, żeby nie zamykała drzwi samochodu.

– Ten test toksykologiczny, o którym ci mówiłam... Tego wieczoru, kiedy utonął Joey, miał w organizmie alkohol.

Nie patrząc na mnie, zamknęła drzwi i cofnęła wóz. Nie zadałam też pytania, które podczas rozmowy krążyło mi po głowie: Chcesz, żeby m udowodniła, że Tim skrzywdził twojego syna?

Z Beyond Bread bez problemów pojechałam do wydziału policji w Tucson. Dopiero kiedy wysiadłam z samochodu i zaczęłam iść przez parking, dopadł mnie jeden z tych, jak to zaczęłam delikatnie nazywać, epizodów. Zajechał radiowóz. Zobaczyli mnie, zatrzymali się, żeby mnie przepuścić. Zaczęłam iść i po paru krokach zamarłam. Pomyślałam, że postawienie prawej stopy, żeby zrobić krok, powinno być dość łatwe, mój mózg wysyłał sygnały w dół, do nogi. Mogłam się ruszać. Ale nie było żadnego ruchu.

Stałam przerażona i zastanawiałam się, czy gorączka wróciła, w każdej chwili mogłam upaść na ziemię.

Policjant wysiadł z samochodu. Obszedł wóz od przodu i zbliżył się do mnie, patrząc ze współczuciem.

– Pomóc pani? – zapytał.

„Niech cię cholera, Brigid Quinn”, wrzasnęłam na siebie w myśli.

– Minuta i na pewno wszystko będzie dobrze – powiedziałam. Ale nadal się nie ruszałam, a on, widząc, że musi mnie wyciągnąć ze środka parkingu, wziął mnie za ramię.

– Tutaj, zaraz przy chodniku, jest ławka – powiedział. – Pozwoli pani, że ją do niej zaprowadzę.

O Boże, pomagał małej starowince przejść przez jezdnię. Byłam nie tylko przerażona, ale i wściekła. Z jednego nie zrezygnowałam: ze spotkania z Salazarem. Pozwoliłam policjantowi, żeby mnie podprowadził, jakoś lepiej mi się chodziło, kiedy trzymałam go pod ramię. Wręczyłam mu kluczyki do samochodu, pokazałam moje camry i poprosiłam, żeby wyjął laskę z bagażnika. Może to zastąpi ramię, kiedy mnie zostawi.

Przyniósł laskę i czy to z jej pomocą, czy nie, ale znów mogłam się ruszać, bezwład ustąpił, przy najmniej na jakiś czas.

Nie pozwolili mi zabrać laski do środka, ostrze na dole sprawiało, że wyglądała jak broń. Zostawiłam ją w recepcji i dla dodatkowej stabilności sunęłam palcami po ścianie korytarza prowadzącego do biura Salazara.

Kiedy wprowadzono mnie do jego gabinetu, Sam Humphries już tam był. Wyglądał jeszcze bardziej na podwładnego, niż kiedy go ostatnio widziałam. Salazar siedział twarzą do mnie za bardzo oficjalnym biurkiem, a Humphries, który siedział na jednym z dwóch krzeseł przed biurkiem, odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Jego szef wyglądał jeszcze bardziej na buldoga niż na zdjęciu z kościelnej książki telefonicznej. Usiadłam na drugim krześle bez zaproszenia. Próbowałam włożyć ręce do kieszeni, żeby nie było widać, że drżą, i zdałam sobie sprawę, że te spodnie nie mają kieszeni, usiadłam więc na koniuszkach palców.

Kazali mi tak siedzieć przez minutę, żeby pokazać, że mają władzę. Patrzyłam na Humphriesa,

kóry był do mnie mniej wrogo nastawiony. Możliwe, że uczestniczył w jakiejś intrydze, mającej chronić reputację Salazara, ale wątpiłam, żebym zdołała sprawdzić to podczas tej wizyty. Humphries bardzo się starał, żeby przyjąć tę samą postawę co jego szef. Obaj zacisnęły usta w cienkie linie.

Zaczęli mówić, ale z początku słowa przelatywały nade mną, jakby mnie nie było w tym pokoju. Ot, taka oznaka braku szacunku.

– Napaść – powiedział Humphries. – Przy przypadkowe zabójstwo.

Jakby tego już nie przerabiali zaraz po odkryciu zwłok

– Próba masowego zabójstwa, tak to ujmie prokurator okręgowy – sprzeciwił się Salazar. – Jedna osoba zabita.

Dobra okazja, żeby pochrzanić im to wszystko i odsunąć podejrzenie od Gemmy-Kate.

– Celem mógł być zmarły – powiedziałam, chociaż sama w to nie wierzyłam. – To, co się stało w sali parafialnej, było tylko zasłoną dymną dla najważniejszego czynu.

Salazar przyjął wreszcie do wiadomości moją obecność, ale nie zareagował na te słowa.

– Wiele słyszałem na twój temat z biura w Tucson. Nie grasz czysto z ludźmi. Dlaczego wszyscy po naszej stronie prawa tak cię nie lubią?

Może dlatego, że tyle czasu spędzam wśród przestępców, omyłkowo biorą mnie za jedną z nich? Bo nikt nie może być pewny, po czyjej jestem stronie, nie wyłączając mnie samej? Ale wiedziałam, że nie o to mu chodzi, że jest tylko wkurzony tym wideo z YouTube, które ode mnie dostał. Chciał, żeby za to zapłaciła.

– Chciałeś się ze mną widzieć – powiedziałam, nie przyjmując automatycznie roli podejrzanego, tak jak mógł to zrobić każdy cywil. – Chcesz jeszcze raz zacząć rozmowę?

– Jeden z sanitariuszy powiedział, że jakaś kobieta im pomagała. Ojciec Manwaring mówił, że to musiałaś być ty.

– Istotnie, powiedziałam jednemu z tych facetów o objawach, które już widziałam, wskazałam starszą panią, wymagającą natychmiastowej pomocy i powiedziałam, że moim zdaniem coś było w kawie. To właściwie wszystko.

Humphries na machnięcie ręki Salazara podał mu notatnik

– I tak tylko, żeby sprawdzić ludzi na liście, byłaś tam z mężem...

– Carlo DiForenza.

– Myślałem, że to twój mąż.

– To jest mój mąż. Czasem używam tego nazwiska, a czasem nie.

– A twoja córka...

– Moja bratanica. Gemma-Kate Quinn.

Udawał, że znowu zagląda w notatki.

– I żadne z was nie ucierpiało od kawy.

Mogłabym powiedzieć znacznie więcej, jak robią kłamcy, kiedy się denerwują, ale chociaż byłam ździebko zdenerwowana, wiedziałam, jak to ukryć.

– Zgadza się.

– I odeszłaś stamtąd, zanim przyjechałem.

– To też by się zgadzało.

– Kto był w kuchni poza nią?

– Ludzie wchodzili i wychodzili. Parafialne ciotki kręciły się jak w ukropie. Poza tym do kuchni

prowadzą tylne drzwi. Każdy mógł wejść, wlać butelkę płynu do garnka i wyjść.

– Widziałaś, kto podawał kawę?

– Tam jest samoobsługa. Nie możesz tego nie wiedzieć.

– To moja żona chodzi do kościoła.

– Może to ona doprawiła kawę. – Salazar nadął się, słysząc te słowa.

– Przepraszam, nie mogłam się oprzeć – powiedziałam. – Ale ona też nie trafiła do szpitala.

– Zaraz następnego dnia znalazłaś w kolumbarium Franka Ganima. Cóż za zbieg okoliczności.

Co tam robiłaś?

– Kto to jest Frank Ganim?

– Właśnie. Nie nazywał się Adrian Franklin. Nie ma Adriana Franklina, który pasowałby do opisu tego faceta.

Sympatyczny facet. Przybrane nazwisko. Dlaczego? Nie mogłam w to uwierzyć.

– Więc jak udało się wam odkryć jego prawdziwe nazwisko? Zdaje się mówiliście, że nie miał przy sobie dowodu tożsamości.

– Doktor Manriquez przeprowadził dziś rano sekcję zwłok, żeby potwierdzić zatrucie glikolem etylenowym. Ale odkrył, że facet miał rozrusznik serca.

– I to była przyczyna śmierci? Odmrażacz źle mu wpłynął na serce?

– Manriquez myśli, że nie. Ten rozrusznik był ważny, bo ma numer seryjny, po którym dało się dojść do Francisca Ganima. Wszczepiono mu go w Cleveland.

Domyślałam się, że trochę go bawi, że tak rzucam się na tę informację.

Oto Tony Salazar, który udziela Brigid Quinn informacji, żeby myślała, że widzi w niej koleżankę, że jej ufa. Uważaj.

– A co z psem? – zapytałam.

– Z jakim psem?

– Z czarnym labradorem. Adoptował czarnego labradora.

Salazar zwrócił się do Humphriesa.

– Jakiś ślad po psie w motelu?

– Ani śladu. Motel nie przyjmuje zwierząt – powiedział Humphries.

– Zatrzymał się w motelu? – zapytałam.

Salazar mówił dalej:

– W tym tanim motelu przy lotnisku. Znaleźliśmy kwit na wynajęty samochód na parkingu obok kościoła. Pomyśleliśmy za tropem z Cleveland, może było coś, czego nie chciał ujawniać przed obcymi. Ale może znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Jeśli tak, może wiesz o kimś, kto miałby coś przeciwko kościołowi jako całości?

Pomyślałam o Jacquie i Timie Neilsenie, ale nic nie powiedziałam. To nie byłoby w porządku, nawet gdyby dało trochę dymu, który byłby użyteczny, jeśli Gemma-Kate była niewinna. A Gemma-Kate nie знаła Franka Ganima. Nie mogła go znać. Prawda? Nadal sądziłam, że to przypadek, żart, paskudny żart, który dał fatalne skutki. Byłam lekko wkurzona na oszusta, który nazwał się Adrianem Franklinem, ale w tej chwili chciałam tylko wy dostać się z gabinetu, zanim niechętny obciążę moją bratanicę.

Salazar jeszcze ze mną nie skończył albo myślał, że ja nie skończyłam z nim.

– Teraz porozmawiajmy o wideo, które mi przysłałaś. Wczoraj wieczorem przeprowadziłem z synem rozmowę. Powiedział, że Joe Neilsen to był zły dzieciak. Pił alkohol. Szperał po gabinecie

medycznym swoich rodziców. A ja przejrzałem teczkę sprawy. Nie wpłacę syna w to szaleństwo i jestem tego samego zdania co detektyw Humphries. Przypadkowa śmierć, i tak dalej. Teraz twoja kolej. Masz jakieś pytania o mojego syna?

Jego wypukła pierś robiła się coraz większa, aż poczułam lekką klaustrofobię w małym gabinecie. Powiedziałam, że nie, ale nie dlatego, że mnie zastraszył. Wobec śmierci faceta, którego znaleźliśmy, i możliwości, że to Gemma-Kate tak go urządziła, nie byłam w nastroju, żeby iść za tym cienkim śladem prowadzącym do przyczyny utonięcia Joeya. Ale stwierdziłam, że moje przeczucia sprawdziły się i że ten facet będzie bronił syna aż do upadłego.

– Dobrze, że nie masz pytań – powiedział Salazar. – Bo zazwyczaj to my je zadajemy.

Sam zaproponował, że mnie odprowadzi, ale podziękowałam, znam drogę. Dzięki temu po wyjściu z gabinetu mogłam postać chwilę, żeby oczyścić głowę i posłuchać, co powiedzą.

– Szefie, nie widzę w niej problemu – powiedział ze współczuciem Sam.

– Cii... – to Salazar. Krótka przerwa, i: – Z tego co słyszałem, wy dwoje stoicie na ringu, a zakłady są równe.

Przyjedź mnie pocieszyć. Przywieź Carla”, napisała w mailu Mallory. Nadal czułam się podle, ale rozumiałam, że to cena przyjaźni. Kiedy ktoś cię potrzebuje, jedziesz. Zostawiliśmy Gemmę-Kate w domu, załadowaliśmy Mopsa do camry i pojechaliśmy do niej na brunch.

Przekazałam jej najnowsze informacje na temat Franka Ganima, podając prawdziwe nazwisko faceta, który przychodził do niej, do towarzystwa opieki nad zwierzętami i do kościoła. Dodałam, skąd o tym wiem.

Była wstrząśnięta, mniej tym, że skłamał w sprawie swojego nazwiska, bardziej, że o włos uniknęła jego losu.

– To mogło być każde z nas – powiedziała, dotykając blatu kuchennego, jakby potrzebne jej było wsparcie, żeby nie upaść. – Mogliśmy umrzeć.

Tylko Carlo wiedział o moich podejrzeniach, że to Gemma-Kate wplątała się w trucicielstwo.

– Przyjechałam ze względu na ciebie – powiedziałam, zmieniając temat.

– No.

– Co jest na lunch?

Mallory pokręciła głową i zajęła się wyjmowaniem z lodówki karczochów, moreli i szwajcarskiego quiche.

– Annette zrobiła to dzisiaj rano – powiedziała.

– Czy ty w ogóle gotujesz?

– Nie, jeśli to możliwe. Ale otworzyłam deser – powiedziała i pokazała mi kawałek ciasta z rodzynkami, wymodelowanego na kształt wielkiej puszki z tuńczykiem. – To się nazywa cętkowany kutas, wcale nie żartuję – powiedziała. – Kupiłam to w World Market, nie widziałam czegoś takiego od dzieciństwa... – Jakby zahipnotyzowana wspomnieniami sięgnęła ręką i zaczęła odłamywać kawałek

– Nie ruszać się. Odejść... od... ciasta... – powiedziałam naśladowując głos gliniarza.

Podskoczyła na słowa „nie ruszać się”, a ja odczułam maleńką, okrutną przyjemność, że nadal potrafię tak to powiedzieć.

– Moje oponki są ci wdzięczne – powiedziała z lekkim żalem. – Możecie to zjeść z Carlem. Dla mnie będzie cytrynowe zsiadłe mleko. – Nalała trzy kieliszki niewiarygodnie wytrawnego różowego wina, zaniósła jeden do sypialni, gdzie Carlo odwiedził Owena, tak jak tylko Carlo to potrafi, a my wzięłyśmy swoje na patio razem z talerzem pieczonego czosnku i sera pleśniowego, bo tak go lubiłam w Blanco's

Ładnie z jej strony, że nie zauważała mojej prawej stopy tłukącej o bruk patio. Pojawiało się to po epizodach sztywnienia.

– Co tam u Owena? – zapytałam, żeby zaczęła mówić, kiedy usadowiliśmy się na leżankach obok sadzawki.

– Bez zmian – odparła Mallory. Potem, ze względu na dobre wychowanie, zapytała. – A jak ty się miewasz?

– Nadal na skraju. Zaburzone myślenie. Wczoraj wieczorem miałam wysoką gorączkę. Lepiej jest z żołądkiem, ale wciąż mam biegunki, co może być wywołane stresem. – Nacisnęłam wymaginowany stoper. – Twoja kolej.

– Proszę – powiedziała. Przygotowała mi kawałek francuskiego chleba ze sporym kawałem sera i wycisnęła na wierzch troszkę zmiażdżonego czosnku. – Może to cię zatka.

Dobry Boże, to do tego się to sprowadza? Rozmówki o naszych książkach? Ale bez protestu wzięłam przygotowaną kanapkę, potem Mallory zrobiła dla siebie mniejszą porcję, tak samo przyrządzoną jak moja.

Siedziałyśmy przez kilka minut w milczeniu; czekałam, aż zacznie mówić. Słońce stało wysoko nad górami, po naszej prawej. Cieszyłam się tym przyjemnym uczuciem, które występuje tylko na pustyni, kiedy ramię wystawione na słońce jest gorące, a ramię w cieniu zimne. Kiedy odwróciłam się do stolika na patio, żeby wziąć jeszcze chleba i sera, zauważyłam, że Mallory płacze tak cicho, iż nie mogłam jej usłyszeć.

– Hej, mała... – powiedziałam. – Dlaczego chciałaś, żebyśmy przyjechali?

– Życie jest czasem tak kurewsko trudne – powiedziała. – Czasem się boję. Nie widzę...

Mallory nie powiedziała, czego nie widzi. Przyślości, pomyślałam.

– Przepraszam, że lituję się nad sobą – powiedziała. – Przepraszam, że taka ze mnie płaksa.

– Płaksa? Do diabła, dla mnie jesteś bohaterką.

– Ważne, że jesteś moją przyjaciółką, prawda?

– Musisz o to pytać?

– Chcę zapytać, czy gdyby kiedyś coś mi się stało, zaopiekujesz się Owenem?

– A co? Co ma się stać?

– To nie jest przeczenie. Nie mówiłabym takich głupstw. Po prostu, czasem w nocy nie mogę zasnąć, myślę o tym, co będzie, jak zachoruję albo zginę w wypadku samochodowym... – skrzywiła się, a ja domyśliłam się, że myśli o pociągu, który zniszczył jej życie. – Powołano fundację i w ogóle, ale my oboje jesteśmy zupełnie sami na świecie. Chciałabym mieć świadomość, że jest ktoś, kto zajmie się nim poza zarządzającym pieniędzmi i pielęgniarką, chociaż Annette jest wspaniała.

Byłam wzruszona. Dostosowałam się do powagi chwili, ale potem, jak zawsze, poczułam się zakłopotana i musiałam wprowadzić lżejszy nastrój.

– A ty, zgodziłabyś się zająć Mopsami, gdyby coś mi się stało?

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście. I Carlem.

– O, nie – powiedziałam. – Nawet jak umrę, nie dostaniesz Carla. Dam ci Mopsy, ale Carla nie.

Mallory roześmiała się.

– Zgoda. Ale pamiętaj, że jak ciebie nie będzie, w ciągu doby dostanie pół tuzina rondli od parafialnych ciotek

Rozmowa podczas lunchu przeszła na Joego Neilsena. Opowiedziałam jej, czego się dowiedziałam o zabawie w przyduszanie. Mallory słuchała, odłożyła widelec i słuchała dalej,

potem rozparła się na krześle i poplądła bardziej niż zwykle, wczuwając się w czyjąś sytuację.

– Nie on – powiedziała.

– Co nie on? – zapytałam.

– Parę razy przychodził poczytać Owenowi, piliśmy colę i rozmawialiśmy. Pił colę jak kieliszek wina. Brigid, wiesz, jaka jestem, sama o tym mówiłaś. Flirtuję z mężczyznami, kobietami, dziećmi, zwierzętami. A oni reagują. Joe opowiedział mi o tej zabawie.

– Wiedziałaś?

– Aha. Opowiedział, jak się w to bawił z chłopakami z grupy młodzieżowej. Według jego słów robili to wszyscy i było to całkowicie bezpieczne, nawet policja tak robi, żeby obezwładnić agresywnych przestępców. Chyba pochlebilo mi, że powiedział mi coś, czego nie powiedziałby innym dorosłym. Obawiam się, że weszłam w skórę, jak ty to nazywasz, ciotki Mame i powiedziałam mu, że powinniśmy doświadczać życia tyle, ile tylko możemy. Chyba spróbował tego na sobie. To moja wina. Powinam z tym pójść prosto do Lulu, ale myślałam, że z tym jest jak z tą grą, w którą graliśmy w dzieciństwie na domowych imprezach z noclegiem, kiedy podpierasz się rękami o podłogę i kogoś podnosisz... O Boże, nie mogę uwierzyć, jaka ze mnie cholerna idiotka.

Pomyślałam, jak Lulu mówiła, że czuje się odpowiedzialna za śmierć Joego, bo zachęcała go, żeby poszedł do swoich rodziców. I jak Ken powiedział, że zabił Joego, bo widział związek między zabawą w przyduszanie a utopieniem się. Teraz Mallory brała na siebie odpowiedzialność. Czułam się jak Herkules Poirot w *Morderstwie w Orient Expressie*, gdzie wszyscy w pociągu dźgają ofiarę (przepraszam, że zdradzam zakończenie filmu). Tylko dla mnie coś tu było nie tak. Wszyscy biorą na siebie odpowiedzialność, ale nikt nie jest odpowiedzialny.

Razem z Carlem uspokajaliśmy Mallory, jak tylko się dało, ale w końcu nie udało nam się cel wizyty, żeby ją pocieszyć. To, co jej powiedziałam, chyba ją rozstroiło. Była w stanie poczęstować nas deserem, cętkowanym kutasem z solidną porcją cytrynowego zsiadłego mleka na wierzchu i próbowała ukryć, że czeka, aż pójdziemy. Zanim wyszliśmy, wstąpiłam do łazienki, tymczasem Carlo, przy stole, jeszcze próbował ją pocieszać. Kiedy wróciłam, trafiłam na chwilę naglej ciszy, która mówi, że ludzie albo rozmawiają o tobie, albo o czymś, co nie jest przeznaczone dla twoich uszu.

Mallory zdjęła rękę z przedramienia Carla. Kto komu dawał rady? Wstała od stołu, podeszła do blatu kuchennego i wzięła kopie paru stron, które wydrukowała z Internetu. Czytała o ropuchach, powiedziała, to może mnie zainteresować.

O czymkolwiek rozmawiała z Carlem, nie sądzę, żeby chodziło o Joego, Owena czy Mopsy zjadające ropuchy. Potem zaczęłam podejrzewać, że wiem.

Jestem lepszym kierowcą niż Carlo. On próbuje myśleć, kiedy jedzie, a kiedy myśli, to zwalnia, aż ludzie za nami zloszczą się, trąbią i wygrażają pięściami. Więc ja prowadziłam, kiedy wyszliśmy od Mallory. Mimo to nie powstrzymywał się od dawania rad, takich jak „Ojej, kochanie, zajechałaś drogę temu gościowi”.

– Nie zajechałam – powiedziałam, wbrew faktowi, że rzeczony gość opuścił szybę, żeby na nas nawrzeszczeć, bo samo trąbienie to było za mało.

Jechaliśmy na północ, po La Canada, prostej drodze, która zanurza się i wynurza z okolicy nazywanej Doliną Oro. To podrzędna droga z większym ograniczeniem szybkości, ale Oracle po jakimś czasie robi się naprawdę nudna. Mimo że wypiliśmy tylko jedną lampkę wina (no, góra dwańście uncji), czułam się mocno podchmielona.

– Przeczytaj, proszę, to, co nam dała Mallory. Jest w mojej torbie.

Carlo sięgnął za siebie na tylne siedzenie, pogłaskał Mopsa suczkę, bo myślała, że właśnie dlatego wyciąga rękę, i przeniósł torbę do przodu; potem zaczął w niej grzebać, póki nie znalazł złożonego na pół papieru.

– Bufotenina – powiedział. – Nie wiem, czy prawidłowo to wymawiam. Toksyzny związek występujący w śliniankach przyusznych, jadzie i skórce różnych rodzajów ropuch.

– Możesz przejść dalej, do bardziej interesującej części? – poprosiłam.

Przeszedł; za chwilę znów zaczął:

– W 1994 roku kalifornijski strażnik dzikiej przyrody został aresztowany za posiadanie... suszonej skóry... hm, wędzenie ropuchy. Ślinienie się, odczyt epileptyczny, arytmie, o, tutaj mamy, toksyczne dla psów.

– Teraz zaczęłaś zbyt pobieżnie. Dlaczego ktoś chciałby mieć te objawy?

Czytał dalej.

– To halucynogen. Euforia. Wizje. Zmiana w odbiorze czasu. Skąd wiadomo, że pies ma halucynacje?

Móg miałam poważnie rozstrojony, jeszcze nie kojarzyłam.

– Ładnie ze strony Mallory, że zainteresowała się Mopsem – powiedziałam.

– Mallory pytała o ciebie – wyznał Carlo. Wiedziałam, to była tylko kwestia czasu. Carlo był nie tylko słabym kierowcą, nie potrafił też dotrzymać tajemnicy ani kłamać.

– Domyślam się, że o tym rozmawialiście, kiedy wyszłam z pokoju. – Trzasnęłam dłonią o kierownicę. – Mówiłam jej, że sama chciałam ci powiedzieć.

– Mam święte prawo o tym wiedzieć i będę nalegał, żebyś zamówiła wizytę u lekarza, o którym mówił ci ten cały Neilsen.

– Ho, ho, wiesz wszystko. Może więcej niż ja. Co jeszcze powiedziała Mallory?

Zazwyczaj nie kłócimy się z Carlem. Ja mam tego dosyć, a on nawet nie wie, jak bardzo. Przeszedł od twardego stylu do bardziej pojednawczego.

– Kochanie, po prostu martwimy się.

– My? Nikogo więcej tutaj nie widzę i zaczyna mnie już męczyć to całe „my”. Masz mysz w kieszeni?

– Trzymaj ręce na kierownicy – powiedział, kiedy zaczęłam machać nimi z emfazą.

– Trzymam ją kolanem.

– Nie denerwuj się.

– Po prostu nie lubię, jak ludzie mówią o moim stanie zdrowia za moimi plecami – powiedziałam. – Nie lubię, jak ludzie mówią mi, żebym się nie denerwowała, kiedy robią coś denerwującego.

– Teraz przekraczasz linię – powiedział Carlo nieco surowszym tonem.

Zaczęłam się rozpalać; nie zrozumiałam, co miała znaczyć ta linia, potem zobaczyłam, że jeżdżam na przeciwny pas i ostro skręciłam w prawo. To, co brałam za surowość w głosie Carla, było ostrzeżeniem. Jednocześnie wydało mi się, że widzę, jak coś rudego śmiga przez jezdnię. Wrzasnęłam:

– Węże! – i gwałtownie skręciłam, żeby je ominąć.

Ostry wiraż i nadjeżdżający samochód minął mnie o centymetry. Kolejny, jadący za nim, mógł nie mieć takiego szczęścia.

Włączył się instynkt. Wdepnęłam gaz, nie próbowałam hamować. To zadziałało, samochód wyszedł z wirażu i pojechał prosto. Niestety, prosto na kolumnowy kaktus saguaro, ładną starą sztukę z sześcioma ramionami wzniesionymi do nieba. Samochód zatrzymał się na kaktusie. Nas zatrzymały poduszki powietrzne.

No tak, może kłęb węży to kolejna halucynacja, ale musiał być co najmniej jeden. Carlo do dzisiaj nie przypomina sobie węża, ale pewnie pamiętałby, gdyby poduszka nie złamała mu nosa. Poduszki opadły jak przekłute pęcherze, ale my nadal siedzieliśmy, oszołomieni, jęczący. Mops skończył okrakiem na konsoli między fotelami, przeniosło go z tyłu do przodu. Uderzyła o dźwignię zmiany biegów, ale ogólnie nic się jej nie stało. Kiedy pojawili się policjanci z Doliny Oro, wyjaśniłam, co się stało. Próbowałam wyminąć węże. Węża, poprawiłam się. Tylko jednego węża. To brzmiało rozsądniej. Może mówiłam trochę belkotliwie ze względu na ogólne zamroczenie i prawie tysiąc kilogramów ciśnienia nadętego plastiku na twarz przy szybkości trzystu kilometrów na godzinę.

Policjant zajął mi w oczy.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał. Wiem, co zazwyczaj mają na myśli, zadając tego rodzaju pytanie. Zapewniłam go, że nie wypilałam ani kropli. Nie wyglądał na przekonanego, może dlatego, że wyczuł trochę chardonnay w moim oddechu. Powiedział, żebym się nie ruszała, co mi odpowiadało. Kiedy wrócił ze swojego samochodu, poinformował nas, że wezwał karetkę.

Zapytał, czy mogę wysiąść z samochodu. Wysiadłam, chociaż trochę się potykałam. Zapytał, gdzie był wąż.

Popatrzyłam na niego tak, żeby wiedział, że mam go za idiotę. Zrobiłam ręką wijący się ruch i powiedziałam:

– Zniknął.

Pokazał na ślad opony na drodze i zapytał, czy nie wzięłam tego za węża.

– Czy to panu przy pomina węża? – zapytałam. – Mnie nie przy pomina.

Poszedł do samochodu, wrócił z alkometrem i poprosił, żebym dmuchała. Powiedziałam mu, co może zrobić z alkometrem. To z kolei sprawiło, że nabrał podejrzeń i trochę się rozłościł. Kiedy nadjechała karetka, usłyszałam, jak rozmawia z kierowcą o wężu, którego widziałam. Może to był mały zielony wąż, powiedział. A może to był mały słoń. Różowy słoń.

Zabrali nas do Oro Valley Medical Center przy Tangerine i zarejestrowali w izbie przyjęć. Rozdzielono nas z Carlem. Recepcjonistka trzy mała Mopsa na kolanach. Pobrali krew. Od obojga. Ruty na. Najwyraźniej oboje mieliśmy otarcia od poduszek powietrznych. Carlo miał lekkie złamanie nosa i trzeba było sprawdzić, żeby mieć pewność, że uderzenie nie złamało jakichś innych kości twarzy. Wypisano nas z ostrzeżeniem, że prawdopodobnie następnego dnia będziemy obolali, a twarze będziemy mieli czarno-niebieskie.

Najwyraźniej badanie krwi nie wykazało wysokiego poziomu alkoholu, ale policjant z większą niż zazwyczaj przyjemnością wystawił mi mandat za zniszczenie kaktusa. Zapytałam, skąd wie, że kaktus nie odrośnie. Tylko się uśmiechnął.

Zadzwoiłam do Gemmy-Kate, żeby przyjechała po nas innym samochodem. Zapytała, gdzie trzy mamy kluczyki, dałam jej wskazówki. Wszystko bardzo odpowiedzialnie. Nie zapytała, jak się czujemy.

– Jak to było z tym wężem? – zapytał Carlo, kiedy siedzieliśmy w izbie przyjęć, czekając na Gemmę-Kate. Dali mu trochę środków przeciwbólowych, a na nosie miał wielki bandaż. Później będę mogła żartować, że poduszki powietrzne nie zostały opracowane na nosy tej wielkości, ale wtedy to nie był dobry czas.

– Nie widziałeś węży? – zapytałam.

– Nie widziałem. Policjant mnie o to pytał.

Na pewno był jeden wąż. Czerwony. Nie, to za bardzo wygląda na halucynację. Był czerwonawobrązowy. Ale pamiętałam, jak Carlo zamienił się w szkielet po drodze do Mallory i jak poprzedniego wieczoru straciłam orientację we własnym domu. Więc nie naciskałam na tego węża.

Kiedy taksiedziałam i czekałam na przyjazd Gemmy-Kate, ogarnęły mnie różne skojarzenia.

Mops, pomyślałam, głaszcząc sukę, która ułożyła mi się na kolanach. Jedna z pielęgniarek przyniosła jej wodę, ale ona odsypiała traumę wywołaną objaniem się po samochodzie.

Węże na drodze.

To musiała być halucynacja.

Dlaczego mam halucynacje?

Wizje. Zmiany w odbiorze czasu.

Ropucha. Halucynacje od wędzonej skóry ropuchy.

Trucizna. Mops otruty przez ropuchę.

Gemma-Kate.

Zanim przyjechała do poczekalni izby przyjęć, mój stan był zrozumiały: podniecenie, zamęt, gotowość do podjęcia walki.

Są takie słowa używane przez śledczych: zamknąć, zablokować, wykluczyć. Znajduje się prawdopodobnego podejrzanego: zamknąć. Potem szuka się, aż się znajduje dowody podtrzymujące sprawę: zablokować. Wszystko łączy się razem, a co się nie łączy, zostaje wyeliminowane – wykluczyć. Może to nie jest najmądrzejszy sposób prowadzenia śledztwa, ale działa zaskakująco często.

Może powinnam kupić to, że Mops został zatruty przypadkiem. Może powinnam kupić nawet to, że śmierć Franka Ganima była żartem, który obrócił się w makabrę. Ale jeśli ja zostałam otruta, to nie był wypadek. A jeśli Gemma-Kate celowo mnie podtruwała, to trudno było znaleźć inną osobę, która doprawiłaby kawę i zabiła Ganima.

Kostki domina wskazywały wprost na Gemmę-Kate.

Będę szukać czegoś, co wygląda jak proszek albo suszona skóra i wiem, gdzie to znajdę. Podczas drogi do domu zachowałam to dla siebie, dusiłam w sobie gniew. Ale kiedy Carlo poszedł położyć się na parę minut, poszłam do pokoju gościnnego, w którym zamieszkała Gemma-Kate. Nie byłam tam, odkąd weszłam szukając Mopsa.

Gemma-Kate może nie być dla was typową nastolatką, ale z upływem dni pokój zamienił się w typowe śmietnisko nastolatka. Majtki zagnieżdżone w dzinsach na podłodze, tam gdzie z nich się rozebrała. Do połowy opróżniona torba chipsów na talerzu z wyschniętą salsą. Stos książek rzuconych na chybilił trafił pod ścianę, w tym parę książek Carla, które, jak pamiętałam, stały w biblioteczkach. Tylko to powodowało, że pokój wyglądał inaczej. Nie sądzę, żeby obecne dzieciaki jeszcze czytały książki. Rozgrzebane łóżko.

– Czego ty szukasz w moich rzeczach? – zaprotestowała, kiedy otwierałam szuflady w komodzie i grzebałam w T-shirtach, bieliznie i nielicznych kosmetykach. Otworzyłam pudzeczko, które wyglądało jak pojemnik na róż, i najwyraźniej tylko to w nim było. Odwróciłam je i stuknęłam nim o komodę, żeby sprawdzić, czy pod spodem nie ma czegoś schowanego. Wiem, jak szukać narkotyków. Ale – nic.

Zignorowałam jej pytanie. Poszła za mną do łazienki, z której korzystała. Tam zajrzałam pod zlew i do apteczki, ale niczego nie znalazłam. Zdjęłam pokrywę ze zbiornika na wodę nad sedesem, ale nie było tam plastikowej torebki przyklepionej taśmą. Dokąd jeszcze mogła pójść, żeby się nie martwić, że coś znajdzie?

Kuchnia. To zajęło trochę więcej czasu, bo musiałam przejrzeć kilkanaście szafek. Może to było schowane tutaj, bo im więcej gotowała Gemma-Kate, tym rzadziej zaglądałam do szafki i szafki, w której trzy mała przyprawy.

Gemma-Kate szła za mną, patrzyła, ale już nie zadawała pytań, skoro nie odpowiedziałam na

pierwsze.

Przyprawy. Wyjęłam małe pojemniczki, otwierałam je po jednym i wąchałam. Kolendra, oregano, pieprz cayenne, od którego zaczęłam kichać. Wszystko wyglądało i pachniało tak, jak mogłam sobie wyobrazić.

– Gdzie to jest? – zapytałam wreszcie. – Mieszasz to z przyprawami? Proszkujesz?

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała Gemma-Kate, dobrze odgrywając zdziwienie. – Przy sięgam, że, kurwa, nie wiem, o czym mówisz.

Trzymałam duży plastikowy dzban z suszoną pietruszką; trzasnęłam nim o blat. Jednocześnie straciłam ręką fajansowy talerz na kafelki podłogi. Rozbił się na kilka kawałków. To jeszcze bardziej mnie rozjuszyło. Podniosłam jeden z większych kawałków i odwróciłam się do Gemmy-Kate, która miała taką minę, jakbym trzymała broń, i patrzyła na mnie, jakbym z nas dwóch to ja zwariowała.

A to już mocno mnie wkurzyło.

Najwyraźniej hałasy przy przeszukiwaniu kuchni podniosły z łóżka Carla, który wraz z Gemmą-Kate patrzył na fajansowy odłamek trzymany przeze mnie w ręce. Biedny Carlo, jeszcze nigdy nie był świadkiem mojej niekontrolowanej furii. Podszedł, żeby mnie uspokoić, ale nie miał szans. Streszczam sprawę, bo zbyt żenujące jest odtwarzanie tego, co naprawdę wtedy powiedziałam, kiedy sobie ulżyłam: zanim skończyłam, zdążyłam oskarżyć Gemmę-Kate, że umyślnie otruła mi psa. Potem oskarżyłam ją, że umyślnie zabiła Franka Ganima podczas jakiejś śmiertelnie niebezpiecznej zabawy. Potem oskarżyłam ją, że próbowała mnie zabić, chociaż nie wiedziałam jaki kiedy.

Kurczę, nic nie daje takiej ciszy w pokoju, jak oskarżenie kogoś o morderstwo. Carlo sapnął; do tej pory nie zasnął dobrodziejstwa wszystkich moich podejrzeń. Gemma-Kate też sapnęła i było to bardzo przekonujące sapanie, że zobaczyła, jak skuteczne było sapanie Carla. Odwołując się bardziej do realiów, krew odpłynęła im z twarzy. Wreszcie dziewczyna wisiała na linach ringu.

Czy zachowywałam się jak świr? Wariacka przekąska z posypką z paranoi? Hm, oto cała historia – kilka dni wcześniej przesłam na drugą stronę i odleciałam, jak pewnie powiedziałaby Mallory, w stronę dość umiarkowanego szaleństwa.

Gemma-Kate odzyskała pewność siebie, wyszła z pokoju i wróciła z komórką, żebyśmy widzieli, że dzwoni...

– Nie ośmielaj się zawracać tym głowy swojemu ojcu – powiedziałam i natychmiast zaczęłam się zastanawiać, jakie skutki może wywołać mój wybuch. Gemma-Kate była doskonale świadoma tych skutków i liczyła na nie.

Kiedy Todd odebrał, mówiła łagodnie, bez hysterii, ale tym głosem młodej dziewczynki, którego używała, kiedy chciała wywołać większe wrażenie:

– Tato, ciotka Brigid świruje. Chyba jest na metamfetaminie.

Byłam bezsilna, nic nie mogłam zrobić, chyba tylko stać i słuchać jej strony rozmowy. Jedyna alternatywa, która przychodziła mi do głowy, to wyrwać jej telefon, a to tylko wsparłoby jej oskarżenie, że zwariowała. Bezszelestnie położyłam rozbite kawałki talerza na blacie, na wypadek gdyby Todd zapytał, czy trzymam coś, czego można by użyć jako broni.

– Jej pies zjadł trującą ropuchę i zachorował... nie... tak... mówi, że to zrobił. – Słuchała, a kiedy nie słuchała, odpowiadała machinalnie: – Aha... nie za bardzo... tato... Nie... okay. Pies trochę ją polizał. To był przypadek – Słuchała. – Pies jest w szpitalu... nie... nie zdechnie. Ma się

dobrze. – Słuchała. – Nie mówiłam o tym, bo wiedziałam, że ciotka Brigid oszaleje i oskarży mnie o otrucie psa. A ona... właśnie dlatego... ona nawet mnie oskarża, że ją otrułam. – Starczyło jej przytomności umysłu, żeby nie wspominać o Franku Ganimie. Potem słuchała. – Nic nie zrobiłam, a jestem tutaj w środku wielkiego gówna... przepraszam. Możesz z nią porozmawiać?

Gamma-Kate położyła komórkę ekranem do góry na blacie obok mnie. Od tej chwili Todd będzie słyszał wszystko, co powiem. Gemma-Kate przygryzła górną wargę i uśmiechnęła się. We wspomnieniu będzie to pewnie jeszcze jeden nerwowy uśmiech, ale ja nadal miałam ochotę połączyć ten uśmiech z moim kolanem.

Nie jestem jedyną w mojej rodzinie, która wie, co to gniew. Poza Gemmą-Kate i moją matką wszyscy doskonale potrafimy wpadać w złość. Nauczyliśmy się tego, obserwując tatę. Był z tych ojców, co to jak się dowiedzą, że zadrapało się kolano, wrzeszczą na człowieka. „Biegłaś?” wywrzaskiwał, jakby bieganie było morderstwem trzeciego stopnia. Największym wyzwaniem naszego dzieciństwa nie było unikanie odrapywania sobie kolan, ale ukrywanie przed nim strupów.

Todd, nie wiedząc, że telefon jakiś czas leżał na blacie, zanim go podniosłam i przycisnęłam do ucha, prawil już kazanie. Przy różnicy czasu wynoszącej trzy godziny prawie nie było wątpliwości, że napędzała go druga szłdaneczka Johnnie Walkera. Nieustający potok wrzasków szedł jakoś tak

– ...proszę cię o zwyczajną przysługę, a za ostatnim razem, kiedy w ogóle poprosiłem cię, żebyś coś dla mnie zrobiła, ale nie, to ja musiałem dawać sobie radę z naszymi cholernymi rodzicami i umierającą żoną, niech jej ziemia lekką będzie, i nastolatką, która nie miała prawdziwego dzieciństwa, i walczyć o moją pieprzoną pracę, a czy ty w ogóle myślisz o kimkolwiek, nie tylko o sobie, i mieszkasz sobie na emeryturze z nowym mężem gdzieś w Arizonie i oboje pewnie kosicie duże pieniądze, a ja nie, bo właśnie się dowiedziałem, że stan obciął połowę emerytury ze względu na sytuację gospodarczą i nie ma, kurwa, mowy, żeby to oddali teraz, kiedy gospodarka się poprawia, wydałem dość na posyłanie GK do szkoły tam u was, póki może mieszkać w Arizonie, a w ogóle, o co chodzi z tym otruciem ciebie przez GK, ja nigdy nie słyszałem takiej pieprzonej bzdury, powinnaś pójść do specjalisty, tobie potrzebny jest specjalista, ty cholerna dziwko, my zawsze mówiliśmy tacie i Ariel, wszystkim, że jesteś największym świrem w rodzinie, ty zwariowana dziwko.

Na tym chyba skończyła mu się para.

Ja jestem tą, która walczy z czarnymi charakterami. Jestem herosem akcji po stronie Prawdy, Sprawiedliwości i Amerykańskiego Stylu Życia. A teraz nawrzeszczał na mnie mój braciszek w rodzinnej awanturze, jakiej nie było, odkąd miałam siedemnaście lat i mama znalazła moje pigułki antykoncepcyjne. Jak do tego doszło? I dlaczego tak samo nie odpowiedziałam?

Powinłam być wściekła. Powinłam oszaleć z wściekłości i rozbić jeszcze coś, co da się rozbić. A jednak uznałam, że gniew Todda jest na swój sposób interesujący. Nie odpowiadałam mu, patrzyłam na Gemmę-Kate z lodowatą obojętnością. Patrzyłam na Carla, na jego minę mówiącą, że świat powinien być racjonalny. I to było jednak dobre, o dziwo, uspokajało, kiedy czułam, że gniew Todda pasuje do mojego gniewu, a nawet go przerasta. Poza tym, niedawne walnięcie o poduszkę powietrzną mogło mieć efekt usypiający.

Cóż, oceniając rzecz po tym, moglibyście powiedzieć, że w istocie nie jestem blisko z Toddem. Stawał wiele razy w mojej obronie, raz nawet stanął między mną i tatą. I nikt, kto nie pracował jak ja w organach ścigania, nie wie lepiej ode mnie, co to są napięte nerwy. Jeśli do tego dodać,

że jego żona, którą pielęgnował od ponad siedemnastu lat, właśnie umarła, i może jeszcze trochę poczucia winy, że nie był najlepszym z ojców, to go rozumiem. Więc chociaż nie przeprosiłam Todda za to, co powiedziałam Gemmie-Kate ani za to wszystko, co podejrzewałam, ułagodziłam go najlepiej jak mogłam, zapewniłam, że nie mam zamiaru wypowiedzieć naszej umowy i pozwolić jej ubiegać się o prawo do zamieszkania w Arizonie. Nie dodałam: chyba że trafi do więzienia. Na koniec wystrzelił, że ze mnie wariatka i rozłączył się bez pożegnania.

Byłam wykończona, wciągała mnie czerni depresji, a jej źródłem była Gemma-Kate. Poczulałam gorąco na twarzy. Nie miałam tego od wielu lat, ale zdarzało mi się coraz częściej, odkąd Gemma-Kate z nami zamieszkała.

Carlo oprzytomniał pierwszy i wyjął mi z ręki telefon. Dopiero jak to zrobił, zrozumiałam, że to telefon wydawał ten denerwujący wysoki pisk, jak zwykle, kiedy druga strona się rozłączy.

– Zostaw mnie, proszę, na chwilę sam na sam z moją żoną – powiedział do Gemmy-Kate. Wyszła posłusznie (zawsze robi to, o co poprosi Carlo) i usiadła obok posągu świętego Franciszka.

Carlo chwilę patrzył za Gemmę-Kate, potem odwrócił się do mnie. Teraz usłyszał osobiście, kim jest naprawdę Gemma-Kate, pomyślałam. Toteż nie spodziewałam się tonu, jakiego użył.

– Co z tobą nie tak?

– Słyszałeś, co powiedziała? Słyszałeś, że przyznała się do otrucia naszego psa? A ja..., a ja widzę i słyszę różne rzeczy i myślę, że ona to wywołała.

– Byłem tutaj, słyszałem, co słyszałem. A osobą, o którą się w tej chwili martwię, jesteś ty. Dopiero co musiałem wysłuchać od twojej przyjaciółki, że możesz być poważnie chora. Teraz słyszę, jak ci się wydaje, że cię otruto. A co z tym widzeniem i słyszeniem różnych rzeczy?

– Ona gotuje – powiedziałam i sama usłyszałam, jak słabe jest to oskarżenie.

– Myślisz, że zatrują ci jedzenie? – Uniósł dłonie wnętrzem na zewnątrz, jakby próbował powstrzymać górskiego lwa. – Kochanie, nie mówię, że wiem coś lepiej od ciebie, ale może jest jakieś prostsze wytłumaczenie? Oboje jemy... wszyscy jemy to, co ona ugotuje – dodał. – Gemma-Kate i ja czujemy się świetnie. I zaczynam sobie myśleć, że masz na tyle rozsądku, żeby nie pójść na policję ze swoimi podejrzeniami, że miała coś wspólnego ze sprawą w kościele.

Popatrzyłam na zbity talerz na blacie kuchennym i pomyślałam o zbiuciu kolejnych, ale to umocniłyby tylko w oczach Carla mój status wariatki. Przypomniałam sobie, że nie dokładał się do tego wiru z dwiema skrzeczącymi harpiami w domu. Właściwie, poprawka: tylko ja byłam skrzeczącą harpią. Wycofałam się, pomyślałam, że w końcu może to nie otrucie wywoływało wszystkie moje objawy, że to nerwy i bóle żołądka. Może to był parkinson, z tymi skurczami przy ręcznym pisaniu i dziwnym chodzeniu. Halucynacje? Czy na pewno?

Zamiast więc tłuc talerze, zgięłam się w pół i objęłam ramionami, próbując wycisnąć z siebie zdenerwowanie. Słyszałam swój bełkot, kiedy mówiłam:

– Przyznaję, nie wiem, co się ze mną dzieje. Wiem tylko, że kości jakby przemieszczały się w moim ciele i mogę się tylko starać, żeby z niego nie wyskoczyły. Nie śpiam po nocach.

Carlo natychmiast złagodniał. Otoczył ramionami moje ramiona, jakby chciał mi pomóc zatrzymać siebie w środku. Poczulałam się miękka i słaba, nienawidziłam się za to uczucie, ale nie mogłam nie przyjąć jego pomocy. Kiedy przestałam się tak bardzo trząść, puścił mnie i przytrzymał na odległość ramienia, żeby na mnie spojrzeć.

– Kochanie – powiedział – zrobię dla ciebie wszystko, wyrzucę Gemmę-Kate z powrotem do Fort Lauderdale i nawymyślę jej ojcu. Ale zawsze uważałem się za rozsądnego człowieka,

więc przemyślę to, zanim podejmę jakieś działanie, które mogłoby skrzywdzić ludzi albo ty byś go potem żałowała. Nerwy nie wyglądają na truciznę. Jeszcze nie dzwoniłaś do specjalisty, prawda?

Nadal byłam trochę spięta i najeżona, bo kiedy powiedział specjalista, miał na myśli psychiatrę.

– Myślisz, że mam paranoję?

– Nie, chodzi raczej o neurologa – powiedział Carlo. – Jeszcze nie wiem, co myśleć. – Zostawił mnie, otworzył tyłne drzwi i wyszedł na podwórkę.

– Gemmo-Kate – zawołał – włoż długie spodnie i buty do skarpetek, nie te sandały.

Wychodzimy.

– Dokąd? – odrzyknęła.

– Pooglądać petroglify. Ty i ja.

– Gdzie są te petroglify? – zapytałam.

Pokazał w stronę Catalinas.

– Mniej więcej tam. Może jakieś pół godziny drogi na piechotę stąd.

– Dlaczego to robisz?

– Żeby zesła ci z oczu, a ty żebyś mogła się pozbiierać. – Pocałował delikatnie, ale bez uczucia, moje posiniaczone usta. – Czy teraz zostałem jednym z twoich podejrzanych?

– Oczywiście, że nie.

Przyszło mi na myśl, że nadal tak wielu rzeczy nie wiem o Carlu. On wiedział o mnie to, co najgorsze. Czy wiedziałam to, co najgorsze, o nim? Odepchnęłam tę myśl, znowu paranoja.

Gemma-Kate wróciła do domu i poszła do swojego pokoju, żeby włożyć buty, a Carlo powiedział:

– Może ze mną porozmawia. To najlepsze, co przychodzi mi na myśl i ja na to liczę – dodał. – Potem będzie twoja kolej.

Carlo poszedł włożyć buty turystyczne, a Gemma-Kate wróciła i stanęła przede mną. Zobaczyłam osobę inną niż ta, która jak dziecko skakała po chodniku, jak tylko tu przyjechała. To była Gemma-Kate, która czuła się zaatakowana. Maską czarującej młodej dziewczynki już nie służyła jej celom. Teraz jej głos był tak samo pozbawiony wyrazu jak wzrok.

– Czy ty w ogóle czytałaś Nietschego? Nie, pewnie nie. – Mówiła silniejszym głosem, jakby czuła, że ma kontrolę nad sytuacją, bo wie coś, czego ja nie wiem. – Tam jest coś, co nazywa się dążeniem do śmierci. Tak nazywają nihilistyczną skłonność do niszczenia. To takie uczucie, jak kiedy trzyma się nóż kuchenny i przez sekundę myśli się, jak by to było, gdyby go w kogoś wbić. Znasz to uczucie? Albo kiedy stoisz gdzieś wysoko i ogarnia cię pragnienie, żeby skoczyć. Takie pragnienia nie są niczym nadzwyczajnym, ale u niektórych ludzi występują silniej niż u innych. Chcą umrzeć. Albo chcą, żeby ktoś inny umarł. Może właśnie w tej chwili chciałabyś, żebym umarła.

Ciągle byłam zdumiona; nie znałam tej osoby, chociaż mieszkała w moim domu.

– O czym ty do diabła mówisz? – to było wszystko, na co mogłam się zdobyć.

– Myślisz, że nie wiem, o czym myślisz. Wiem. Myślisz, że jestem jednym z tych psychopatycznych dzieci jak na filmach. Nie jestem. Mam IQ sto czterdzieści pięć i słuchałam, co tata i dziadek mówili o tobie, odkąd miałam cztery lata. Nie jestem bardziej zaburzona niż ty. Naprawdę myślisz, że tak bardzo się różnimy?

Gemma-Kate nie śpieszyła się, nie naciskała, żeby uzyskać odpowiedź, jeśli naprawdę jej chciała. Pośliniła palec i nachyliła się, żeby podnieść mały odłamek fajansu z talerza, który rozbiłam. Wrzuciła go do śmieci i znów odwróciła się do mnie.

– Wiem, ciociu Brigid. Porozmawiajmy. Ilu ludzi zabiłyśmy z zimną krwią? Ty pierwsza.

– No, już dobrze, wsiadaj do samochodu – powiedział do niej Carlo. Dopiero wszedł do pokoju i nie słyszał, co Gemma-Kate właśnie powiedziała. – Brigid, musimy wziąć się w garść. Podobno jesteśmy dorośli. – Odwrócił się, żeby wyjść, ale znowu się odwrócił. – Wyglądasz bardzo bladą. Niedługo wrócimy. Jesteś pewna, że przez jakiś czas dasz sobie radę?

Pokiwałam głową, nadal byłam zbyt oszołomiona, żeby mówić i dobrze się stało, bo bez względu na to, co kiedyś mogło się przydarzyć Gemmie-Kate, nie mogłam powtórzyć Carlowi tego, co właśnie od niej usłyszałam. Bałam się, że to było zbyt prawdziwe.

Wyszli. Patrzyłam, jak Mops ustawia się przy drzwiach z nadzieją, że poszli przywieźć jej kompana. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że stoję, jakbym zapuściła korzenie w tym samym miejscu, w którym stałam, kiedy Todd wiercił mi nową dziurę w zadku. Poczułam, że mięśnie na wierzchu brzucha skręcają mi się jak źle przeprowadzony szew. Pocierałam to miejsce, aż skurcz ustąpił. To wymagało woli i determinacji, ale w końcu udało mi się zrobić krok, potem drugi, aż wyładowałam w sypialni, usiadłam na łóżku, otworzyłam szufladę nocnego stolika i wyciągnęłam coś, co może zabić.

Wyjęłam mój FBI special i pudło, w którym go trzymałam, drewniane, z zawiasami i wkładką z pianki wyciętą tak, żeby pasowała do broni. Zaraz po ślubie z Carlem schowałam broń za jakimś popsutym sprzętem komputerowym w szafce przymocowanej do mojego biurka. Kiedy poznaliśmy się trochę lepiej, zrozumiał, dlaczego chcę w nocy mieć to przy sobie i czemu nie razi mnie obecność pistoletu w szafce nocnej, tuż obok żelu nawilżającego.

Pudełko z nabojami znajdowało się w ozdobnym pudle Victoria Secret z perfumami na prezent bożonarodzeniowy. Wyjęłam naboje dłońmi, które już tak nie drżały.

Sam pistolet był już naładowany. Przez chwilę myślałam, czy to mądre, skoro wokół kręci się Gemma-Kate, bo myśl, że go użyję, żeby wybić ją z tego jej kontrolowanego zadowolenia z siebie, była bardzo żywa. Ale jeszcze się nie zdecydowałam.

Wzięłam volvo Carla.

Pima Pistol Club leży o pięć kilometrów na południe od domu, ale jakież to męczące pięć kilometrów. Droga, jak minigórska trasa, wije się między wyrytymi kawałami wzgórz, a zęby szczerzą się na wyjeżdżonej tarce nawierzchni. Chciałam przekroczyć zakaz i jechać szybko, ale rzucaloby mnie pod dach wozu, trzymałam się więc poniżej sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. I tak mnie wytrzęsło.

Właściciel, szczupły kowboj, którego znałam tylko z imienia Roger i naklejki „One Day at a Time”, tkwił za ladą. Powitał mnie przy oknie, kiedy podawałam mu kartę członkowską.

– Cześć, Brigid. Mąż cię wyregulował? – powiedział, co dla wielu facetów nadal brzmiałoby zabawnie. To, że jest trzeźwy, nie znaczy, że nie jest dupkiem.

Zastanawiałam się, co dzisiaj robi bezimienna kobieta ze schroniska. Czy pojechała do domu?

– Miałam starcie z poduszka powietrzna, poduszka wygrała – wymamrotałam. Nie miałam w tej chwili nastroju do wygłaszania wykładu „Dowcipy o pobitych kobietach wcale nie są śmieszne”.

– W drugiej rundzie na pewno byś wygrała – powiedział Roger.

Pozwoliłam sobie tylko na wściekle spojrzenie, kiedy podpisywałam blankiet wejścia, potem poszłam betonowym chodnikiem do jednej z wąskich klatek z drewna i gęstej siatki ogrodzeniowej z małą drewnianą półką, na której położyłam pistolet, a obok niego pudełko z nabojami. Zimne światło strzelnicy było włączone; to znaczyło, że paru innych członków, samych mężczyzn, nie strzela. Przed moim stanowiskiem ustawiony był już cel, metalowa płyta zwisająca luźno z ramy. Ktoś zapomniał ją zdjąć, kiedy skończył. Znaczenie dalej był wał ziemny, otaczający strzelnicę z trzech stron na wypadek, gdyby się spudłowało.

Nad strzelnicą zataczał koła myszołów. Wodziłam z nim lufą, ale nie strzelałam. Ustrzelenie

drapieżnego ptaka jest przestępstwem. Miałam dość kłopotów, kiedy zabiłam kaktus saguaro.

Celowo nie przyniosłam nauszników do tłumienia wystrzałów. Chciałam wystrzelać z głowy dźwięk słów Gemmy-Kate.

Zimne światło strzelnicy przestało świecić, kiedy zobaczyłam cel.

– Rozpocząć strzelanie – odezwał się głosnik. Zaciśnęłam zęby, rozluźniłam skurcz mięśni, który miał zahamować drżenie. Strzeliłam do celu, potem znowu i znowu. Miałam całkiem niezły wynik, ale w ogóle mnie to nie obchodziło. Rzecz była głównie w poczuciu gniewnej siły w moich dloniach i w krzyku pocisków opuszczających lufę. Brzęk kul uderzających w metalową płytę stanowił dodatkową satysfakcję. Wyobraziłam sobie, że płyta to Gemma-Kate.

Chcesz dążyć do śmierci? Trach.

Ja ci, kurwa, dam dążenie do śmierci. Trach.

Samym myśleniem nikogo nie skrzywdziłam.

Ciągle przeładowywałam i strzelałam, aż zużyłam wszystkie naboje z pudełka. Kiedy się skończyły wraz z moim słuchem, co, jak ufałam, było stanem przejściowym, zaczęłam na zimne światło strzelnicy, wciągnęłam cel dla kolejnej osoby, załadowałam pistolet do drewnianego pudła i wyszłam spokojniejsza, niż kiedy przyjechałam.

Strzelanie obok spokoju dało trochę jasności umysłu, której mi brakowało. Dokonałam przeglądu możliwości. Zabicia Gemmy-Kate nie było wśród nich. Odesłania jej z powrotem do domu nie brałam pod uwagę. Todd był uparty i pewnie po prostu odesłałby ją do mnie. I co bym mu powiedziała? Spłodziłeś że dziecko? Jeśli wziąć pod uwagę niechęć Quinnów do konstruktywnej krytyki, nie przyjąłby tego dobrze.

Mogłam umieścić ją w motelu, aż przyszedłby czas przenosin do dormitorium. To było to; mogłam ją osadzić w motelu blisko McDonald's i dawać jej codziennie trochę pieniędzy, żeby nie głodowała. Koszt byłby spory, ale warto to zrobić, żeby w naszym domu znowu zapanował spokój. Potem mogłabym spokojnie przywieźć drugiego Mopsa do domu. Chwileczkę, zostawiłam Mopsa w domu. Nie, w porządku, Gemma-Kate wyjechała z Carlem na trasę, Mops jest bezpieczny. Carlo. Umieścić Gemmę-Kate w motelu. Carlo poparłby mnie, prawda? Poparłby?

Zadzwoiła komórka. Myśląc, że to Carlo niepokoi się o mnie i za późno zastanawia się, co Gemma-Kate zrobiła, zatrzymałam się i zaczęłam grzebać w torbie na ramię. Za późno, żeby odebrać, ale zobaczyłam numer Mallory. Postanowiłam najpierw dojechać do domu i stamtąd do niej oddzwonić. Trochę dlatego, że byłam wkurzona, bo zdradziła Carlowi moją tajemnicę, chociaż jej mówiłam, żeby tego nie robiła. To spowodowało, że zaczęłam myśleć o Mallory i jej nieszczęśliwym położeniu.

Próbowałam wyciągnąć ją ze sobą na strzelnicę, bo myślałam, że to jej dobrze zrobi, ale ona zawsze odpowiadała, że nie znosi broni palnej. Nie znosi broni palnej. Jak to jest, że zadają się z ludźmi, którzy są tak inni niż ja?

Kiedy wróciłam do domu, odłożyłam pistolet do stolika nocnego, nie czyszcząc go natychmiast, jak zwykle to robię, i chociaż był pusty, a w domu już nie było nabojów, i tak nakryłam pudło jakąś prowokacyjną bielizną.

Umyłam ręce. Nie odebrałam wiadomości, pomyślałam, że będzie szybciej, jeśli po prostu oddzwonię do Mallory, poszłam więc do swojego gabinetu, żeby do niej zatelefonować. Zaczęłam dzwonić, ale wtedy zobaczyłam na biurku, obok komputera, skierowanie do specjalisty od zaburzeń ruchu. Śmieszne, ale sprawy, o których nigdy wam się nawet nie przyśniło, mogą

wymagać więcej odwagi, niż kiedykolwiek była wam potrzebna.

Próbowałam o tym nie myśleć i cały spokój, jaki uzyskałam na strzelnicy, skurczył się do rozmiarów mózdzka mysikrólika. Myślałam o wszystkim, co się wydarzyło, odkąd przyjechała Gemma-Kate, o tym, jak sama jedna spieprzyła mi przyjemne życie w Arizonie.

Potem znowu pomyślałam, że może tak jest z całą rodziną Quinnów, że wszyscy mamy w sobie ponadprzeciętną dawkę zła. Był czas, kiedy patrzyłam, jak powoli umiera człowiek i gdyby nie trwało to tak krótko, byłabym całkowicie zadowolona. No tak, był zły, bardzo zły, ale czy bliski koniec nawet złego człowieka nie powinien wywoływać żalu? Może mnie też brakowało tego genu, czy czegoś tam, co tworzy empatię, co wywołuje, jak to nazwała Gemma-Kate, dążenie do śmierci. Może Gemma-Kate była tylko kulminacją pokoleń ze złego nasienia. Czy to szło od strony mamy, czy od strony taty? Pewnie taty. Można było to coś w nim zobaczyć.

Potem pomyślałam o czymś, co kiedyś powiedziała mama, mama, której filozofia życia oparta była na ludzkiej banalności: jeden ścieg w porę ratuje dziewięć ściegów, pracujesz tak szybko, jak szybko jesz... lepszy diabeł znany niż niezany. Wiedziała to i owo o rodzinie.

Nie licząc Gemmy-Kate, niewiadomą, której usiłowałam uniknąć, była choroba Parkinsona. Ale to mogłam zrozumieć. Słowa faceta, nazywaliśmy go Baxter Tajniak, który uczył mnie walczyć, przemknęły mi przez głowę. To było na początku, kiedy bałam się, że stanie mi się coś złego.

„Quinn, nie bądź cipą”.

Poszukałam w Google choroby Parkinsona i wybrałam Wikipedię, bo była najłatwiejsza. Zrobiłam głęboki wdech i zaczęłam czytać, czując, jak po nogach pełzną w górę lodowate ciarki, a ręce trzęsą mi się nad klawiaturą.

Przeczytałam o objawach, prognozach, leczeniu. Drżące ręce, dziwny chód, skurcze przy odręcznym pisaniu, uczucie zamarzania, a przez cały czas utrata pamięci, nerwowość, depresja.

Więc nie zabije mnie rozpusta, jak czasem żartowałam, ale właśnie to.

Prawie wymiękłam wobec Boga, myślałam, że mnie zostawi na parę lat i przez jakiś czas będzie obsywać łatwiejsze cele. Myślałam, że chodzenie do kościoła obłaskawi go. Nie masz szczęścia, Quinn, teraz jesteś na boskim celowniku optycznym. Życie z Carlem miało ci tylko pokazać wszystko, co stracisz.

A, do diabła z uzalaniem się nad sobą. A co z Carlem? Carlo ożenił się z kobietą, która pokonałaby go na rękę. Teraz wyjdzie na to, że ożenił się z kobietą chorą na tak upośledzającą chorobę, że będzie musiał popychać jej wózek inwalidzki. Myślałam o Owenie z biedną Mallory. Biedny Carlo, powiedzą ludzie. Przed siedmiu laty rak zabrał mu pierwszą żonę. Teraz straci drugą przez jakąś powoli wyniszczającą chorobę neurologiczną. Na to się nie pisał.

Czy Carlo opiekuje się mną tak, jak Mallory opiekuje się Owenem? Czy chciałabym tego?

Myślałam o tym, jak zaledwie parę godzin temu byłam zła na Mallory, bo powiedziała Carlowi, że boję się Parkinsona. Miała własne problemy, z miłości robiła to, co robiła. Więc daj sobie w tym spokój, Quinn.

Śmieszne, mam teraz męża i przyjaciółkę, a nigdy jeszcze nie czułam się taka samotna. Chciałam, żeby Carlo i Gemma-Kate wrócili do domu. Jednocześnie cieszyła mnie myśl, że spada z urwiska i rozbija sobie głowę o skały na dnie przepaści. Może coś w tym było, w tym dążeniu do śmierci.

Myślałam o furii, którą we mnie wzbudziła, o chaosie, jaki wprowadziła do mojego świata,

chyba celowo. Myślałam o zaglądaniu jej w oczy, w których nic nie ma, albo jeszcze gorzej.

Ale nie miałam dowodów. Potrzebowałam dowodów. Dowody. Siedziałam, powtarzając w kółko to słowo, palce trzymałam cały czas na klawiaturze. A potem o mało się nie roześmiałam, bo leżały przede mną. Przeglądanie jej pokoju i wszystkich szafek w kuchni było stratą czasu. Gemma-Kate korzystała z mojego komputera. Wystarczyło zajrzeć do historii przeglądania, żeby znaleźć dowody.

Bufotenina. Jad ropuchy. Oczy wiście.

Jakiś nieuporządkowany wybór, arszenik, sibutramina, wodzian chloralu, dwusiarczek sodu. Ketamina. Neurotoksyny.

Ach, glikol etylenowy. Odmrażacz.

Znów pomyślałam o stosie książek które widziałam w pokoju Gemmy-Kate. Wyszłam teraz z historii wyszukiwania i wróciłam tam. Uklękałam przed stosem, którego nie pofatygowała się schować, jasne, był tam Carla *Człowiek i nadszłowiek*. Nie czytałam, ale po nazwisku autora mogłam się domyśleć, że Gemma-Kate go cytowała. Tak, Gemma-Kate pewnie myśli, że jest nadszłowiekiem, jasne, a reszta to jakaś podrzędna rasa. Odgarnęłam na bok tę książkę i kilka innych tytułów z filozofii i trafiłam na właściwe rzeczy. Karch, *Patologia przedawkowania leków*.

Dean i Powers, *Toksykologia sądowa*.

Jain, *Zaburzenia neurologiczne wywołane lekami*.

Caligiuri i Mohammed, *Neurologia odręcznego pisania*.

Kim ja byłam, kolejnym eksperymentem domowym jak Mops? Czy może niechcący czymś ją rozgniewałam? Czy miałam się stać kolejną ofiarą? Może mnie spowolniła, ale jeszcze nie zatrzymała. Czas zadzwonić do Sigmunda.

Sigmund to nie jest jego prawdziwe imię. Ale, jak my wszyscy z organów ścigania, ma pseudonim, który coś o nim mówi. W jego przypadku to, że był psychologiem, profilerem behawioralnym, który uczestniczył w latach osiemdziesiątych w zakładaniu Wydziału Nauk Behawioralnych. Byliśmy kumplami, odkąd pamiętam, chodziliśmy do tej samej grupy treningowej. Chyba raz czy dwa razy uprawialiśmy seks. Coś w tym było, bo wspomnienie się nie zatarło. To pokazuje prawdziwą naturę naszego związku. Kochałam go i nadal kocham. Dzięki temu uczucia nie są takie schłodzone i poszufladkowane. Nie chciałabym, żeby Carlo żywił takie do innej kobiety, jak ja żywię do tego mężczyzny.

Zawsze nazywali mnie Stinger. Ktoś mógłby pomyśleć, że dlatego nazwali mnie Kolcem, bo jestem mała, ale mogę piekielnie zabołeć, ale sprawa jest prostsza. Kiedy ukończyliśmy akademię, wszyscy się upiliśmy. Ja piłam modny wówczas drink z crème de menthe i brandy. Na myśl o tym do tej pory mnie mdli. Koktajl nosił nazwę stinger i to do mnie przyłgnęło.

Dlatego wszytkie rozmowy od tego się zaczy nają.

– Sig.

– Stinger.

Żadnego: jak się masz, Sigmund; te słowa w stu procentach zostają w głowie, jak rozmowa z panem Spockiem ze *Star Trek* w nudny dzień.

– Porozmawiamy przez Skype'a – powiedział Sigmund.

– Dlaczego?

– W twoim głosie jest coś, czego do końca nie rozumiem. Chcę zobaczyć, jak wyglądasz.

A wypowiedziałam tylko jego imię. Ten facet mnie zna. Dotknęłam twarzy i poczułam szorstkie strupki rozsiane na mostku nosa i czole.

– Mogę ci przecież powiedzieć. Nie wyglądam dobrze.

Uparta cisza po jego stronie, więc ze słowami „sam chciałeś” podłączyłam się do kamery. Kiedy to robiłam, zauważyłam, że na liście kontaktów był już numer Petera Salazara, ale niewiele się nad tym zastanawiałam, bo na ekran wskoczyła twarz Siga.

Ociężały brodac, którego postarzałe lico wstrząsnęło mną rok temu, kiedy zobaczyłam go po wielu latach. Wtedy przyzwyczałam się do jego starszej wersji i zobaczyłam, że mniejsze okienko z moją własną twarzą na ekranie jest jeszcze gorsze niż jego wizerunek, jeśli uwzględnić czarne i niebieskie łatki i strupy.

– Tak lepiej – powiedział. – Nigdy nie lubiłem telefonów. Zawsze brakuje kawałka drugiej osoby. – Parę chwil zajęło mu przyglądanie się mojej twarzy. – Masz rację, wyglądasz koszmarnie.

Poczułam pierwszy uśmiech tego dnia i nie speszyło mnie, że przy okazji otworzyło się małe nacięcie na dolnej wardze. Sig mógł sobie na to pozwolić wobec mnie w najgorszym czasie, a gdyby mu powiedzieć, że to śmieszne, zaprzeczyłby. Szybko opisałam mu wypadek, żeby się nie martwił.

– Dlaczego dzwonisz? – zapytał.

– Żeby usłyszeć głos rozsądku – przyznałam.

Gapił się na mnie bez słowa, wyglądał jak skrzyżowanie Freuda i Misia Puchatka. Czekał, aż zacznę mówić.

– Muszę z tobą porozmawiać o psychopatii – powiedziałam.

– Znowu się zamartwiałaś, jak wypadłaś na skali empatii? Mówiłem ci, przestaniesz pracować, to zaczniesz rozmyślać.

– Chodzi o moją bratanicę, Gemmę-Kate. Córkę Todda i Marylin. Przyjechała, żeby z nami zamieszkać.

– I jak się ma to złe ziółko? – Sig wiedział wszystko o mojej rodzinie, bo przez lata wiele o tym rozmawialiśmy.

– To nie żarty. Naprawdę myślę, że jest psychopatką – powiedziałam.

– Teraz to się nazywa anty społeczne zaburzenie osobowości.

– Kiedy wreszcie zaczną to właściwie nazywać i powiedzą, że to objaw gówniarstwa?

– Przyznaję, że terminologia odbiera temu cały sadyzm z podkreślonym wąsem. Musisz wybaczyć psychologom, którzy piszą podręcznik diagnostyki. Wymyślają takie terminy, bo „wariactwu” brak elegancji. A co, znowu zaczęłaś czytać?

– Sig, kurwa, przestań mnie traktować protekcyjnie.

– Tu chodzi tylko o to, że sprawa raz robi się modna, raz wychodzi z mody. Parę lat temu w każdej powieści była postać psychopaty.

– Słuchaj, nie wybaczyłam ci, że nie zaufałeś mojemu przecuciu, kiedy powiedziałam, że tamtego agenta porwali. I miałam rację, prawda? Wiążę ze sobą różne rzeczy, więc jeśli ci mówię, że to dziecko wywołuje we mnie dreszcze, to słuchaj, co mówię.

– Co zrobiła? – zapytał.

Nie byłam chętna, żeby dzielić się moimi podejrzeniami co do martwego faceta w kościele, ale powiedziałam mu o moich objawach i o tym, że znalazłam w moim komputerze historię wyszukiwania różnych substancji, których ja nie szukałam.

– I jesteś pewna, że istnieje związek między wyszukiwaniem i twoimi objawami?

– Tak. Bo ona na pewno otruła jednego z naszych Mopsów. A w historii wyszukiwania na moim komputerze znalazłam plik trucizn. Mopsa otruła jedną z nich.

Powiercił się trochę na krześle. Jak na Sigmunda była to oszałamiająca reakcja.

– Hm, to ważne. Podaj szczegóły.

– Dziękuję, tak jest znacznie lepiej. – Powiedziałam, jak do tego doszło, jak odkryłam, gdzie zakopała ropuchę i jak temu zaprzeczyła.

– Niepotrzebne okrucieństwo – pokiwał głową. – Ile ma teraz lat?

– Zacznie osiemnastkę.

– To pewnie zabierze więcej czasu niż zakładamy, ale oczywiście to może być tylko incydent, o którym nam wiadomo.

– A potem, kiedy musiała się przyznać, próbowała tak to wykręcić, że wszystkie problemy są z

mojej winy, bo przesadnie reaguję.

– Fascynujące – powiedział Sigmund.

– Miło mi, że tak myślisz.

– Chodzi mi o ten pomysł, że przesadnie reagujesz – powiedział z poważną miną. Kiedy się nie roześmiałam, mówił dalej: – Pamiętam, że od czasu do czasu mówiłaś o Gemmie-Kate. Ojca odsunęli od jej wychowania, matka była zbyt chora, żeby się nią zająć. Dziadkowie wszystko wypierali albo na skutek własnych patologii nie widzieli w niej niczego złego. I nic z tym nie możesz zrobić. Można się bać. Mówisz, że dobrze funkcjonuje?

– Faktycznie, szkołę ukończyła wcześniej, a w college'u na Florydzie dostawała dobre stopnie, nie miała problemów z dostaniem się na tutejszy uniwersytet.

Znowu pokiwał głową.

– Wysokie IQ, ale brak empatii. Jako dzieci tacy przemykają pod radarem, bo nie rodzimy się wyposażeni w empatię. Nikt nie spodziewa się po małym dziecku, że będzie się wczuwało w cudzy punkt widzenia. Rodzimy się przekonani, że cały wszechświat kręci się wokół nas. Wielka gruda egocentryzmu w kołysce. Potem jest nadzieja, że dorastając zdamy sobie sprawę, że tak nie jest.

Znów zatopił się w myślach. Postukałam w ekran, jakby to mogło przywołać go do rzeczy wistoci.

– Gemma-Kate – przypomniałam mu.

Obrócił się trochę w moją stronę.

– A, tak. Jeśli Gemma-Kate ma antyspołeczne zaburzenie osobowości, a moje „jeśli” pełne jest wątpliwości – psycholog nie wydaje tego rodzaju sądów nawet nie widząc podejrzanego osoby, nie mówiąc już o całej serii testów...

– No, powiedz wreszcie, Sigmund, czas mija.

– Jeżeli Gemma-Kate jest taka, jak mówisz, nie masz większego znaczenia niż zużyty kleenex. Może cię widzieć na trzy sposoby: jesteś rozrywka, użyteczna albo przeszkadzasz.

– Jakie są prognozy? Jest jakaś nadzieja dla niej?

– Że się całkowicie mylisz. Albo jest tak blisko końca skali, że już dalej się nie posunie i znajdzie swoje miejsce. Może będzie tylko irytująca na sto różnych sposobów i będzie pokazywać, że świat należy do niej. Wiesz przecież, że to rzadka zbieżność natury, wychowania, inteligencji i okazji zamieniła Jeffreya Dahmera w seryjnego zabójcę i kanibala. Częściej powstaje z tego Bernie Madoff. Albo polityk.

– Co mam zrobić?

– Jeśli jesteś przekonana, że dzieje ci się krzywda, to przecież wiesz. Zrób co trzeba, żeby jak najszybciej pozbyć się jej z domu.

– I rzucić ją w nic niepodważający świat? Czy nikt nie wprowadził programów terapeutycznych? Carlo powiedziałby, że powinniśmy jej pomóc, że jesteśmy odpowiedzialni.

– Lwy liczą na to, że tacy będziemy.

– Jakie lwy?

Sig westchnął nad ciężkim życiem, które oboje znaleźliśmy.

– Ktoś kiedyś powiedział, że gdyby lew umiał mówić, i tak byśmy go nie zrozumieli. Nie znalazłyby się w naszym języku słowa, których mógłby użyć, żeby wyrazić swoją lwią naturę. Rozumienie psychopaty jest jak rozmowa z lwem. Nie da się ich uleczyć, bo nie są w stanie

zrozumieć, że są inni. Stinger, są stwory, których nawet twój ksiądz nie zbawi.
Zgodziłam się i podjęłam decyzję.

Natychmiast po rozłączeniu się z Sigiem dostałam telefon od Jacquie, jakby czekała w kolejce. Telefony komórkowe bardzo ułatwiły poufne rozmowy. Była poza domem, włóczyła się wokół Searsa i Tucson Mall, co musiało być przygnębiające dla bogatej kobiety. Powiedziałam, że wiem niewiele więcej, tylko tyle, że Joe chwalił się Mallory grą w przyduszanie.

– Kiedy? – zapytała ostro. Było to bardzo ostre „kiedy”. – Kiedy o tym mówił Mallory?

– Nie wiem. Któregoś dnia, kiedy skończył czytać Owenowi.

– Nie wierzę, żeby Joe powiedział Mallory coś, czego nie powiedział mnie.

– Och, wiesz, jaka jest Mallory.

– Nie. Nie wiem. Jaka jest?

– Ma swoje sposoby, żeby wydobyć informację. Joe na pewno nie dał sobie z nią rady. Ponadto – i tę kwestię próbowałam powiedzieć tak, żeby nie urazić Jacquie – w pewnym wieku dzieci mają skłonność do zatajania spraw przed rodzicami.

– Nie Joey. Nie przede mną. – Głos jej drżał, jak głos kobiety zdradzonej i wściekłej, i urażonej.

– Powiedziałaś, że wykrył alkohol w jego organizmie po śmierci. Jaksądżisz, kto mu go dał?

– Nie da się tego stwierdzić.

– Myślisz, że to była Mallory Hollinger?

– Nie – odparłam. – Jestem pewna, że to nie ona.

– Mam zamiar tam wstąpić i zapytać osobiście.

Coś w jej głosie, coś mściwego, jak u wzgardzonej kobiety, spowodowało, że pożałowałam swoich słów.

– Po prostu trzymaj się od tego z daleka i pozwól mi pracować dalej – chciałam ją ułagodzić. – Myślę, że przez cały czas miałaś rację. Tam chyba jest więcej spraw, które można wykryć. – Miałam nadzieję, że potwierdzenie jej podejrzeń na jakiś czas ją uspokoi, a ja wtedy wszystkiego się dowiem.

Ledwie odwiesiłam telefon, kiedy otworzyły się tylne drzwi i weszli Carlo z Gemmą-Kate. Oboje byli trochę zaczerwienieni od popołudniowego upału i świeżego powietrza. Pozostały przy życiu Mops obwąchał Carla. Sprawdzała, czy nie wyczuje kumpla, ale skończyło się na zapachu wielkich przestrzeni. Po skontrolowaniu stanu zdrowia psychicznego u Weissa byłam w stanie okazać względny spokój.

– Jak było? – zapytałam.

– Petroglyphy były tam, gdzie zawsze – powiedział Carlo. – Starożytnie graffiti chyba nie zrobiły wrażenia na Gemmie-Kate – dodał.

Gemma-Kate nie skomentowała tego.

– Mogę pożyczyć twój komputer? – zapytała.

– Jasne – powiedziałam, udając, że podaję jej gałązkę oliwną, chociaż naprawdę myślałam, że to jedyny sposób, żeby sprawdzić, co knuje. Pomyślałam, że ta mała biolog nie jest taka sprytna, jak się jej wydaje.

Poszła do mojego gabinetu.

– Jak było? – zapytałam znowu, tym razem oczekując prawdziwej odpowiedzi.

– Ważniejsze, jak ty się czujesz – powiedział Carlo.

– Tak sobie. Trochę popracowałam i poprawiło mi się. Przyjemnie się wam łąziło i gadało? Już wiesz, jaka ze mnie wariatka? Jaką mam zwariowaną rodzinę?

– Tak, trochę rozmawialiśmy.

– Powiedz mi, czy chcesz, żebym dalej cię pytała?

– Właściwie to rozmawialiśmy o tobie. Martwiła się, bo myślisz, że jesteś podtruwana i pytała mnie, co wiem. Powiedziała, że ostatnio widziała w twoim zachowaniu różne dziwactwa, że zdezorientowana łąził się po podwórku w środku nocy. O tym mi nie mówiłaś.

Wyczułam oskarżenie.

– To był tylko koszmar.

– Nie sądzisz, że gorączka z tamtego wieczoru może być z tym wszystkim związana?

Wręczyłam mu jedną z książek, które znalazłam w pokoju Gemmy-Kate, tę o toksykologii sądowej.

– Więc nie chcesz przyznać, że dzieciak jest po prostu dogłębnie zepsuty.

Carlo przeczytał tytuł i oddał mi książkę.

– Myślę, że to niebezpieczne kojarzyć książkę z działaniami, a nawet pomysłami. W końcu czytałem Christophera Hitchensa i nie jestem ateistą, po prostu szanuję jego myśli. Kochanie, nie chciałbym zostać uznany za nielojalnego wobec ciebie i trudno będzie mi przyznać, że nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytania nie zadając innych. Na przykład, jeśli Gemma-Kate chce cię skrzywdzić, to dlaczego kazała mi wsadzić cię do wanny, żeby zbić ci gorączkę?

Jeśli była na to logiczna odpowiedź, to ja jej nie znałam. Ale czy w tym, co robiła Gemma-Kate, musiała być w ogóle logika?

Aż do tej pory nikogo naprawdę się nie bałam. Co z nią zrobić? Zwykłam żartować, że to złe ziółko. Teraz nie ma się z czego śmiać. Spędziłam sporo czasu między psychopatami, seryjnymi mordercami i płatnymi zabójcami, mężczyznami i kobietami, którzy nawet nie drgnęli naciskając spust i nigdy potem o tym nie myśleli.

Ale nigdy nie gościłam kogoś takiego we własnym domu. Gemma-Kate dysponowała całym podstawowym wyposażeniem. I wyglądało na to, że po raz pierwszy w jej życiu (a może nie po raz pierwszy) używała go.

Na kolację miałam kupne kanapki, wiedziałam więc, że nikt przy nich nie majstrował. A podczas sprzątnięcia wyrzuciłam wszystkie przyprawy, wszystko, co było otwarte. Z kanapką połknęłam pigułkę, żeby nie było mi tak bardzo niedobrze. I tak było mi niedobrze, musiałam zażyć więcej tabletek przeciwko nudnościom. Do tego zaczęłam odczuwać skutki wypadku.

Kiedy Carlo zgasił światło, wzięłam Mopsa i miskę z wodą do naszego pokoju i zamknęłam na klucz drzwi do sypialni. Oboje wzięliśmy środek przeciwbólowy, który dostaliśmy w szpitalu. Było jasne, że rano poczujemy się gorzej.

Carlo, tłumiąc chrząknięcie, przetoczył się po swojej stronie łóżka, pocałował mnie we włosy nad uchem i zaczął mi się przyglądać w mroku. Kiedy się odezwał, miałam wrażenie, że jest przeziębiony. Może to było przez obrzmienie nosa.

– Jak tam sprawy, O’Hari?

Pokręciłam głową. Nie chciałam, a raczej nie byłam w stanie opisać, co się dzieje wewnątrz mojej głowy i wokół niej. Wyobraziłam sobie, że moja twarz wygląda równie smutno jak jego. Źle wyglądały skaleczenia i ciemniejące siniaki. Znowu otworzył usta, może chciał powiedzieć coś, co załatwiłoby problem, ulżyło bólowi, ale zamknął je. Nasza miłość nadal była obecna, ale miałam wrażenie, jakbyśmy wpadli do wielkiej lodowatej misy ze ścianami zbyt stromymi i śliskimi, żeby można było z niej wypełznąć, przeleźć przez skraj i pomóc wydostać się temu drugiemu.

Nie powiedziałam mu, że po rozmowie z Sigiem postanowiłam wydać Gemmę-Kate glinom.

Spalam zdrowo po raz pierwszy od wielu nocy. Kiedy rano wstałam, Carlo i Gemma-Kate byli już na chodzie. Szywna i obolała po wczorajszym wypadku, z zeszywniałymi mięśniami, którym też się dostało, chociaż nie zdawałam sobie z tego sprawy, poczłapałam do kuchni, wylałam kawę z dzbanka i sama zrobiłam sobie nową. Stałam przy dzbanku, patrzyłam, czy już dość nakapało i nalałam do kubka. Kubek był ciężki. Śmieszne, na filmach ludzie kręcą się na lopatach śmigłowca i następnego dnia wcale się tak nie czują.

Byłam zbyt oszołomiona, żeby poczuć ironię zawartą w środkach bezpieczeństwa, które stosowałam we własnym domu. Obejrzałam się za siebie i ulżyło mi, kiedy zobaczyłam Carla stojącego przy płocie. Patrzył na góry i rozmyślał o czymś. Od tyłu wyglądał na tak samo wykończonego jak ja. Mops samiczka? Nietrudno sobie przypomnieć, leżała na tylnej werandzie.

Usłyszałam gwałtowne stukanie z mojego gabinetu, zrobiłam kilka kroków w tamtą stronę i zobaczyłam Gemmę-Kate przy komputerze. Melancholia, którą poczułam na myśl, że sprawiłam zawód Marylin, poskromiła chęć wrzaśnięcia na dziewczynę. Było za wcześnie, żeby zadzwonić do Tony'ego Salazara i powiedzieć, że wiozę bratanicę do centrum.

Wzięłam lawendowy ocieplacz, który dała mi Mallory, zawiesiłam go na szyi, wrzuciłam alkaseltzer do kawy i zabrałam ją na werandę razem z książką o toksykologii znalezionej w stosie książek Gemmy-Kate. Trudna lektura, pełna wzorów chemicznych. Myślałam, jak wygląda normalność, myślałam, czy będę mogła ją przywrócić, nie wsadzając dziecka Marylin do więzienia.

Wyszła Gemma-Kate, usiadła na drugim krześle ogrodowym przy stole. Jeśli zauważyła, że mam jej książkę, nie powiedziała tego. Zachowywała się, jakby poprzedniego dnia nie było między nami awantury. Miała ze sobą parę kartek, powiedziała, że wydrukowała je z WebMD.

– Wstukałam wszystkie twoje objawy, o których wiem od Carla – powiedziała z przesadną słodyczą, wymawiając jego imię. – Są bardzo dziwne. Mdłości z wymiotami, rozdrażnienie, bezsenność, paranoja, halucynacje, dziwaczne zachowanie. Masz zatwardzenia?

Zapisałam sobie w głowie, żeby znaleźć dobrego adwokata zajmującego się obroną chorych umysłowo. Może i wydam Gemmę-Kate, ale ze względu na Marylin nie zostawię jej samej.

– Na litość boską – powiedziałam – zostaw mnie w spokoju. Jestem zbyt chora i zmęczona, żeby cię znosić. I boli mnie. Proszę – dodałam, pamiętając, że mamy się z nią obchodzić delikatnie, żeby nas nie zamordowała ani nie podpaliła domu. Carlo odwrócił się od płotu i zobaczył nas, lekko machnął ręką, słrzyżował ramiona i zaczął się nam przyglądać.

– Przepraszam, że sugerowałam ci psychopatię – powiedziała Gemma-Kate, patrzyła teraz na książkę, którą trzymałam na kolanach. – Ciociu Brigid, nie powinnaś się tak na mnie rzucać.

Złościłyśmy się. Mówiliśmy różne rzeczy. Może nawet poważnie. Ale to ty zaczęłaś.

No, była dobra. Położyłam książkę na stole, ty tułem w jej stronę.

– A co na to powiesz? – zapytałam.

Gemma-Kate obróciła książkę tak, że tytuł znalazł się na wprost mnie.

– Wszystkie te dziwactwa, które ostatnio się działy. Byłaś bardzo wystraszona tamtej nocy, kiedy cię znalazłam na podwórku, mamrotałaś „wszędzie ciemno, wszędzie ciemno”, a potem skierowanie do specjalisty od zaburzeń ruchu i nagła wysoka gorączka tamtego wieczora. Nic w tej sprawie nie zrobiłaś. Zaciękało mnie to. Zaczęłam to badać. Ale dopiero wczoraj, kiedy powiedziałaś o celowym zatruciu cię, wszystko zaczęło się układać. Może masz rację.

– Dlaczego wczoraj niczego nie powiedziałaś?

– Teraz, kiedy jesteś spokojna, i tak ledwie raczysz mnie słuchać. Myślisz, że wysłuchałabyś mnie wczoraj, kiedy byłaś wściekła?

– Drażliwość? – napisała to na wierzchniej kartce.

– To wszystko ma podłoże neurologiczne.

– Tak jak to, co stało się w kościele. Może małe porcje odmrażacza?

Czy aresztują Gemmę-Kate z mojego oskarżenia? A jeśli nie, co z nią pocznę? Pamiętałam: wyrzucić ją z domu, pokoik w motelu niedaleko stąd. Wybacz, Marylin, że cię zawiodłam.

...A tymczasem nie ryzykuj. Wyrzuciłam przyprawy. Dzisiaj pozbędę się wszystkiego z szafek i lodówki i napełnię je na nowo.

– A połączenie suplementów diety? Możesz mieć jakieś świrowate objawy od przedawkowania pewnych witamin i czegoś takiego jak melatonina i dziurawiec.

Będę udawać, że wszystko jest w porządku, dopóki nie pozbędę się jej z domu.

– Biorę tylko multiwitaminę.

– To nieprawa, ciociu Brigid. Zajrzałam do twojej apteczki, masz w niej tyle leków na receptę, że mogłabyś z tego żyć. Przy okazji, był telefon z gabinetu twojego lekarza, kiedy cię nie było.

– Neilsen?

– Chyba tak. Jakaś asystentka. Powiedzieli tylko, że twoja krew jest w porządku. Trochę za wysoki poziom cholesterolu.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie jestem zatruciana – wybełkotałam. Wargi mnie bolały.

– Wcale nie. To może być jakaś toksyna z twojego otoczenia. Nawet pleśń. Sporysz wywołuje halucynacje. Twoje narzekania to tylko dziwactwo, a jeśli coś łykasz, to nie wywołuje to natychmiastowych skutków. Ale na wypadek, gdybyś miała rację, sprawdziłam kilka typowych trucizn, które nie zabiłyby cię od razu. Nie strychnina czy cyjanek. Albo porządna dawka chlorku sodu.

Będą mi potrzebne dowody. Nie podrzuca się kogoś ot tak na komisariat. Nie zamkną jej na moje słowo. Mogą ją przesłuchać, a potem będę musiała przywieźć ją z powrotem do domu. Kurczę, skoro myślę, że już teraz jest o coś wkurzona...

– Przy którejś z tych trucizn już bym nie żyła, prawda?

Wyrzucić ją z domu, a potem umówić się z toksykologiem. Jest ktoś taki? Przejrzę żółte strony. Mogłabym pójść do Neilsena, ale jemu też nie ufam. Była jakaś zbieżność między moją chorobą a czasem, w którym zaczęłam pytać o śmierć Joeya. No, ale co wtedy z podejrzeniami wobec Gemmy-Kate?

No, mózgu, współpracuj.

– Zgadza się – powiedziała Gemma-Kate.

Popatrzyłam na nią. Była lekko rozmazana.

– Co?

– Jeśli ktoś cię podtruwa – i nie mamy co do tego pewności – to albo robi to źle, albo nie chce cię zabić. Przynajmniej nie natychmiast.

– Arsenik

Gemma-Kate kiwnęła głową.

– Oczywiście. Arsenik to dobra, powoli działająca trucizna. Czytałam o facecie, który oślepił na jedno oko, zanim odkryli, że żona podaje mu małe dawki arseniku. – Odwróciła ode mnie wzrok w stronę Carla i gór, jakby o mnie zapomniała. Ale znów zwróciła się do mnie. – Pierwsze objawy to gładka skóra i błyszczące oczy, a u ciebie tego nie widać. Nawet gdybyś nie była cała w strupach, cerę masz złą, a oczy przekrwione. Nawet to mi mówi, że sprawa jest organiczna, a nie psychosomatyczna.

– Dziękuję, Cupkate.

Jeśli zauważyła, że z sarkazmem posłużyłam się czułym słówkiem używanym w rodzinie, nie pokazała tego po sobie.

– Ponadto z upływem czasu arsenik daje czarne obramowanie dziąseł. Pokaż zęby.

Uniosłam górną wargę w czymś na kształt szyderczego uśmiechu. Bolesne ukłucie powiedziało mi, że znów zerwałam to miejsce na wardze, w które uderzyła poduszka powietrzna.

– Nie – powiedziała po chwili obserwacji. – Nie sądzę, żeby to był arsenik

Kofeina powoli wzbudzała we mnie czujność. Znowu na nią popatrzyłam.

– Dlaczego tak się mną bawisz? – zapytałam.

– Nie chcę, żebyś umarła – powiedziała, celowo ignorując podtekst moich słów.

Gemma-Kate uśmiechnęła się najładniejszym ze swoich uśmiechów. Znowu mnie uderzyło, że im gorzej się czuję, tym ona jest bardziej uprzejma.

– Dlaczego nie chcesz? – zapytałam.

Patrzyła na mnie bez słowa. Jeśli oczy są oknem duszy, przy sięgłabym, że ona duszy nie ma.

– Dlaczego nie chcesz? – powtórzyłam.

– Naprawdę ży czy sz sobie, żeby m odpowiedziała?

– Jasne, strzelaj – odparłam, zastanawiając się, czy kłamstwo dobrze się jej uda.

Chyba zastanawiała się nad różnymi odpowiedziami, a nieokreślone uczucia przepływały jej po twarzy tak szybko, że mogło mi się to wydawać. Kiedy się odezwała, nie były to bzdury o miłości do cioci Brigid.

– W porządku, mam dwa powody. Pierwszy, że oskarżyłaś mnie o wielokrotne trucicielstwo, w tym jedno, które zakończyło się śmiercią. Wykluczyłaś wszystkie inne możliwości i jeśli się nie oczyścze, spięrzę sobie życie. Masz zamiar mnie wydać, prawda?

Nie odpowiedziałam na jej pytanie.

– Dobry powód. A ten drugi?

– Nawet jak uda ci się skłecić oskarżenie przeciwko mnie, jeśli myślisz, że próbuję cię zabić, to się mnie pozbędziesz. Jestem za młoda, żeby samej się utrzymać i nie spełniam wymogów, żeby czesne płacił za mnie stan. Nie wrócę do Fort Lauderdale. Nienawidzę tamtych stron.

Pomyślałam, że to pierwsza szczerza rozmowa, jaką przeprowadziłam z Gemmą-Kate, odkąd tu przyjechała. I wcale nie taka uprzejma. Ale chociaż słowa były ostre, ich logika wcisnęła mi w

umysł pierwszą maleńką wątpliwość, że mogę się co do niej mylić. Pozostała część mojego umysłu sądziła, że dziewczyna jest naprawdę sprytna i świetnie mnie rozgrywa.

Załóżmy, że ocena jej psychiki została dokonana. Może jest patentowaną wariatką i w ten sposób unikniemy oskarżenia o morderstwo. Zyskiem ubocznym pozbycia się jej będzie uratowanie innych.

Carlo wracał z podwórka na werandę, gdzie siedziałyśmy. Był już tak blisko, że widziałam biały bandaż przyklejony do jego nosa.

– Elias podwozi mnie po samochód z wypożyczalni – powiedział. Nadal mówił przez zablokowany nos.

– Potrzebne to nam?

– To nic takiego, koszty pokrywa ubezpieczenie. Jak się dzisiaj czujesz?

– Jakbym wjechała na kaktus saguaro – powiedziałam. – Boli mnie twarz.

– Mnie też. Dacie sobie same radę? – zapytał, spoglądając na Gemmę-Kate.

– Jasne. Jedź.

Tymczasem Gemma-Kate całkowicie pozbyła się nastoletniej dziarskości, niepotrzebnego przebrania. Nie żegnając się z Carlem, wstała, zabrała książkę o toksykologii i weszła do domu.

Wiedziałam, jakich pytań lepiej nie zadawać na głos:

Co robi Gemma-Kate, żeby nie odesłała jej do domu?

Czy to był wymyślny podstęp, żebym myślała, że jestem bardziej szalona niż naprawdę jestem?

Sztuczka, żeby przekonać mnie o jej niewinności?

Myślała, że przedstawi dowód mojego szaleństwa?

A może Gemma-Kate mnie nie truła?

A skoro nie, co, do diabła, ze mną jest nie tak?

Czy naprawdę pomoże mi to wyjaśnić?

Ale nie mogłam zadać jej tych pytań. Mogłam natomiast zapytać, kiedy poszłam za nią i pokazałam stos książek

– Skąd to wszystko masz?

– Online.

– Jak?

– Skorzystałam z twojej karty kredytowej.

Albo Gemma-Kate była naprawdę zła, albo po raz pierwszy mówiłyśmy, jeśli nie tym samym językiem, to podobnymi dialektami. W każdym razie wykorzystałam to jako wymówkę, żeby odłożyć telefon do Salazara. Już miałam powtórnie przemyśleć pytania, gdy komórka przerwała wirowanie myśli. Pomyślałam, że to wreszcie oddzwania Mallory i wymruczałam:

– Nie ruszaj się stąd. – Wyszedłam do salonu. Wydawało mi się, że telefon leży na dnie torby przy fotelu do czytania, tam gdzie ją zostawiłam. Och, gdzież są te dni, kiedy było się pewnym, który telefon dzwoni. Kiedy zadzwonił powtórnie, spostrzegłam, że to stacjonarny na blacie kuchennym. Mało nie włączyła się poczta głosowa, ale zdążyłam na czas.

To była Mallory.

– Brigid, co ty u diabła ze mną robisz?

Musiałam się oprzeć o blat.

– Mogłabyś powiedzieć to w sposób bardziej wymijający?

- Właśnie dzwoniła Jacquie Neilsen. Ona mi grozi.
- Jak to?
- Powiedziała, że kiedy Joe przyszedł poczytać Owenowi, dałam mu alkohol. Że upiłam Joego tego wieczoru, kiedy umarł, i że dlatego wpadł do basenu.
- A upiłaś go?
- Nie!
- Sama mówiłaś, że powiedziałaś Joemu o sprawach, które należy zaliczyć przed śmiercią. Jesteś pewna, że nie powiedziałaś mu jakiegoś gówna w stylu ciotki Mame: „Słuchaj Joe, możesz się nauczyć, jak przeżyć życie na całego”?
- Chyba jesteś zła.
- Jak cholera. Tracę cierpliwość dla ludzi, którzy nie chcą powiedzieć mi całej prawdy.
- Słuchaj, mówię ci, otworzyłaś tutaj puszkę Pandory. Nie rozumiesz, jaki to absurd? Jacquie mówi, że zrobiłam z Joeya alkoholika.
- Chryste.
- Możesz z nią porozmawiać?
- Czym ci groziła?
- Była jak nienormalna. Chciała oskarżyć mnie o morderstwo, potem chciała mnie pozwać, nie rozumiałam połowy z tego, co mówiła. Potem powiedziała: „Może wyglądam na słabą, ale mogę ci zrobić coś złego”. Brigid, naprawdę się boję. Nikt nigdy mnie nie obwiniał o celowe... celowe...
- Przyczynienie się do przestępczości młodocianych?
- Skrzywdzenie dziecka. Niedobrze mi, jak o tym myślę.
- Nie muszę pytać, czy masz w domu broń palną, prawda?
- Oczywiście, że nie. – Ale była wstrząśnięta samym pytaniem.
- Zawsze mówiłam, że powinnaś mieć. Wczoraj mówiłaś, że boisz się o siebie. Może to było przecucie.
- Przerazasz mnie.
- Musisz się wystarać o broń – powiedziałam. Rozłączyłam się i natychmiast zadzwoniłam do Jacquie. Zamknęłam oczy, żeby wypowiedzieć słowa, które formowały mi się w ustach:
- Mówiłaś Mallory Hollinger, że chcesz, żeby ją aresztowano pod zarzutem morderstwa?
- Cisza. Po chwili odpowiedziała:
- Mówiłaś mi, że Joey miał alkohol we krwi. Joey był u niej tamtego dnia. Mogła mu dać alkohol. To do niej podobne.
- Jacquie, ile razy Joey w ogóle był u Hollingerów?
- Może trzy, cztery razy.
- Tak sztybko nie robi się z kogoś alkoholika.
- Nie mówię, że to zrobiła. Powiedziałam tylko, że zachęcała go do picia.
- Powiedziała też, że jej groziłaś. Co ty na to? Groziłaś jej?
- Zapadło milczenie.
- Nie pamiętam dokładnie, co powiedziałam.
- A coś takiego: „Może wyglądam na słabą, ale mogę ci zrobić coś złego”?
- Wymamrotała, że może coś podobnego powiedziała.
- Posłuchaj mnie – warknęłam. – Wezmę się za ciebie, jeśli będziesz postępowała jak świr. To

się kwalifikuje jako działanie świra. Nie rób tego. Rozumiemy się?

– Tak

– Pozwól, że powtórzę, żeby na pewno do ciebie dotarło. Nikomu nie mów, o czym między sobą rozmawiamy. Nawet Timowi. Do nikogo nie dzwoń.

– Dobrze.

– Jacquie, czy mam się martwić, że zrobisz coś szalonego?

– Nie. – Zabrzmiało to potulnie, tak jak trzeba.

Widziałam ją podczas kłótni i nie ufałam tej potulności, ale powiedziałam:

– To dobrze. Teraz chcę ponownie usłyszeć, że na jakiś czas zachowasz w tajemnicy nasze rozmowy i niczego nie zrobisz na własną rękę.

– Dobrze.

– Co dobrze?

– Do nikogo nie zadzwonię.

Znowu się rozłączyłam, beknęłam i nabrałam głęboko powietrza. Musiałam ostro wziąć się za Mallory i Jacquie widać to rozwiła trochę mgłę otaczającą mój mózg, poczułam, że wreszcie mogę szeroko otworzyć oczy. Doszłam do wniosku, że na jakiś czas opanowałam sytuację, nalałam sobie jeszcze kawy (byłam całkowicie pewna, że Gemmy-Kate nie było obok dzbanka) i wróciłam do jej pokoju, w którym siedziała, zatopiona w lekturze zaburzeń neurologicznych wywołanych lekami. Coś w tej książce wydało mi się znajome i pomyślałam, czy nie natknęłam się na nią w poprzednim życiu.

Usiadłam obok niej i nie myśląc wzięłam ze stosu *Almanach leków*. Pomyślałam o jej pytaniu, co brałam: witaminy, od czasu do czasu tabletki nasenne i specyfikę na uspokojenie. Tylko od czasu do czasu. Nie licząc antydepresantu zapisanego przez Neilsena. Przeszłam do wrtydepresantów. Przy wszystkich były zdjęcia. Śmieszne, jak przy tysiącach różnych pigulek udało im się pokazać je tak, że każda wyglądała inaczej i można było je rozróżnić na fotografiach. Znalazłam tę, którą zaczęłam brać, kiedy zaczęłam śledztwo w sprawie śmierci pasierba Tima Neilsena. Może to była zgaduj zgadula, ale jednak Popchnęłam książkę w stronę Gemmy-Kate.

– Sprawdź, co się dzieje, kiedy się to bierze. Sprawdź, ile normalnie się przepisuje i co się dzieje, kiedy weźmie się za dużo. Sprawdź, jakie są reakcje między tym lekiem a innymi.

Gemma-Kate podniosła wzrok. Zorientowałam się, że przez chwilę myślałam, że Gemma-Kate przy tamtej książce, ale powoli skupiła się na mnie. Nie spodobało się jej to, co zobaczyła.

– Zaczęłaś to brać po badaniu krwi w gabinecie lekarskim, prawda?

– Zgadza się, więc nie mogło...

– Wiem, ale myślę o szpitalu, do którego trafiłaś po wypadku. Czy tam pobierali ci krew?

– Pobierali. Szukali alkoholu.

– Znalezli?

– Nie mówili. Chyba byliśmy tam za krótko, żeby dostać wyniki, a policjant już się nie pojawił, więc chyba nie.

– Nie zaszkodzi poszukać wyników tego badania. Pewnie sprawdzali, czy są różne rodzaje lekarstw. Jedź do szpitala.

Śledziłam rozumowanie Gemmy-Kate aż do chwili, kiedy przypomniałam sobie stare telewizyjne show o chłopcu i jego rodzinie porzuconych na innej planecie. Koleś robot mawiał: „Niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo, Willu Robinsonie”. Usłyszałam w głowie robota kolesia, mawiał: „Frajerka”.

– Nie chodzi o książki.

– No to o co?

– O trucizny. Szukałaś właśnie trucizn na moim komputerze. Zanim zaczęłaś badać mój stan. To jest w historii wyszukiwania.

– Chodziło o psa. Jak myślisz, za co mam dostać tytuł z biologii? Nagle zrobiło się podejrzane, że chcę pracować w laboratorium kryminalistycznym? A co ty sobie myślisz, że chcę zostać gliną?

– Strasznie mocne to nagle zainteresowanie truciznami. A potem ludzie są truci. Gemmo-Kate, nie rób ze mnie wariatki.

– To ty ze mnie nie rób wariatki. Gdybym szukała sposobów, żeby cię otruć, to myślisz, że zostawiłabym historię wyszukiwania, żebyś ją sobie przejrzała? – powiedziała. Patrzyła na mnie, jakby wyrosła mi druga głowa i ta głowa wygadywała bzdury.

– Zostawiłabyś, gdybyś myślała, że jestem za głupia, żeby ją przejrzeć. Nie mogę uwierzyć, że mało brakowało, a pozwoliłabym ci znowu sobą manipulować – powiedziałam wstając z łóżka. Rzuciłam w nią książkę. Uchyliła się. Książka uderzyła w okno za nią. Mocna szyba. Popatrzyła nad moim ramieniem.

– Co tu, do diabła, się dzieje?

Odwróciłam się i zobaczyłam Carla. Jeszcze nie wyszedł. Nie wiedziałam, czy widział, jak rzucam książkę.

Chyba widział.

– To teraz tak rozwiązujemy problemy? – zapytał. – Niech pomogę. – Chwytał książki ze stosu na łóżku i jedną po drugiej ciskał nimi w ścianę. Któraś uderzyła w lampę. Lampa spadła i rozbiła się o podłogę. Podniósł książkę, którą czytała Gemma-Kate.

– Może to też pomoże – wyrwał połowę kartek i rzucił je do góry. Powoli opadły na ziemię. – Proszę bardzo, już doszedł do jakichś wniosków?

Przestał, żeby złapać oddech i chyba żeby wziąć się w garść. Gemma-Kate nerwowo zachichotała. Poczuliśmy się podobnie jak ona. Obie widziałyśmy już takie reakcje. Ale Carlo i tak nie dorównałby Quinnowi, jeśli chodzi o pokazywanie nerwów.

– Wy dwie. Natychmiast siadać – powiedział.

Posłuchałyśmy. Usiadłyśmy na łóżku obok siebie. Tak było chyba najlepiej. Muszę też kolejny raz to powtórzyć, w obronie Carla. On nie wiedział, nie mógł wiedzieć, że wszystko, co się ze mną działo, wszystkie moje reakcje były skutkiem specyfików oddziałujących na moją neurochemię. Nawet ja tego nie wiedziałam.

– Dobrze, zacznijmy, skoro mnie słuchacie. Ty – powiedział, wskazując na Gemmę-Kate. – Może jesteś, a może nie jesteś zabójczą maniaczką. Może otrulaś, a może nie otrulaś człowieka albo ludzi. Wiemy tylko tyle, że zanim przybyłaś do tego domu, było to bardzo spokojne miejsce, a teraz moja żona ciska różnymi rzeczami. Ja sam ciskam rzeczami. Wprowadziłaś chaos.

– A ty – powiedział, dźgając palcem w moją stronę – co ty do diabła robisz z tymi książkami?

Wyjaśniłam najbardziej rzeczowym tonem, na jaki było mnie stać, że Gemma-Kate stara się pozbyć mnie z domu, a ja nie wiem dlaczego. Gemma-Kate skontrowała. Ona tylko chciała, żebym sprawdziła wyniki badania w szpitalu po pobraniu krwi i dowiedziała się, czy nie mam czegoś podejrzanego w organizmie.

Carlo znów spojrzał na mnie.

– No to jedź do szpitala – powiedział. – Może znajdziesz coś, co obciąży to dziecko i będziemy mogli się go pozbyć. Chcesz, żebym tam cię zawiózł? Proszę bardzo.

– Nie chcę jej zostawiać tutaj samej – powiedziałam. Zaczynałam czuć, że wszystko, co mówię, jest cokolwiek pokręcone.

– Świetnie – powiedział Carlo. – Powiem Eliasowi, żeby się wstrzymał, póki po niego nie zadzwonię. Będę ją obserwował jak jastrząb, żeby mnie nie zabiła, kiedy cię nie będzie.

Poszłam do kuchni, podniosłam słuchawkę telefonu stacjonarnego i poprosiłam w biurze numerów, żeby połączyli mnie z Oro Valley Hospital, do którego zabrano nas z Carlem po wypadku. Połowę poranka zajęło mi znalezienie właściwej osoby z laboratorium, a jeszcze więcej umówienie się na wizytę. Tymczasem Gemma-Kate pozbierała rozrzucone książki, wepchnęła wydarte kartki we właściwe miejsca i zaniósła wszystko na stół w jadalnym, żeby dalej je studiować, bo tam Carlo mógł mieć na nią oko.

Nadal nie wierzyłam, że Gemma-Kate nie ma zamiaru urządzić jakiejś draki, ale przynajmniej wiedziałam, że dom jest bezpieczny. Pojechałam do szpitala, znalazłam laboratorium i przedstawiłam dowód tożsamości.

Facet koloru mleka – zawsze rozpozna się rodowitego mieszkańca Arizony, jak wampiry unikają słońca – wszedł do poczekalni i wręczył mi wyniki, kolumnę nazw i liczb, oczywiście dla mnie niezrozumiałych. Poznałam po jego uprzejmym uśmiechu, że wie o mojej bezradności i czuje się dzięki temu lepszy.

– Proszę mi z tym pomóc – poprosiłam, bo nie miałam czasu, żeby wziąć udział w jego zabawie. – Czy na tej liście jest coś, co dla pana wygląda nienaturalnie?

– O tak, mamy tu naprawdę wysoki poziom MAOI – powiedział technik laboratoryjny, rozgrzewając się do tematu, który musiał znać i lubić. – To ta liczba, o tutaj – dodał wskazując miejsce na kartce z wynikami.

– Co to jest MAOI?

– Rodzaj antydepresantu.

– Naprawdę wysoki. Czy to współgra z dwudziestoma miligramami raz na dzień?

– Nie, to ponad cztery razy tyle.

– Nie sądzi pan, że byłoby właściwe, gdybyście mnie o tym poinformowali?

Oburzyli się trochę na mój sarkazm, przestał okazywać wielkoduszność.

– Raczej nie sądzę. Zapewne uznali, że ma pani na tyle rozsądku, żeby wiedzieć, co brała. Tu jest napisane, że wysłali wyniki badań do gabinetu pani lekarza. Czy to Timothy Neilsen?

Zadzwoniłam do domu. Odebrała Gemma-Kate.

– Daj Carla – powiedziałam.

– Znalazłaś coś? – zapytał.

– Może. Słuchaj, jestem sobą, jeszcze nie zwariowałam. Zechciałbyś pójść do mojej łazienki i zerknąć na butelkę z tabletkami z napisem rexetal na etykiecie?

Poszedł, zabrał ze sobą telefon.

– Mam.

– Ile miligramów zalecają?

– Dwadzieścia miligramów raz dziennie.

– To zabrni po wariacku, ale przysięgam, że mam dobry powód. Policz proszę, ile jest tabletek

Policzył i powiedział mi.

Zastanowiłam się, od jak dawna je zażywam. Policzyłam. Gemma-Kate nie podawała mi

dodatkowych dawek, chyba że zamówiła je w jakiejś zagranicznej aptece. Poprosiłam, żeby znowu dał ją do telefonu.

– Sprawdź proszę, jak jest z przedawkowaniem antydepresantów i powiedz, jakie są objawy. Czekam.

Nie trwało to długo.

– Nudności, rozwolnienie, palpacje, niepokój, skurcze, nerwowość, halucynacje. Zespół serotoninowy.

– Co to takiego?

– Tu piszą, że zdarza się, kiedy jest za duża stymulacja biochemiczna, przy której dobrze się czujemy.

– Co się dzieje potem?

– Zaczyna się od uczucia euforii, która gwałtownie przechodzi w skurcze, nudności, biegunkę, niepokój. Przyspieszony puls.

– Paranoja i halucynacje?

– Tak, w skrajnych przypadkach. A pod koniec, kiedy zaczynają zawodzić mechanizmy kontrolne ciała, gorączka.

Gorączka. Do końca.

– Jak można sprawdzić, czy ma się te objawy?

– Nie jestem lekarzem, ale myślę, że to twój przypadek.

Lekarz

– Powiedz Carlowi, że niedługo będę w domu.

Była sobota. Nie obchodziło mnie, czy byli w domu. Nie obchodziło mnie, które z nich co wie, bo byłam naprawdę wkurzona i chciałam odpowiedzi.

Nikt nie odpowiadał na dzwonek do drzwi od frontu, obeszłam więc dom z boku, od strony z basenem i trzasnęłam dłonią w wielką szybę. Zaraz potem Timothy gwałtownie otworzył okno.

– Nie wolno ci się dobijać do cudzego domu. Wynoś się z mojej posiadłości, zanim wezwę policję.

– Wiesz, jaka jest ta policja. Podejrzliwy ludek. Chcesz wiedzieć, zanim ich wezwiesz, dlaczego tu jestem?

Poblądł. To był strzał w ciemno, ale widać było, że czuje się winny.

– Gdzie jest Jacquie?

– Nie wiem. Albo rozmawia z księdzem, albo jest u swojej wróżki.

– Więc jednak wychodzi z domu? Mówiłeś mi, że tego nie robi.

Wyglądał naprawdę na zasmuconego.

– Już mi nie mówi. Tylko w te dwa miejsca chodzi. Kazała dostarczać artykuły spożywcze do domu.

– To mi jest na rękę, że wyszła. Podejrzewam, że nie wie, co mógłbyś mi powiedzieć i chyba tak będzie lepiej.

Timothy roześmiał się, chociaż nie było w tym nic śmiesznego.

– Już ci mówiłem. Najlepiej dla niej będzie, jak zostawisz nas oboje w spokoju.

– Jak do tego doszedłeś?

– Nie powinna ci pozwolić zbierać informacji. Gdyby tylko mogła zostać sama...

– Wiesz, co się stało. I próbowałeś powstrzymać mnie, żebym się nie dowiedziała.

– Ależ nie. To, że nie każę policji cię zabrać, nie znaczy, że mam ci do powiedzenia coś innego.

– Jacquie nic nie wie, prawda? Wiesz coś o tym wieczorze, kiedy zginął jej syn, ale jej nie powiedziałaś. To naprawdę odrażające. – Spojrzałam za niego, na kominek i zobaczyłam ołtarzyk poświęcony Joemu. Podeszłam do półki nad kominkiem i palcem wskazującym przesunęłam na skraj, a potem trochę dalej, ceramiczną miseczkę na owoce.

– Mów – powiedziałam.

– Nie zrobisz tego – mruknął Timothy.

Przesunęłam palec o milimetr i miseczka na owoce roztrzaskała się o kamienną podłogę. Odłamków było tyle, że nie dadzą się już skleić. Timothy zerwał się z kanapy i ruszył na mnie, ale nie miał pojęcia, czym się to może skończyć. Podcięłam mu nogę i upadł na tyłek.

To go trochę przyhamowało.

– Nie popełniłem niczego zabronionego. – Nawet nie wstał z podłogi, mówił z miejsca, na którym siedział. Zakrył twarz rękami, potarł ją mocno i dopiero wtedy na mnie spojrział.

– Nie ma nic więcej. Czego jeszcze ode mnie chcesz? Nie mam niczego, co mógłbym ci dać.

Podeszłam do gekona z muszli, kiedy dźwigał się z podłogi. Wyglądał zadziornie, ale bał się znowu do mnie podejść.

– Gdzie Joe zbierał te muszle? – zapytałam. – W okolicy ich chyba nie ma.

– Wakacje na Bali – powiedział Timothy z drżeniem w głosie, bo zobaczył, że jego zadziorność nie robi na mnie wrażenia. Zaczął wstawać z nadzieją, że jakoś mnie powstrzyma.

Pogłaskałam gekona z muszli.

– Jak jedna taka rzecz się zbije, to będzie wyglądać na wypadek przy odkurzaniu. Dwie i fatalnie na tym wychodzisz.

Timothy zaczął płakać i znów opadł na podłogę. Klęknął u moich stóp.

– Przestań, proszę – zajęczał. – Może jakoś się opanujemy i porozmawiamy jak cywilizowani ludzie?

– W porządku, porozmawiajmy. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że szpital dał ci moje wyniki badania krwi?

– Co to ma wspólnego ze śmiercią Joego?

– Właśnie dlatego tutaj jestem, żeby się dowiedzieć. Zaczynam węszyć, ty przepisujesz mi antydepresanty. Tajemniczo je przedawkowuję. Robię badania, a szpital przesyła ci wyniki. Dlaczego nie powiedziałeś mi o przedawkowaniu antydepresantów?

– Jakim przedawkowaniem? Nie wiem, o co chodzi – powiedział.

– Bzdura. Z twojego własnego laboratorium do mnie dzwonili. Powiedzieli mi tylko, że mam podwyższony cholesterol. – Znowu zaczęłam trącać palcem gekona z muszli.

– Nie przeprowadzaliśmy badań na lekarstwa. To inne laboratorium! – Timothy rzucił się na kanapę i znowu zakrył twarz rękami. Wyglądało to na przygnębienie, ale on w tej chwili myślał. – Poza tym pobraliśmy od ciebie krew, zanim w ogóle przepisałem ci antydepresanty – powiedział. – Nikomu nie zaszkodziłem. Nie zrobiłem nic złego.

Rozważałam możliwość oskarżenia go o spisek, żebym nie znalazła powiązania między mną a Joem i żebym nie dowiedziała się, dlaczego to ja przeżyłam. Rozpaczliwie chciałam się tego dowiedzieć.

– No, dalej – powiedziałam.

Tim nabrał głębooko powietrza. Potrzebował tego.

– Ucieszyłem się, że już nie mąci mi w życiu. Nienawidziłem tego małego krętacza.

– Jak do tej pory nie jesteś jedyny. Miałeś problem z zaakceptowaniem jego orientacji seksualnej?

– Ależ bzdura. Nie zawsze tak było. Na początku kochałem to dziecko. Myślałem, że zostaniemy rodziną i on będzie synem, którego nie miałem, bo tak bardzo kochałem Jacquie. Nadal ją kocham. Ale z upływem lat Jacquie zrobiła się zazdrosna, że on może bardziej polubić mnie niż ją. Potem zrobiło się dziwnie, jakby był tylko on i Jacquie, a dla mnie zabrakło miejsca. Wszędzie ich zabierałem, starałem się być dobrym ojcem. Ale domyślałem się, że on wie, jak sprawy się mają i był górą. Było coraz gorzej. Zdążyłaś się dowiedzieć, że farbował sobie włosy, żeby były takie jak włosy matki, bo nie chciał, żeby ludzie omyłkowo brali go za mojego syna? Czy anatomopatolog powiedział ci to?

Pokręciłam głową, że nie.

– Jacquie mi powiedziała.

– Według niej to było takie słodkie. Och, on doskonale wiedział, jak manipulować Jacquie. Przejrzałem go, ale gdybym mu się przeciwstawił, on by się zemścił. Razem oglądali *CSI*, siedzieli na naszym łóżku, a mnie kazali wychodzić, bo film mi się nie spodoba. Pewnego wieczoru powiedziałem, żeby oglądali to w bawialni, bo chcę iść do łóżka. Następnego dnia rano poszedłem do garażu i zobaczyłem, że cały bok mojego lexusa, od strony kierowcy, jest porysowany. Wróciłem do domu i oskarżyłem Joego. Jacquie wzięła jego stronę. Joe grał mi na nerwach, więc popchnąłem go na ścianę. Nie zrobiłem mu nic złego, tylko go pchnąłem. Ale on wezwał gliniarzy. Zatrzymali mnie, powiedzieli, że muszą to zrobić za znęcanie się nad dzieckiem i spędziłem noc w areszcie, zanim mnie wypuścili. Trzeba było to widzieć. Miałem cały zestaw. Odciski palców, zdjęcie, pomarańczowy kombinezon, kanapka z kiełbasą i prycza w celi z trzydziestoma ludźmi, który krzyczeli na siebie przez całą noc. W Tucson pieniądze mogą wiele, ale nic nie dadzą w sprawie przemocy wobec dziecka. Jacquie nie kiwnęła palcem. Nawet nie przyjechała po mnie. Do domu wróciłem taksówką. Ale musisz zrozumieć, ja jednak nie zrobiłem Joemu nic złego. Tamtego wieczoru wyszedłem ze współnikiem. To on mnie podwiózł.

– Lari Paunchese?

– Tak, on. Znalazłem ciało Joego w basenie. Wyciągnąłem go i próbowałem reanimować, ale on już od jakiegoś czasu nie żył. Przeszukałem cały dom, czy jest list samobójczy, ale nic nie znalazłem. Bałem się, że Jacquie zwali na mnie winę za tę śmierć i miałem rację, prawda? Ona ci opowiada, że Joe popełnił samobójstwo przeze mnie. Albo i gorzej. To czy tamto?

– A ty zadzwoniłeś po Paunchese'a, żeby przyjechał do domu. Chętnie ci pomógł.

– Powiedziałem, że nie chcę sekcji zwłok, że nie potrzeba, bo to oczywisty wypadek, a ja nie chcę narażać Jacquie na większe cierpienie. Naprawdę o to mi chodziło. O Boże, jesteśmy znaczącymi członkami tej społeczności. Myślałem, że w ten sposób nie będzie szumu. A potem, pewnie dlatego, że zatrzymano mnie za znęcanie się nad nim, zaczęli mnie podejrzewać, że go utopiłem. O Boże, ależ tu komplikacji, kłopotów. O Boże!

– To nie komplikacje, Timothy. To śmierć. Nie ma nic prostszego niż śmierć. Prawdziwy problem, to czy miałeś odwagę, czy co tam jest potrzebne, żeby zabić pasierba i próbować zabić mnie, żebyś niczego nie odkryła.

Zaczął płakać, zaprzeczył, że cokolwiek wie.

– Timothy, popatrz na mnie.

Popatrzył.

– Wiem, że dostałeś wyniki badań. Dostałeś wyniki badań od anatomopatologa i nie pofatygowaleś się, żeby powiedzieć o tym Jacquie. Muszę zapytać, dlaczego. Dlaczego nie powiedziałeś Jacquie, że dostałeś wyniki i że Joe miał w organizmie alkohol? Dlaczego nie chciałeś, żebyś się o tym dowiedziała? Bo ty mu go podałeś?

Głęboko odetchnął, odwrócił wzrok, a kiedy znów na mnie spojrzął, w jego oczach nie było nadziei.

– Powiem ci dlaczego. Bo ona już o tym wiedziała. To Jacquie nauczyła go pić. Parę piw, kiedy ukończył trzynaście lat, a potem za każdym razem, kiedy oglądali filmy. Uważała, że jest taki słodki, kiedy jest trochę podпиты. Dziecko nie żyje.

– Muszę ci powiedzieć, że już jej o tym mówiłam.

– O wynikach z toksykologii? Cholera, co powiedziała?

– Nie wie, że dostała wyniki, ale zadzwoniła do Mallory i oskarżyła ją, że upijała Joego, kiedy tam był, żeby poczytać Owenowi.

Timothy z niedowierzaniem pokręcił głową, chociaż musiał wiedzieć, że to prawda i nie można tego cofnąć.

– Wyparcie, zgadza się? Robiła z syna alkoholika, a ja nie mogłem nic zrobić, żeby to powstrzymać. Używała alkoholu, żeby go do siebie przywiązać. Kiedy zabierałem głos, jeszcze bardziej się jednoczyli, a ja byłem jeszcze dalej od nich. Ale nawet wtedy kochałem bardzo Jacquie i ukrywałem przed nią, że chociaż częściowo jest odpowiedzialna za śmierć Joego. Dziecko już nie żyło i nic nie mogło go zwrócić. Chciałem ją chronić, żeby się nie obwinięła. Nawet nie pomyślałem, że na mnie zrzuci odpowiedzialność za tę śmierć. Masz rację, to naprawdę jest proste. – Podniósł kciuk – Zrozum, ja kochałem Jacquie. – Wystawił palec wskazujący tak, że wyglądał jak pistolet. – Ona kochała Joego. – Przystawił palec do głowy w klasycznej pantomimie strzału w skroń. – Nawet martwy, ten mały sukсын wygrywa.

Dlaczego ją kochał? Może lepszym pytaniem byłoby, kogo kochał? Zanim umarł Joe? Zanim pierwszy mąż ją opuścił? Może wcześniej Tim widział inną kobietę, energiczną, pełną życia. Kogoś, kto poszedłby na party przebrany za Harpo Marksa. Kogoś, kto był dobrą matką... aż został tylko matką, a kiedy odebrano matkowanie, nie miał już celu w życiu.

– Nie chciałeś, żeby się właśnie tego dowiedziała – powiedziała.

– Zgadza się. Ale nie zrobiłbym ci niczego złego. Nikomu bym nie zrobił.

Pomyślałam o mojej wizycie u niego, o łatwości, z jaką rzucił się na ewentualność depresji, a potem na parkinsona. Lekarze zawsze zakładają depresję, szczególnie u kobiet.

– Dlaczego myślałeś, że to parkinson? – zapytałam.

– To Mallory. Kiedy zadzwoniła, żeby umówić wizytę i zapytali ją, o co chodzi, powiedziała, że nie wie, co jest nie tak, ale że jakoś dziwnie chodzisz, że miałaś problem z podpisaniem rachunku w restauracji. Nie wiedziała, co to jest, ale obie te rzeczy to objawy. Potem zobaczyłem, jak ręka ci podskoczyła i złożyłem to do kupy.

Musiałam coś jeszcze sprawdzić. Poszłam do kuchni i otworzyłam lodówkę. Trzy butelki jasnego piwa Sam Adams chłodziły się na półce w drzwiach. Pamiętam, jak odwiedziłam Jacquie przed południem i poczułam od niej piwo. Szybko przejrzałam szafki i w jednej znalazłam butelki Tanqueray, Johnny Walkera z czerwoną kartką, Jose Cuervo, Grey Goose. Były co najmniej do trzech czwartych opróżnione. Wtedy uwierzyłam Timowi. We wszystkim, co mówił tym razem, brzmiała prawda.

Kiedy wróciłam do kanapy, na której siedział, głowę miał podpartą na złączonych dłoniach i mówił bardziej do siebie niż do mnie:

– Była zawsze taka zabawna, tyle było śmiechu. Chciała, żebym też był taki, ale nie potrafiłem. Więc urabiała Joego, żeby taki był.

Popatrzyłam na ceramiczny owoc rozbity o kafelki przed kominkiem. Tim na początku kłamał, nie był wobec mnie w porządku i nie było mi żal, że to zrobiłam, ale mimo wszystko pokazałam palcem na ten bałagan.

– Pomóc ci posprzątać?

– Nie – odparł.

– Co powiesz Jacquie o rozbitej ceramice?

Parsknął ponuro.

– Coś zmyślę. Oboje wiemy, że jestem w tym dobry, prawda?

Popatrzyłam na niego. Krzyknął na mnie:

– No, wynoś się stąd! I już nie wracaj. Zostaw nas w spokoju!

– Macie w domu broń? – zapytałam.

– Nie.

– Dobrze.

Usiadłam przy stole, gdzie rozstałam się z Gemmą-Kate. Nadal czytała *Toksykologię sądową. Neurologia odręcznego pisania* rozłożona była na innym krześle, a *Patologia przedawkowania leków* służyła jako przycisk na kartkach papieru do drukarki. Nie podniosła wzroku, kiedy powiedziałam:

– Carlo pojechał z Eliaszem po samochód. Obiecałam, że nie zrobię nic złego, dopóki nie wróci do domu. Nadal nie wiem, czy Timothy Neilesem mówi całą prawdę. Próbuje chronić siebie i swoje małżeństwo.

– Poczytałam więcej o przedawkowaniu antydepresantów.

– Ciekawe, co by powiedział Sam Humphries, gdybym zapytała go o zatrzymanie Neilsena za pobicie dziecka – dodałam. – Do tej pory nikt o tym nie napomknął, nawet Jacquie. Może miała nadzieję, że sama to odkryję.

– To bardzo interesująca rzecz. Czytałam o Caravaggio, słyszałaś o takim?

Postanowiłam, że będę na nią zwracać uwagę, bo ona na mnie nie zwracała.

– Nie.

– Renesans. Mistrz chiaroscuro, ale chyba też kutas. Tu napisali, że ktoś próbował otruć go rtęcią, ale zastosował niewłaściwą dawkę i tylko wyleczył go z syfilisu. Dobra ilustracja powiedzenia, że wszystko jest trucizną, decyduje tylko dawka.

– Moglibyśmy na chwilę wrócić do moich spraw? Nie znalazłaś antidotów?

– Próbowałam i nic. To musi samo przejść. Bardzo źle się czujesz?

Chwilę zajęła mi ocena własnego stanu. Wydawało mi się, że słyszę Mopsa, jak puszcza bańki nosem przy lodówce, ale to było niemożliwe, nadal był u weterynarza, a suczka spała na moich kolanach w jadalnym. Nie powiedziałam, że usłyszałam coś.

– Przychodzi i odchodzi. Nie mam ochoty w tej chwili cię zabić.

Gemma-Kate mówiła dalej:

– Tu napisali, że jeśli zażyjesz roztwór aktywnego węgla drzewnego, to organizm nie przyjmie trucizm. Czytałam jeszcze inną rzecz, o profesorze, który na oczach klasy wypił aktywny węgiel drzewny, a potem zażył strychninę, żeby pokazać, jak to działa. To pomaga tylko wtedy, kiedy wypije się roztwór natychmiast przed albo natychmiast po połknięciu trucizny. Ale zapomnij o tym na chwilę. Tu jest coś, co może się przydać, jeśli się z tym zapoznasz.

Wyciągnęła spod książki papiery i pokazała coś jakby schemat blokowy, ręcznie narysowany i oznaczony literami. Miała niezwykle eleganckie pismo. Chwilę jej zajęło, zanim zebrała myśli i słowa, potem zrobiła mi wykład, jakbym była pierwszorocznikiem.

– Pamiętam, jak tato uczył się, żeby zostać detektywem i mówił mi, czego się uczy. Nie

zapomniałam trzech słów: motywy, możliwości, środki. Pomyślałam sobie: a co, jeśli masz rację, że ktoś chce ci zrobić coś złego, a przynajmniej spowolnić cię i w tym celu korzysta z lekarstw? Na tym etapie nie stwierdzi się, jaki jest motyw, pomyślałam więc, że kolejną rzeczą, na której się skupię, są możliwości. Spróbowałam odtworzyć twoje działania, odkąd zaczęłaś się źle czuć. Śmieszne, ale nie mogłam znaleźć nikogo innego, kto mógłby dać ci dużą dawkę lekarstw niż ja i wujek Carlo. Oto, co mi wyszło. – Podniosła kartkę, żebym mogła zobaczyć. Linie i słowa pływały i skakały na papierze, ale mogłam całkiem niezłe prześledzić za nią ostatnie wydarzenia z mojego życia. Były i luki, przygotowała długopis, żeby je wypełnić.

– Widzisz, dzień, kiedy przyjechałam. Wtedy świetnie się czułaś, jadłyśmy kolację z Carlem i Mallory. Tak samo kilka dni później. Poszłaś na tę kwestę...

– Tamtego dnia otrulaś mojego psa – dodałam. Chciałam zobaczyć, dokąd zmierza, ale zachowałam czujność.

– ...Poprosiłam wujka Carla i na kwestę poszłaś z księdzem z twojego kościoła i jego żoną, z lekarzem i z jego żoną.

– Zgadza się, Manwaringowie i Neilsenowie.

– Chyba powinnyśmy oddzielnie potraktować mężów i żony, jeśli widziałaś ich z osobna.

– Elias i Lulu Manwaringowie. Timothy i Jacquie Neilsenowie.

Gemma-Kate zapisała nazwiska.

– Tam jadłaś i piłaś.

– Może kawalek albo dwa kawałki ciasta. I wino.

– Źle się poczułaś?

– Nie, było w porządku. Pies zachorował.

– Dzień drugi.

– Wtedy wpadłam do Neilsenów.

– Nie.

– Nie?

– Najpierw piłaś kawę. Rano zaparzyłaś kawę. Ciociu Brigid, musisz sobie wszystko przypomnieć. Nawet jeśli to wskazuje na mnie.

– Ale Carlo też pił kawę.

– Chodzi o to, że chyba nie mówimy o czymś, co skutkuje po jednej dawce. Antydepresanty mają efekt skumulowany i wuj Carlo mógł trochę zażyć bez konsekwencji. A zatem, odwiedzasz Neilsenów i zgadzasz się prowadzić śledztwo w sprawie śmierci ich syna Joego. Dali ci tam coś do jedzenia albo do picia?

Byłam zafascynowana, widząc pracę jej umysłu, i współpracowałam.

– Tak, wypilaś filiżankę kawy, taką z ekspresu na jedną porcję.

– Kto ją parzył?

– Chyba Tim Neilsen. Tak, Tim Neilsen. Czełaj, pierwszą przygotowała mi Jacquie, potem Tim Neilsen podał mi drugą. – Zamknęłam oczy, wyobrażając sobie tamtą scenę. – W pewnej chwili odwróciłam się i zobaczyłam, że otwiera pojemnik z proszkami stojący na blacie. Myślałam, że chce sprawdzić, czy Jacquie wzięła lekarstwo. Znowu się odwróciłam, nie chciałam wyjść na wścibską.

Zapisała to.

– Mogli coś dodać do kawy albo kiedy już wyszła z ekspresu, albo wcześniej mogli to

wstrzyknąć strzykawką do plastikowego pojemniczka. Co robiłaś po Neilsenach?

– Zadzwoiłam... zadzwoniłam do Mallory i zatrzymałam się pod jej domem. Narzekałam na ciebie.

– Jadłaś tam coś?

– Gemmo-Kate, to absurd.

– Oświeć mnie.

– Jadłam. Pielęgniarka przyniosła nam obu zupę.

– Jak się nazywa ta pielęgniarka?

– Annette.

Zapisała.

– Jaka to była zupa?

– Coś jakby rosół na wołowinie z kapustą włoską, fasolą i tartym serem na wierzchu. Obie to jadłyśmy na tacach ze składanymi nożkami w pokoju Owena. I kawa.

– Zrobiło ci się wtedy gorzej?

– Nie. Dopiero w środku nocy zaczęłam mieć mdłości. Omal nie zwymiotowałam. To było po twoich klopsach z kiszoną kapustą i szwajcarskim serem.

– Tutaj straciłam trop. Następnego dnia?

– Wtedy spotkałam się z mnóstwem ludzi. Odwiedziłam detektywa, który prowadził śledztwo w sprawie śmierci Joego Neilsena, byłam odwiedzić Mopsa, chyba poszłam do klubu fitness wypocić się i rozmawiałam z moim trenerem... chyba nie. – Próbowałam sobie przypomnieć, wczuwając się w rolę wszystkich tych ludzi, których w ten sam sposób przesłuchiwałam.

– Co jadłaś i piłaś tamtego dnia?

– Kawę w Starbucks i bajgla bez dodatków. Mniej więcej tyle. Brzuch mnie bolał, nie zjadłam więc dużo, tylko parę krakersów tutaj.

– W porządku, następnego dnia.

– Zmusiłam się, żeby pójść na spacer. Myślałam, że świeże powietrze i ruch jakoś mi pomogą. Wtedy znalazłam ropuchę, której użyłaś, żeby otruć mojego psa.

– Ale tamtego dnia rano z nikim nie byłaś.

– Próbowałam porozmawiać o tobie z Carlem, ale nie słuchał. Mężczyźni są fajni, ale nie zawsze widzą sprawy tak jak my. Więc na lunchu spotkałam się z Mallory. – Powiedziałam, zanim Gemma-Kate zdążyła zapytać: – Jadłam sałatkę, piłam trochę wina. – Przerwałam. – I trochę sera pleśniowego z czosnkiem. Byłam wtedy bardzo zdenerwowana, zaproponowała mi valium, ale odmówiłam. Potem pojechaliśmy do niej, do domu. Dali mi lawendowy ocieplacz.

– Chodzi ci o tę lawendową narzutkę?

– Właśnie.

– Dali. Kto to są ci oni?

– Annette. Annette przyniosła ją dla mnie i ogrzała w mikrofali.

Gemma-Kate starannie zapisała imię Annette na wykresie czasu pod tą datą, a obok imienia wpisała numer dwa.

– Gdzie to teraz jest?

– Co?

– Ta narzutka?

– Zostawiłam ją na krześle w sypialni.

Gemma-Kate zniknęła na chwilę i wróciła z miękkim okryciem. Podejrzliwie je powąchała, pokręciła głową i zawiesiła na skraju stołu jako dowód A.

Zadygotałam na ten widok

– Jechałam wtedy samochodem i miałam pierwszą halucynację. Ale nie pamiętam, kiedy to było.

– Co się stało, kiedy jechałaś?

– Carlo zamienił się w szkielet – wyszeptalam. Cholera, to było rzeczywiście, rzeczywiście.

– Carlo – powtórzyła Gemma-Kate.

– Szedł przed samochodem. Potem ciało z niego opadło. Wdepnęłam hamulec i patrzyłam, jak rozplywa się na chodniku. Pojechałam dalej, do Mallory, wtedy wzięłam narzutkę.

– Coś tam jadłaś?

– Nie. Owen przechodził kryzys, ustabilizowały go, dały mi narzutkę. Potem przyjechałam do domu. Ty znowu zrobiłaś kolację. Gotowałaś co wieczór, nie licząc ostatniego.

– Błąd. Pewnego wieczoru przyniosłaś chińskie danie na wynos... – Przejrzała wykres, zamysliła się.

– Widzisz, to nie takie proste.

– I nadal źle się czułaś?

– Nie pamiętam. Chyba tak. Wszystko się zbiegło, a mózg nie chce mi pomóc. Na tyle źle się czułam, że następnego dnia poszłam na konsultację do Timothy'ego Neilsena. Dał mi receptę na antydepresant.

Gemma-Kate zapisała tę informację.

– Ile?

– Dwadzieścia miligramów rexetalu. Wcześniej były dwa miligramy lekarstw na nerwy, do dwóch razy dziennie i dziesięć miligramów pigułek na sen, gdybym miała problemy z zaśnięciem. Lekarz powiedział, żebym tamtych już nie brała.

Gemma-Kate pokiwała głową.

– To się nazywa polipragmazja. Połączenie lekarstw, z których każde samo dobrze działa, ale brane razem mogą zaszkodzić. – Kartkowała książkę leżącą na stole. Tymczasem wstałam i dolałam sobie kawy. Ostrożnie przeniosłam Mopsa, żeby go nie niepokoić. Kawa była zimna, ale przy najmniej zaczęłam sądzić, że Gemma-Kate chyba niczego do niej nie dodała.

Wróciłam.

– Zapomniałam powiedzieć, że poszłam na komisariat, żeby porozmawiać ze śledczym prowadzącym sprawę śmierci Neilsena. Poczęstował mnie kawą. – Gemma-Kate zapisała to i przykleiła do jednej z książek otwartych na stole.

– Brałaś lekarstwa w naprawdę małych dawkach. Ale nie wiem, co się działo, kiedy połączyło się wszystkie trzy, może twój lekarz ma rację.

– Nie brałam ich razem – zapewniłam.

Zapisała to.

– Pamiętasz, jak się czułaś na policji?

Pamiętałam krew na teczce, bo byłam tak zdenerwowana, że bezwiednie obgryzałam skórki na paznokciach.

– Byłam zaniepokojona. Naprawdę zaniepokojona. Przełyk miałam jak z drewna i serce mało mi nie wyskoczyło. I miałam tę mózgową sraczkę, aż mnie zamurowywało.

Gemma-Kate napisała to.

– Co potem?

– Nie pamiętam. Czekaj. Wizyta u Neilsena odbyła się dzień po spotkaniu z detektywem. – Pokazałam datę na jej wykresie. Gemma-Kate wytarła zapis i wprowadziła go ponownie, prawidłowo. – A zaraz po Neilsenie spotkałam się z Mallory w barze Ramone's. To jest w Westin przy Ina. Wypiłam wódkę z martini. Zjadłam ser pleśniowy z oliwkami. Barman ma na imię William.

– Którego wieczoru zdarzył ci się ten epizod?

– Epizod? – Nie byłam chętna do rozmowy, wiem, ale nadal odrzucała mnie sama myśl o tamtym wieczorze.

– Kiedy chodziłaś po podwórku za domem jak wariatka. To wtedy zaczęłam się tym interesować i zapisywać twoje objawy. To wtedy zamówiłam książki.

– Obserwowałaś mnie przez cały czas?

– Aha. Więc wróćmy do twoich pierwszych większych halucynacji.

– Ja... Myślę, że to było dokładnie tego wieczoru, kiedy zaczęłam brać to, co napisał mi Neilsen. Może za wcześnie mu odpuściłam. Może to spisek z aptekarzem.

– Hola, nie tak szybko. Nie skończyliśmy. Mów dalej.

– Co myślisz?

– Zostałaś w domu do czasu, kiedy wszyscy poszliśmy do kościoła.

– Płyn przeciwko zamarzaniu – powiedziałam.

– Zgadza się, ale tobie nic się nie stało.

– Tylko dlatego, że nie próbowałam. To ty dałaś mi kubek z kawą. I pączek.

Gemma-Kate ostro na mnie spojrzała.

– Co? – zapytałam.

– Nic. – Napisała kawę i pączek – Co dalej?

– Następnego dnia poszłam spotkać się z Eliasem Manwaringiem. Do kościoła. Czy piłam kawę?

– Naprawdę powinnaś zrezygnować z kofeiny, ale to inna sprawa.

– W kościele nic. Czekaj, podał mi szkanek wody, połowę wypiłam. Nie, nie widziałam, jak nalewał. Przez jakiś czas rozmawialiśmy, potem poszliśmy na plebanię i spotkałam Lulu i ich syna, Kevina. Miałam zawroty głowy i musiałam usiąść i oprzeć się o ścianę. Wtedy dowiedziałam się o zabawie w przyduszenie.

– To nie dotyczy sprawy. Coś jadłaś w tym domu?

– W pewnej chwili Lulu zaproponowała mi kawę, ale nie skorzystałam. Niczego tam nie jadłam ani nie piłam. Znalazłam zwłoki Franka Ganima.

– Zgadza się. Co było następnego dnia?

– To zdumiewające, jak gubi się okrucy własnego życia, kiedy ma się o nich powiedzieć. Wtedy się widzi, jakie to prozaiczne. Poszłam do sierżanta, szefa detektywów, Tony'ego Salazara. Początkowo zamierzałam dowiedzieć się, czy jego syn, Peter, jest odpowiedzialny za śmierć Joeya...

– Peter! Myślisz, że ma coś wspólnego z utonięciem Josepha Neilsena?

– Ale spotkanie zamieniło się w zabawę w kotka i myszkę w sprawie Franka Ganima – powiedziałam. – I to chyba ja byłam myszką. Ty przygotowałaś kolację. Rano zjadłam tost. Nic

więcej aż do brunchu u Mallory następnego dnia.

– Czy była tam ta Annette?

– Nie, Mallory dała jej wolne.

– Co jadłaś?

– Quiche.

– Jakie?

Wydawało mi się, że w pytaniu jest raczej zainteresowanie kulinarne.

– Karczochy, grzyby ... ser szwajcarski.

– Kto je przygotował?

– Annette. Wino. Poza tym ser pleśniowy i czosnek jak w restauracji. Wszyscy piliśmy wino, jedliśmy quiche i ser. Mallory nie zjadła nic na deser, ale Carlo zjadł. Coś, co się nazywa cętkowany kutas z cytrynowym zsiadłym mlekiem

– Robisz sobie ze mnie jaja.

– Poważnie. Było niezłe.

– Źle się poczułaś?

– W drodze do domu tak mnie porąbało, że chyba zaczęły mi się halucynacje. Czerwone węże na drodze, chociaż mogę przyjąć, że był przynajmniej jeden. To wtedy wjechałam w kaktus, a policjant myślał, że się spiłam. Pojechaliśmy karetką do szpitala. Zrobili nam obojgu prześwietlenia, czy poza nosem Carla coś się jeszcze złamało, i opatrzyli nam otarcia na twarzach. Gdybym miała wysoki poziom alkoholu we krwi, zostałabym aresztowana.

– Potem przyjechałaś do domu i obie wiemy, co było. Rzuciłaś się na mnie, jak metadonowy ćpun.

– Nie rzuciłam się na ciebie jak metadonowy ćpun. A jeśli to zrobiłam, to miałam powód.

Gemma-Kate nie kłóciła się ze mną. Była zbyt zajęta uzupełnianiem danych wykresu dni, odkąd zaczęłam chorować.

– To nas doprowadza do dzisiaj. Nadal chora?

– Nie. Tak Jestem taka zamroczona, że sama nie wiem, jak się czuję.

Gemma-Kate rozprostowała mięśnie szyi, jakby sama miała tam jakiś mały skurcz.

– Idę coś zjeść na obiad. Chcesz, żeby ci coś zrobić?

– Sama sobie zrobię.

Wyszła, przyglądając się wykresowi. Kiedy weszłam za nią do kuchni, podgrzewała sobie w mikrofali puszkę rosółu z kurczaka, który wlała do głębokiego talerza. Kiedy się podgrzewał, gryznoiliła coś na swoich kartkach. Popatrzyła na wykres i zaczęła zakreślać niektóre obszary ze ściągniętymi brwiami. Wydawało mi się, że mruknęła „ser”, ale nie byłam pewna. Stoper mikrofali zaczął piszczeć. Wyjęła talerz, położyła na blacie łyżkę, serwetkę i swoje kartki, którym uważnie się przyglądała, wcinając kuski.

Dałam się w to wciągnąć wbrew sobie i nie mogłam powstrzymać ciekawości.

– Co myślisz? – zapytałam, wyjmując puszkę zupy z soczewicy, której nie można było doprawić. Udawałam, że nie interesuje mnie jej odpowiedź, kiedy wyjęłam własny talerz, odkryłam wieczko puszkę i wlałam zawartość do talerza. Nie chciało mi się tego podgrzewać.

Gemma-Kate rozparła się na krześle, najwyraźniej zadowolona, że zjadła zupę i jednocześnie ułożyła wiarygodną teorię.

– Oto fakty, które do tej pory zebrałam – powiedziała do moich pleców. – Lekarz nie znalazł

klinicznej przyczyny twojej nagłej zmiany samopoczucia. Zadowolilo go rozpoznanie depresji. Wielu lekarzy tak by zrobilo, szczególnie kiedy idzie o kobiety. Jesli cie otruto, to chyba przedawkowaniem antydepresantu, który ma efekt kumulacyjny. Nie moglas niczego wykryc natychmiast po jego zażyciu.

– Jak dotąd, nie mówisz niczego nowego.

– Robię przegląd dla siebie. Taka cielkawostka: to lekarstwo ludzie mogą zażywać od czasu do czasu w małych dawkach i nie szkodzi im. Tylko ty zareagowałaś, bo już wcześniej przyjęłaś tego tyle. Co więcej, spróbowałam jednej z twoich tabletek, nie ma smaku, więc można było ją zmielić, a nawet dodać do cukru pudru na pączku w kościele. Albo ktoś po partacku bierze się do otrucia ciebie, albo ktoś nie chce cię zabić. Może ktoś zamierza unieszkodliwić cię bez zabijania, ktoś, kto boi się, że łatwo będzie go wyśledzić. Jeśli wiesz, komu może zależeć, żeby cię osłabić, to mógłby być trop, po którym można by do tego kogoś dojść.

Wyjęłam z szuflady łyżkę stołową i zaczęłam jeść zimną soczewicę.

– Nadal żadnych niespodzianek – powiedziałam.

Moje uwagi nie speszły Gemmy-Kate. Postukała łyżką w kartki rozłożone przed sobą, zapominając, że na łyżce nadal jest trochę zupy.

– Jeśli ufasz Carlowi, to są jeszcze dwie osoby, które kontaktowały się z tobą częściej niż inni, co znaczy, że mogły często dostarczać ci dawki tej substancji. Teraz powiedziałybym, że to albo ja, albo twoja najlepsza przyjaciółka na wieki, a ja wiem, że to nie ja.

Gemma-Kate patrzyła na mnie, jakby grała jakaś wstrząsająca muzyka organowa. Ale słycać było tylko ciszę mojego najgłębszego zdumienia.

– I do tego to wszystko miało doprowadzić? Wszystkie te papiery, wykresy, bzdury? Próbujesz obciążyć tym Mallory Hollinger?

Nie wiedziałam, roześmiać się, czy uderzyć ją w twarz.

– Czemu nie? – zapytała.

– Bo Mallory to jedyna na świecie osoba, której mogę zaufać, że mnie nie otruje. No dobrze. Carlo też. Nie powiedziałabym tego nawet o własnej matce, gdyby uznała, że ma dobry powód.

– A co uważasz za dobry powód?

– Właśnie. Pytanie brzmi: dlaczego mam wierzyć tobie? Wracam do tezy, że otrulaś psa, mnie i byłaś przynajmniej współsprawcą śmierci Franka Ganimy. Co to ma znaczyć? Eksperymenty naukowe metodą domową?

– To dopiero byłoby głupie, prawda? Tak samo o jak wyszukiwanie trucizn na twoim komputerze. I kupowanie książek o toksykologii na twoją kartę kredytową, i trzymanie ich przy sobie. Taka sama głupota. Myślisz, że jestem aż tak głupia?

– Nie, Może po prostu nie doceniasz innych ludzi. W historii wyszukiwania znalazłam bufoteninę. Wiedziałaś, że ropucha jest trująca.

– Przy okazji, każde badanie cyfrowe wykaże, że weszłam na tę stronę po tym, jak zabrałaś Mopsa do weterynarza, nie przed. Myśl inaczej. Może nie ma związku między psem, tobą i Frankiem Ganimem. Przemyśl to.

– Może między mną a Ganimem nie ma związku.

– Wróc do Mallory, na litość Boską, zrób dla mnie chociaż tyle.

Już na dobre zaczęłyśmy przerzucać się pomysłami. Byłoby to pocieszne, gdyby stawką nie było moje życie.

– No dobrze. Może pokazałaś możliwości i środki. Ale jaki motyw mogłaby mieć Mallory Hollinger, żeby mnie otruć?

– Nie otruć, ale coś ci dać, co by cię tak osłabiło, żebyś zostawiła sprawę. Prawdziwe pytanie brzmi: jaką sprawę?

– Chcesz, żebym powiedziała, że przestanę wypytywać o Joego Neilsena, bo tylko on, nie licząc ciebie, jest czymś nowym w moim życiu? To absurd.

– Naprawdę? Z całym szacunkiem, ciociu Brigid, ale czy byłaś w stanie ocenić, co jest absurdem? Gdybyś nie była tak wyczerpana przedawkowaniem leków, pewnie sama byś to zauważyła.

Pokręciłam głową, trochę żeby odrzucić to, co mówiła Gemma-Kate, a trochę, żeby pozbyć się z mózgu resztek oszołomienia.

– Ale nadal nie mamy motywu. Chciała mnie powstrzymać przed odkryciem czego?

– Może dowiedziałabyś się tego, gdybyś przestała prowadzić śledztwo w sprawie Joego Neilsena, a zaczęła w sprawie Mallory Hollinger.

Niedawno oskarżyłam Carla o brak wyobraźni, kiedy doszło do oskarżeń pod adresem Gemmy-Kate. Teraz zastanowiłam się, bo może miała rację, a ja dokonałam tego wyłączenia, które czasem zdarza się śledczym. Myślałam.

Najwyraźniej myślałam za wolno jak na Gemmę-Kate. W rzadkim pokazie emocji, tym razem niecierpliwości, chwyciła mnie za rękę i pociągnęła do mikrofali nad piecem. Nastawiła stoper.

– Proszę – powiedziała. – Założę się z tobą. Masz pół godziny, żeby szybko sprawdzić przeszłość Mallory Hollinger. Jeśli w tym czasie nie znajdziesz niczego, o czym do tej pory nie wiedziałaś, wrócę do Fort Lauderdale.

– To ty lko...

– Inaczej nigdy się mnie nie pozbędiesz. Chyba że zabiorą mnie za zamordowanie tamtego mężczyzny. Wtedy będziesz mnie odwiedzać w więzieniu. – Spojrzała na godzinę. – Dwadzieścia dziewięć minut, czterdzieści osiem sekund.

Myślałam, że wiem wszystko co trzeba o Mallory, a nawet więcej. Ale z jakich tajemnic naprawdę się zwierzałyśmy? Obie zachowywałyśmy prawdę dla siebie. Uważałam, żeby za dużo nie mówić o swojej przeszłości i o roli, jaką odgrywałam w Biurze, a jednocześnie nie miałam pojęcia, czego ona nie mówiła o sobie. Właściwie, to kiedy dowiedziała się o mnie? Czy wtedy, kiedy sama była w domu, kiedy przyniosła Mopsy i kurczaka tikka? Miała mnóstwo czasu, żeby przejrzeć moje teczki w gabinecie, zobaczyć odznaczenia na ścianie i znaleźć broń w nocnym stoliku.

Dylemat polegał na tym, że chciałam dowieść niewinności Mallory. Ale ze względu na Marylin, ze względu na porąbaną rodzinę, którą kochałam, chciałam, żeby Gemma-Kate też była niewinna. A obu rzeczy naraz nie mogłam mieć.

Przerwała mi myśli.

– Dwadzieścia osiem minut, dziewiętnaście sekund. Ale myślę, że i teraz dasz sobie radę. To co, zakładamy się?

– Nie. Nie wchodzę w twoją grę.

Gemma-Kate spojrzała na stoper.

– Pamiętasz, jak powiedziałaś, że wtedy, w kościele, przyniosłam ci kubek kawy?

Westchnęłam zmęczona jej presją.

– Tak pamiętam.

– Nie nalewałaś tej kawy. Dała mi ją Mallory. Była już ze śmietanką. Pomyślałam, że to dziwne, bo wiem, że lubisz czarną. Powiedziałam jej. Odpowiedziała: „Wiem, ale kawę tak czy siak wypije”. Dlatego tak dobrze to zapamiętałam, bo powiedziała to tak, jakby chciała podkreślić, że to ona jest przyjaciółką, ty się nie liczysz, a ja chciałam zetrzeć jej ten uśmiešek z twarzy. Dała mi też pączek z cukrem pudrem na wierzchu.

– Ale skoro w kawie był płyn odmrażający, to dlaczego wypila tę kawę?

– Jesteś pewna, że wypila?

Odstawiłam talerz z soczewicą na blat. Apetyt mi minął. Zapamiętałam, że na stoperze jest dwadzieścia siedem minut cztery sekundy, poszłam do gabinetu i usiadłam przy komputerze. Zaczęłam od ostatniego potwierdzonego wydarzenia, przeszłam do poprzednich wydań „Arizona Daily Star” i znalazłam artykuł o samochodzie Hollingerów całkowicie zniszczonym podczas kolizji z pociągiem. Miło, że można to teraz robić na komputerze i nie chodzić do biblioteki, żeby majstrować przy mikrofilmach. Przy najmniej historia kolizji z pociągiem była rzeczowa. Było nawet jej zdjęcie. Wstrząśnięta, bez szminki. Bluzkę miała porwaną, a krew na rękawie najprawdopodobniej była jej krwią. Nacięcie na policzku przypominało mi cienką bliznę, którą miała do tej pory. I samochód. Można się zastanawiać, jak Owenowi udało się z niego wy dostać z życiem, nawet takim, jakie mu było dane. Punkt dla Mallory. Może.

W Internecie znacznie łatwiej sprawdza się historię, niż robiło się to kiedyś, a Mallory nie próbowała zacierać śladów. Zacieranie śladów oznacza, że te ślady trzeba zatrzeć. Tak jest chytrzej. Gdyby nie podejrzenia, że posługuje się trucizną, żeby zapobiec śledztwu w sprawie czyjejś śmierci w coraz bardziej podejrzanych okolicznościach, jej życie wydawało się smutne, pełne szczęścia i nieszczęścia, ale nie było w nim niczego obciążającego. Podejrzane było tylko to, że w żadnej z naszych licznych rozmów nie zajęła się o swojej przeszłości.

Zadzwoeniłam do swojego człowieka w Waszyngtonie, żeby dostać jej numer ubezpieczenia społecznego. Tak, kochani, Wielki Brat istnieje i ja nim jestem. Wydobycie numeru ubezpieczenia społecznego wymagało czasu, bo okazało się, że Mallory podała mi fałszywą datę urodzin. Musiałam wyciągnąć listę Mallorych Hollinger i dopasować do jednej najbardziej prawdopodobną datę urodzenia. Jedna ze znalezionych miałaby osiemdziesiąt trzy lata, ale inna tylko czterdzieści. Ta, która najlepiej pasowała, nadal była podejrzana, nie dlatego, że skłamała w sprawie swojego wieku, kobieta taka jak Mallory pewnie tak by zrobiła, tylko że kłamstwo poszło w niewłaściwą stronę. Zawsze mówiła, że jesteśmy w tym samym wieku i urodziłyśmy się w tym samym miesiącu, lipcu. Lwy. Ale okazało się, że była ode mnie cztery lata młodsza. I spod Ryb. Dlaczego to zrobiła?

Coś się zazębia.

Kiedy nad tym rozmyślałam, zdałam sobie sprawę, że stoi przy mnie Gemma-Kate.

– Czas się skończył – powiedziała. – Siedzisz nad tym prawie godzinę. Znalazłaś coś, prawda?

– Odejść – odparłam.

Odeszła.

Jeszcze tylko przypomnieć sobie, co mi mówiła i wydobyć z tego prawdę.

Na początku naszej przyjaźni zbyt pochopnie rzucała informacje na swój temat, co mogło świadczyć, że nie wie, kim naprawdę byłam: że byłam profesjonalistką od wymiaru sprawiedliwości w sprawach karnych.

„Miałam galerię sztuki w Boca Raton, Nowym Jorku i Shaker Heights”.

Sprawdziłam to teraz. Nic. Naprawdę nic. Żadnej Mallory Hollinger z identyfikatorem podatkowym galerii, których była właścicielką. Żadnego biznesu z jej nazwiskiem. Jeśli kłamała na ten temat, to w jakich innych sprawach też mijają się z prawdą?

Świadeństwo ślubu z Owenem Hollingerem wykazywało, że ich związek został zawarty przed sześciu laty. Tak mi powiedziała. Oboje musieli prowadzić szalone życie, sądząc po tych wszystkich zdjęciach z podróży zrobionych w tak krótkim czasie, trochę ponad pięć lat przed jego „wypadkiem”. Czy te podróże były na jego koszt?

Jak się okazało, nie wszystkie. Ona miała pieniądze, zostały jej z poprzedniego małżeństwa. Jej nazwisko na akcie ślubu brzmiało Pope. Ale to nie było nazwisko panieńskie. Przed Geoffreyem Pope była już raz mężatką, w Cleveland, w Ohio.

Stymulator serca Franka Ganima umiejscawiał go w Cleveland, w Ohio. Jasne, to duże miasto, ale zbieżność była zbyt kusząca.

Google Earth pokazało ostatni znany adres Geoffreya Pope'a. Jakż piękny to był dworek. Ten człowiek zrobił pieniądze na jakimś patencie w latach siedemdziesiątych. A co się stało, że jej małżeństwo z Geoffreyem Pope'em uległo rozwiązaniu? Śmierć.

„Więcej pieniędzy, mniej Pope'a”. Była przekonana, że jest mądrzejsza od wszystkich i mogła polubić takie środowiskowe żarty. Cel namierzony.

Informacje nawarstwiały się. Przyczyna śmierci: zapalenie płuc. Nekrolog: „Zmarłego przeżyła pielęgniarka i kochająca żona od trzech lat, Mallory, oraz jedno dziecko z poprzedniego małżeństwa, Geoffrey Pope II”.

Długi związek małżeński? Trudno go tak nazwać. W nekrologu pisano o pielęgniarce i kochającej żonie od trzech lat. Podtekst sączy się ze słów, które musiał ułożyć ktoś inny niż ona, prawdopodobnie syn, bo inaczej nie wspomiano by o długości trwania małżeństwa ani o fakcie, że była jego pielęgniarką. Kiedy za niego wyszła, mogła mieć, hm, czterdzieści sześć? Chyba jakoś tak. Tuż po średnim wieku nie chciała spędzić reszty życia na wymienianiu cewników.

Pielęgniarka. Potem znalazłam, że nie ukończyła kursów za granicą, a precyzyjna wymowa i frazy, których czasem używała, były fałszywe. Dyplom uzyskała w stanie Oklahoma.

Online znalazłam jeszcze jeden dokument: pozew przeciwko Mallory Pope wniesiony przez Geoffreya Pope'a II. Podważał ostatnią wolę i testament Geoffreya Pope'a.

Łatwo jest znaleźć numery telefonów. Zadzwoiłam do pana Geoffreya Pope'a II z Pope Engineering. Kiedy powiedziałam recepcjonistce, że szukam informacji o Mallory Pope, natychmiast się połączył.

– Kto mówi? – zapytał, nie przedstawiając się.

– Czy to Geoffrey Pope?

– Tak, to ja. Kim pani jest?

– Nazywam się Brigid Quinn. Jestem prywatnym detektywem.

– Co ona zrobiła?

– To ja jestem detektywem – powiedziałam. – Niech pan mi powie.

Zaczął chichotać, ale natychmiast przerwał, bo w końcu chodziło o jego ojca.

– Pani pierwsza, proszę.

– No dobrze – powiedziałam. – Nie chcę kręcić, bo istotnie wiem niewiele. Tylko podejrzewam, że drugi mąż jest w niebezpieczeństwie. A jeszcze sama niezbyt dobrze się czuję, byłabym więc wdzięczna, gdyby pan po prostu wyłożył mi sprawę.

Usłyszałam przez telefon jego głęboki oddech.

– Mój ojciec miał chorobę Lou Gehriga. Mallory była jego pielęgniarką. Namówiła go, żeby się z nią ożenił. Zawsze myślałem, że według niej on po prostu niedługo umrze. Ale chyba na jej gust to trwało za długo. Trzymał się przez trzy lata. Zawsze mi się wydawało, że zrobiła coś z chemikaliami do czyszczenia basenu, żeby wywołać zapalenie płuc, ale nie potrafiłem tego udowodnić. I tak oprotestowałem testament. Skończyło się na połowie jego nieruchomości dla niej, a to nadal poważna suma. Pewnie wiedziała, że nie potrafię niczego udowodnić, ale wolała

bezpieczniejszą drogę. Czy tych informacji wystarczy, żeby kurwę powiesić?

Gdybym już wcześniej nie szukała ciemnej strony, mogłabym temu człowiekowi nie uwierzyć. Ale on był w stanie przedstawić mi trochę faktów, które powiedziałyby mi o rozmiarach jej kłamstw.

– Czy była kiedyś właścicielką galerii sztuki?

– Nic o tym nie wiem. Wiem natomiast, że zawsze była pielęgniarką. Pani mówiła, że jak się nazywa?

– Brigid Quinn.

– Proszę pani, kim by pani nie była i czego by pani nie robiła, mam nadzieję, że ją pani dorwie.

– Jednego nadal nie wiem. Słyszał pan kiedyś o facecie, który nazywa się Frank Ganim? Lysiejący, z kucykiem?

– Nie, tutaj nie mogę pani pomóc.

Podziękowałam mu, odwiesiłam telefon i zaczęłam sobie przypominać, z czego zwierzałam się kobiecie, którą znałam jako Mallory Hollinger. Uczucie zdrady i wściekłość bez przerwy mieszały się z nieustannym napływem negacji; to niemożliwe. Powiedziałam jej wszystko. O Gemmie-Kate, o moich osobistych obawach. Na litość Boską, o Carlu i moim życiu seksualnym. A co ona mi powiedziała? O swoich obawach, co może się stać z Owenem, gdyby umarła.

„Chcę zapytać, czy gdyby kiedyś coś mi się stało, zaopiekujesz się Owenem?”

O swoich marzeniach i pragnieniach, i tym, z czego w życiu dokonała, a to znaczy o wszystkim. Oczywiście, zwierzała się, ale czy w tym było choć trochę prawdy, czy to, co o sobie mówiła, było zgodne z rzeczywistością? Myślałam o zdjęciach, które widziałam, zdjęciach z egzoty cznych podróży, z Mallory i Owenem w pozach tanga. Za serce, kurwa, chwyciła.

„Flirtuję z każdym, żeby nie wyjść z wprawy”.

Mogłam sobie uanoaczyć, jak to mogło być z Joem, czy był gejem, czy nie; tak mu pochlebiała, aż jej zaufała. Przyzwyczał się do tego, że był oczkiem w głowie matki, więc uważał, że z Mallory jest tak jak trzeba. Napij się piwa, Joe. Strzeliłeś sobie kiedy luflkę tequili? Pokażę ci, jak to się robi, tylko obiecaj, że nie powiesz rodzicom. Prawda, rodzice już ci na to pozwalają. Wtedy przypomniałam sobie, jak Carlo po raz pierwszy rozmawiał z Mallory w sali parafialnej u św. Marcina. Jak pomyślałam, że może przyciągnąć do siebie każdego mężczyznę. Nawet Joego.

„Albo jesteśmy orłami, albo niczym”.

Nawet mnie złościła. Mnie, która byłam tajniakiem w środowisku kryminalistów przez większą część mojego życia i myślałam, że jestem taka cwana, że nikomu nie uda się mnie oszukać. Byłam wkurzona jak jasna cholera, bo wykorzystwała moją dumę i moje potrzeby, żeby zrobić ze mnie idiotkę. Byłabym przygotowana na pistolet albo nóż. Ale nie na przyjaciela.

Nie można jej nie podziwiać. Zawsze chępiłam się, że policjanci z natury są podejrzliwi. Mówiłam, że sprawdziłam przeszłość Carla, jeśli nie przed pierwszym pójściem do łóżka, to na pewno przed zamążpójściem. Ale nie sprawdza się przeszłości kogoś, z kim idzie się na lunch, w tym punkcie zdrowy cynizm przekracza linię paranoi. Więc raz czy dwa razy jadłam lunch z Mallory, a potem tak się do siebie zbliżyłyśmy, jak to tylko jest możliwe w przypadku niespokrewnionych ludzi i nie widziałam powodu, żeby sprawdzać, kim jest moja przyjaciółka.

Tyle ról odegrałam podczas tajnych operacji i proszę, przechrzył mnie ktoś, kto potrafił lepiej odegrać rolę niż ja. Z początku mogła się ze mną zaprzyjaźnić, bo ją bawiłam, ale kiedy

zaczęłam śledztwo w sprawie utonięcia Joego Neilsena, stałam się jej zwierzyną łowną. Podsycala moje podejrzenia w stosunku do Gemmy-Kate, która wygodnie pasowała do jej planów.

Ależ ze mnie patalach. Ależ naiwniak. Ależ – a to najgorsza z odgrywanych przeze mnie ról – ofiara.

Jeszcze nigdy nie byłam ofiarą. Zawsze byłam zwyciężcą, pogromcą zła, Joanną d’Arc, do cholery. Ja byłam tą, która siadała na koni i odjeżdżała, żeby ratować królestwo. Nigdy nie byłam frajerką.

Cholera.

Pamiętam, że chciała mnie zniechęcić do przyjęcia zlecenia, kiedy spotkałam Neilsenów. Może dlatego, że z czasem dowiedziała się, że byłam agentem federalnym, do zadań bardzo specjalnych i było za późno, żeby mnie odstawić bez wzbudzenia podejrzeń. Więc wykorzystwała naszą przyjaźń, żeby trzymać mnie przy sobie i mieć na mnie oko. Ale kiedy zaczęłam odkrywać szczegóły dotyczące śmierci Joego Neilsena, stawka wzrosła i Mallory zaczęła działać, żeby nie ryzykować, że odkryję, co ona zrobiła... właśnie, co? Stawka musiała być bardzo wysoka, skoro podłożyła mi te prochy.

Łatwo było zadzwonić do Lulu i dowiedzieć się, że w wieczór poprzedzający utonięcie Joego podrzuciła go, żeby czytał Owenowi. I zadzwonić do korporacji pielęgniarek domowych, żeby sprawdzili dyżury, i dowiedzieć się, że w ten wieczór, kiedy Joe pojechał, żeby czytać Owenowi, Annette miała wolne.

Moty w: Joe zobaczył coś w domu Mallory.

Mallory Hollinger zabiła Joego.

Ząbka się. Zajęło mi to zaledwie parę godzin.

Frank Gamin. Przyjeżdża z Cleveland pod przybranym nazwiskiem i z fałszywą teoryjką. Włoczy się wszędzie, gdzie my jesteśmy. Wróciłam do incydentu z płynem odmrażającym; nie odtworzyłam go dokładnie, bo zbyt wielu rzeczy nie wiedziałam. Raczej wyobraziłam sobie, jak mogło to zostać rozegrane.

To nie jest zamierzone zabójstwo. Ale do tej pory nie wiem, dlaczego tamtego dnia ona chciała dopaść w kościele Franka Ganima.

Jeśli to Mallory dolewa odmrażacza do dzbanka z kawą, to jak ona to robi? Co widzę? Czego mogę być pewna? Przewińmy to do tyłu. Nie, nie widzę tego. Gdzie ona jest od chwili, kiedy mnie zostawia, żeby pójść do łazienki, do chwili, kiedy zaczyna pomagać ofiarom? Niewiadoma.

Wcześniej.

Mallory ze mną w sali parafialnej. Mallory rozrzucona, mówi, że idzie do łazienki. Mallory bierze moją kawę i pije ją. Nie, nie mogę być pewna, czy naprawdę ją popija. Niewiadoma.

Mallory w kościele. Tego dnia nie siada ze mną, więc nie wiem, kiedy przyszła. Czy się spóźniła? Gdzie jest, odkąd przyszła aż do końca mszy? Czy mogła pójść do sali parafialnej, kiedy już zrobiono kawę? Niewiadoma.

Czy Mallory zgadza się na rozmowę z Ganimem w kolumbarium, w miejscu, które dla niego jest wystarczająco publiczne, a dla niej wystarczająco prywatne? Czy on idzie tam z kawą, więc nie widzi, co dzieje się z ludźmi, którzy ją piją, a ona idzie do niego, kiedy w Sali parafialnej panuje zamęt, żeby go wykończyć? Czy on po prostu umiera po paru godzinach bez pomocy lekarskiej, jak powiedział George? A może Mallory zabezpieczyła się, żeby na pewno umarł, naciskając łagodnie na tętnicę szyjną, kiedy był nieprzytomny, jak w zabawie w przyduszanie? Niewiadoma.

Cofnąć. Zanim powiedziałam Mallory o zatruciu jadem ropuchy, miała wobec mnie plany.

Dodajmy faszerowanie mnie antydepresantami i Mallory ma wszystko, czego potrzebuje, żebym zaczęła podejrzewać Gemmę-Kate.

A jeśli cała akcja w kościele nie wypala, Mallory nie jest o nic podejrzewana i może wymyśleć coś innego, żeby pozbyć się Franka Ganima.

Cofnąć. Dzień zbiórki na towarzystwo opieki nad zwierzętami, kiedy Mallory spotyka Franka Ganima, prawie wpada na niego. Czy ona flirtuje? A może on mówi jej, po co tu jest, a ona prawie mdleje z wrażenia? Niewiadoma.

Był tylko jeden człowiek, który mógł odpowiedzieć na te niewiadome, bo Mallory powiedziała mu wszystko o tym, co robiła. Wiedziała, że on nie ma wyboru, że musi zachować jej tajemnicę.

Owen.

Istotnie, nie mogłam wiedzieć, czy Geoffrey Pope II chciał, żebym dopadła Mallory Hollinger ze względu na jego zmarłego ojca, czy ze względu na połowę spadku. Ale nadal nie miałam nic, z czym mogłabym pójść na policję, nie licząc tych wszystkich moich domysłów i niewiadomych. Co miałabym powiedzieć – że moja najlepsza przyjaciółka dała mi lekarstwa na receptę, a ja je zażyłam? Zabiła pierwszego męża, a potem usiłowała zabić drugiego? Nie wierzyście mi? To zapytajcie człowieka na łóżku. Wystarczy, jak będziecie zadawać pytania, na które można odpowiedzieć tak lub nie. Wyruga prawdę.

A gdyby policjanci rzeczywiście mi uwierzyli i poszli do domu Hollingerów, a Mallory podejrzewałaby, że wiem, o co pytać Owena, Owen nie dożyłby kolejnego uderzenia swojego serca. Wiedziałyby, jak do tego doprowadzić. Owen trzymał się życia tylko oczami i nadal bijącym sercem. On był tym, który znał tajemnicę Josepha Neilsena. Chodziło mi nie tylko o dotarcie do prawdy, miałam obowiązek uratować go. Można odejść z Firmy, ale maksyma „strzec i bronić” nigdy nie przestaje być ważna.

Owen był maleńkim okrucieństwem, którego miałam obowiązek bronić.

Myślałam o Owenie. Był w tak złym stanie, że nie mógł się ruszać, ale chyba wiedział, że jego zabójcy dba o niego z niespodziewanym oddaniem. Myślałam o urządzeniach i prywatnej pielęgniarce, i nieustępliwości, z jaką Mallory upierała się, żeby pielęgnować go w domu. Myślałam o półkach z książkami, które Mallory ponoć przeczytała. Ot, sterta rekwizytów, żeby lepiej się zaprezentować.

Właśnie chodziłam po domu, kiedy o tym myślałam. Chciałam się oderwać od komputera i trochę rozprostować plecy. Przypadkiem spojrzałam na jedną z książek zamówionych przez Gemmę-Kate. Leżała zamknięta na stole w jadalnym. Jeszcze raz popatrzyłam na książkę, którą położyła na stole. Miała dziwny kolor. Pomarańczowa jak dynia. Rzadko się widuje leksykony medyczne w pomarańczowych jak dynia okładkach. Przypomniałam sobie, dlaczego książka krąży mi po głowie. Widziałam ją na półce w pokoju Owena.

Jeszcze raz przeczytałam tytuł, coś o lekach, które wywołują zaburzenia neurologiczne. Jeśli ma się męża z zespołem zamknięcia wywołanym urazem, to po co człowiekowi książka o lekach wywołujących uszkodzenia mózgu? Jaka korzyść z książki opisującej leki na receptę, które mogą człowieka osłabić, a nawet uśmiercić?

A co z Frankiem Ganimem? Poza tym, że oboje pochodzili z Cleveland i że on był najwyraźniej oszustem, nie miałam niczego, żeby powiązać jego samego i jego śmierć z Mallory. Zapytałam o to Gemmę-Kate.

– Spokojnie – powiedziała. – Wszyscy w twoim wieku są na Facebooku. Poszukaj go tam.

No jasne, był i do tego bardzo towarzyski. Zdjęcia z party na przedmieściach, w barach, uśmiechy, obejmowanie się za szyję. Wydrukowałam je wszystkie, zeskanowałam i wysłałam mailem do Geoffreya Pope’a II. Odpowiedział, że rozpoznaje jednego z mężczyzn, do którego Frank się przyznał. Jest to księgowy jego ojca. „Nie byłem pewny, ale zawsze wydawało mi się, że księgowy i Mallory mieli romans przed śmiercią taty. To była jedna z tych spraw, które mnie wkurzały, bo może dała mu udział w swojej części spadku”.

Łatwe przejście do Franka Ganima, który czegoś się dowiedział od kochanka Mallory, przynajmniej tyle, że mógł ją szantażować. Nie musiałam pytać Gemmy-Kate, żeby zobaczyć to powiązanie. Do tego nie potrzeba było geniusza; co ważniejsze, potrzeba ciemnej strony charakteru. Też byłam z Quinnów i wszyscy to mieliśmy.

Ten dowód wystarczał, żeby wykluczyć wszelkie inne możliwości. Ale nie wystarczał, żeby pójść z tym na policję, przyszpilić Mallory i uratować Owena. Tylko ja mogłabym go zapytać, co się stało tego wieczora, kiedy pociąg uderzył w ich samochód. Pamiętam dzień, kiedy Owen wpadł w panikę i walczył z respiratorem. Kiedy podskoczyło mu ciśnienie krwi. Gdybym mogła z nim porozmawiać, nie płosząc go, bez bandy obcych ludzi, to bez wpadania w panikę mogłby potwierdzić moje podejrzenia. Gdybym mogła zacząć tajną operację, pierwszą, odkąd przesłam na emeryturę. Tym razem w pajęczynie mojej najlepszej przyjaciółki i czarnej wdowy.

Och, zanim przejdę dalej, czy muszę komukolwiek przypominać, że gdybym nie miała mózgu naszpikowanego lekarstwami, sama bym do tego doszła, bez pomocy Gemmy-Kate?

Alwizytor, który myślał, że mam czarnaście lat, mówił o tajnych akcjach po tym, jak go aresztowałam. Musisz bardzo udawać i nie sypanąć się. Na przykład, powiedział, idziesz do biura jakiegoś palanta, a on ma na ścianie nad biurkiem beznadziejnego wypchanego marlina. Trzeba być bardzo ostrożnym, żeby nie zerknąć na to i nie pomyśleć: głupia ryba. Bo on nie wie, co myślisz, ale wyczuje w tobie jakieś wibracje i nie kupi tego, co chcesz mu sprzedać. Ludzie nie są tacy głupi, jak nam się wydaje.

Podstawową taktyką, kiedy prowadzi się tajne działanie, jest przekonanie podejrzanych, że się ich nie podejrzewa. Więc wpadnę do domu Mallory, tak jak zawsze to robiłam. Plan był taki: porozmawiam sama z Owenem, kiedy Annette będzie w domu. Annette zostanie użyta do odciążenia uwagi, a przy tym nie pozwoli, żeby Mallory zrobiła coś głupiego, gdyby odkryła mój zamiar.

Wiedzieć wszystko, ale zachowywać się, jakby niczego się nie wiedziało – oto sztuka tajnych operacji.

Kiedy wróciłam ze sklepu, Carla nadal nie było z wynajętym samochodem.

– Dzwonił – powiedziała Gemma-Kate. – Zatrzymał się na lunch z Eliasem, a potem idą do Home Depot, to musi być coś, co łączy mężczyzn. Mówił, że przeprasza za awanturę i przywiezie, co nam potrzeba ze spożywczego.

– Muszę mu powiedzieć, co robię – stwierdziłam. – Obiecałam, że niczego nie zrobię za jego plecami.

– Tak właśnie myślałam, że zrobisz coś takiego – powiedziała Gemma-Kate. – Nigdy go nie okłamywałaś. Dałam mu listę rzeczy, których potrzebujemy na kolację.

– Jakich rzeczy?

– Curry panang, makaron sojowy i ostry sos sriracha.

– Och nie, to jest do bani, GK.

– Ciociu Brigid, słuchaj, powiesz o tym Carlowi, a on spróbuje cię powstrzymać. A jeśli coś pójdzie źle, a on będzie o tym wiedział, sam znajdzie się w niebezpieczeństwie. Marny z niego kłamca. Mallory go przejrzy.

Każdy go przejrzy. To cena za uczciwość.

Gemma-Kate powiedziała Carlowi, że była idiotką i chciała załagodzić sprawę, przygotowując wspinałką kolację.

– Wrócisz przed nim – stwierdziła.

– Wrócę przed nim – zgodziłam się. Nadal czułam się winna. I lekko zmanipulowana przez tę dziewczynę, którą jeszcze troszkę podejrzewałam. Rzuciłam torbę na blat kuchenny. – Proszę, to

trzy buteleczki aktywnego węgla drzewnego, czterdzieści gramów.

– Pamiętałaś o telefonie?

– Tak, pamiętałam o telefonie. Jest w torbie.

Otworzyłyśmy ze sto kapsulek i zmieszałyśmy je w pojemniku na wynos z sokiem jabłkowym. Jednocześnie powtórzyłam z Gemmą-Kate rolę, którą miała odegrać w tej operacji.

Trudno mi było przyjąć do wiadomości, że będę pracowała razem z Gemmą-Kate, ale cóż, tak wypadło. Kiedy ona mieszała roztwór, ja załadowałam broń i włożyłam ją do torby na ramię. Trochę mi było żal, że nie mam na sobie luźnej bluzki, która zakryłaby wyrzuszenie z tyłu dzinsów. Przy wykład do noszenia dopasowanych T-shirtów. Mallory mogłaby zauważyć.

Kiedy weszłam do kuchni, Gemma-Kate już kończyła. Zakryła pojemnik wieczkiem i dała mi go.

– Jesteś pewna, że to zadziała? – zapytałam.

– Mam nadzieję.

– Ty masz nadzieję?

– Właśnie o tym czytałam. Chcesz wypróbować, zanim pójdziesz? Czytałam o pewnym profesorze, który pokazał studentom, że strychnina nie skutkuje po wypiciu tego.

Powtarzała się. Musiała być zdenerwowana. Albo podekscytowana. Przemknęła mi myśl, że Gemma-Kate manipuluje mną tylko dla żartu.

Przemknęła mi myśl, że jest w jakimś związku z Mallory.

Paranoja, zgadza się? Skąd można wiedzieć, co jest paranoją, a co zwyczajnym podejrzeniem? Ale teraz już nie było odwrotu.

– Więc co mam według ciebie zrobić? – zapytałam. – Łyknąć trochę płynu do czyszczenia rur kanalizacyjnych? Dawaj tu tutaj.

Wzięłam pojemnik na wynos. Był ze stali nierdzewnej, więc nie można było zobaczyć, co jest w środku, i podniosłam torbę na ramię. Gemma-Kate wręczyła mi drugą butelkę, z czystą wodą. Zapytałam, po co to jest.

– Zanim tam wejdiesz, wypłucz usta na wszelki wypadek. Węgiel drzewny może zaczernić ci zęby i dziąsła.

– Mówiłaś, że tak robi arszenik

Gemma-Kate wzruszyła ramionami, jakby nie widziała różnicy między węglem drzewnym a arszenikiem.

– Na pewno czujesz się na tyle dobrze, żeby to zrobić?

– Jeśli to, co powiedziałaś, jest prawdą, to od jakiegoś czasu nie wzięłam ani dawki, czuję różnicę. Teraz rozumiem, z czego brały się moje wzloty i upadki.

Już zadzwoniłam do Mallory i powiedziałam jej, szepcząc do słuchawki, że Gemma-Kate doprowadza mnie do szaleństwa i muszę wyjść z domu, więc może bym wpadła? Mallory wymamrotała, że oczywiście. Spodobał mi się mój podstęp, widać nie straciłam smykałki.

Już miałam wyjść do samochodu, kiedy przypomniałam sobie coś, co chciałam jasno wyłożyć na wypadek, gdybym nie wróciła. W końcu zostawiam Gemmę-Kate z Carlem, z Mopsami, z tym, co było moim życiem. Powiedziałam jej z nadzieją, że jeśli nawet jest Lwem o innym punkcie widzenia niż ja, na jakimś poziomie zrozumie, co czułam.

– Muszę wiedzieć, że nie zrobisz... nic.

To rozumiałe, że Gemma-Kate wyglądała na zaskoczoną.

– Żeby komuś tutaj wyrządzić krzywdę – dodałam.

Gemma-Kate otrząsnęła się z moich słów jak z nieprzyjemnego chłodu.

– Myślę, że nie musisz tego robić – powiedziała. – Wiemy, że to te lekarstwa, teraz dojdiesz do siebie. Tamtemu chłopcu nie przywrócisz życia.

– Chcę, żeby Owen potwierdził moje przypuszczenia, inaczej nie mam nic, żeby sprowadzić policję.

– Ale dlaczego?

– Bo nie mogę znieść myśli, że Owen przez cały czas cierpi i nie będzie w stanie krzyczeć, kiedy Mallory wreszcie postanowi go wykończyć. Nie mogę sobie wyobrazić niczego bardziej przerażającego.

Widziałam, że się nad tym zastanawia, może szacuje moje życie i życie Owena i dochodzi do wniosku, że nie warto dla niego ryzykować.

– Ciociu Brigid, nie możesz widzieć siebie tak, jak ja ciebie widzę. Nie jesteś taka silna, jak ci się wydaje. Nie teraz.

– Hej, to robota dla mnie – powiedziałam. – Słuchaj kochanie, to tylko kolejny tajniacki numer. Zresztą tam będzie Annette. Mallory nie dosypie mi strychniny przy świadku.

To powinno pójść bardzo łatwo, bardzo szybko, a Mallory Hollinger jeszcze dzisiaj powinna znaleźć się w więzieniu.

Miałam do czynienia z morderczynią, której metodą z wyboru było trucicielstwo, więc moją jedyną obroną był aktywny węgiel drzewny. Powoli wysączyłam roztwór podczas krótkiej jazdy. Nie miał smaku, był tylko gęsty, oleisty, jak rozcieńczone błoto. Gemma-Kate ostrzegła mnie, że to będzie działać tylko jakieś pół godziny, a i to nie było dokładne, więc sama musiałam to odpowiednio zsynchronizować i w tym czasie zjeść albo wypić coś u Mallory, żeby nie pomyślała, że ją podejrzywam. Nigdy nie odmawiałam filiżanki kawy albo kieliszka wina. Gdybym teraz odmówiła, byłaby to dla niej przestroga, bo teraz, jak nigdy wcześniej, doskonale wiedziałam, że to inteligentna kobieta. Była tak inteligentna, a do tego czasu tak dobrze mnie poznała, że musiałam jeszcze głębiej się ukryć, być bardziej przekonująca jako maska Brigid Quinn niż kiedykolwiek wcześniej. Tyle że sprawa z naprawdę inteligentnymi mi ludźmi polega na tym, że często nie doceniają innych.

U podnóża pagórka, tuż przed wjechaniem na jej podjazd, zerknęłam ostatni raz na zegarek i wypilałam resztki roztworu. Pierwsza trzydzieści pięć. Jeśli miałabym coś zjeść albo wypić, to dla bezpieczeństwa nie później niż do drugiej. Spojrzałam w lusterko wsteczne, oczywiście żeby miałam lekko poczerwione. Odkręciłam korek od butelki z wodą, napełniłam usta tak, żebym mogła je wypłukać, i wypłukałam. Lepiej. Podjechałam stromym podjazdem, wysiadłam z samochodu i nacisnęłam dzwonek.

– Popatrz na swoją biedną twarz! – krzyknęła otwierając drzwi. Pociuszająco przyłożyła mi dłoń do policzka, a ja musiałam zwalczyć chęć, żeby nie uchylić się przed jej dotykiem. Czy zauważyła? Muszę być bardziej przekonująca, jeśli chcę zostać sam na sam z Owenem.

Pamiętałam żart, jaki zrobiłam Rogerowi w Pima Pistol Club, że zderzyłam się z poduszka powietrzną. Powtórzyłam go tylko po to, żeby wejść w rolę i zaczęłam się czuć jak Brigid Quinn.

– Czy czuję zapach kawy? – zapytałam kładąc torbę na ramię na szafce w korytarzu, tak jak zawsze robiłam. Miałam nadzieję, że nie będzie widać obciążenia, które dawał mój FBI special. Bardzo uważałam, żeby nie zdradził mnie szcęk metalu o drewno.

– Jasne. Zaparzę dla ciebie. Chodź do kuchni.

– Pójdę przywitać się z Owenem i przyjdę do ciebie za minutkę.

Była odwrócona do mnie plecami, kiedy szłam za nią przez salon, ale teraz zwróciła się do mnie przodem i szła dalej w stronę kuchni, z wdziękiem baletnicy. Może istotnie tańczyła tango.

– Owen ma się dobrze i nigdzie nie wychodzi. Chcę usłyszeć o Gemmie-Kate.

– Czy Annette jest przy nim? – zapytałam, jakby z próżnej ciekawości.

– Nie, wyszła na trochę. Kartka urodzinowa dla córki, czy coś takiego.

Mallory odwróciła się, a ja poszłam za nią do kuchni, gdzie tyle razy siadywałyśmy po

kumpelsku w kąciку przy oknie kasetowym, wyglądającym na tylne patio. Usiadłam tak, żeby widzieć czas na zegarze cyfrowym mikrofalówki. Była pierwsza dwadzieścia pięć, dziesięć minut wcześniej niż na moim zegarze samochodowym, jakieś może cztery minuty temu. Dłużej? Podjęłam decyzję i dokonałam szybkiego obliczenia: według tego zegara miałm czas do pierwszej pięćdziesiąt, zanim aktywowany węgiel drzewny może przestać działać.

– Może wolałabyś wina? – zapytała Mallory. – Mam dobry cabernet sauvignon, oszczędzałam go. Kosztował tylko osiemdziesiąt pięć, ale słyszałam o nim dobre rzeczy.

Pokręciłam głową; miałam nadzieję, że wyglądało to na żal, potem patrzyłam, jak Mallory nalewa nam obu kawę z tego samego dzbanka i przynosi do stołu kubki, niczego nie dodając do mojego. W końcu mogła tak zrobić, wiedziała, że odrobina lekarstwa na receptę jej nie zaszkodzi, jeśli zażyje małą dawkę. Teraz, kiedy wiedziałam, kim i czym naprawdę jest Mallory, każdy jej gest, każdą pozę odbierałam inaczej. Na przykład po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać nad tym, jak ostatnio piła kawę albo wino małymi łykami i często nie do końca. Myślałam, że chodzi o unikanie kalorii, ale kiedy byłyśmy przyjaciółkami, zawsze wypijała wino do ostatniej kropli.

Mallory poruszyła temat Gemmy-Kate, a Gemma-Kate była łatwym tematem. Trochę czułam wstręt do siebie, że mówię o niej z takim lekceważeniem, po tym, czego dopiero co się dowiedziałam, ale obiecałam sobie, że zrobię to, co mi radziła. Więc zaczęłam o niej mówić z przesadą.

Mallory trzy razy pokręciła głową, każdy ruch podkreślając mruknięciem. Powoli znowu piła łyk kawy. Dobierała słowa. Gdybym teraz nie wiedziała, kim jest, nie spostrzegłabym, jaka jest ostrożna.

– Więc uważasz, że Gemma-Kate dosypuje ci antydepresantu i właśnie on wywołuje te objawy? A co z parkinsonem?

– Chyba nie mam. Ale cała reszta, niepokój, bezsenność, nawet halucynacje i gorączka.

– Ale skąd to wzięła? Są na receptę.

– Można dostać wszytłko, co przywożą z Indii. – Telefon powinien zacząć dzwonić jakieś dwie minuty temu, pomyślałam, powstrzymując się przed spoglądaniem na zegar mikrofalówki.

– Jak się dowiedziałaś? – zapytała Mallory. Nie potrafiła powściągnąć uśmiechu, bo przecież tego nie mogłam wiedzieć.

– Jak się dowiedziałam...

– Że zamawiała lekarstwa w Indiach.

Moje myśli same z siebie zaczęły stepować. Już zaczęłam mówić:

– Użyła mojej karty kredytowej... – ale przerwałam, serce mi waliło, bo o mały włos popełniłabym błąd. Mallory wiedziała, że nie znalazłam opłaty za lekarstwa, bo wiedziała, że to nie była sprawa Gemmy-Kate. Więc zakończyłam: – Bo niby jak?

– Zastanawiam się, ile to potrwa. Nie wygląda na to, żeby zostało dużo czasu – powiedziała Mallory. Czy nie wyglądała na trochę zaniepokojoną, mimo że wygodnie rozsiadła się na kuchennym krześle? Może straciłam wycucie, a może nigdy nie prowadziłam tajnej operacji wobec kogoś, kto znał mnie tak dobrze, jak Mallory. Wiedziałam jedno: chcę, żeby zadzwonił telefon, zanim pojawi się więcej pytań i wrobię się, zanim dostanę to, po co przyszedłam.

– Ale to nie Carlo – powiedziała Mallory. Zostawiła sprawę dostawy lekarstw i przeszła do kolejnego tematu. Leciutko zmrużyła oczy, przyglądając mi się wnikliwie. Czy podejrzewała

mnie, bo tak łatwo uwierzyłam, że winna jest Gemma-Kate? A może podała mi coś, co już powinno zacząć działać? Jeśli tak, to dlaczego czekała, że coś się teraz stanie? W przeszłości nie wydawało się takie ważne, żeby moje reakcje były natychmiastowe, lepiej, jeśli przychodziły z opóźnieniem, jakiś czas po odjeździe od niej, żeby nie było podejrzeń. Czy mogła dowiedzieć się, co odkryłam? Czy była w stanie wyczytać mi z twarzy, że nie byłam już jej najlepszą przyjaciółką? Może Mallory była nadwrażliwa na to, czy ktoś ją lubi, czy nie lubi. A może ja nagle zaczęłam odczytywać znaczenia w rozmowie, w spojrzeniu, które zawsze towarzyszyły nam i nie były znaczący?

Gdybym tylko miała pewność, że coś miało się ze mną dzieć. Znowu chciałam zerknąć na zegar, ale Mallory tak uporczywie się we mnie wpatrywała, że nie śmiałam tego zrobić. Widziałaby, że patrzę na zegar i zapytałaby, dlaczego. Mogła mnie obserwować przez ostatnie pół roku. Pod tym względem nie mogłam jej dorównać. Poznała mnie doskonale.

– Nie, nie Carlo – powiedziałam w końcu. No dobrze, plan B.

Na razie musiało jej zabraknąć pytań albo wiedziała, że dalsze sondowanie może wyglądać podejrzanie.

– No więc co jeszcze robiłaś ostatnio? – zapytała. – Coś ciekawego dzieje się w kościele?

– Nie spędzam tam wiele czasu. Nieswojo się czuję w towarzystwie ludzi, którzy czują się winni, bo chcą używać przez jakiś czas swoich organów, zanim zostaną ich dawcami. – Mallory roześmiała się na mój dowcip, znowu zrobiła to tak jak zawsze, a potem spoważniała.

– Co jest nie tak? – zapytała; twarz miała bez wyrazu, ale oczy jak iskierki.

Do głowy przychodził mi tylko telefon do Siga Weissa i że nie była to rozmowa o Gemmie-Kate. Byłam o tym przez cały czas przekonana. Powierzchowny urok, nasilona motywacja, żeby zaspokoić każde twoje pragnienie, zachowanie kameleona, którego podstawą były lata obserwowania innych... Sig i ja rozmawialiśmy o Mallory.

– Nic – odparłam.

– Jednak coś. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy po przyjacielsku nad basenem i pytałaś, czy mamy razem obejrzeć „Wariatki”? Zawsze dowcipkujesz, kiedy jest ci źle albo jesteś zdenerwowana. Kochana, co cię zdenerwowało? Czy to naprawdę Gemma-Kate, czy co innego? No, mów, ja i tak wiem.

Odpalił nerw na mojej szyi, ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem.

– Co wiesz?

Patrzyła na mnie uporczywie przez dłuższą chwilę, zanim się odezwała.

– Czysta kawa nie nadaje się na tę chwilę. Poczekaj minutkę. – Wstała i wyszła do salonu, niknąc mi z oczu. Wykorzystałam okazję, żeby spojrzeć na zegar. Pierwsza czterdzieści pięć. Jeszcze pięć minut i nie będę mogła liczyć na działanie odtrutki. To znaczy, pięć minut, jeśli dobrze obliczyłam.

Mallory wróciła do stołu, ochoczo ocierając kurz z butelki Taliskera.

– Wielu powiedziałoby, że używanie dwudziestopięcioletniej whisky do kawy po irlandzku to świętokradztwo. Ale ja mówię, że alkohol jest dla ludzi, a nie ludzie dla alkoholu.

– Nie powinnaś. Obiecałam Carlowi, że nie będę piła w środku dnia.

– Obiecałaś, zanim to ziółko wprowadziło się do was. To się nie liczy. – Mallory wykręciła korek z butelki. Pieczęć była już zerwana, zanim weszła do kuchni. Nalała mi hojną porcję do kubka, a sobie cokolwiek mniej hojną. Pomyślałam, czy to samo, co w kawie, było też w whisky. A może

wiedziała, że alkohol spotęguje działanie tego, co mi podała. Upiłam tylko mieszanki. Ona też, więc pomyślałam, że nie ma w tym niczego bardziej toksycznego niż to, co dodała do kawy. Muszę przyznać, że nawet w takiej chwili napój mi smakował i miałam nadzieję, że węgiel drzewny nadal działa, jeśli w ogóle była to odtrutka.

Zadzwoiła komórka Mallory, rozległa się melodia „Some enchanted evening”. Zerknęła na telefon podłączony do ładowarki.

– Niech pójdzie na pocztę głosową.

„Tralala, trala, trala...”

– Dobry Boże, nie. Albo to pilna wiadomość od towarzystwa opieki nad zwierzętami, albo zjednoczeni symfonicy. Katastrofa. Poza tym i tak muszę iść do łazienki – powiedziałam na wypadek gdybym musiała pokazać, że to, co mi dała, skutkuje. – Nadal nie czuję się za dobrze.

„Tralala, tralala”.

Powstrzymała mnie, żebym nie wstawała.

– Nie mówiłaś, jak się ostatnio czujesz. Wiesz – przerwała, próbując pokazać wrażliwość – te twoje inne objawy... Umówiłaś się na wizytę u neurologa, jak zalecił ci Tim?

Telefon przestał dzwonić. Za długo zwlekała z odebraniem i wiadomość zapisała się na pocztę głosowej.

– Zaraz wracam – powiedziałam, bo nie mogło nagle odejść mi się siusiu czy czegoś innego, co dawałam do zrozumienia. Ja też muszę bardziej się postarać, żeby być sobą. – A potem przypomnij mi, że mam cię przeciągnąć po płonących węglach za to, że powiedziałaś Carlowi, co wtedy ja ci powiedziałam. Prosiłam, żebyś tego nie robiła.

Mallory przyjęła odpowiednio skruszoną minę. Dopiero teraz zrozumiałam, jaki ona ma talent: umie się zachować jak istota ludzka.

„Tralala, trala, trala...”

Wstając, pokazałam na telefon.

– To chyba ważne.

Mallory podeszła do telefonu, a ja wstałam i wyszłam z kuchni. Upewniłam się, czy kąty ścian są takie, że nie przyłapie mnie, że poszłam do głównej sypialni zamiast w inną stronę, do łazienki dla gości. Po drodze wzięłam torbę z szafki w korytarzu. Słyszałam, jak z kimś rozmawia, najprawdopodobniej z Gemmą-Kate, ale mógł to być ktokolwiek.

– Nie, nie wiedziałam, że mam umówione spotkanie z dyrygentem. Na zdjęcie do publikacji? Mówisz, że kiedy to było? Bardzo przepraszam. Zgodzi się na przeniesienie terminu?

Tak to pewnie Gemma-Kate. Plan B. Była na tyle dobra, a Mallory na tyle chętna, żeby mieć zdjęcie w gazecie, że rozmowa telefoniczna potrwa dłużej. Gdybym nie rozgrywała tak śmiertelnej gry, zachichotałabym.

Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby Owen spał. Zastanawiałam się, czy on w ogóle sypia. Patrzył na drzwi, kiedy weszłam. Po raz pierwszy uderzyło mnie, że on zawsze patrzy na drzwi. Przez chwilę zastanawiałam się, czy żyje w strachu, myśląc, kiedy Mallory dokończy dzieła. To było tak, jakbym po raz pierwszy zobaczyła wszystko w innym świetle. Ale o tym będę myślała później.

Położyłam torbę z boku łóżka, sięgnęłam po broń, którą przyniosłam i wyciągnęłam ją. Wepchnęłam torbę i pistolet pod łóżko, tak, żebym łatwo mogła po nie sięgnąć, a nikt wchodzący nie mógł mnie zobaczyć.

Nachyliłam się nad łóżkiem, spojrzałam na monitor pracy serca. Jego puls lekko przyspieszył na mój widok. Zmówiłam szybką modlitwę, bo kto wie, czy po moich pytaniach nie dostanie jednego z tych ataków, kiedy to wypluwa ustnik do oddychania.

– Przepraszam, nie miałam czasu, żeby cię na to przygotować, ale spieszę się i muszę szybko się dowiedzieć. Czy Mallory ci to zrobiła?

Owen szeroko otworzył oczy. Zobaczyłam przerażenie, które zebrało się w nim, kiedy był tutaj uwięziony, spętany przez własne ciało i te jedwabne prześcieradła. Strach wypływał mu z oczu, ale w duszy mu go nie ubywało. Jego odpowiedź nie była konieczna, ale i tak czekałam na mrugnięcie. Zawahał się. Potem mrugnął raz.

„Nie”.

– No, dalej, Owen, może to twoja jedyne szansa. Nie bój się. Ona już cię nie skrzywdzi.

Raz Dwa. „Tak”.

Słyszałam, jak z drugiej strony domu Mallory nadal rozmawia z Gemmą-Kate.

– Czy Joe wiedział? Joe Neilsen? – zapytałam.

Owen zaczął nieregularnie mrugać, aż pomyślałam, że może dostał ataku. Ale wkrótce chwyciłam wzór w ruchu jego powiek. Mocno zamknięte, znowu otwarte. Krótko, krótko, krótko, długo, długo, długo, długo, krótko, krótko, krótko. Dla każdego, kto kiedyś miał kłopoty, to było proste.

„SOS”.

– Kurwa – słowo wy dobyło się bezdźwięcznie z moich ust, tylko „k” pstryknęło mi w gardle.

Potem monitor ciśnienia krwi zaczął głośno piszczeć. Poza tym, dopiero teraz to zauważyłam, w domu było cicho. Z nadzieją, że odzyskam swoją maskę, nie dałam po sobie poznać, że rozumiałam ostrzeżenie Owena i powiedziałam:

– Owen, chcesz, żebym ci trochę poczytała?

– Owen ma rację, Joe nie wiedział – usłyszałam zza pleców Mallory. – A przynajmniej nie rozumiał, co widzi, kiedy przyszedł za wcześniej i przyłapał mnie, jak wkładałam sól sodową do lejka malaksera. – Usłyszałam, jak wciąga powietrze między zębami, tak jak to robiła, próbując nowy gatunek wina, jakby smakowały jej te słowa wypowiedziane na głos. Moja lewa ręka opadła po pistolet schowany pod łóżkiem, ale nie mogłam go dosięgnąć.

– Aha – powiedziała Mallory. – Zauważyłam, że na stoliku nie ma twojej torby na ramię.

Zatrzymałam się i odwróciłam. Zobaczyłam, że zamiast komórki trzyma w ręku trzydziestkędwójkę. Wyglądało to zupełnie naturalnie, jakby umiała się nią posługiwać. Lekkie, nerwowe drżenie lufy, jakby zabrakło trochę zimnej krwi, ale broń była na tyle stabilna, żeby z niej strzelić i trafić, a kaliber na tyle duży, żeby zrobić wystarczającą krzywdę na tę odległość.

– Myślałam, że nie znosisz broni palnej – powiedziałam głupio.

Jej słowa były zimne jak kamień, ale wargi nerwowo drżały:

– Musiałś mnie pomylić z inną Mallory Hollinger – oświadczyła.

Więc dowiedziałas się – powiedziała Mallory.

– Prawie wszystkiego. Jest kilka luk. Na przykład, czy Frank Ganim szantażował cię, a ty wykończyłaś go przyduszeniem, żeby to wyglądało, jakby umarł od płynu odmrażającego? A gdyby to nie zadziałało, co miałaś zamiar dalej robić?

Mówiąc, zrobiłam kroczek w lewo, instynktownie stając między Owenem a pistoletem. Mallory najwyraźniej nie spieszyła się z ciągiem dalszym, postępowała tak, jakby nie wiedziała, jaki ma być jej następny krok. Wykorzystam to założenie, żeby podrażnić jej dumę nie było co udawać, że się nie rozumie, o co chodzi.

– Ale to nie byłoby w twoim stylu, pozbyć się Owena, kiedy w pobliżu był Joe. Miałaś okienko między odejściem Annette a przyjściem Joego? Żle obliczyłaś czas?

Bardzo ostrożnie pokręciła głową, żeby nie stracić celu. Nie chodziło jej o to, żeby się przyznać, ale o to, żebym wiedziała, że nie da się wciągnąć w odpowiadanie na moje pytania, choćby bardzo tego chciała. Ale i tak nie potrafiła trzymać buzi na kłódkę.

– Próbowałam, Brigid – powiedziała. – Pamiętasz, próbowałam ci wyperswadować, żebyś nie chodziła w sprawie tego psa, bo wtedy nie spotkałabyś Neilsenów. Zaraz po tym, jak zobaczyłam twój gabinet, pamiętasz? Ale nie, musiałaś pójść i spotkać się z Neilsenami. Wszystko, co zdarzyło się później, to twoja cholerna wina.

Mówiła to tonem Mallory, mojej przyjaciółki, a nie tej, która chce mnie zabić. Nawet wiedząc to, co o niej wiedziałam, poczułam się w tej chwili tak, jakby ona miała strzelać ślepakami, a ja udawać, że umieram.

Przez jakiś czas próbowałam grać na zwłokę, póki nie wy myślę, jak sięgnąć po własną broń.

– Więc jak upiłaś Joego i utopiłaś go w jego własnym basenie?

Mallory przelknęła, zanim odpowiedziała, a jej słowa, choć pozbawione uczucia, mówiły mi, że się denerwuje; że swobodny ton sprzed paru sekund był udawany, jak wszystko, co jej dotyczyło.

– Wiesz, zawsze uwielbiałam nasze pogaduszki, ale cóż, będziemy musiały trochę przyspieszyć sprawę.

Szybko skalkulowałam odległość Mallory ode mnie, kierunek, w którym wycelowany był pistolet, szybkość moich ruchów i czy zdoła trafić mnie w ważny życiowo organ, zanim ją dorwę. Uznałam, że szanse są przeciwko mnie.

– No, dalej, zastrzel mnie – powiedziałam, czując, jak mięśnie elektryzują mi się, aby skoczyć na łóżko, żeby zabrać z sobą ciało Owena.

Mallory uniosła brwi, jakby rozważała, czy to zrobić. Potem powiedziała, prawie jakby chciała

zostawić wybór mnie:

– Jeśli strzelę do ciebie tutaj, na pewno cię zabiję. Potem nie będę miała niczego do stracenia. Teraz zadzwonię do Annette i powiem jej, że nie będę jej potrzebowała przez tydzień. Opuszczę miasto, a Owen powoli zagłodzi się na śmierć.

Obie popatrzyłyśmy na mężczyznę na łóżku. Oczy Owena skierowały się w prawo, w moją stronę. Błagał mnie. Pisk monitora serca powiedział mi, że jego tętno przekroczyło granicę bezpieczeństwa. To było jego życie, chciał je zachować.

Jeszcze jeden pomysł: pamiętałam, że Mallory dodała pewnie czegoś do mojej kawy, a czegoś mocniejszego do whisky. Otarłam policzek zewnętrzną stroną dłoni, zachwiałam się i zemdlałam. Upadłam na biały dywan obok łóżka. Uderzyłam głową o ramę, kiedy padałam, ale dzięki temu upadek wyglądał bardziej realistycznie. Zobaczmy co ona teraz zrobi.

Ale jeśli nawet dodała mi czegoś do drinka, to miała za dużo rozsądku, żeby się zbliżyć i sprawdzić, czy nie umarłam. Wyczułam, że omija mnie szerokim łukiem, przechodząc na drugą stronę pokoju.

Drugie, co pamiętam, to że na głowę upadła mi książka. Osądziłam po jej wadze, że to jeden z tych wielkich podręczników neurologii. Kiedy otworzyłam oczy, stwierdziłam, że to taka sama książka koloru pomarańczowodyniowego, jaką zamówiła Gemma-Kate, żeby znaleźć w niej informację o zespole serotoninowym. Zastanawiałam się, czy po mojej śmierci pomyśli, żeby zbadać odciski palców na stronach, o których była mowa. W końcu nadal była Gemmą-Kate, córką policjanta.

Usłyszałam, jak Mallory mówi:

– Ty idiotko, to miało cię tylko zdezorientować. Udajesz. Wstawaj.

Zaczęłam się podnosić, ale uderzenie w głowę, połączone z aktywowanym węglem drzewnym i whisky, wywołało falę nudności. Zwymiotowałam na biały dywan w sypialni. Gemma-Kate nie nie mówiła o wymiotach. To musiała być moja reakcja po tym, jak się ostatnio czułam.

– Obrzydliwstwo – parsnęła Mallory. – Co to jest?

– Aktywowany węgiel drzewny – powiedziałam, odwracając twarz od rzygowin. Otarłam usta wierzchem ręki i przyjrzałam się temu, w co wpadłam. Miałam teraz do czynienia z Mallory, trzymającą pistolet. Bywałam w gorszych opalach. Wiedziałam, że jestem od niej sprawniejsza, przynajmniej byłam, zanim zaczęła mnie podtruwać. Potrzebna mi była tylko okazja. Pamiętałam też o własnym pistolecie, który leżał zaledwie dziesięć cali od koniuszków moich palców.

Mallory pokiwała głową; próba wygrania w jej własnej grze zrobiła na niej wrażenie.

– Skąd wiedziałas o węglu drzewnym?

Prawie się wygadałam, że jestem w znowiu z Gemmą-Kate, ale chodziło o to, żeby Mallory myślała, że nikt poza mną o niej nie wie. Gdybym nie wyszła z tego żywa, przyszłoby kolej na nią. I może także na Carla.

– Stary trik tajnych agentów – powiedziałam.

– Próbowalam cię ostrzec – powiedziała Mallory. – Powinnaś więcej jeść na lunch. – Wyglądała na trochę zasmuconą. Ciekawe, czy naprawdę jest jej smutno, czy nałogowo robi to na pokaz. Potem zmarszczyła brwi i zorientowałam się, że to było na pokaz.

– Nie wiem, czy w ogóle uda mi się to wywabić z dywanu. Jak nie, przykryję to małym dywanikiem, żeby Annette nie zauważyła.

Moje palce zbliżyły się do pistoletu pod łóżkiem, ale musiałabym go jej oddać. Panowała nad sytuacją.

– Powiedziałabym „no, no” – odezwała się. – Odsuń się od łóżka. Między łóżko a regał. Na plecy.

Posłuchałam jej i zatrzymałam się pośrodku dużej przestrzeni między łóżkiem a oknem, gdzie nie było niczego, co mogłoby posłużyć za broń. Zatrzymałam się tam, leżąc na plecach. Zdumiewające, ale jak się zwymiotuje, to nawet wycelowany w człowieka pistolet nie wydaje się większym problemem.

– Co niby ma się stać? – zapytałam.

– Zwyczajna rzecz. Właśnie rozpuściłam w kawie trochę antydepresantów. Whisky miało tylko wzmocnić działanie. Chodźmy.

– Dokąd idziemy? – zapytałam.

– Na pieszą wędrownkę. Lubisz piesze wędrownki, prawda? Wybacz, zawsze wolałam chodzić na zakupy.

– A co z Owenem?

Mallory uniosła oczy.

– Och, dobry Boże, ależ ten człowiek się trzyma życia. Powinien umrzeć wiele miesięcy temu. Ludzie w jego wieku nie żyją tak długo z zespołem zamknięcia. Założmy, że nie chcę nadal zabijać ludzi, więc musiałam się nim zająć, zanim następna osoba nie zacznie wtykać nosa w moje sprawy.

– Jak zabiłaś Joego?

– Dzieciak chwalił się, że pije, ale miał za słabą głowę, żeby uratować sobie życie. Wypływał parę razy, ale nietrudno było przytrzymać go pod wodą siem do basenu.

– Jacqueline miała rację.

Mallory wzruszyła ramionami i skierowała wzrok w stronę Owena.

– On na razie tu zostaje.

Pewnie robiła wszystko, co mogła, żeby pokazać się jako twarda dziewczucha, ale za dobrze ją znałam, wiedziałam, że się denerwuje. Przewracanie oczami miało ukryć fakt, że są rozedrgane. Całe ciało miała jakby trochę niepewne, zabrakło tych płynnych ruchów, do których się przyzwyczaiłam. Nie sądziłam, żeby zdenerwowała ją myśl o zabijaniu; irytowała się, bo mogła popełnić błąd, który spowodowałby, że ją złapią. Bała się, że zabijanie źle jej wyjdzie.

A jednak przy wszystkich tych nerwowych tikach zachowała dość zdrowego rozsądku i trzymała się na odległość, żebym nie mogła wyrwać jej pistoletu. Jednocześnie była na tyle blisko, żeby na pewno trafić w jakiś ważny organ. Nie miałam co do tego wątpliwości; była pielęgniarką, pomyślałam więc, że nieźle zna anatomię.

Kazała mi zostać tam, gdzie byłam, podeszła do łóżka i głębiej wkopała pistolet. Palcem u nogi wyciągnęła torbę na ramię i sięgnęła do niej, nie przestając celować do mnie z pistoletu. Dobre wycucie równowagi, w końcu była tancerką. Usiadła na skraju łóżka, szperając w torbie. Nie spuszczałam z niej oka. Wyczuwałam, że Owen też na nią patrzy. Chyba oboje mieliśmy ochotę troszkę się przesunąć i szybko rąbnąć w rękę, w której trzymała pistolet. Była praworęczna, uważała więc, żeby w tej ręce trzymać pistolet, jednocześnie lewą grzebała w torbie. Najpierw znalazła mój telefon komórkowy. Patrząc na mnie, celowała z pistoletu, ale udało się jej go wyłączyć. Potem znalazła kucyki i rzuciła mi je. Zgrabnie je złapałam.

– No dobrze, wybierzemy się na przejazdkę – powiedziała. Pistoletem pokazała, że mam wreszcie wstać, co też zrobiłam. Popatrzyłam na Owena. Zwrócił oczy w prawo tak daleko, jak mógł; próbował mnie zobaczyć.

– Cierpliwości, Owene. Wrócę po ciebie – powiedziałam.

Mallory nawet nie miała ochoty się roześmiać.

– Owen będzie za bardzo zajęty. Umówiliśmy się na grę w przyduszenie, skoro już wiem, jak dobrze to skutkuje – powiedziała. – Za drzwi. Trzymaj ręce przy sobie. – Latami nabywana intuicja mówiła mi, że pistolet skierowany jest w moje plecy, więc jedna celna kula przerwie mi rzeń kręgowy, a jeśli nie, to uderzy w coś ważnego po którejś ze stron kręgosłupa, a drugi strzał dokończy dzieła.

Minęłyśmy salon, potem wyszłyśmy za drzwi. Kiedy znalazłyśmy się na przednim podwórku, rozejrzałam się, ale wszędzie było jak zwykle spokojnie. Nikt z przechodzących ulicą, położoną daleko, przy stromym podejździe, nie mógł zobaczyć, jak stoimy przed jej domem. Kiedy podeszłyśmy do samochodu, zmusiła mnie, żebym przeszła na tył i otworzyła bagażnik

– Wskakuj – nakazała Mallory.

– Nadal nie wiem, dlaczego po prostu mnie nie zastrzelisz – powiedziałam znowu.

– Mogłabym. Broń palna tak często sama strzela w tej części świata, że nikt nie zwraca na to uwagi. I zastrzelę, jeśli będę musiała. Ale naprawdę nie chcę ci zrobić nic złego. Chcę cię tylko zabrać tam, gdzie ty nie będziesz mogła zrobić czegoś złego.

Mimo wszystko nie uważałam, że dać się zamknąć w bagażniku to dobry pomysł.

Odwrociłam się, żeby uciec. Zawsze lepiej jest uciekać, bo naprawdę trudno trafić w ruchomy cel. Mallory strzeliła. I zanim ból się odezwał poczułam połączenie zapachów palonych włosów i siarki. Szczęśliwy strzał, ledwie drasnął mnie w lewe udo, ale po uderzeniu potknęłam się, potoczyłam i zatrzymałam tuż przed miejscem, w którym podjazd się obniżał.

– Do cholery, Brigid. Dlaczego mnie do tego zmuszasz? Jak nie spieszysz jednej rzeczy, to spieszysz drugą. Wstawaj.

– Chyba będę potrzebować laski. Jest na tylnym siedzeniu.

– Ta z ostrzem na końcu? Zapomnij. Podczołgaj się do samochodu i oprzyj o zderzak, żeby się podnieść.

Tak zrobiłam.

– Teraz pokaż mi nogę. Bardzo boli? – Mallory zdjęła swoją bluzę Eileen Fisher i rzuciła mi ją. Cóż za troska.

Wzmocniła słowa czynem.

– Obwiąż to wokół nogi, żeby powstrzymać krwawienie, a zajmijmy się tym, kiedy dojedziemy do miejsca.

Kiedy to zrobiłam, powiedziała:

– Teraz odwróć się do mnie tyłem i rzuć kluczyki na ziemię. Potem włącz do bagażnika.

To zrozumiała, że się zawahałam.

– Słuchaj, Brigid. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Po prostu chcę cię dokąds zabrać, żeby mieć nad tobą przewagę, kiedy zaczniesz rozrabiać. Ale teraz wiesz, że jak będę musiała, to cię zabiję.

Nie związała mnie, a to dawało mi wiele możliwości. Zatrzask zabezpieczający. Złożenie tylnego siedzenia. niespodzianka, kiedy otworzy bagażnik Rzuciłam klucze i weszłam do środka.

– Dziękuję – mruknęła. – Narobiłaś mi kłopotów, to może przy najmniej szybko umrzesz.

Zatrzasnęła bagażnik Natychmiast zaczęłam macać wokół siebie. W tym starszym modelu nie było zatrasku zabezpieczającego.

Chociaż wiatr nie niósł afrykańskiego upału, to w bagażniku było gorąco jak w Afryce. Był on też fatalnie dźwiękoszczelny. Musiała podnieść klucze z miejsca, gdzie je rzuciłam. Słyszałam, jak siada na fotelu kierowcy i przekręca kluczyk w stacyjce. Mówiła, ale nie do mnie; ćwiczyła tekst. To musiał być jej sposób na długo, zanim ją poznałam.

– Tak, Carlo, była tutaj. Pytała, czy chcę pójść na daleki spacer, ale nie miał się kto zająć Owenem. Musiała wyjść jakiegoś, och, trzy godziny temu. Rozumiem twoje zaniepokojenie. Dasz mi znać, jak wróci? – Przerwała, jakby słuchała własnych słów, i znowu zaczęła: – Aha, była tutaj, ale wyszła już dawno! Nie wiem, może trzy godziny temu, chciała, żebym poszła z nią na daleki spacer, ale nie mogłam zostawić Owena. Co za idiotka, powinna wiedzieć, że nie chodzi się samemu w jej wieku. – Powtórzyła drugą wersję innym tonem, tym razem gorączkowym. Potem jeszcze raz, trafiając w ton między pierwszą a drugą wersją. Tylko tym razem dodała zdanie:

– Nie, nie powiedziała dokąd. Wyglądała na zmartwioną. – Najwyraźniej zadowolona z tej wersji, wykonała – wyczułam to – elegancki skręt na trzy razy i zjechała z podjazdu.

„Przynajmniej szybko umrzesz”, powiedziała. Zwinęta spokojnie w ciemności, przejrzałam jej plan. Nigdzie mnie nie zawiezie. Będzie jeździć w kółko, aż umrę na udar cieplny, a ona wyrzuci moje ciało gdzieś na trasie wycieczkowej.

Przyczyna śmierci: przegrzanie”.

To podyktuje George Manriquez do wiszącego nisko mikrofonu, przeprowadzając zewnętrzne oględziny mojego ciała podczas sekcji, jeśli do niej dojdzie. Jeśli mnie znajdą, zanim kojoty stoczą nade mną walkę z myszłowami. Albo jak mnie znajdą nadal zamkniętą w bagażniku, w samochodzie porzuconym na pustyni, gdzie przez wiele dni nikt na niego się nie natknie. To da się załatwić na pustyni i nie trzeba daleko jechać. Wyobraziłam sobie moje nierozszarpane zwłoki, jak leżą nago na noszach na kółkach, George na nie patrzy i żadne z nas nie widzi w tej sytuacji niczego absurdałnego.

„Do pospolitych przyczyn przegrzania należą udar cieplny i niepożądane reakcje na lekarstwa. Ten pierwszy przypadek to ostre przegrzanie wywołane wystawieniem na nadmierny upał albo połączenie upału i wilgotności, co obezwładnia regulujące ciepłotę mechanizmy organizmu, wywołując niekontrolowany wzrost temperatury ciała. Ten drugi to względnie rzadki efekt uboczny wielu leków, szczególnie tych, które oddziałują na centralny układ nerwowy.

Przykładem potencjalnie wywołujących przegrzanie leków jest rodzina antydepresantów tetracyklinowych”.

Manriquez pobrałby krew i tym razem kazałby szybciej przeprowadzić analizę niż po śmierci Joego Neilsena. Zanotowałby, że miałam podniesiony poziom antydepresantów w organizmie. Gdyby przeprowadzili śledztwo, Mallory mogłaby przyjść im z pomocą i dostarczyć informacji. Zasugerowałaby, żeby detektywi przeszukali mój dom, powiedziałaby o moich obawach, że podtruwa mnie bratanica. Carlo niechętnie by to potwierdził. Nagromadziłyby się dowody przeciwko Gemmie-Kate. Obojętnie co by powiedziała na swoją obronę, jakby nie oskarżała Mallory, wyglądałoby to tylko na jej kolejne kłamstwa. Carlo też by to dojrzał. Byłby przekonany, że przez cały czas miałam rację i że Gemmie-Kate w końcu udało się mnie zabić.

Ale jeszcze żyłam. Było mi wygodniej w pojemnym bagażniku volvo Carla, niż gdybym była wysoka. Powietrza było mało, ale wystarczało, żeby się nie udusić. Mallory pomyślała o tym zawczasu; wiedziała, że jeśli ma wyrzucić moje ciało gdzieś w dziczy, udar słoneczny będzie bardziej prawdopodobną przyczyną śmierci niż uduszenie. Bagażniki mają jakąś tam wentylację i gdyby udało się odkryć ją tutaj, może znalazłabym drogę na zewnątrz. Zastanawiałam się, jak Mallory ustosunkuje się do rany, która już zaczęła rwać.

Rana przypominała mi, że Mallory wydawała się nią zaniepokojona. Dlaczego? Może jak zaczęła krwawić w bagażniku, moja śmierć nie będzie wyglądała na zwyczajne przegrzanie? Zanim znajdę sposób na uratowanie sobie życia, muszę być pewna, że uratowałam Gemmę-Kate. Zdjęłam bluzę mocno owiniętą wokół mojego biodra i chociaż bolało jak wszyscy diabli,

rozdrapywałam ranę palcami, póki nie poczułam oleistej krwi. Gdybym umarła, a Mallory wywlekałyby moje ciało z bagażnika, zobaczyłaby krew na wykładzinie i wyczyściłaby ją. Włożyłam palce pod wykładzinę i tam też zostawiłam ślady. Potem znów pogrzebałam w nodze, próbując nie jęczeć za głośno, żeby Mallory nie usłyszała, i zostawiłam ślady na masce bagażnika, gdzie można było je zobaczyć zaraz po otwarciu. Wytarłam palce o bluzę tak starannie, jak tylko dało się to zrobić w ciemności, z nadzieją, że Mallory nie zauważy krwi pod moimi paznokciami. Ponownie zawiązałam bluzę na nodze.

Teraz miałam dowód, dla kogoś na tyle mądrego, żeby go znalazł, że byłam w tym bagażniku, gdzieś mnie wieziono i nie umarłam otruta ani na udar ciepły podczas spaceru. Nawet gdyby śledczy nie zauważyli krwi, zrobiłaby to za nich Gemma-Kate. I jeszcze Mallory będzie musiała coś zrobić z tą dziurą w mojej nodze.

Kiedy już załatwiłam tę sprawę, odczekałam chwilę, aż ból zmaleje i zaczęłam myśleć, co mogę zdziałać w takiej sytuacji.

Jest legenda miejska o uwięzieniu w bagażniku. Ofiara kopniakiem wybiła tylne światło z ramy, wystawiła rękę przez dziurę i machaniem powiadomiła samochód, który jechał z tyłu. To nie zadziała, przy najmniej w tak dobrze zaprojektowanym volvo.

„Oznaki i objawy przegrzania są różnicowane. Typowa jest gorąca, sucha skóra, bo naczynia krwionośne rozszerzają się próbując rozproszyć gorąco, co czasem prowadzi do obrzmienia warg.

Towarzyszące temu odwodnienie, zwiększone przez niedostateczną konsumpcję wody albo konsumpcję alkoholu, może wywołać nudności, wymioty, bóle głowy i niskie ciśnienie krwi”.

Niedobrze, że zwymiotowałam roztwór aktywowanego węgla drzewnego. Mogłabym właśnie teraz wykorzystać te płyny. Żałowałam, że nie wiedziałam, jak długo pożyję.

„Przy ostrym przegrzaniu zachowanie może być zaburzone, wrocie albo pozornie wyglądać na odurzenie alkoholem. Tętno i oddech przyspieszają wraz z próbą utrzymania przez serce właściwego krwioobiegu. Ostatecznie skutkuje to uszkodzeniem organu, utratą przytomności i śmiercią.

Udar słoneczny może być skutkiem wysiłku, typowego dla sportów uprawianych na dworze, albo różnych form treningów wytrzymałościowych, albo nie być związany z wysiłkiem, na przykład kiedy jest się zamkniętym w cholernym bagażniku samochodu przy temperaturze na zewnątrz dochodzącej do prawie stu stopni. U osób starszych przeważają udary słoneczne niezwiązane z wysiłkiem.

Same antydepresanty mogą wywołać przegrzanie, które stanowi część fazy końcowej zespołu serotoninowego.

Stosuj wysokie dawki antydepresantów, daj się zamknąć w bagażniku samochodu, a nie ma znaczenia, ile wypijaś aktywowanego węgla drzewnego i czy jesteś młoda; masz przesrane”.

Z początku próbowałam domyślić się, dokąd jedziemy, ale samochód tak często skręcał, że zrezygnowałam i skupiłam się na szukaniu czegoś w bagażniku, co pomogłoby mi się uwolnić. Jak mówił Baxter Tajniak wykorzystaj to, co masz. Tyle że w odróżnieniu od mojego bagażnika, który często służył za drugi gabinet, z mnóstwem rupieci, które mogły się okazać przydatne, Carlo swój utrzymywał w nieskazitelnej czystości. Nie było narzędzia, którego mogłabym użyć, żeby coś wyważyć i wydostać się na zewnątrz. Potem pomyślałam o kole zapasowym. Zwinęłam się w pozycję płodu i plecami naparłam na tylne siedzenie, a stopami odpychałam się od tylnej części bagażnika. Siedzenie nie ustępowało. Zwinęłam się w inną stronę, tym razem żeby łatwiej

sięgnąć pod wewnętrzną pokrywę miejsca na koło. W ciemności mogłam posługiwać się tylko dotykiem. Rozpoznałam koło zapasowe, kable do ładowania akumulatora, podnośnik i krótki elastyczny sznur, którego Carlo używał do związywania bagażnika, kiedy przewoził rzeczy, które nie mieściły się przy zamkniętej klapie.

Jak na przykład nasza ostatnia choinka. Mało się nie rozpląkałam litując się nad sobą, ale przestałam robić z siebie kreatywną i wróciłam do narzędzi, które miałam pod ręką. Każde z nich nadawałoby się na broń, gdybym tylko mogła się wy dostać i zrobić z nich użytek. Wyciągnęłam kable do akumulatora, elastyczny sznur i podnośnik. Zrolowałam wewnętrzną pokrywę koła. Potem schowałam narzędzia za plecami i uspokoiłam się, żeby przeżyć.

Mallory prawdopodobnie miała nadzieję, że umrę w trasie i że nie będzie musiała czekać tam, dokąd jechała, żeby zaaranżować moją śmierć z udaru cieplnego. Pewnie miała też nadzieję, że to, co przyjąłam przez ostatni tydzień, dwa, przyspieszy ten proces. Nie licząc tego, że w organizmie zostanie wykryty wysoki poziom antydepresantów, będzie to wyglądało na całkiem naturalną śmierć.

W ciągu dnia wiosenna pogoda przechodziła w letnią. Niecałe trzydzieści stopni na zewnątrz oznaczało prawie sto w bagażniku, słońce w zenicie rozgrzewało metal karoserii. Włączony silnik też przyczytniał się do wzrostu temperatury. Można by upiec indyka.

Mallory zatrzymała wóz. Może na parkingu, może na światłach. Trochę z rozpaczy, a trochę z czystej wściekłości ryczałam i waliłam stopami i pięściami w boki i wierzch bagażnika. Ale samochód znów ruszył i nikt nie przy szedł z pomocą. Jednocześnie wy silek przyspieszył mi puls i oddychanie. Spostrzegłam, że nie uspokajam się tak szybko, jak to się działo, kiedy uprawiałam ćwiczenia fizyczne. Jeśli była jakaś szansa na przeżycie, należało uważać na takie zmiany kondycji.

Moja kondycja: powiedzmy, że przypadkiem spędziliście za dużo czasu w saunie. Świadomości bicia serca, trochę bardziej niż zamroczeni wstajecie i idziecie do drzwi. Drzwi są zamknięte. No i jak się czujecie?

Musieliśmy być na porządnej drodze; jechało się gładko, nie licząc nurkowania w małe nachylenia, kiedy trasa przecinała strumyk albo rzeczulkę. Wtedy straciłam rachubę czasu, a może nawet na chwilę przytomność, ale wróciła mi świadomość, kiedy samochód zaczął podskakiwać. Droga nieutwardzona, pewnie zbliżamy się do miejsca, które ma być moim grobem. Jeśli Mallory jest mądra, a ja będę jeszcze żyła, to powinna mnie zostawić gdzieś przy drodze, ale odjechać od niej spory kawałek, żebym nie miała szans na powrót. Ja bym tak zrobiła.

Samochód w końcu zaczął zwalniać i zatrzymał się. Mój umysł zaczynał dostosowywać się do stanu ciała. Jedyne, co mogłam rozpoznać, to że nadal jest dzień. O tej porze roku, kiedy słońce obniża się nad horyzontem, bardzo szybko pojawia się chłód, więc bagażnik też się ochłodzi. Ale czułam, że nadal był rozgrzany. Gdyby starczyło mi woli, żeby podnieść rękę i dotknąć pokrywę, byłaby bardzo gorąca. Przyszedł mi na myśl koszmarny eksperyment, kiedy żabę włożono do garnka z wodą i podnoszono powoli temperaturę, żeby zobaczyć, jak długo żaba wytrzyma. Przyszła mi na myśl ropucha. Przyszedł mi na myśl Mops. Przyszedł mi na myśl Carlo.

Tylnie siedzenia volvo składają się z dwóch części, żeby dać więcej miejsca na przewożenie rzeczy, choinek i innych przedmiotów. Części nie są równej wielkości, jedna jest węższa. Właśnie ta teraz złożyła się minimalnie, wpuszczając trochę światła do bagażnika. Leżałam zwinięta, tyłem do siedzeń, ale udało mi się trochę obrócić, żeby widzieć szczelinę, a jednocześnie

przeniosłam narzędzia na drugą stronę swojego ciała, żeby nie mogła ich zobaczyć.

Spostrzegłam, jak nieostry mam wzrok. Zobaczyłam twarz Mallory, właściwie dwie twarze. Przelazła na tylne siedzenie. To znaczyło, że znalazłyśmy się w miejscu na tyle odległym od ruchu drogowego i pieszych turystów, że nie musiała się martwić, przynajmniej przez jakiś czas, że ktoś ją zaskoczy. Pomyślałam, że chyba celuje we mnie z pistoletu. Trudno mi było martwić się o coś takiego.

– Brigid, do cholery – powiedziała zrozpaczonym głosem. – To jest straszne. Do tej pory powinnaś nie żyć.

Otworzyłam usta; czułam, jak wargi mi się rozkładają. Miałam za sucho w ustach i zbyt obrzmiały język, żeby mówić. Próbowałam przełknąć, ale i to mi nie wyszło, więc tylko leżałam i patrzyłam na nią, chociaż oczy nie chciały się do końca otworzyć. Zastanawiałam się, czy widzi podnośnik i inne rzeczy, czy może zasłania je ciałem.

– Wcześniej nie chciałam cię zabić, chciałam cię tylko odciągnąć od sprawy. Ale ciebie nie tak łatwo odciągnąć, prawda?

Tylko po to, żeby sprawdzić, ile mam siły, spróbowałam złapać podnośnik. Chyba nie miałam dość miejsca na zamach, żeby ją nim uderzyć, nawet gdyby posłusznie nie ruszała się dłuższy czas. Gdyby przeszła na tył samochodu i otworzyła bagażnik, zobaczyłaby, co mam za plecami. Pamiętam czas, kiedy jedyną rzeczą, o którą musiałam się martwić, były bolące plecy. Zachichotałam w jakimś małym kawałku mózgu, który nadal funkcjonował i przyglądał się, co się dzieje z resztą mojej osoby. Coraz mniej obchodziło mnie, co się stanie.

– Cóż, przez jakiś czas dotrzymam ci towarzystwa – powiedziała Mallory. Popchnęła do tyłu siedzenie, tak żeby zostawić szparę, ale żeby nie dochodziło do mnie za dużo powietrza. Słyszałam, jak wzięła jedną z butelek wody, które Carlo trzymał na podłodze pod tylnym siedzeniem, otworzyła ją i ułożyła się wygodnie plecami do drzwi. Była tylko kawałek ode mnie, ale dzieliły nas życie i śmierć.

– Przepraszam, że muszę to zrobić w ten sposób, ale to powinno wyglądać naturalnie. Wymyśliłam nawet, co zrobić z tą dziurą w twojej nodze. – Mówiła o tym tak zwyczajnie, jakby spędziła zbyt wiele czasu pielęgnowując ten wzór perfekcji i teraz pozostał jej tylko obraz. – Musisz się fatalnie czuć – powiedziała nie bez współczucia. Miałam wrażenie, że nawet kiedy bierze się do zamordowania mnie, chce, żebym ją lubiła.

Nie przeszkadzało jej, że nie odpowiadam. Pomyślałam, że z jej punktu widzenia to nawet lepiej, nie musi zwracać sobie głowy zwracaniem uwagi na inną osobę. Mówiła dalej, jak przy niezliczonych przyjacielskich spotkaniach przy kieliszku wina. Tyle że teraz tykała haustami wodę, a ja zabiłabym ją za to. I mówiła o przyszłości tak, jak nigdy dotąd się jej nie zdarzało.

– Santa Fe to ładna miejscowość. Każdy pochodzi z innego miejsca, jak w Tucson. Mnóstwo sztuki i rzemiosła. Pieniądze. Mam zamiar sprzedać dom, jak tylko Owen umrze. Kurczę, wszystko to na mojej głowie. Prawda, że cała reszta to twoja wina, ale na siebie biorę spartaczenie sprawy z Owenem. – Westchnienie, kolejny tyk wody. Chwila ciszy, może myśli. Odezwała się: – Może Carlowi spodoba się Santa Fe. Poważnie mówiła, że nie chcesz, żebym zaopiekowała się Carlem, gdybyś umarła? Chyba nawet lubię Gemmę-Kate. Przypadła mi do gustu.

Milczałam; byłam zbyt wykończona, żeby dowodzić, że Gemma-Kate jest zupełnie inna niż ona. A przynajmniej nie aż tak bardzo podobna. Ale Mallory, wspominając o Carlu, pobudziła

mój umysł i mięśnie do życia, chociaż niewiele go we mnie zostało. Carlo nie będzie następny.

Czuła, że słabnę, robiła się coraz mniej spięta.

– Niedobrze, że właśnie teraz nie możesz mówić. Chciałabym się dokładniej dowiedzieć, jak wpływały na ciebie lekarstwa. Na wypadek, gdybym kiedyś znowu chciała tego spróbować. Robiłam na tobie doświadczenia, ale jesteś twardsza, niż na to wyglądasz. Nie jestem pewna, jaka jest optymalna dawka.

Mallory znowu podniosła oparcie siedzenia. Mijał czas, ale samochód nie ruszał. Musiała nadal siedzieć na tylnym siedzeniu, bo usłyszałam, jak dzwoni jej komórka.

Some Enchanted Evening. Odczekała chwilę, nie odbierając, żeby wyglądało to zwyczajnie.

Pchnęła oparcie na miejsce. „You will see a stranger. You will see a...”

– Cześć, Carlo – powiedziała radośnie i nawet ja byłabym pewna, że nie wozi z sobą w bagażniku umierającej kobiety. – Och, Gemmo-Kate? – Próbowałam wrzasnąć tak głośno, żeby mnie usłyszano przez tapicerkę tylnego siedzenia, ale w moim stanie mogłam się zdobyć najwyżej na głos nowo narodzonej foki. Pewnie mnie nie słyszała, ale ja słyszałam ją.

– Aha, wpadła jakiś czas temu... coś mówiła, że idzie na przechadzkę, byłam zajęta moim mężem, Owenem i nie bardzo zwracałam na to uwagę... może poszła na szlak Linda Vista?... Przykro mi... wiesz, jak teraz o tym myślę, to nie najlepiej wyglądała...

Zebrałam resztkę sił i zaczęłam walić pięściami w tył siedzenia.

Mallory, nadal radosnym głosem, powiedziała:

– ...och, wiesz, chyba słyszę faceta z UPS przy drzwiach. Jak Brigid wróci do domu, powiesz jej, żeby do mnie zadzwoniła, czy z nią wszystko w porządku? Dziękuję. Cześć.

Połączyła ostatnie słowo z uwodzicielskim przydechem, którego zawsze używała na pożegnanie. Doskonały obrazek

Usłyszałam, jak tylne drzwi samochodu otwierają się i znowu zamykają, a wkrótce samochód zapalił i zaczął jechać. Nasłuchiwałam odgłosów innych samochodów, ale teraz niczego nie słyszałam. Byłyśmy gdzieś na drodze z dala od ruchu na głównej arterii, gdzie Mallory nie musiała się obawiać, że ją zobaczą. Może wcale nie jechałyśmy drogą.

Chyba straciłam przytomność. Nie byłam w stanie stwierdzić, ile czasu minęło do chwili, gdy walenie w pokrywę bagażnika, być może rękojeścią pistoletu, przywróciło mi świadomość.

– Nadal jesteś? – zapytała Mallory przez pokrywę. – Kochana, naprawdę musimy przyspieszyć sprawę.

Pokrywa bagażnika otworzyła się, wpuszczając więcej światła niż szczelina w tylnym siedzeniu. Nadal nie byłam pewna, ile czasu minęło, słońce świeciło mi w oczy, a ja usiłowałam sobie przypomnieć, czy jest popołudnie, czy rano. Wiedziałybyśmy dzięki temu, gdzie na niebie jest słońce, w którą stronę patrzeć. Mallory pływała przed moimi oczami, a może było ich dwie. Obie nadal nieostre.

Próbowałam chwycić podnośnik, ale bez trudu wyjęła mi go z dłoni.

– Masz tyle siły, że sama wysiądziesz z samochodu, czy mam cię wyciągnąć?

Chyba poruszyłam ustami, ale nie wydostał się żaden dźwięk. Mallory chrząknęła z zakłopotaniem.

– Brigid, nie chcę, żebyś pomyślała, że mi się to podoba. Byłaś dobrą przyjaciółką. Ale jedna rzecz pociąga drugą i wybór się zawęża. Mam nadzieję, że na jakimś poziomie zrozumiesz. Nie znoszę myśli, że mogłabyś mieć złe zdanie na mój temat. Proszę, ten sznur się przyda.

Mallory położyła pistolet na zderzaku, najpierw ostrożnie dotknęła z boku mojej szyi, żeby się upewnić, że puls jest słaby tak jak powinien, i wyszarpnęła spode mnie elastyczny sznur. Znowu sprawdziła mi puls; wyglądała na zadowoloną. Owinęła sznur wokół moich ramion, oparła się biodrem o tył samochodu i pociągnęła.

– No dalej, pomóż mi chociaż trochę. Muszę wracać do domu. Na zewnątrz lepiej się poczujesz. Lepiej, niż gdybyśmy obie miały tutaj siedzieć przez wieczność i czekać, aż zejdziesz.

Próbowałam unieść ręce, żeby oprzeć się o krawędź bagażnika. Opadły. Mallory westchnęła i pociągnęła mocniej, aż usiadłam. Potem, jedną ręką chwytając mnie za włosy, które wypadły spod opaski kucyka, wyciągnęła moje nadal bezwładne ciało z bagażnika. Uderzyłam o zderzak i upadłam bokiem na ziemię.

– W porządku, prawie dobrze – oceniła Mallory. Wybrała płaski odcinek drogi, żeby w obie strony mieć daleką perspektywę. Dokładnie się rozejrzała, a że nie jechał żaden samochód, nachyliła się, żeby przetoczyć moje ciało do małego rowu, wypłukanego przez sezonowe deszcze. Tam nie zobaczyłby mnie od razu żaden pieszy turysta.

Usłyszałam dźwięk ptak albo telefon komórkowy. To musiał być telefon, bo usłyszałam, jak Mallory mówi gdzieś nade mną:

– Halo? Halo, Carlo! Nie rozmawiałeś z Gemmą-Kate? Mówiłam jej, że Brigid była tutaj i pytała, czy chcę się powłóczyć, ale nie mogłam zostawić Owena. Och, nie wiem, może ze dwie godziny temu? Wydaje ci się, że to długo? Wiem, wiem, powiedziałam jej, że lepiej, żeby nie szła w tym stanie i w ogóle, ale znasz naszą Brigid. Nie wyglądała dobrze, jakby nie była sobą. Zadzwoniłbyś do mnie, jakbyś dostał od niej sygnał? Trochę się boję. Cześć.

Nadal byłam bezwładna, leżałam tam na dnie rowu odwadniającego z ustami i oczami pełnymi piasku, przez który mnie przetoczyła. Twarz Mallory pływała przede mną, raz dalej, raz bliżej. Kiedy się zogniskowała, wyglądała jak inna Mallory, której jeszcze nie widziałam. Była wystraszona. Nie zdenerwowana, jak wcześniej, ale wystraszona.

– Są zaniepokojeni, Brigid – powiedziała. – Zastanawia mnie, czy powiedziałaś mi całą prawdę. Brigid, kto jeszcze wie?

Poruszyłam ustami, ale nie mogłam wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Ukłękła, żeby lepiej słyszeć, co mówię, ale nawet teraz uważała, żeby za bardzo się nie zbliżyć. Powiedziała, tym razem głośniej:

– Brigid, kto jeszcze wie?

– Nikt – wyduśiłam z siebie.

– Chcę, żeby to było całkowicie jasne. Czy mówiłaś Gemmie-Kate? – Nie odpowiadałam, więc Mallory sięgnęła tam, gdzie kula trafiła mnie w udo. Wepchnęła kciuk w ranę i udało się jej wydobyć ze mnie krzyk, który zabrzmiał jak „nieeee”.

Wepchnęła go jeszcze raz, pytając:

– Carlo?

Próbowałam coś powiedzieć, ale nie mogłam, chociaż rozpaczliwie pragnęłam ich uratować.

– Ua! – wydmuchałam przez spieczone usta.

Mallory westchnęła niecierpliwie.

– Może tylko troszeczkę, żeby wyjaśnić sprawę. – Zostawiła mnie w rowie i wróciła do samochodu, po chwili była z powrotem z wodą. Nalała mi kilka kropli na wargi, ale cofnęła się, kiedy próbowałam otoczyć ustami wylot. Wciągnęłam krople do ust, żeby zwilżyć język i

poczułam, jak odrobina płynu spływa mi do przelęku.

– Gdyby coś podejrzewali, nie dzwoniłoby do ciebie – wychrypiałam.

Zastanowiła się nad tym.

– Bo przyśięgam, że zabiję ich oboje, jeśli coś powiedziałaś.

Kiedy słuchałam tych słów, zdałam sobie sprawę, że głos jej drży. Jej przesadna groźba plus to drżenie oznaczały brawurę. Właśnie zrozumiała, że prawdopodobnie nie zaplanowała wszytkiego tak elegancko, jak się jej wydawało. Że sprawa się ujawni, a ona ujawni się wraz z nią. Ale było już za późno, żeby zmieniać kurs.

– Muszę się stąd wynosić – powiedziała, chyba do siebie.

Zostawiła mnie na chwilę, a kiedy znowu zobaczyłam ją nad sobą, w jednej ręce miała podnośnik, a w drugiej pistolet. Ukłękła na skraju rowu i uniosła podnośnik nad moją nogą. Błagałam, żeby tego nie robiła. O dziwo, powstrzymała się i usiadła na piętach.

– Masz rację, mogą się domyślić – powiedziała. Rozejrzała się, zostawiła podnośnik na ziemi, wstała i rączką pistoletu uderzyła w ramię rosnącego obok kaktusa teddy bear cholla. Rąbała ramię, póki nie wpadło do rowu obok mnie. Znowu ukłękła, pistolet położyła obok siebie, ulokowała kolczastą część kaktusa na ranie w mojej nodze i za pomocą podnośnika zaczęła ją wbijać. Znowu krzyknęłam, ale było to raczej chrząknięcie niż wrzask.

– Zauważyłaś, że to ma małe haczyki na końcach kolców? Jak się w ciebie wbijają, trudno je wyciągnąć.

Poszła do samochodu i wróciła z moją laską. Była z lekkiego drewna, więc mogła ją złamać stopą.

– Złamałaś laskę i próbowałaś ostrzem wydłubać kolce.

Grzebała mi w nodze, pracowicie maskując wszystko, co mogło wyglądać na postrzał z broni palnej. Usłyszałam, jak ktoś wydaje z siebie wysokie krzyki potwornego bólu.

– Biedna, biedna Brigid, poddałaś się i udało ci się tylko rozprać nogę.

Mallory przerwała, żeby podziwiać swoje rękodzieło. Pistolet położyła na ziemi, obok siebie. Domyślałam się, że przestała martwić się moim oporem, kiedy zobaczyła, że nie potrafię się niczego przytrzymać, a teraz ból jeszcze bardziej mnie osłabił.

Ale może to ból pomógł. Pomyślałam o schronisku dla dziewcząt i kobiet, o tej, która wolała być ofiarą.

Nawet jeśli nigdy się o tym nie dowie, pokażę jej teraz, co to znaczy nie być ofiarą.

Podniosłam się wolniej, niżbym chciała, ale czynnik zaskoczenia był po mojej stronie. Po omacku sięgnęłam do pistoletu, ale moja ręka trafiła na lufę, a nie na chwyt. Mallory zobaczyła, co robię, rzuciła laskę i sama chwyciła za broń.

Byłam słaba i ranna, a ona silna i dobrze nawodniona. Co mam robić, Baxter? Masz jakiś dobry pomysł, czego użyć, jak nie ma czego użyć?

Moje ciało, pomyślałam. Ciężar ciała to było wszystko, co mi zostało.

Przetoczyłam się na bok, co ułatwiło mi podciągnięcie pod siebie ręki z pistoletem. To znaczyło, że grozi mi niebezpieczeństwo, bo gdyby znowu wypalił, mógł trafić w ważny życiowo organ, ale dzięki temu posunięciu Mallory straciła równowagę. Ześlizgnęła się na mnie po boku rowu. Miałam pistolet i jej prawe ramię pod sobą. Lewą ręką biła mnie po głowie. Kiedy indziej różnieszłyby mnie to.

Szamotałyśmy się w wąskim rowie, ale dawało to tyle korzyści, co płasy dwóch ryb na

pokładzie. Niby byłam prawie nie do życia pod wpływem lekarstw i zaawansowanego przegrzania, ale Mallory, chociaż była morderczynią, nie miała doświadczenia w walce wręcz i sama mówiła, że nie jest w najlepszym stanie. Tyle, jeśli chodzi o moją przewagę. Bez przerwy mnie tłukła, teraz w niższą część pleców, bo wiedziała, że to wrażliwy obszar, ale udało mi się przysunąć jej ramię bliżej mojej twarzy. Wgryzłam się w mięśnie i trzymałam. Zrobiła to, na co liczyłam. Rozwarła odruchowo palce. Wyszarpnęła ramię, ale zostawiła pistolet.

Domyśliłam się, że wie o mojej przewadze. Zaczęła wspinać się na tyłku; próbowała wejść na stok strumyka nie odwracając się do mnie plecami, jakby to miało ją obronić. Wokół leżało mnóstwo kamieni. Gdyby dorwała się do nich, wystarczył celny rzut, żeby mnie wykończyć. Byłoby po mnie. Była jakieś trzy metry ode mnie, kiedy przewróciłam się na bok i wycelowałam w nią pistolet. Nadal więcej niż jedna Mallory czołgała się po ziemi. Wybrałam jedną z nich i strzeliłam.

Nie wiedziałam, czy pocisk w nią trafił, a jeśli tak, to gdzie. Nadal się ruszała. Tak to jest z tymi małokalibrowymi pistoletami, strzał nie powala człowieka jak na filmach. Znowu wypaliłam i trafiłam w prawą tylną oponę samochodu. Uszło z niej powietrze. W niczym to nie przypominało ćwiczeń na strzelnicy.

Znów miałam ją na muszce. Czołgała się skrajem rowu. Może raz ją trafiłam, może wcale. Podciągnęłam się na górę rowu i podparłam broń o krawędź. Udało się jej wstać, kuśtykała w stronę samochodu. Nawet z przebitą oponą mogłaby ujechać na tyle daleko, żeby uzyskać pomoc, powiedzieć, że zwariowałam i próbowałam ją zabić.

Nie mogłam pozwolić, żeby mnie tu zostawiła. Byłam bliska śmierci i potrzebowałam jej telefonu komórkowego, żeby zadzwonić po pomoc. Mogłaby mi zabić za komórkę.

Zmrużyłam oczy, żeby poprawić ostrość i ponownie strzeliłam. Dotarła w pobliże samochodu i tam osunęła się na karoserię. Twarzą uderzyła w błotnik i przejechała nią po oponie, kiedy padała. To znaczyło, że chyba ją trafiłam. Mallory była tak próżna, że nie pozwoliłaby sobie uszkodzić twarzy.

Mimo wszystko trzymałam pistolet, czołgając się po ziemi w stronę jej ciała. Obmacałam jej kieszenie, ale nie miała przy sobie komórki. Może ją upuściła. Nadzieja w Bogu, że nie zostawiła telefonu w samochodzie, bo chyba nie starczyłoby mi sił, żeby wspiąć się na przedni fotel. Przeczłapałam się zatem przez nogi Mallory i na ślepo zaczęłam szukać wokół samochodu.

Wyczułam go wreszcie palcami na ziemi obok bagażnika. Ledwie widziałam małe ikony, ale udało mi się zadzwonić pod dziewięć, jeden, jeden. Odpowiedziała jakaś kobieta.

– Postrzał... – Ręka opadła mi na ziemię. Patrzyłam, jak tam leży, nadal trzymając telefon. Nie potrafiłabym mówić na tyle głośno, żeby usłyszano mnie z odległości, więc zebrałam wszystkie siły, żeby znów unieść rękę i powiedzieć do telefonu: – Droga m... Dy...

Więcej nie mogłam zrobić. Zostawiłam sygnał i opadłam na bok wozu obok nieruchomego ciała Mallory. Słuchałam natarczywego głosu dyspozytorki, pytającego bez potrzeby, czy jestem ciężko ranna. Mallory miała otwarte oczy, patrzyła na odległe góry. Poznałam, że nie żyje. Patrzyłam na krew sączącą się przez moje brudne dżinsy i pomyślałam, że powinnam wziąć ten elastyczny sznur leżący za samochodem i zrobić z niego opaskę uciskową. Wiedziałam też, że mądrze byłoby wziąć z przedniego siedzenia butelkę wody, którą tam trzymałam. A gdyby udało mi się wspiąć na fotel kierowcy... wyobraziłam sobie, jak włączam silnik i odjeżdżam. Gdybym znalazła kluczyki. Myślałam, jak to wszystko zrobić i wtedy zemdlałam.

Ocknęłam się w karetce, ale nadal nie wiedziałam, gdzie jestem. W mętlik w głowie nie pomogła twarz Carla nachylająca się nade mną. Patrzył z miną człowieka zagładającego do trumny. Na twarzy miał pasemka brudu i małą smugę czegoś, co wyglądało na moją krew, chociaż nie przychodziło mi na myśl, jak mogła się tam dostać.

Zwrócił się do jednego z sanitariuszy, który siedział po mojej drugiej stronie.

– Jak się miewamy? – zapytał.

Jesteśmy w formie jak cholera, pomyślałam.

– Temperatura spada, trzymamy ją na płynach. Jest stabilna – powiedział sanitariusz.

– Dobrze – powiedział Carlo. Potem znów spojrzął na mnie. – Nie mówię, że to wielki problem, ale masz zamiar dalej wycinać takie numery? – Carlo potrafi być złośliwy, ale zazwyczaj tak nie mówi, chyba że jest naprawdę zdenerwowany. Był naprawdę zdenerwowany.

Pokręciłam głową, że nie, bo nie byłam pewna, czy dam radę coś powiedzieć. Czułam się źle, ale doszłam do wniosku, że przeżycie to wspaniała rzecz i chciałam zadać kilka pytań. Sięgnęłam do uda i zaczęłam go dotykać. Palcami wyczułam kawałki denimu tam, gdzie musieli przeciąć tkaninę, kiedy byłam nieprzytomna.

– Noga? – zapytałam.

Carlo mocniej ścisnął mnie za rękę – dopiero teraz zauważyłam, że to robi – i uciszył mnie.

Ale sanitariusz pokiwał głową; pewnie potrafił rozpoznać zawodowca, kiedy miał z nim styczność.

– Ma pani brzydłą ranę na lewym biodrze, ale nie wygląda na to, żeby utrata krwi była duża. Kolce kaktusa wyciągną w szpitalu.

Nie musiałam pytać, czy Mallory nie żyje. Podniosłam prawą rękę i kciukiem zatrzymałam wyimaginowany stoper. Mój prywatny dowcip.

– My ...? – wyszeptalam.

– W drodze do szpitala Oro Valley – odparł.

Pokręciłam głową, nawet w takim stanie byłam niecierpliwa. Próbowałam znowu coś powiedzieć. Nie mogłam.

– Ua! – wykrzusiłam.

Sanitariusz złapał butelkę z wodą, włożył do niej słomkę i podał mi. Kiedy zwilżyłam usta i gardło, oblażałam wargi i na próbę przełknęłam, powiedziałam:

– To znaczy ... gdzie mnie znaleźliście?

Wyglądał na zdumionego, ale i tak odpowiedział:

– Na drodze, która wspina się po Calle Concordia do tras turystycznych na Pusch Ridge. Nie

wiedziałaś?

Mallory obwozła mnie dookoła i zatrzymała się tuż za swoją posiadłością. To dlatego mogłaby łatwo wrócić pieszo od samochodu. I mogłaby powiedzieć, że wyszłam od niej na przechadzkę. A ja mogłam zniknąć, później zaś nikt by jej nie podejrzewał.

– Owen – powiedziałam. – Hollinger.

– To mąż tej kobiety... kobiety, która została zastrzelona – powiedział Carlo do sanitariuszy. Zauważyłam, że postarał się, żeby użyć strony bezosobowej i nie wplątać mnie w przestępstwo. Odezwał się do mnie:

– Najpierw poszedłem do domu i znalazłem Owena samego. Znalazłem numer Annette. Jest z nim teraz.

Trochę zaczynał mi wracać głos, oblizalam wargi, żeby je uelastyczyć.

– Co chciałeś zrobić w domu Mallory?

Carlo uśmiechnął się.

– Bo ja wiem? Nie myślałem racjonalnie, wyobrazałem sobie różne rzeczy. Wykopać drzwi, rąbnąć Mallory w głowę butelką asti spumante. Ta myśl dawała mi dziwną satysfakcję.

To znaczyło, że nie będzie już na mnie zły. Podniosłam kciuk, ale kiedy sobie przypomniałam, że ona miała pistolet, opuściłam kciuk i mocniej ścisnęłam go za rękę. Musieli mi coś podać, bo znowu straciłam przytomność.

Wypisali mnie następnego dnia. Noc spędziłam na leczeniu rany w nodze, obserwacji i dalszym nawadnianiu. Carlo pomógł mi usiąść na przednim fotelu wyjątego samochodu. On prowadził.

– Dobrze, że miałam tę komórkę, bo mogli mnie namierzyć – powiedziałam.

– Och, szukali cię już, zanim zadzwoniłaś – odparł.

– Dlaczego?

– Kiedy wróciłem do domu, Gemma-Kate była zdenerwowana, bo od dłuższego czasu nie miała od ciebie wiadomości. Powiedziała mi wszystko, że Mallory cię truła. Mallory cię truła! To zabrzmiało tak dziwnie, że rozłościłem się na nią i na siebie, bo nie brałem cię na serio, kiedy mi powiedziałaś, że Gemma-Kate jest niebezpieczna. Ale kiedy zadzwoniłem do Mallory, stały się trzy rzeczy...

– Jakie, panie psorze?

– Po pierwsze, zanim zdążyłem coś powiedzieć, ona stwierdziła, że poszłaś na spacer. Ty mi zawsze mówisz, którą trasą pójdziesz, kiedy jesteś sama.

– A druga rzecz?

– Mallory powiedziała, że nie najlepiej wyglądałaś. Cóż, gdyby Gemma-Kate nie powiedziała mi, co się dzieje, może nie zrobiłbym się podejrzliwy, ale Mallory nie powiedziała ani słowa o twojej posiniaczonej twarzy. Powinna wspomnieć coś na ten temat, a nie tak ogólnie, „nie najlepiej wyglądała”.

– Co jeszcze?

– Językowa anomalia. Mallory powiedziała, że „nie najlepiej wyglądałaś”. Normalnie nigdy by tak się nie wyraziła. Użyłaby słów „nie wyglądałaś dobrze”. Wszystko w tej rozmowie – i znów, jeśli wzięło się pod uwagę to, co powiedziała Gemma-Kate – było po prostu nie tak. Wreszcie, kiedy sprawdziłem twój stolik nocny, gdzie trzymałaś pistolet i zobaczyłem, że go tam nie ma, wiedziałem, że skoro go wzięłaś ze sobą, to sprawa jest poważna.

– Nie okłamałam cię. Gemma-Kate opóźniła twoje przyjscie do domu.

– Mówiła mi – powiedział.

– Więc wezwalesz policję?

– Z początku próbowałem, ale to nie było takie łatwe. Powiedzieli, że minęło za mało czasu, żeby rozpocząć poszukiwania. Nie chcieli słuchać mojej zwiariowanej historii o Mallory i muszę przyznać, że raczej nie mówiłem z sensem. Więc zadzwoniłem do Eliasa, który zadzwonił do parafianina, detektywa na policyjnego.

– Tony’ego Salazara.

– Właśnie do niego. Wziął mnie albo Eliasa na serio. Zaraz poszli do domu Hollingerów i

szukali samochodu z helikoptera, zanim odebrano twój telefon. Pojechałem tam, jakby mnie diabeł gonił i upewniłem się, że z Owenem wszystko w porządku. Więc kiedy cię znaleźli, mogłem tam dobiec.

– Uratowałeś mi życie – westchnęłam. Nie musiałam mówić dziękuję, bo na jego twarzy widać było satysfakcję, że to powiedziałam.

Patrzyłam przez okno samochodu na Catalina Ridge po naszej prawej. Przez większość czasu te góry wyglądają, jakby je płasko namalowano na tle nieba, ale późnym popołudniem słońce rzuca cienie i lepiej można zobaczyć głębię kanionów biegnących przez pasmo. W ten sposób stają się bardziej interesujące.

Prosto ze szpitala pojechaliśmy do domu Hollingerów. Jeszcze leżąc w łóżku rozmawiałam z Tonym Salazarem i Samem Humphriem. Prywatnie powiedziałam Tony’emu, że ubiję z nim targ. Pozwoli Owenowi potwierdzić moją wersję, że strzeliłam Mallory w plecy w obronie własnej, a ja nie rozpowszechnię prawdy o tym, jak jego wydział spieprzył śledztwo w sprawie śmierci Joego Neilsena. Ale pomyślałam, że sprawa i tak się rozjeździe. Już się o to zatroszczy Lulu Manwaring.

Annette była w domu, żeby zająć się Owenem, gdyby coś się stało podczas przesłuchania, a także, żeby wystąpić jako jeszcze jeden świadek przy jego zeznaniu.

Owen nie spał czy rozbysty mu, kiedy mnie rozpoznał, potem pojawiło się w nich pytanie, kiedy zobaczył, że za mną do pokoju wchodzi Carlo, Tony Salazar i Sam Humphries. Usiadłam obok niego na łóżku, gdzie tyle razy widziałam siedzącą Mallory, i położyłam mu rękę na ramieniu.

Przypominałam sobie, co czytałam o jego stanie w Internecie i zapytałam, czy czuje moją rękę. Mrugnął raz, tak. Z początku jedyny dźwięk w pokoju wydawał ssący powietrze wentylator. Jeśli inni zwrócili uwagę na zapach, do którego przywykłam, nie pokazali tego po sobie.

– Cześć, Owen – powiedział Carlo. Nie szkodzi, że mamy i księdza, i pielęgniarkę do pomocy. Trudno było zgadnąć, co się stanie.

Owen mrugnął dwa razy na powitanie.

– Owenie – zaczęłam – ten człowiek to Anthony Salazar. Jest szefem detektywów w Wydziale Policji Tucson, a to detektyw Sam Humphries. Chcą, żebyś potwierdził kilka informacji, które im podałam. Dotyczą ciebie, Mallory, Josepha Neilsena i mężczyzny o nazwisku Frank Ganim. Pomożesz?

Owen mrugnął dwa razy i mogłabym przysiąc, że zrobił to z westchnieniem ulgi.

Salazar stał w nogach jego łóżka z dłońmi złączonymi na brzuchu, lekko wciągniętym podbródkiem i wyglądał, jakby się cofał, ale oczy miał utkwione w Owenie. Jego postawa była pełna szacunku, co mi się w nim spodobało.

– Owenie – zapytałam – czy wiesz, co się stało z Mallory?

Dwa razy mrugnął oczami. „Tak”.

– Już chyba znam prawie całą historię, ale mógłbyś wypełnić w niej luki. Zrobiłbyś to? Wystarczy, że będziesz odpowiadał tak lub nie.

Było to jednoznaczne prowadzenie świadka, ale w tych okolicznościach Salazar nie zaprotestował.

„Tak”.

– Jakiś czas po waszym ślubie dowiedziałeś się, że Mallory zabiła swojego pierwszego męża,

prawda?

Annette próbowała zachować się jak zawodowiec, ale nie potrafiła powstrzymać się od odruchu przerażenia, kiedy to usłyszała. Odwróciłam się do niej i powiedziałam:

– Może będę cię potrzebowała. Pomożesz mi, prawda?

Kiwnęła głową. Popatrzyłam na Carla i zrozumiałam, że też zostanie tutaj, gdyby był komuś potrzebny.

Powtórzyłam, że Owen musiał się dowiedzieć, że Mallory zabiła swojego pierwszego męża, ale...

„Nie”.

– Niczego nie podejrzewałeś?

„Nie”.

– Uważałeś, że wasze małżeństwo jest szczęśliwe?

„Tak”.

– Ale wczoraj powiedziałeś mi, że Mallory ci to zrobiła.

„Tak”.

– Zatrzymała samochód na torach i zostawiła cię w nim. Czy twój pas bezpieczeństwa się zaciął?

Zatrzęotałam powiekami. Nie jestem nawet pewna, czy pamiętał wszystkie szczegóły tamtego wieczoru.

– Gdzie się nauczyłeś SOS, w marynarce?

„Tak”.

– Mallory powiedziała mi, że próbowała cię zabić, ale Joe zobaczył, jak sypie sól do cewnika. Więc zabiła Joego.

„Tak”. Cóż za smutne mrugnięcie. Wcześniej nie zauważyłam, jak wymowne oczy ma Owen. Mogłabym częściej się z nim porozumiewać, gdyby nie Mallory, która zawsze przeszkadzała.

Przez dłuższy czas tak robiliśmy. Ja zgadywałam, a Owen poprawiał mnie, kiedy moje domysły były nieprawidłowe. Nie spał i z przerażeniem patrzył, jak Mallory zabiera się do nasypiania soli do cewnika. Przyszedł Joe i natknął się na nią, gdy była pochłonięta swoim zajęciem. Młocinnie zapytał ją, co robi; wyglądał na zafascynowanego, powiedział, że opowie o tym swojemu ojczy mowi. Okazało się, że Joe pragnął miłości i szacunku ze strony ojca bardziej, niż Tim czy Jacque uważali. Annette też wypełniała luki; wyjaśniła, że sól w odpowiedniej ilości obniża ciśnienie krwi, co prowadzi do zgonu. I że ze względu na stan Owena i jego wolę życia nie byłoby śledztwa w sprawie śmierci.

– Nie jestem pewna, czy Mallory zabiła Franka Ganimę za pomocą odmrażacza, żeby zemścić, a potem uciskiem na arterię szyjną, żeby go wykończyć. Czy Mallory mówiła ci o Ganimie?

Ciężnienie krwi Owena poskoczyło, kiedy sobie przypomniał. „Tak”.

– Dlaczego nie zastosowała tego wobec ciebie? To byłoby przecież łatwe.

SOS, zamrugał.

– Chcesz odpowiadać alfabetem Morse’a? Proszę.

„Frnk prszy”.

– Sprawdziała to na Ganimie, żeby sprawdzić, czy zadziała bez wzrostu mialgii. Annette, mogłabyś nam teraz pomóc?

Annette dała mu coś na spowolnienie tętna i kiedy wystarczająco wrócił do siebie, mrugnął „tak”.

Trwało to długo, robiliśmy przerwy, ale i tak poszło szybciej niż myślałam, bo zdążyłam już odgadnąć sporą część tej historii i wiedziałam, jakie pytania zadawać. Mallory zabiła Franka Ganima, bo dowiedziała się, co zrobiła, wytropił ją w Tucson i chciał szantażować. Kiedy nikogo nie było w pobliżu, Mallory mówiła do Owena, opowiadała o wszystkim, co się stało i co ma zamiar zrobić, żeby się z tym uporać. Powiedziała mu, że daje mi coś, żeby mnie spowolnić. W końcu wyznała Owenowi, że będzie musiała zabić mnie, a potem jego.

Kiedy Owen zaczął wyglądać na zmęczonego, a my uznaliśmy, że mamy już dosyć faktów, znowu przekazał mi sygnał SOS.

– Co jeszcze? – zapytałam.

Długie mrugnięcie, dwa krótkie.

– D – powiedziałam.

Długie, długie, krótkie, krótkie

– Z.

Krótkie, krótkie.

– I.

Krótkie, krótkie, długie, krótkie, krótkie.

– E.

Długie, krótkie, długie.

– K.

Krótkie, krótkie. I.

– To był mój obowiązek – powiedziałam, zasmucona tą wdzięcznością za uratowanie takiego życia.

Po wyjściu z domu porozmawiałam z Tonym i Samem. Podczas nocy w szpitalu miałam trochę czasu, żeby przemyśleć, jak można zrekonstruować utonięcie Joego, z uwzględnieniem wszystkich przypuszczeń, oczywiście. Jak Mallory zdołała przejść tylną ścieżką do domu Neilsena, kiedy Joe był sam? Joe nie wiedziałby, że to zrobiła, tylko że pojawiła się w domu z sześciopakiem. Zrobiła, co chciała, zabrała do domu resztę piwa, zanim dorośli wrócili.

Carlo zatrzymał się ze mną ponownie, tym razem w domu Neilsenów, gdzie mnie oczekiwano. Tim wyglądał na zdenerwowanego, kiedy usiadł na kanapie naprzeciwko Carla i Jacquie. Powiedziałam Jacquie, że jej przeczucia były prawidłowe, że Joe nie zginął w wyniku bezsensownego żartu ani nie załatwił się sam. Wyjaśniłam, że syn nie popełnił samobójstwa, bo ojczym go odrzucał, nie zęcali się też nad nim chłopcy z grupy młodzieżowej. Został zamordowany, bo wziął się za pechową sprawę, czynił dobro, czytając Owenowi. Tyle prawdy powinno jej wystarczyć. Nie powiedziałam Jacquie, co wiem o Timie, który ukrywał przed nią raport toksykologiczny. Kiedy zrozumiał, że tego nie zrobię, głęboko odetchnął, a Jacquie omyłkowo wzięła to za objaw współczucia. Kiedy wychodziliśmy z Carlem, oboje nawzajem się pocieszali.

Nigdy nie spotkałam doktora Lariego Paunchese.

Owen zmarł wkrótce po tym, jak to wszystko spisałam, ale przynajmniej ostatnie dni spędził bez strachu. Elias Manwaring nie wiedział wszystkiego. Fortuna Hollingera poszła w połowie na św. Marcina, co bardzo złagodziło nerwowe podejście Eliasa do finansów kościoła, a połowa na

Interfaith Community Services, bank żywnościowy w Tucson. Jakby to wyglądało, gdyby Owen zmarł pół roku wcześniej na zatrzymanie akcji serca wywołane solą w cewniku albo przed rokiem, w tym wypadku kolejowym? Joe Neilsem by żył. Mallory Hollinger by żyła. Nadal byłybyśmy najlepszymi kumpelkami. A może już nastawiałaby swój celownik na męża numer trzy.

Kiedy następnego dnia przyszła poczta, dowiedziałam się, że grzywna za zniszczenie laktusa wynosi dziesięć tysięcy dolarów.

Późnym popołudniem poszliśmy odebrać Ala, który wbiegł truchtem do domu i od niechcienia włożył na swoją siostrę, żeby na powrót ustanowić swój status samca alfa.

Przy kolacji rozmawialiśmy wszyscy troje, jakbyśmy byli rodziną. Nie było tylko mowy o tym, jak minął dzień w szkole i jak tam z książką Carla i ojej, jaka ta domowa pizza dobra. Rozmawialiśmy o Quinnach.

– Dlaczego Mallory zabiła Joego, a nie ciebie albo Owena? – zapytał Carlo.

– Ona nie żyje, więc nie można tego wiedzieć na pewno – odparłam. – Ale domyślałam się, że łatwo było zabić kogoś, kto nie miał z nią jakichś mocniejszych związków, nie licząc nieregularnego czytania jej mężowi. Nie było wielkiego ryzyka, że wzbudzi podejrzenia. Drugi mąż umiera pod jej opieką i ktoś mógłby odkryć, że był i pierwszy. Dlatego chciała, żeby Joe był świadkiem, jak Owen dostaje ataku serca, tylko że Joe przyszedł za wcześnie i Mallory bała się, że powie ojczymowi, lekarzowi, o soli w cewniku. Pewnie wpadła w panikę. Jeśli chodzi o mnie, to wymyśliła, że doprowadzi mnie do choroby i będę musiała zrezygnować ze śledztwa.

– O, to mi coś przypomniało – powiedziała Gemma-Kate. – Czytałam trochę o antydepresantach. Było tam coś o serze. Pamiętasz, że jadłaś mnóstwo sera?

– Co tam było o serze?

– W tej książce, którą czytałam, napisali, że ser łączy się z antydepresantami i może wywołać zespół serotoninowy, a nawet wpędzić człowieka w parkinsona.

Przypomniałam sobie rzymski ser w zupie, ser pleśniowy w „Blanco’s”, barmana w „Ramone’s”, który napomknął, jaką dobrą przyjaciółką jest Mallory, kiedy nalewał schłodzoną wódkę na nadziewane oliwki (czy dlatego, że Mallory dostarczała te oliwki?) i więcej sera w domu Mallory... nawet ser, którego Gemma-Kate dodawała całkiem niewinnie do tego, co gotowała.

– Naprawdę?

– Jeszcze nie dowiedziałam się, jak to działa. Tylko że wywołuje objawy przypominające parkinsona: chwiejny chód, skurcze mięśni, utratę siły, niestabilność, problemy z ręcznym pisanie.

– Więc mówisz, że wszystkie te objawy...

– Wywołane były wysokimi dawkami leków i serem. Szczególnie starym serem. Czyż biologia nie jest fascynująca?

– Święta Mario, Matko Boża – powiedział Carlo.

– A to dziwka – powiedziałam do sera koziego na moim kawałku pizzy, apetyt prawie mnie opuścił. – Jak długo miałaś zamiar czekać zanim mi to powiesz?

– Jasne, nadal kulejesz, ale chyba od rany na nodze – powiedziała Gemma-Kate i wstała. – Zjem resztkę tej pizzy.

Mallory złamała moją łaskę, ale Carlo kupił mi drugą w domu towarowym, zanim wyszłam ze szpitala. Mogłam się na niej oprzeć i uparłam się, że wyprowadzę Mopsy na spacer. Szłam powoli, ale było lepiej niż za ostatnim razem.

– Co byś zrobił, gdybym została poważnie upośledzona? – zapytałam, kiedy lekko kulejąc szłam chodnikiem.

– Podaj konkrety.

– Powiedzmy... porażenie kończyn dolnych.

– To proste. Wsadziłbym cię na wózek inwalidzki i zabrał na spacer w jedną stronę do Sabino Canyon.

Roześmiałam się, jak się spodziewał.

– Ależ to romantyczne.

Potem przyszła noc. Wszyscy zasnęli przede mną. Może nadal byłam trochę nakręcona po przyplywie adrenaliny związanym z wydarzeniami. W domu było cicho i prawie wszędzie ciemno. Jeden Mops siedział z nadzieją przy tylnych drzwiach. Wypuściłam go licząc na to, że pod bugenwillą nie ukrywają się już żadne ropuchy. Światło księżycyca w pełni zmiotło większość gwiazd z nieba, ale nie można mieć naraz księżycyca i gwiazd. Mops pobiegł do posągu świętego Franciszka, podniósł nogę (wiedziałam, że to Al) i nasikał mu na stopę. Potem pobiegł truchtem z powrotem do domu i usiadł niecierpliwie, jakby uznał, że jedynym celem mojego życia jest otwieranie mu drzwi. Otworzyłam.

Poszłam do pokoju Gemmy-Kate. Leżała w łóżku, ale nie spała. Światło nadal było włączone.

– Czy ty w ogóle sypiasz? – zapytałam.

– Niewiele. Tak wołę.

– Jak się czujesz?

– Czuję się... – Przerwała, szukała w myślach opisu samopoczucia, żeby o nim powiedzieć.

Chyba nie wiedziała, jak je określić. Wreszcie oznajmiła: – Chciałabym...

– Co byś chciała?

– Chciałabym... żeby ktoś mnie dotknął. Mama mnie dotykała, póki mogła.

Usiadłam na końcu łóżka i położyłam dłoń na jej stopie, wystającej spod kołdry. Chyba jej to wystarczyło, bo nie usiadła, nie zbliżyła się do mnie, żebym ją objęła.

– Chciałaś otruć Mopsa? – zapytałam, specjalnie zniecka.

– Nie. To był przypadek. Ugryzł ropuchę w głowę, tam gdzie są gruczoły z trucizną, zanim zdążyłam go powstrzymać.

Brzniało to na tyle precyzyjnie, że mogło być prawdziwe. A że już byliśmy na fali.

– Gemma-Kate, kochałaś matkę?

Myślała kilka sekund.

– Chyba nie... nie. – Odsunęła stopę, miała dość ludzkiego kontaktu, a przy najmniej dość pewności, że może dostać to, czego chce. – Ale nie jestem taka jak Mallory.

– Nie. Wcale taka nie jesteś – powiedziałam.

Wymiana zdań była prawie uczciwa, czułam, że rozmawiamy jak normalni ludzie. Może tak a

może to Lew we mnie rozmawiał z Lwem w niej. I wtedy pomyślałam, co nas różni od Mallory, od każdego innego bezlitosnego zabójcy. To było to coś Quinnów.

– Mallory wrabiała cię – powiedziałam. – Wykorzystała ropuchę, żeby wzbudzić podejrzenia, potem była śmierć Franka Ganima i podtrawianie mnie. Nie jesteś psychopatką, jesteś po prostu Quinn.

Jej szyderczy uśmiezek nie pasował do niewinnej, okrągłej twarzy czki.

– A co to za różnica?

– Bo ja wiem. Chyba dlatego są z nas dobrzy policjanci, bo jest w nas większa miarka mroku i światła niż w większości ludzi. Może też niektórzy z nas mają trochę więcej mroku i nie jesteśmy dość mądrzy, żeby się tego bać. Ale emocje są bardzo przeceniane. Jeśli nawet źle się czujesz z czynieniem dobra albo dobrze z czynieniem zła, to chyba tylko czyn się liczy.

Ja to powiedziałam, czy Carlo? Już mi się miesza, gdzie kończą się jego myśli, a gdzie zaczynają moje. Właśnie w tej chwili poczułam przypływ zadowolenia, że Gemma-Kate odeszła od reszty Quinnów w Arizonie. Teraz, kiedy już się dowiedziałam, kim ona jest i kim mogłaby się stać, lepiej zrozumiałam obietnicę, którą złożyłam Marylin. Chodziło tylko o to, żeby Gemma-Kate mogła u nas zostać na trzy miesiące. Obietnica dotyczyła czuwania nad tym, żeby jej podróż wiodła po ścieżce sprawiedliwych.

– Hm, nie mam zamiaru zostać policjantką – powiedziała.

– Będziesz naukowcem, biochemikiem. Zaszyciesz się gdzieś bezpiecznie w laboratorium.

– Nie, myślałam o tym, żeby zostać weterynarzem.

Poczułam, jak wywracają się we mnie bebechy, chociaż nie wiedziałam, co mnie tak przeraziło.

– Wspaniale. Przemysł to jeszcze. – Podciągnęłam jej koldrę, bo poczułam, że w domu zrobiło się chłodno, co często zdarza się wiosną po zachodzie słońca.

Ale zanim wyłączyłam światło, a może to był odbłask światła w jej oczach, zobaczyłam coś w jej wzroku, coś jak gwiazdę północy na zupełnie czarnym niebie. Wiedziała, co mówi i jakie to na mnie wywrze wrażenie. Zgrywała się, że jest wegetarianką, to był autoironiczny dowcip. A ja zdałam sobie sprawę, że tam, gdzie jest prawdziwe człowieczeństwo, jest także umiejętność niebrania siebie tak bardzo na poważnie, a tam, gdzie jest humor, jest i nadzieja.

Powiedziałam dobranoc i przesłam się po domu, żeby powylać światła i pozamykać drzwi. Ala i Peg zostawiłam na zewnątrz, żeby pilnowały.

Idąc po omacku, przypomniałam sobie, co Elias Manwaring mówił mi o facecie, według którego jedynym sposobem na osiągnięcie szczęścia jest uznać, że świat jest straszny, straszny, straszny. Ten facet miał rację. Dzieci umierają przed rodzicami. Ludzie, których uważało się za przyjaciół, zdradzają. Żony pozwalają, żeby mężowie je bili i czasem nie potrafię tego zatrzytać. Za dużo mgły, żeby rozróżnić dobrych od złych.

Cholera, jak człowiek pozwoli sobie na takie myśli, to czasem może dojść do wniosku, że lepiej nie kochać, bo każda miłość kończy się porzuceniem, zdradą albo śmiercią. I to jest naprawdę straszne.

Okropne.

Ale jeśli pomyśleć dłużej... Jeśli świat jest tak oczywiście i całkowicie straszny, to każda chwila życia, która nie była straszna, musi być pieprzonym cudem. Dar tym bardziej cenny, bo rzadki. Jak to, że dzisiaj w zasadzie dobrze się czułam. Jak odkrycie, że człowieczeństwo Gemmy-

Kate może być ograniczone, ale istnieje nadzieja, że jest na tyle zdrowa, żeby przeżyć. Że jest bardziej taka jak ja niż taka jak Mallory.

Tak czy siak nie miało sensu zamartwiać się różnościami po nocy. Teraz byliśmy bezpieczni. Empatia jest miła, ale czasem trzeba odłożyć na bok śmierć, pomyłki, cierpienie i zdrady. Lepiej pozwolić sobie na chwilę bez współczucia, niż pozwolić, żeby tonąca ofiara pociągnęła nas za sobą w głąb. Tak podeszłam do bezimiennej kobiety w schronisku. Brak współczucia to obrona siebie samego, żeby móc walczyć kolejnego dnia.

Bo jeśli przestanie się doceniać chwilę, kiedy nie dzieje się nic złego, to jakby odtrąciło się nogą dar, który ktoś zostawił na naszej ścieżce. To do mnie dotarło.

Witamy wśród ludzi.

Podziękowania

Żeby wychować dziecko, może i potrzebna jest cała wioska, ale żeby powstała książka, trzeba co najmniej trzech dużych metropolii i jednego średniej wielkości miasteczka. Tak więc dziękuję Wam: Hope Dellon z wydawnictwa St. Martin za upór i wielką cierpliwość, Adrienne Kerr z Penguin Random House, Genevieve Pegg z Orion UK i wszystkim zespołom redaktorów z wydawnictw na całym świecie, którzy najpierw dokonywali krytyki, a potem promowali moje powieści. Mam na myśli również Ciebie, Sarah Melnyk.

Dziękuję czytelnikom za ich wspierające uwagi o Drodze 66 i przyjaciółom – jesteście o wiele większym wsparciem niż niejeden agent. Wy oraz Cristina nauczyliście mnie wszystkiego, co wiem o sztuce flirtowania.

Specjalne podziękowania dla:

Dr. Bennetta Bluma za podpowiedzi w kwestii trucizn i odmowę podania informacji o dawkowaniu. Szczegóły zostały zmienione, więc nie próbujcie truć dziadków; nic z tego nie wyjdzie.

Micaha Wisleya, eksperta od mieszanych sztuk walki, który nauczył mnie chwytów.

Podziękowania dla przyjaciół z wydziału medycyny sądowej i społeczności medycznych:

Dr. Jan Leestman za wszystko z dziedziny neurologii, Kevinowi Gannonowi za wiedzę o utonięciach, dr. Robertowi Powersowi i dr. Michaelowi Derelanko za szczegóły z toksykologii, dr. Ellen Moffatt za informacje z dziedziny patologii sądowej, dr. Gil Brogdon za wiedzę z radiologii, dr. Mary Dudley za dane o rozrusznikach serca, dr. Jamiemu Whitingowi za wiedzę o ropuchach koloradzkich i dr. Jasonowi Byrdowi za informacje o terapii czerwiami (proszę, nie pytajcie).

Dziękuję wszystkim, którzy sprawdzali rękopis pod kątem zgodności faktów i w delikatny sposób wskazywali miejsca do usunięcia lub zmiany:

Patrickowi Jonesowi, czytelnikowi powiązanemu z organami ścigania.

Dr. Dorothy Dean, czytelniczce obeznanej z medycyną sądową.

Jennie Jonteaux McClay i Christinie Salvaterra, czytelniczkom ze służby zdrowia.

Williamowi Bellowi, Victorii Bergesen, Mickeyowi Getty'emu i Frederickowi Mstermanowi, pisarzom, którzy czytają.

Ale czekajcie, to nie wszyscy! Dziękuję również:

Neilowi Evangelista za informacje o broni palnej.

Debbie Mangold za przypomnienie, skąd wzięło się moje upodobanie do onomatopei.

Barbarze Norwitz za debatę w lobby hotelu w San Antonio o logistycę masowych zabójstw.

Rachel Ohly za konsultacje dotyczące zachowań nastolatków.

Jody Wilson za przybliżenie szczegółów dotyczących gali dobroczynnych.

Charlesowi DeWitt – nie do końca pamiętam za co, ale jego nazwisko było na tej liście, więc musiał powiedzieć coś pomocnego.

I jak zawsze dziękuję Tobie, mój drogi mężu, za to, że nigdy nie zapomnisz zapytać, czy już dzisiaj pisałam, że zapewniasz mi spokój, bym mogła uruchamiać wyobraźnię, i choć zaprzeczasz, za to, że podrzucasz mi pomysły, gdy czasami utknę, po prostu zadając mądre pytania. Kochanie, jesteście

kwita.

Przypisy

[1] *cupcake* (ang.) – babeczka (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] *Ciotka Mame* (ang. *Auntie Mame*) – amerykański film z 1958 roku w reżyserii Mortona DaCosty. Tytułowa bohaterka to kobieta ekstrawagancka, krzykliwa, lubiąca zabawę w gronie bohemy.

[3] Kwinoa – komosa ryżowa – gatunek rośliny jednorocznej.

[4] *Green Acres* – amerykański serial komediowy o małżeństwie, które przeprowadza się z Nowego Jorku na wieś.

[5] LGBT (z ang. *Lesbians, Gays, Bisexuals, Transgenders*) – skrótowiec odnoszący się do lesbijek, gejów, osób biseksualnych oraz osób transgenderycznych jako do całości.

[6] Elizabeth Lanchester Sullivan – brytyjska aktorka, wystąpiła w tytułowej roli w filmie *Naręczona Frankenstein*.

[7] *Quincy* – amerykański serial telewizyjny. W tytułowej roli patologa Quincy'ego występował Jack Klugman.

[8] *Porte couchere* – rodzaj portyku.

[9] Ćwiczenia Kegla mają na celu wzmocnienie i naukę kontrolowania mięśni dna miednicy.

[10] Serial komediowy z lat 60.

[11] *Here Comes The Brides* – amerykański historyczny serial telewizyjny, emitowany w latach 1968–1970.

Table of Contents

[Tytułowa](#)

[Redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)